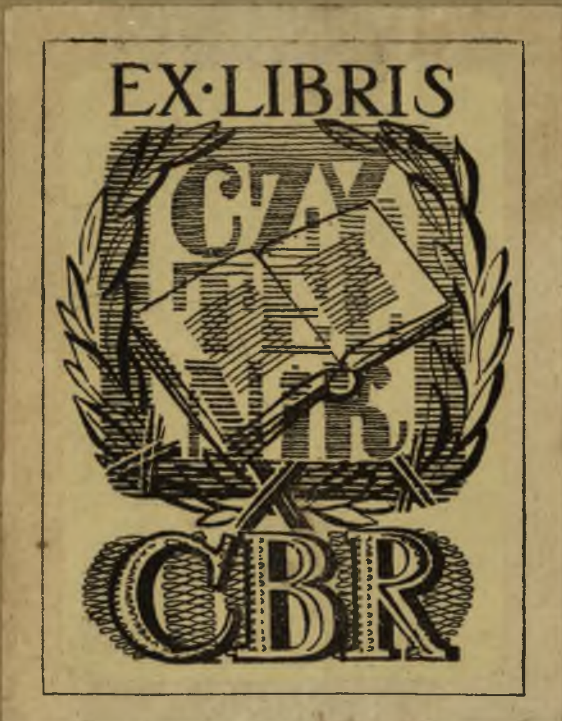

EX·LIBRIS
CBR

POTOP

TRYLOGJA

Powieść pierwsza:

PETERSBURG

Przełożył MARCELI TARNOWSKI

Powieść druga:

WARSZAWA

Przełożył WACŁAW ROGOWICZ

Powieść trzecia:

MOSKWA

Przełożył MARCELI TARNOWSKI

SZALOM ASZ

MOSKWA

POWIEŚĆ

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA
PRZEŁOŻYŁ Z NIEMIECKIEGO
MARCELI TARNOWSKI

WARSZAWA — 1932

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

CZĘŚĆ PIERWSZA

CO TO SĄ WŁAŚCIWIE BOLSZEWICY?

Każde źdźbło trawy ma matkę, każdy listek głaszczą lekkie ramiona wiatru. Ale żadna trawka ani żaden listek na świecie nie spoczywa tak długo przy ciepłej, matczynej piersi śniegowej, jak gęsta, cienista zieleń lasów brzozowych w okolicach Moskwy. Gdy wydostaje się po długiej zimie z pod ochrony śniegu na światło słoneczne, wtedy każda trawka drga świeżością wypielęgnowanego ciałka dziecięcego. Każde zoddzielna źdźbło myje się i kąpie w łzach rosy, któremi opłakuje je matka noc, zanim je na cały dzień wypuści z pod swojej opieki. A gdy wiatr muska murawę, zielona powierzchnia drży łagodnemi falami jak jezioro...

Gęsta zieleń traw między młodemi brzozami lasów w okolicach Moskwy trwa przez całe lato, aż do pierwszych mrozów, aż znowu poczynają wiać lodowate wichry. Delikatne istotki marzną chłodnym rankiem, ale z pod zimnej powłoki szronu ciągle jeszcze wygląda ich niewinna zieleń; sprawia to wrażenie, jakby pozostawiono za domem małe dzieci, których ciałka dygoczą z zimna... A potem poczciwy, biały śnieg pokrywa je wreszcie pieczołowicie, i pod jego macierzyńską osłoną śpią znowu przez całą zimę.

Choć był już późny październik, na miękkim, zielonym, gęstym jak w lecie kobiercu murawy — w przeciwieństwie do poprzednich lat — nie było jeszcze śniegu. Wasyli Andrejewicz, właściciel majątku Zapianka, poło-

żonego przy linji kolejowej do Niżniego Nowgorodu, wychylając się z okna przedziału, z przyjemnością wdychał świeży, mroźny powiew, płynący w szarym mroku z pól.

Rozpiąwszy szeroko czarny kożuszek moskiewski, który spowijał jego krępe, tęgie ciało, stał Wasyli Andrejewicz przy oknie, mocno przycisnął czerwoną twarz z mięsistym nosem do zamglonej szyby i obserwował przelatującą za oknem okolicę. Słońce, które wznosiło się nad horyzontem chłodno, a jednak grzejąc, zmywało wilgoć rosy z pól i drzew, jak krowa-matka, która oblizuje językiem nowonarodzone cielątko.

Budzący się świat sprawiał rzeczywiście wrażenie nowonarodzonego dziecka, czującego się jeszcze niepewnie na wątłych nóżkach.

Zdawało się, że przeciera oczy ze snu i nie chce opuścić miękkich objęć nocy, z których różowe niebo poranne wyrywa go ciągle niecierpliwem budzeniem...

Wasyli Andrejewicz z radością zatonął w obserwacji złotożółtych pól, na których widniały jeszcze ściernie po zwiezionych plonach, zielonych niw między lasami, wąskich potoków i małych stawów, na których mimo późnej jesieni pluskały się wesoło kaczki i gęsi. Okiennice, pomalowane na niebiesko lub zielono, rzeźbione gzymsy i dachy spokojnych chat, wieśniacy i wieśniaczki przy pracy porannej, łaciate krowy, pasące się na łąkach, konie i źrebięta ze spętanemi nogami, przerażone sapaniem lokomotywy i usiłujące uciekać niezdarnemi skokami, uzupełniały obraz okolicy, przemykającej w szybkiem tempie pociągu.

Wasyli Andrejewicz był człowiekiem, miłującym spokój i rozkochanym w przyrodzie. Przedewszystkiem jednak przywiązywał wagę do dobrego jedzenia. Po jeździe sanną na mrozie i śniegu musiał mieć kilka mocnych kieliszków wódki, do tego pół głowizny cielęcej

w occie, ucho wieprzowe z chrzanem albo nogi wieprzowe w galarecie.

Latem natomiast, gdy Wasyli Andrejewicz wykąpał się w skwarne popołudnie w rzece i siedział na werandzie swojego dworu, na stole musiał stać kipiący samowar, talerz malin w śmietanie albo tak zwany „chłodnik“, mieszanina zielonych jarzyn i plasterków ogórka w kwaśnej śmietanie.

Poza jedzeniem dziedzic z Zapianki najbardziej lubił przyrodę. Najmilszą jego rozrywką było wyjść wczesnym rankiem jesiennym, gdy szare mgły wisiały jeszcze nad ziemią, wałęsać się po bagniskach leśnych w wysokich butach, sięgających do kolan, i polować na dzikie kaczki; nie znał większej radości, jak widok białego ogara, gdy wyciągał z błota ustrzeloną kaczkę i z krwawiącym ptakiem w pysku, machając ogonem, biegł do pana.

Wasyli Andrejewicz ubóstwiał swoje psy i konie. Raczej kazałby ciężarnej wieśniaczce przywlec furę drzewa z lasu, niżby do tego użył konia. Krowy były u niego czystsze niż chłopi, w stajniach częściej zamiatano, sprzątano i szorowano, niż w izbach ludzi. Gdy owce po żniwach pasły się na rżyskach, lubił zatapiać rękę w ich miękkiej, oleistej wełnie i wyczuwać palcami tłuszcz ich grzbietów. Z prawdziwą przyjemnością pozwalał, aby psy, krowy czy owce oblizywały mu ozorami palce, podbródek, usta, ba, całą twarz, i ze szczerą radością całował wilgotne nozdrza swoich ulubionych koni...

Pole i las były jego królestwem. Część swojej posiadłości odziedziczył po rodzicach, większość wniosła mu żona w posagu. Lubił obchodzić to swoje państwo o szarym, wilgotnym brzasku porannym, narzuciwszy krótki kożuszek na ramiona, w towarzystwie swoich psów (konia do jazdy było mu szkoda). Szeroka jego pierś wdychała głęboko świeże powietrze poranne. W lesie za-

trzymywał się i z rozkoszą nadsłuchiwał cichej kołysanki, którą wiatr nucił pośród gałęzi drzew iglastych. Lubił bardzo chodzić o przedwiośniu wzdłuż brózd na roli, jakie ryły pługi chłopów, zanurzać rękę w czarnej glebie albo kruszyć grudkę, aby wyczuć w palcach miękkość ziemi. Nie mógł przejść obok łanu żyta czy jęczmienia, aby nie uszczknąć kilku kłosów i nie skosztować ziaren. Gdy podczas takich wędrówek porannych przemykał wpobliżu niego ptak, ubolewał zawsze, że nie może go ustrzelić. Poznawał ślad wszelkiej zwierzyny, snującej się po jego dobrach; ze strzelbą i psami śledził jej łajno, aby zdobyć nowy łup myśliwski. Pole i las były dla tego człowieka czemś więcej, niż kobiety, czemś więcej, niż rodzona matka.

I teraz, stojąc przy oknie wagonu i przyglądając się połyskującym złociście rżyskom, zielonym kobiercom pośród lasów bukowych, barwnym chatkom drewnianym, stawom, — nie może ustać spokojnie. Chciałby móc dotykać tego wszystkiego, co przelatuje przed jego oczyma, chwytać to rękoma, posiadać. Na sam widok okolicy z serca jego wyrywa się pożądliwe westchnienie, a zarazem melancholijny okrzyk:

— Ach, mateczko ty rodzona! Dobry mamy kraj, wielki kraj — tylko porządku niema!

Przypominają mu się złe czasy, jakie przeżywa wraz z wszystkimi — jest przecież wojna i rewolucja! Cara strącono z tronu, gubernatora moskiewskiego wypędzono z jego pałacu, chłopi nabrali czelności wobec swoich panów. Las, o który się tak długo ze swoimi chłopami procesował, zagarnęli poprostu i bezprawnie czerpią z niego drzewo! Ośmielają się nawet wyganiać bydło na pańskie łąki, a ekonom boi się nakładać im kary. Nawet kobiety są oporne; służące nie słuchają rozkazów. Dopiero wczoraj Marja Arkadjewna, jego żona, dostała przez taką kreaturę spazmów. Dawniej kaza-

łoby się taką niegodziwą dziewczynę zawlec do obory, dwóch chłopów podniosłoby jej spódnicę, a dziedzic własnoręcznie wychłostałby ją porządnie knutem; musiałaby jeszcze potem z wdzięcznością paść jaśnie panu do nóg! Zaskarżyć go na pewnoby się nie ważyła — a gdyby nawet do tego doszło, wójt dostałby parę kaczek albo pół fury kartofli i posłałby dziewczynę do jaśnie pana, żeby go prosiła o przebaczenie. A teraz trzeba milczeć — i Bóg wie, do czego jeszcze dojdzie! Chłopi powiadają, że odbierze się panom ziemię i podzieli między nich. Ach, nie, na to przecież w Petersburgu nigdy nie pozwolą! Bez dziedziców nie daliby sobie rady! Któżby wtedy nakłonił chłopów do obrabiania ziemi? Ładnaby to była gospodarka bez dziedziców!

„Żeby się już tylko ta przeklęta wojna skończyła! Pocośmy się pokłócili z Niemcami? Byli przecież naszymi przyjaciółmi. To wszystko robota tej przebiegłej Anglji! Kiedy wojna skończy się nareszcie, wojsko wróci do domu, pośle się je do wsi — i wszystko będzie odrazu znowu w porządku!“

Wasyli Andrejewicz stara się rozpędzić złe myśli:

„Jakoś się to już zrobi, już oni sobie w Petersburgu dadzą rady! Żeby już tylko generałowie powrócili z wojny i kazali kozakom pooczyszczać miasta ze szkodliwych elementów, a przedewszystkiem z bolszewików! Wszystkiemu winni są bolszewicy — tak piszą gazety! Inni są umiarkowani, a z tymi gadać nie można; bolszewicy są jedyną przeszkodą. To szpiedzy niemieccy, przywieziono ich za niemieckie pieniądze, w niemieckich wagonach — tak piszą gazety“.

„Ba, ale cóż to są właściwie bolszewicy?“ — Wasyli Andrejew drapie się w głowę.

Na to pytanie nie znajduje odpowiedzi, a że nazwa „bolszewików“ budzi w nim ponure myśli, odpycha ją gniewnie:

„Do djabła z bolszewikami!" — i Wasyli Andrejewicz powraca znowu myślami do własnych spraw. Myśli o powodzie swojej podróży do Moskwy — o Nataszy. Oczywiście tytułuje ją już pełnem imieniem, Natalja Stepanowna, jak przystoi damie. Widzi teraz w duchu silne, białe plecy, pełne, okrągłe piersi, miękką, kobiecą szyję swojej towarzyszki życia, Natalji Stepanowny, która mieszka w Moskwie; widzi też Anuszkę i Simoszkę, dzieci, które mu Natalja urodziła.

Szeroki uśmiech zadowolenia zjawia się na jego tęgich, tłustych wargach i ginie w wielkich, gęstych wąsach. Tak, ma się wrażenie, jakby i potężny brzuch Wasylego Andrejewicza uśmiechał się w miłej błogości i drgał pożądliwie pod ubraniem.

Na samą myśl o Nataszy i dzieciach czuje się Wasyli Andrejewicz szczęśliwy; myśl ta płoszy wszystkie posępne obrazy i przeczucia. Widzi teraz tylko małe, przytulne mieszkanie na szosie Petersburskiej, daleko przy torze wyścigowym, w nowowybudowanej dzielnicy Moskwy, gdzie niedawno ulokował Nataszę...

Wasyli Andrejewicz posiadał nowoczesną żonę. Marja Arkadjewna czytała moc zwarjowanych książek i nie chciała mieć dzieci.

— Człowiek nie jest bydlęciem, — mawiała, — i nie żyje poto, żeby karmić i niańczyć dzieci.

Kazała nawet usunąć swoje łóżko ze wspólnej sypialni i urządziła sobie własny buduar.

— Kobieta musi mieć swoje własne życie, — oświadczyła, — wspólna sypialnia pozbawia kobietę indywidualności.

Wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, przychodziła w nocnej toalecie do Wasylego Andrejewicza, składała na jego czole lekki pocałunek i mówiła mu dobranoc. A strój nocny Marji Arkadjewny był niezmiernie wyrafinowany. Przedewszystkiem nosiła pikantne

kolorowe majteczki; szlafroki jej były o tyle ciekawe, że miały luźne, szerokie rękawy i głęboki dekolt; zawsze były rozchylone, dzięki czemu widać było majteczki, związane pikantnemi czerwonemi wstążeczkami. Ale gdy Wasyli Andrejewicz brał żonę za rękę i chciał ją zatrzymać trochę dłużej, powiadała zawsze:

— Człowiek nie jest martwym przedmiotem. Do tego potrzeba właściwego nastroju i właściwej atmosfery.

Ale że właściwego nastroju i właściwej atmosfery nie można było stworzyć sztucznie, Wasyli Andrejewicz musiał się kontentować pocałunkiem w czoło. Potem żona odchodziła, przyczem Wasyli Andrejewicz znowu dostrzegał jej majteczki. W pokoju pozostawała miła woń perfum; Marja Arkadjewna używała niezmiernie wyrafinowanych perfum.

Wasyli Andrejewicz był mężczyzną o zdrowych zmysłach; pragnął silnej żony, którаby nie potrzebowała nastroju i atmosfery, i pragnął mieć dzieci, być ojcem, posyłać dzieci do szkoły, wypytywać je, czy umiały lekcje, od czasu do czasu przekładać któreś z nich przez kolano i jak prawdziwy ojciec zbić je przyzwoicie. Ale słyszał tylko ciągle:

— Człowiek nie jest bydlęciem, nie jest stworzony poto, żeby rodzić dzieci.

Rozwieść się z żoną? Szkodaby było. Posag jej — wieś i las, któremi on zarządza — daje dobre dochody. Z własnego majątku Wasyli Andrejewicz nie mógłby wyżyć, zaś Marja Arkadjewna nosi ponętną bieliznę...

Marja Arkadjewna ma gospodynię: Natasza jest zdrową, dobrze rozwiniętą kobietą. Pełne jej ciało omal nie rozsadza czarnej sukni roboczej. A gdy wzrok Wasylego Andrejewicza pada na jej mocne, pięknie wygięte biodra, przychodzi mu na myśl: Z takich lędźwi mogłoby wyjść zdrowe potomstwo!

Właściwie Marja Arkadjewna nie ma nic przeciwko temu, aby mąż jej wdał się z gospodynią. Zdrowy mężczyzna musi zaspokajać swoje naturalne popędy — a ostatecznie poto jest właśnie służba, aby niejako spełniać funkcje bydła. Najważniejsze jest, żeby mąż nie urażał „indywidualności“ Marji Arkadjewny, aby pozostawiał żonie jej towarzystwo, nie troszczył się o to, że ta lub inna przyjaciółka nocuje u niej — żeby jej nie przeszkadzał i zadowalał się pocałunkiem w czoło, widokiem majteczek i zapachem jej perfum...

Wreszcie niepodobna już ukryć stanu gospodyni. Ze względu na służbę jest to przykre. Wobec tego Wasyli Andrejewicz — z wiedzą żony — wynajmuje Nataszy mieszkanie w mieście.

Zostaje jego kochanką, a właściwie prawdziwą żoną.

Natalja Stepanowna jest prostą, pobożną kobietą, podobnie jak Wasyli Andrejewicz lubi dom, jest przywiązana do męża i dzieci. Wiodą też oni bogobojny, zgodny żywot. Co dwa lub trzy miesiące Wasyli Andrejewicz przyjeżdża ze wsi do Nataszy. Z dworca zajeżdża do hotelu „Metropol“, gdzie jest też — ze względu na ludzi — zameldowany. W istocie mieszka u Nataszy i zachowuje się jak jej prawowity, wierny małżonek. W sąsiedztwie wszyscy go też uważają za jej męża, gdyż podaje się za ekonoma swojej wsi, który ze względu na wychowanie dzieci wysłał rodzinę do miasta. Co sobotę i co niedzielę chodzi razem z Nataszą do pobliskiej cerkwi, gdzie zapalają oboje poświęcane świece przed ikoną. Gdy Wasyli Andrejewicz mieszka u Nataszy, interesuje się jej gospodarstwem, przegląda książkę domową, każe sobie opowiadać o wszystkiem, co się przydarzyło w czasie jego nieobecności, płaci rachunki, chodzi sam do rzeźnika, żeby przynieść dobry kawałek pieczeni na obiad, i ze szczególnem zamiłowaniem rąbie drwa do kuchni.

Mają już dwoje dzieci, starsze ma teraz pięć lat. Kiedy coś zbroi, Wasyli Andrejewicz ze świętą powagą przekłada je przez kolano i pokazuje, co ojciec potrafi. On i Natasza wobec ludzi nazywają się zawsze mężem i żoną. U Nataszy czuje się Wasyli Andrejewicz jak prawdziwy małżonek i ojciec, co sprawia mu wielką radość. Jeden tylko cień pada na szczęście jego i Nataszy — że współżycie ich nie zostało pobłogosławione przez kościół. Często zastanawiają się nad tem, jak zrobić, żeby otrzymać błogosławieństwo popa...

Gdy pociąg mknie w stronę Moskwy, Wasyli Andrejewicz ma uczucie, że powraca do domu; ciągnie go prawdziwy, szczęśliwy spokój rodzinny. U nielegalnej żony oczyszcza się z grzesznego życia, jakie prowadzi z legalną. Wszystko to zapada się teraz w nicość i Wasyli Andrejewicz myśli tylko o swojem szczęściu, o czystem mieszkaniu Nataszy, o jej różowem, pełnem ciele, o zdrowych, pucułowatych dzieciach, które mu urodziła...

Już przeszło trzy miesiące nie widział Nataszy i dzieci, gdyż właśnie tego lata było moc roboty, zanim się wreszcie sprzątnęło zboże; a przytem Wasyli Andrejewicz wycierpiał tym razem wiele od chłopów: nie chcieli pracować jak dawniej. Nie pomagało łajanie, a wójt też już nie był taki posłuszny jak dawniej; trzeba więc było stosować inne metody; trzeba było postępować zręcznie i przebiegle — a to nie było w naturze Wasylego Andrejewicza.

Dotychczas stosował wobec chłopów jeden skuteczny środek: wzniesienie brwi i nastroszenie gęstego wąsa. Wystarczało to prawie zawsze, aby ich nakłonić do posłuszeństwa. Ale teraz były złe czasy i chłopi niemało krwi napsuli Wasylemu Andrejewiczowi podczas żniw. Ale teraz wszystkie te przykrości, jakie musiał znieść,

będą mu hojnie nagrodzone; gdyż niedługo, niedługo zobaczy Nataszę. Był porządnie wygłodzony:

„I jej też jest już pewnie bardzo tęskno. Biedna kobieta. Ciekaw jestem naprawdę, czy jej posłużył wyjazd letni! Przytyła na pewno — to dobrze! Nataszy najładniej jest, kiedy jest tęga!"

Myśl ta sprawia Wasylemu Andrejewiczowi taką przyjemność, że pożądliwie mlaska wargami.

„I dzieci się pewnie z bożą pomocą poprawiły. Na pewno potrzebne im są nowe ubranka! Chłopiec musi już iść w tym roku do szkoły! A Natasza z pewnością przygotowała już wszystko na mój przyjazd, mieszkanie jest sprzątnięte i wyszorowane".

Wasyli Andrejewicz widzi wiszącą na filarze łóżka czapeczkę nocną, którą mu Natasza wyhaftowała; pantofle stoją przed stolikiem nocnym.

„O, Natasza jest dobrą gospodynią! Wszystko musi u niej mieć swoje miejsce. Kiedy przyjadę, wszystko będzie na mnie czekało w porządku".

Ilekroć przyjeżdża, Natasza przygotowuje mu jakąś niespodziankę; wyhaftowała mu poduszkę z jego imieniem: „Wasyli Andrejewicz", a ostatnim razem uszyła mu ciepły szlafrok.

„Co też przygotowała mi tym razem? Przebiegła kobieta z tej Nataszy, wie, jak mi się zakraść do serca! Zakradaj się, Nataszo, zakradaj, nie mam nic przeciwko temu! A gdyby jeszcze Pan Bóg zarządził, żebyśmy dostali błogosławieństwo popa, żeby współżycie nasze nie było już grzechem..."

Przypomina sobie peklowane prosię, które wiezie jej ze wsi, zaszyte w worku: „Co to będzie za radość! Świetne będzie uduszone z kapustą!" — i podczas gdy myśli jego bawią jeszcze przy peklowanem prosięciu, pociąg zatrzymuje się na dworcu moskiewskim.

Wasyli Andrejewicz woła tragarza, ale daremnie —

nigdzie nie widać tragarza! Ze złością wychyla głowę przez okno; i nagle spostrzega na peronie zbiegowisko i gorączkowy tumult.

Woła do przebiegających:

— Powiedzcieno, drodzy ludzie, co się stało? Co się stało?

Niema odpowiedzi. Wszyscy pędzą z bagażami do wyjścia.

— Powiedzcieno, drodzy ludzie, co się stało? — woła jeszcze ciągle Wasyli Andrejewicz błagalnym głosem.

— Bolszewicy... — odpowiada mu ktoś i szybko biegnie dalej.

Wasyli Andrejewicz chwyta swoje pakunki, zarażony powszechną paniką, pędzi za innymi pasażerami i przepycha się przez wyjście. Na placu przed dworcem udaje mu się złapać jeszcze ostatnią dorożkę, o którą kłóci się już kilku pasażerów. Szybko wrzuca do niej swój bagaż, wskakuje do środka i woła na woźnicę:

— Szosa Petersburska!

— Nie pojadę tam, to już niemożliwe!

— Co się stało?

— Czy pan z księżyca spadł, panie? Bolszewicy zajęli Petersburg, niedługo będą w Moskwie.

— Więc jedź prędko do hotelu „Metropol"!

— To dzisiaj kosztuje dwudziestkę!

— Ruszaj!

Podczas jazdy przez ogarnięte paniką, niemal wymarłe ulice Wasyli Andrejewicz zwraca się do dorożkarza:

— Powiedzno — co to są właściwie bolszewicy?

— Ba, tego... tego to ja naprawdę nie wiem, panie!

HOTEL „METROPOL"

Po wypadkach lipcowych roku 1917, kiedy „agenci niemieccy" (tak nazywano powszechnie rewolucjonistów bolszewickich, którzy przybyli przez granicę w zaplombowanych wagonach niemieckich) usiłowali zapomocą zamachu zagarnąć władzę, a marsz generała Korniłowa na Petersburg nie udał się, solidne elementy stopniowo opuściły stolicę i skierowały się do Moskwy.

Petersburg traktowano w owym czasie jak chorego, który uległ niebezpiecznej zarazie i którego los w najbliższej przyszłości jest niepewny; kto nie mógł dotrzymać kroku siedmiomilowym butom rewolucji i nie wiedział, jak się skończy ten szalony pęd w nieznaną przyszłość, uciekał z ogarniętego złą chorobą Petersburga do serca „Mateczki Rosji". Już samo brzmienie nazwy „Moskwa" budziło ufność i pewność. To też i zebranie organizacyjne towarzystwa „Nowa Rosja" zwołane zostało na koniec października do marmurowej sali moskiewskiego hotelu „Metropol".

Towarzystwo „Nowa Rosja" miało się stać wielkim koncernem przemysłowym. Od chwili wybuchu rewolucji w sferach finansowych można było dostrzec powolny odpływ kapitału zagranicznego z przedsiębiorstw rosyjskich. Wiadomo było, że dom Rotszyldów odstąpił Shellowi wzamian za akcje swoje rosyjskie udziały naftowe i pociągnął za sobą szereg zaprzyjaźnionych kapitalistów rosyjskich, którzy dali się nakłonić do postąpienia w ten sam sposób. Niebawem dowiedziano się, że niektórzy finansiści rosyjscy lokowali swoje kapitały w przedsiębiorstwach i bankach zagranicznych. W rosyjskich sferach finansowych zapanowała deruta, chwilowo jeszcze coprawda niedostrzegalna dzięki dobrej konjunkturze, jaką powodowała wojna, i dzięki sympatjom, jakie rewolucja rosyjska zyskała szczególnie

w Ameryce, która gotowała się wtedy właśnie do przystąpienia do koalicji (sympatje te otwierały znowu wielkie widoki na poważne pożyczki).

W tej sytuacji firma Mirkin w Petersburgu, olbrzymie przedsiębiorstwo drzewne i bankowe, mające stale orjentację rosyjską, rzuciło równie wielką jak szczęśliwą myśl: Stary Gabrjel Mirkin zwołał małe zebranie swoich najbliższych przyjaciół (oczywiście znajdował się wśród nich i słynny adwokat Salomon Osipowicz Halperin, który początkowo miał zostać teściem młodego Mirkina, a potem został nim dla starszego). Gabrjel Mirkin, człowiek o mądrym zmyśle praktycznym, w przekonywujący sposób dowiódł zebranym, że właśnie teraz, gdy kapitał zagraniczny wykazuje tendencję omijania Rosji, nadeszła odpowiednia chwila, aby wielkie przedsiębiorstwa rosyjskie, tak długo eksploatowane przez obcych, przeszły w rosyjskie ręce.

Mądre doświadczenie Mirkina i patrjotyczne przemówienie Halperina wywarły wpływ na wielkich kapitalistów, wśród których zgodnie z liberalną erą znajdowali się razem żydzi i chrześcijanie, ale już nie jak dawniej pod sztandarem wielkoksiążęcym. Stworzono konsorcjum, które cichaczem wysłało swoich agentów do Londynu i nabyło tam wielkie zagłębie żelazne Michajłowkę, eksploatowane od czasów Mikołaja I przez towarzystwo angielskie. Firma angielska, przerażona „anarchistycznemi tendencjami", jakie rewolucja wzbudziła w narodzie rosyjskim, oddała zagłębie syndykatowi rosyjskiemu za stosunkowo niską cenę. Teraz szło o to, aby zgodnie z duchem nowych czasów związać z tem przedsięwzięciem szerokie masy rosyjskie. W tym celu towarzystwo „Nowa Rosja" wypuścić miało za kilkaset miljonów rubli akcyj o niskim kursie emisyjnym, aby — jak się wyraził liberalny Salomon Hal-

perin — „dać szerokim masom narodu rosyjskiego sposobność zakosztowania owoców rewolucji".

Na godzinę dwunastą w południe 25 października 1917 roku zwołane zostało do marmurowej sali hotelu „Metropol" ogólne zebranie organizacyjne towarzystwa „Nowa Rosja".

Założyciele towarzystwa już od kilku dni znajdowali się w Moskwie, gdyż szło o główne udziały. „Kto ma mieć udział i w jakiej wysokości!" — to było pierwsze pytanie. Od tygodnia niemal w separatkach hotelu odbywały się ożywione targi i pertraktacje. Oczywiście wszyscy przyszli członkowie nowego towarzystwa mieszkali w „Metropolu" i w razie potrzeby mogli się szybko zbierać na narady.

Z tego też powodu słynny adwokat Halperin i jego zięć, stary Mirkin, od niejakiego czasu bawili w Moskwie i mieszkali w hotelu „Metropol". Obaj wskutek lat wojennych i wydarzeń ostatnich czasów postarzeli się nieco i osiwieli, ale mimo to byli dobrze odżywieni kuchnią Niny, pełni ufności w szczęśliwe czasy, które nadeszły dla Rosji wogóle, a dla nich dwóch w szczególności (nie bacząc na wszystkie przeszkody i trudności, jakie sprawiały nowej Rosji krańcowo lewe żywioły), opaleni po długim pobycie letnim w komfortowym uzdrowisku na Kaukazie, skąd niedawno dopiero powrócili. W tym dobrym nastroju żyli sobie w hotelu „Metropol" bardzo miło.

Słynny adwokat interesował się nowem przedsięwzięciem wyłącznie z motywów patrjotycznych. Lubił podkreślać to przy każdej sposobności, aby nie dopuścić wątpliwości co do tego, że szło mu wyłącznie o wyparcie z kraju kapitału zagranicznego, którym dawny regime zalał Rosję. Określenie wysokości jego własnego udziału i wynagrodzenia jako prezesa rady nadzorczej pozostawiał zięciowi w porozumieniu z innymi więk-

szymi akcjonarjuszami. Przypominał przez to cadyka, który przyjmuje tylko kartki z życzeniami wiernych, zaś odbieranie podarunków pozostawia sekretarzowi...

W dniu, w którym nastąpić miało uroczyste ukonstytuowanie się towarzystwa „Nowa Rosja“ (słynny adwokat podjął się otwarcia tego aktu godnem powagi dnia przemówieniem), moskiewskie pisma przyniosły niepokojącą wiadomość, że w nocy z 24 na 25 października „agenci niemieccy“ uczynili w stolicy próbę nowego zamachu, podobnego do tego, jaki im się w lipcu nie udał, i że obsadzili oni dworce i mosty Petersburga. „Tem niemniej Rząd Tymczasowy jest panem sytuacji“, zapewniały gazety.

O samem wydarzeniu pisma przyniosły skąpe tylko wiadomości, jakie dotarły do nich ze stolicy. Tem więcej miejsca zajmowały gwałtowne ataki na sprawców wydarzeń petersburskich; gazety żądały stworzenia „Komitetu Obrony Przed Niebezpieczeństwem Powszechnem“, aby jak najostrzejszemi środkami odeprzeć wszelkie próby, jakie bolszewicy mogliby podjąć w Moskwie.

Salomonowi Osipowiczowi Halperinowi przyniesiono gazety poranne jak zwykle razem z samowarem do numeru. Kiedy przeczytał te wiadomości, popadł w takie podniecenie, że binokle zsunęły mu się z kościstego nosa. Zawrzał w nim potężny gniew. Ubrał się w największym pośpiechu i z nieuczesanemi włosami pobiegł do pokoju zięcia, ale nie zastał tam już Gabrjela Chaimowicza. Z gazetą w jednej ręce i binoklami w drugiej, zbiegł adwokat z młodzieńczym pośpiechem do westybulu i przecisnął się przez wzburzony tłum do restauracji. Tam znalazł nareszcie zięcia. Mirkin siedział właśnie przy śniadaniu razem ze znanym kupcem Koropotkinem.

— Czytaliście to, moi panowie? Cóż wy na to? Tego

nam jeszcze brakowało, akurat teraz, po porażce na froncie galicyjskim! Musimy się przecież wstydzić wobec swoich sprzymierzeńców! Co świat powie na to? Wstyd i hańbę ściągają ci ludzie na rewolucyjną Rosję!

Adwokat dał upust swemu gniewowi. Na ostrych kościach policzkowych wystąpiły mu czerwone plamy, a włosy jego, sterczące przekornie, wyglądały jak plątanina drutów.

— Salomonie Osipowiczu! Tylko bez zdenerwowania! To szkodzi pańskiej wątrobie — lekarz powiedział to panu najwyraźniej. Cała kuracja w Kisłowodsku byłaby na nic, — zganił go Gabrjel Mirkin, który pozostał spokojny.

Adwokat spojrzał na niego, zdumiony taką swobodą, potem wybuchnął na nowo:

— Jak można coś podobnego znieść spokojnie? Przemycają się ci ludzie z niemiecką pomocą do Rosji i niszczą wszystko, co myśmy osiągnęli! To jest przecież zainscenizowane za niemieckie pieniądze! I ci ludzie nazywają się jeszcze rewolucjonistami! Jak można spokojnie przyglądać się takim rzeczom? Podziwiam pańską obojętność, Gabrjelu Chaimowiczu!

— A co panu pomoże denerwowanie się? Zaszkodzi pan tylko swojej wątrobie i zrujnuje sobie zdrowie, — odpowiedział Gabrjel Mirkin z niewzruszonym spokojem. — Dzięki Bogu, że zostawiliśmy żony i malca na Kaukazie!

— Ach, co tam... wątroba, zdrowie... tu idzie o Rosję! Gabrjelu Chaimowiczu, nie mogę zostać tu ani chwili dłużej, muszę natychmiast jechać do Petersburga! Żałuję bardzo, że nie będę mógł wziąć udziału w dzisiejszem zebraniu — ale Rosja, rewolucja jest w niebezpieczeństwie! Rząd potrzebuje mnie w tej ciężkiej chwili.

Adwokat skierował się do drzwi, ale zatrzymał się, gdy Gabrjel Mirkin zawołał:

— Dokąd pan pędzi, Salomonie Osipowiczu? Petersburg zajęty jest przez czerwonych!

— Co — Petersburg zajęty przez czerwonych? I pan to mówi tak spokojnie? Nie, nie mogę zostać tu ani chwili! Jedno nam teraz tylko pozostało — karabin do ręki! Tak, karabin do ręki dla obrony rewolucji!

— I bez pana dość będzie obrońców rewolucji! A do noszenia karabinu jest pan już za stary. Salomonie Osipowiczu, niech się pan uspokoi. Niech pan siada z nami! Czy pił pan już kawę? Ach, racja — zapomniałem zupełnie zapoznać panów — zna pan przecież pana Koropotkina, Michał Nikołajewicz Koropotkin z Banku Handlowego, jeden z głównych udziałowców towarzystwa „Nowa Rosja". Niech pan siada, Salomonie Osipowiczu — tam dadzą sobie radę i bez pana! My potrzebni jesteśmy do czego innego.

I stary Mirkin uprzejmie, ale dość energicznie ujął teścia za ramię i zmusił go, aby usiadł przy stoliku, gdzie podano już śniadanie.

— Podziwiam pańską obojętność, Gabrjelu Chaimowiczu! — Adwokat ciągle jeszcze nie mógł się uspokoić, chociaż posłuszny łagodnemu naleganiu usiadł przy stoliku. — Kto może mówić teraz o interesach? Kto może myśleć teraz o śniadaniu? — i pogardliwie odepchnął filiżankę, którą podsunął mu zięć. — Tam się zaczyna wojna domowa, mój rząd jest w niebezpieczeństwie! Idzie o Rosję, idzie o rewolucję! Nie, nie mogę pozostać spokojny. Czuję, że jestem potrzebny! Muszę być przynajmniej na ulicy!

Halperin usiłował wstać. Ale zięć energicznie przytrzymał go za ramię i zmusił, aby usiadł znowu.

— Salomonie Osipowiczu, niechże pan nie będzie dzieckiem! — rzekł, przybierając już surowy ton, — za-

chowanie pańskie wywołuje tylko panikę wśród innych gości! Nie możemy nic zrobić! Rosja została wytrącona z kolei, jest to oszalała karuzela, a my musimy się tak urządzić, aby wyżyć na tej obłędnie wirującej płaszczyźnie! Albo poradzą tam sobie bez nas, albo wogóle sobie nie poradzą — a wtedy wszystko djabli wezmą! My musimy tymczasem załatwić własne sprawy! Nawet gdy okręt tonie, życie na nim nie ustaje.

Bardziej niż słowa zięcia przeraził adwokata ich stanowczy, poważny ton; jak dziecko, dał się uspokoić. Gniewnie przysunął filiżankę, którą przedtem odepchnął, nalał sobie kawy i mruknął z gestem rezygnacji:

— Ach, biedna Rosjo! Cóż będziesz musiała znieść! Ale zniesiemy to, zniesiemy wszystko! — i podniósł filiżankę do ust.

W tej chwili do uszu jego dotarł głos, który zdawał się wychodzić nie od stolika, ale z poza krzesła, na którem adwokat siedział:

— Przyzna pan chyba, Salomonie Osipowiczu, że za czasów starego regime'u daleko szybciej uporanoby się z tymi ludźmi?!

Z gniewnem podnieceniem odstawił znowu adwokat filiżankę, spoglądając na człowieka, który ośmielił się wypowiedzieć te straszne słowa. Był to Koropotkin.

Przed Halperinem siedziała nie postać ludzka, ale bezkształtna masa. Coś czarnego, nieruchomego, wznosiło się nad stołem i jakby rozlewało się na wszystkie strony. W masie tej rozpoznawało się przedewszystkiem potworny brzuch, który drgając kołysał się przed resztą ciała — co więcej, zdawało się, że całe życie znikło z twarzy tej istoty i schroniło się w olbrzymią kopułę jej brzucha. Oczy były nie w twarzy, lecz w brzuchu. Może brzmi to przesadnie — ale brzuch ten umiał się śmiać, naprawdę śmiać. Twarz była nieruchoma jak maska trupia, niby brunatny kawał mięsa z ledwo zazna-

czonemi rysami. Zato brzuch był żywy i pełen wyrazu; wibrował jak olbrzymia ryba, wzdymał się, kurczył, drżał, garbił się, śmiał się, robił smutną minę, zależnie od chwilowego nastroju człowieka, do którego należał. Słowom „stary regime“, które wypowiedziały wargi Koropotkina, towarzyszył brzuch także pełną wyrazu wibracją i wieloznacznym uśmiechem. Słynny adwokat wyczuwał w tym uśmiechu brzucha szydercze lekceważenie, jakie człowiek ten okazywał nowym rządom; wyczuwał je daleko wyraźniej, niż w jego słowach.

Tego Halperin nie mógł znieść. Czuł się współodpowiedzialny za nowy regime. Dla niego miarodajna była słynna dewiza: „Państwo to ja“. Wyprężył się więc uroczyście w całej wysokości, podniósł prawą rękę jak do zaklęcia, nie zapominając wyciągnąć dwóch palców, jak czynił zawsze przy efektownych zdaniach swoich przemówień sądowych, i odpowiedział patetycznym tonem:

— Nikt, czy stoi na prawem czy na lewem skrzydle, nie będzie nas zachęcał do wznowienia metod starego regime'u! Stary regime nie żyje! A rewolucja nigdy nie zbruka swojej aureoli jego metodami i środkami! O to m y się postaramy!

Tymczasem ruch w hotelu przybrał normalny bieg, żywszy coprawda, niż zwykle o tej porze. Gdyż rankiem 25 października panowało w hotelu daleko większe ożywienie, niż jakiegokolwiek innego dnia. Pociągi przybywały jeszcze do Moskwy regularnie, i na wielki plac Teatralny przed hotelem zajeżdżały nieustannie dorożki, zaprzężone w wysokie, silne, lśniąco czarne konie, przywożąc z dworców gości i bagaże. Niepokojące wieści w gazetach i nerwowy nastrój, jaki wytworzyły one na ulicach miasta, napawały spokojnych mieszczan moskiewskich, którzy zazwyczaj żyli w odosobnieniu w swoich willach, lękiem i grozą; niektórzy z nich, mieszkający wpobliżu dzielnicy robotniczej, zdecydowali się na

te kilka dni, aż zapanuje znowu spokój, przenieść się do hotelu „Metropol“, aby być bliżej centrum miasta.

Dyrektor „Metropolu“ i cały personel mieli oczyście moc pracy, aby się w uprzejmy sposób pozbyć niezliczonych nowych gości, napływających do przepełnionego już hotelu, zaś dla gości elegantszych i stałych bywalców, których nie można było odprawić, znaleźć jakieś miejsce. Wszyscy byli zdenerwowani, mówili głośniej i z większym temperamentem, niż zwykle. Jakiś elegancko ubrany pan o energicznej postawie, uzbrojony w olbrzymi bukiet, wpadł z samego rana do biura hotelowego, pytając o jakąś panią. Krewki pan nie zadowolił się ostrożną przeczącą odpowiedzią, jaką otrzymał. Z bukietem w jednej ręce i telegramem w drugiej zażądał donośnym głosem, aby sprowadzono jego damę, i zachowywał się przytem w taki sposób, jakby dyrekcja hotelu co najmniej ją zjadła. Urzędnicy w pocie czoła wertowali wszystkie spisy gości; służba biegała nieustannie po pokrytych chodnikami schodach, szukając damy o wymienionem albo przynajmniej podobnem nazwisku. Tymczasem donośny głos energicznego pana wzbudził uwagę innych gości; z niezwykłą stanowczością domagał się on swojej damy, używając do pomocy nietylko słów i telegramu, na który wskazywał, ale także kwiatów, które z przerażeniem wychylały się z papieru, niby lękliwe ptaszęta, drżące o życie... I rzeczywiście spotkał je okrutny los.

Niebawem zajechał też przed hotel Wasyli Andrejewicz, z którym spotkaliśmy się w drodze do Moskwy; przerażony, drżący i niewyspany wszedł ze swojem prosięciem w worku. Pokoju nie przygotowano dla niego; usiadł więc w biurze na peklowanym wieprzku i oświadczył, że nie ruszy się z miejsca, póki nie dostanie łóżka choćby w łazience, a jeżeli i to niemożliwe — na korytarzu; wszystko jest mu dzisiaj obojętne. Wreszcie zna-

lazł się dla niego jakiś kącik, w którym ulokowano go razem z peklowanem prosięciem. Dla obojga był już czas najwyższy.

W westybulu hotelu panował niezmiernie ożywiony ruch. Kupcy moskiewscy, w oczyszczonych na połysk trzewikach, w surdutach „Prince-Albert“ i podpiętych koszulach rosyjskich, przechadzali się ciężkiemi krokami. Damy dwuznacznego pokroju, rozsiewając natarczywą woń perfum, kręciły się między stolikami restauracji, obsadzonemi prawie wyłącznie przez mężczyzn; w powietrzu unosiły się gęste kłęby dymu cygar i papierosów, a tu i ówdzie wrzaskliwe gardła wydychały już o tej porze gorące wyziewy wódki. Kelnerzy w białych koszulach i fartuchach biegali z pełnemi tacami z bufetu na salę restauracyjną i zpowrotem — słowem, poranek w hotelu zaczynał się jak każdy inny, był tylko bardziej ożywiony, niż zwykle o tej porze. Trudno było sobie wyobrazić, że istniała moc, która zdołałaby owego niezwykle pięknego dnia jesiennego powstrzymać zwykły rytm tego hałaśliwego życia i jego zautomatyzowany niemal ruch.

Zdawało się, że wiadomości, jakie gazety przynosiły ze stolicy, podawane z ust do ust pogłoski o Moskiewskim Wojennym Komitecie Rewolucyjnym dotyczyły spraw, które działy się w innem państwie i nie pozostawały w najmniejszym związku z życiem w hotelu...

— Gdyby Rząd Tymczasowy chciał mnie słuchać, oddałby tym ludziom władzę! Okazałoby się rychło, co potrafią panowie bolszewicy! Nie utrzymaliby się dwudziestu czterech godzin...

Z temi słowami zbliżył się do stolika Gabrjela Mirkina hurtownik herbaty Rozamin, który również otrzymał zaproszenie na zebranie organizacyjne. Był wypoczęty i wypielęgnowany, starannie uczesany i ubrany. Stosownie do swoich przyzwyczajeń nie przejmował się

niczem i pedantycznie przestrzegał nakazu lekarza: „Nie brać sobie nic do serca!“ Zgodnie z tą regułą swego życia wypowiedział też słowa, któremi powitał panów przy stoliku, bez najmniejszych odznak podniecenia, jak obojętny widz, jakby chodziło o coś, co go zupełnie nie dotyczyło; że i temi sprawami nie przejmował się wcale, to dawał wyraźnie do zrozumienia, głaszcząc swobodnie palcami rzadkie, jedwabiste włosy brody.

— Łatwo mu mówić — centralę swego przedsiębiorstwa przeniósł do Londynu, kapitały swoje ulokował w bankach amerykańskich, a jego herbata rośnie w Chinach. Ale my mamy wszystko, co posiadamy, tutaj! — zawołał adwokat, odzyskując dawną ruchliwość. — Dwadzieścia cztery godziny, powiada pan? Ale w ciągu tych dwudziestu czterech godzin ludzie ci zrujnują Rosję!

— Sprawa nie zaszła jeszcze tak daleko i nie warto się denerwować! — ułagodził znowu Mirkin teścia. — Chwilowo istnieje jeszcze front, a garnizony na tyłach są dość silne. Szkodzi pan tylko swojej wątrobie, Salomonie Osipowiczu...

— Burmistrz naczelny wezwał telegraficznie wszystkie gminy gubernji moskiewskiej, aby wzięły udział w obronie miasta. Kierenski znajduje się u generała Krasnowa. Z frontu wyruszyły transporty Kozaków... Cała ta awantura skończy się niebawem...

— Młodzieńcze, skąd pan ma te wiadomości? — Adwokat chwycił za ramię mówiącego, elegancko ubranego młodego pana, który jak kobieta pachniał perfumami.

— To moja tajemnica, czcigodny Salomonie Osipowiczu, — odpowiedział młodzieniec, obserwując tajemniczo swoje wypielęgnowane paznogcie.

Ale zanim adwokat zdążył odwzajemnić się nieznajomemu panu uprzejmem słowem za radość, jaką mu

zgotował temi wiadomościami, uczuł, jak Mirkin silnie pociągnął go za rękaw:

— Niech się pan z nim nie wdaje!

Adwokat spojrzał zdziwiony na zięcia.

— Wiadomości moje bardzo się panu jeszcze przydadzą, mogę pana zapewnić, Gabrjelu Chaimowiczu, — rzekł młodzieniec i oddalił się szybko.

— To ten podejrzany krętacz, Misza „Mołodiec". Wywąchał, że mamy zebranie ogólne i przyjechał za nami. Ale nic mu to nie pomoże, — wyjaśnił Mirkin adwokatowi. — No, ale czas już, abyśmy się przygotowali, niedaleko już do dwunastej.

— Czy rzeczywiście trwa pan w zamiarze zwołania zebrania, właśnie teraz, w tej chwili? — zapytał adwokat zdumiony. — Bóg świadkiem, sercem nie będę przy tem!

— Właśnie teraz, właśnie w tej chwili! I właśnie od pana spodziewam się usłyszeć silne słowa, Salomonie Osipowiczu, słowa, które w tej odpowiedzialnej chwili pokrzepią nasze serca.

— Może pan ma rację. Właśnie teraz, właśnie w tej chwili! — powtórzył Halperin.

Potem wstał i udał się do swego pokoju, aby się przygotować do uroczystego wystąpienia na ważnem ogólnem zebraniu.

ARKA NOEGO

Wszyscy byli zdania, że słynny adwokat przeszedł sam siebie w płomiennem przemówieniu inauguracyjnem podczas uroczystego zebrania organizacyjnego towarzystwa „Nowa Rosja" w marmurowej sali hotelu „Metropol".

Punktualnie o godzinie dwunastej w południe — nie bacząc na niespokojne czasy i posępne wiadomości, nad-

chodzące ze stolicy — uczestnicy zebrania zjawili się w komplecie. Była to wspaniała konferencja najpopularniejszych i „najcięższych“ nazwisk, najbardziej poważanych prowodyrów wielkiej finansiery i przemysłu rosyjskiego.

Prócz znajomych już nam mężów i wymienionego także Rozamina obecny był wielki potentat naftowy Goldstein, zaś ze świata finansowego prezes Banku Handlowego Koropotkin i dyrektorzy Banku Wschodniego, Arbuzow i Meyersohn, osobistości dość poważne, aby znaleźć posłuch. Przemówienie słynnego adwokata miało poniekąd charakter półoficjalny. Mówił niejako w imieniu „sfer miarodajnych“. Podkreślił przytem wyraźnie, że nie posiada wprawdzie bezpośredniej misji, ale panujące w sferach miarodajnych poglądy, o których poinformowany jest z pierwszej ręki, upoważniają go do powoływania się na nie.

Przemową swoją wpoił w zebranych przekonanie, że są oni powołani do spełnienia najdonioślejszego obowiązku patrjotycznego, mianowicie oswobodzenia przemysłu rosyjskiego z rąk obcego kapitału, któremu rządy carskie nieoględnie przemysł ten zaprzedały; „zadaniem rewolucji“ jest teraz wciągnąć szerokie masy rosyjskie do dzieła odbudowy przemysłowej kraju.

— Nieście skarby ziemi rosyjskiej, któremi Bóg i przyroda tak szczodrze nas obdarowali, do biednych chat rosyjskich! — wołał z najwyższym patosem. — Nieście im naftę naszych kopalni kaukaskich, żelazo zagłębia Krzywego Rogu, srebro kraju zabajkalskiego! Dzieląc się z masami po bratersku zyskami, jakie przyniosą akcje, położycie kres bratobójczym walkom na ulicach! To jest jedyna droga do załagodzenia wielowiekowej nienawiści między kapitałem a pracą, to jest nasz socjalizm! Rosja musi dać przykład, Rosja musi się stać na tem polu pionierem całego świata! Podobnie jak Ro-

sja zniosła jedynowładztwo w państwie, musi znieść jedynowładztwo w przemyśle! — zakończył Halperin swoje przemówienie.

Jeszcze nie przebrzmiały entuzjastyczne oklaski, jakie wybuchły po wspaniałym apelu adwokata, a zebrani zastanawiali się właśnie, jak wcielić słowa Halperina w czyn — gdy na placu Teatralnym rozległy się odosobnione strzały. Pierwsze kule trafiły w tłuste pośladki powabnych amorków, zdobiących piękną studnię rokokową na placu Teatralnym.

Były to pierwsze strzały, jakie oddali czerwonogwardziści Moskiewskiego Wojennego Komitetu Rewolucyjnego, wyruszając z pałacu gubernatorskiego, aby obsadzić najważniejsze punkty miasta. Rzucili się przedewszystkiem w centrum miasta, aby zdemolować redakcje pism burżuazyjnych.

Zorganizowanego Komitetu Obrony jeszcze w Moskwie nie było. Burmistrz naczelny wysłał więc milicję miejską, wzmocnioną przez podchorążych szkoły wojennej, aby odeprzeć czerwone oddziały. Pierwsze starcie nastąpiło na placu Teatralnym, który obie strony chciały obsadzić. Zaczęła się strzelanina.

Na zebranie w sali marmurowej hotelu pierwsze strzały podziałały jak grom. Daremnie przewodniczący, czcigodny właściciel wielkiego domu bankowego i drzewno-eksportowego Mirkin, nerwowo wymachiwał dzwonkiem. Większość uczestników ogólnego zebrania, ze słynnym adwokatem na czele, skoczyła do wielkich okien, przesłoniętych firankami, spoglądając z poza ciężkich portjer na plac. Niewiele tam można było zobaczyć. Ożywiony zwykle plac Teatralny opróżnił się nagle i wyglądał tak, jak o brzasku albo w dzień wielkiego święta: jak okiem sięgnąć, nie widać było pojazdu, konia ani człowieka. Samotnie chwiały się tłuste amorki z bronzu na brzegu ozdobnej studni. Naprzeciwko, na drugim

końcu wielkiego placu, stały nieruchomo odlane w żelazie rumaki na dachu czerwonego Teatru Wielkiego.

Tylko między kolumnami przed frontem gmachu teatralnego widać było jakiś ruch: małe gromadki ludzi, szukając osłony, tuliły się do murów. Poszczególne grupki można było wyraźnie odróżnić, gdyż wśród szaro-czarnych ubrań robotniczych rzucała się w oczy ciemna zieleń mundurów żołnierskich i granat bluz marynarzy. A okoliczność, że osoby cywilne razem z żołnierzami niosły broń i używały jej, wywoływała zarazem radość i przerażenie. Widok wojska i osób cywilnych, operujących razem, był tak niezwykły, że ciekawscy przy oknach uświadomili sobie naraz powagę sytuacji i ogarnęła ich obawa o przyszłość.

— Gdzie moje palto i kapelusz? Moje palto! Kapelusz! — zawołał nagle słynny adwokat; widocznie zapomniał zupełnie, gdzie się znajduje. — Muszę iść na ulicę, jestem tam potrzebny! — krzyczał niemal.

— Salomonie Osipowiczu, dokąd pan chce iść? Tam grozi niebezpieczeństwo dla życia! — zawołał ktoś, chwytając go z przerażeniem za ramię.

Daremnie energiczny przewodniczący wymachiwał znowu dzwonkiem. Nerwowość ogarnęła zebranych. Rozważniejsi, jak przemysłowiec naftowy Goldstein, bankierzy Koropotkin i Meyersohn oraz kilku chrześcijańskich uczestników zebrania, pozostali spokojnie na miejscach. Natomiast hurtownik herbaty Rozamin wstał. Jego wypielęgnowana, wypoczęta twarz stała się nagle żółtawo-zielona i zapadła, a szerokie, ciemnobronzowe pierścienie otoczyły oczy. Zdumiony zawołał:

— Sytuacja staje się naprawdę poważna!

— Panowie, proszę pozostać na miejscach! Posiedzenie trwa nadal! Posiedzenie trwa nadal! — Przewodniczący uczepił się tego frazesu, jakby nie mógł się go pozbyć.

Ale pierwszym, kto stracił głowę i zachowaniem swojem wywołał panikę wśród zebranych, był — sam słynny adwokat. Nie mógł opanować podniecenia i wołał nieustannie:

— Moje palto! Kapelusz! Panowie, musimy się uzbroić i wyjść na ulicę!

Nagle zabrzmiał potężny, głuchy huk, podobny do krótkiego gromu. Jednocześnie usłyszano brzęk tłuczonego szkła. Kilka szyb w sali wypadło z ram okiennych.

— Odejść od okien! — wołały w zamieszaniu wystraszone głosy. A sporo czcigodnych, siwych głów znikło szybko za fotelami i stołami, szukając schronienia.

Adwokat wyprostował się nagle jak świeca. Wydawał się teraz znacznie wyższy niż zwykle i podobny był do wypłoszonego zwierzęcia, wychodzącego z gęstwiny leśnej. Zwichrzone włosy sterczały mu wokół głowy, oczy błyszczały gorączkowo; rozpostarłszy szeroko chude ramiona, począł krzyczeć histerycznie:

— Nie mogę tu dłużej zostać! — i pobiegł szybko do drzwi.

Ale natychmiast zatrzymał go ktoś; był to Gabrjel Mirkin, który był wprawdzie także przerażony, ale zgodnie ze swojem spokojnem usposobieniem zachował panowanie nad sobą:

— Dokąd? Dokąd? — zapytał surowo, sadzając Halperina na krześle.

Drzwi otworzyły się. Elegancki dyrektor hotelu wszedł, ubrany jak zwykle w nienaganny „cutaway“, i ukłonił się pobladłemu z przerażenia zebraniu:

— Panowie, — zaczął spokojnym tonem, — na ulicach wybuchła wojna domowa. Bolszewicy chcą obsadzić plac Teatralny. Chwilowo znajdujemy się pod obroną naszej dzielnej milicji i młodzieży. Komendant naszych dzielnych obrońców wydał mi wyraźny rozkaz, aby na czas trwania walki o plac Teatralny usunąć go-

ści z pokojów i ulokować w suterenach — inaczej nie może ręczyć za wasze życie. Proszę panów zatem, abyście zechcieli pofatygować się do sali bilardowej. Opróżniliśmy ją i jak się dało w obecnych warunkach przygotowaliśmy na przyjęcie gości. Idzie o krótki czas — tylko póki naszym dzielnym obrońcom uda się oczyścić plac Teatralny z niebezpiecznych elementów. Proszę więc za mną, panowie! Zamykamy salę!

— Jamais! — odezwał się odważny głos Halperina. — Chować się przed tymi ludźmi? Tylko po moim trupie...

Ale dwie silne ręce energicznym chwytem zmusiły słynnego adwokata, aby wyszedł za dyrektorem.

Obszerna, elegancka sala bilardowa, położona w suterenach, wraz z przyległemi do niej pokojami zajmowała całą długość i szerokość wielkiego budynku hotelowego.

Gdy ogólne zebranie towarzystwa „Nowa Rosja" schodziło po schodach, spotkało innych mieszkańców hotelu, którzy trzymając w rękach lub ramionach swoje najcenniejsze mienie, zbiegali z wyższych piętr.

Jedni nieśli teczki, kasetki z klejnotami, przedmioty toaletowe lub stroje nocne, inni — głównie panie — małe pieski, przeważnie pekińskie, z groteskowemi pyszczkami; wiele starszych pań dźwigało tłuste koty, niektóre nawet klatki z papugami lub kanarkami; jedni śmiali się głośno, inni płakali. Obok smutnych twarzy widziało się i wesołe. Wszyscy goście zostali teraz wytrąceni z normalnego trybu życia i zarażeni powszechnym nastrojem histerycznej paniki.

Gdy towarzystwo wraz ze słynnym adwokatem, który ciągle jeszcze, choć ze zmniejszoną znacznie energją, starał się wymknąć trzymającemu go mocno zięciowi, weszło do wielkiej sali bilardowej, służba hotelowa w największym pośpiechu — jak nakazywała chwila — wyno-

siła olbrzymie stoły bilardowe i rozstawiała wyściełane fotele i kanapy dla pań oraz wyplatane krzesła i małe stoliki klubowe dla panów. W tego rodzaju okolicznościach w najwyższych i najelegantszych warstwach towarzyskich wychodzą najaw te same rysy charakteru i te same cechy, co w najuboższych i najniższych; wszyscy, a zwłaszcza panie, starali się jak najszybciej zagarnąć dla siebie jak najwięcej i jak najwygodniejsze miejsca. Początkowo dobre maniery były jeszcze górą, ale niebawem zapomniano pod wpływem sytuacji o zasadach wychowania i staczano o miejsca formalne walki...

Nigdy właściwie nie ma się pojęcia, jak wiele osób i rzeczy kryje taki olbrzymi hotel w swoich licznych pokojach. W normalnych czasach, widziany z zewnątrz, jest on podobny do jednego grubego banknotu albo do czeku na wielką sumę, o którym wiadomo, że posiada wartość tylu a tylu tysięcy, chociaż można nim łatwo operować. Teraz hotel sprawiał wrażenie, jakby ten czek na wielką sumę rozmieniony został na monety miedziane lub niklowe; a monet tych jest takie mnóstwo, że toczą się ze wszystkich stron i niepodobna ich razem zgromadzić. Miasto całe płynęło do wielkiej sali bilardowej. Nieustannie nadchodziły nowe osoby, a ci, co zdobyli już miejsca, z przerażeniem i grozą przyglądali się tej wędrówce narodów: „Kiedy ten pochód skończy się nareszcie?“ Przychodziły najrozmaitsze gatunki ludzi, najrozmaitsze typy! Zdawało się, że cała Rosja zebrała się w sali bilardowej. Szli nietylko młodzi i starzy, nietylko mężczyźni i kobiety, ale i inne postacie, należące jakby do trzeciego gatunku, dla którego niema nazwy, chociaż istnieje.

Jakiś pan i pani weszli pod rękę, w towarzystwie służącego, który niósł w jednej ręce walizę, w drugiej klatkę z papugą. Małżonkowie szli uroczyście powolnym krokiem, jakby przystępowali do podniosłego nabożeń-

stwa w kościele. Wysoki pan wyglądał, jakby połknął kij. Postać jego była ciągle jednakowo sztywna, a żaden krok nie był szybszy ani dłuższy od poprzedniego. W chaotycznym zamęcie, jaki teraz panował, widok tego pana działał niezmiernie uspokajająco, a jego ceremonjalna postawa łagodziła podniecone umysły. Nawet w tej niezwykłej sytuacji świadom był swojej godności ludzkiej, z przesadną uprzejmością poprosił o miejsce dla żony na kanapie, a gdy usiadła, stanął za nią jak na balu. Służący stanął zkolei za swoim panem.

Jakaś stała mieszkanka hotelu, która od szeregu lat zajmowała ten sam pokój (była to zapewne żona generała albo wdowa po bogatym ziemianinie) sprowadzona została przez pokojówkę; jęczała głośno, a twarz jej drgała histerycznie. Wniesiono za nią nieprzejrzane mnóstwo dużych i małych poduszek; kiedy znalazła miejsce, pokojówka starannie poukładała poduszki jedną na drugiej, podłożyła je jej pod głowę i za plecy, tak że stara pani, tronując wysoko nad innymi gośćmi, unosiła się jakby w powietrzu.

Powabna młoda osóbka, spowita w obłok perfum, widocznie szansonetka albo wielkomiejska kokota, zjawiła się nawpół w negliżu, otoczona gromadą eleganckich młodych dandysów, którzy nieśli za nią walizeczkę i pieska; kołyszącym się krokiem przeszła niezmiernie zadowolona przez salę, jakby szła na piknik, a jasny jej śmiech — ku wielkiemu zgorszeniu czcigodnego świata kobiecego — brzmiał nieustannie na sali.

Jakąś kapryśną, histeryczną panią, która nieustannie cierpiała na migrenę i głowę obwiązaną miała wilgotną przepaską, wprowadził jej zmęczony mąż. Z wyglądu jego można było poznać, jak bardzo ciążyło mu jarzmo tego małżeństwa. Blada, śmiertelnie znużona twarz błagała niemal o litość i pomoc. Nieustannie starał się uspokoić żonę, podsuwał jej pod nos flaszeczki

z solami i przykładał wilgotne ręczniki do czoła. Budzącemi litość spojrzeniami żebrał o miejsce dla swojej żony i znalazł je też, gdyż wszystkim na sali było go żal.

Jakiś piękny młodzieniec w wysokich butach i tużurku, włożonym na ciemną, wysoko podpiętą koszulę rosyjską, zjawił się w otoczeniu całego haremu. Wyglądał, jak małomiasteczkowy handlarz żywym towarem, a sposób, w jaki obchodził się ze swemi towarzyszkami, pozwalał się domyślać tego zawodu. Pięściami wywalczył całą kanapę dla swego haremu, a gdy napotykał na opór, podciągał rękawy, gotów do boksu.

Przychodzili emerytowami generałowie w wyblakłych mundurach ze zniszczonemi szlifami i orderami na piersiach; nie mogli się powstrzymać od głośnego wyrażania swojej pogardy dla nowego regime'u. Widziało się brutalnych urzędników rosyjskich w sztywnych kołnierzykach dyplomatów, o arystokratycznem zachowaniu; nie silili się nawet, aby ukrywać złośliwą radość z porażki Rządu Tymczasowego; uczucie to jaśniało na ich kocich twarzach.

Jakiś otyły pan, dobrze odżywiony, z czerwonemi policzkami, rzetelnie wysilał się, aby bawić damy dowcipnemi uwagami i rozpraszać ich ponury nastrój dwuznacznemi aluzjami; panie głośnym śmiechem wyrażały swoje zadowolenie. Jakiś niezwykle uprzejmy i dobrze wychowany młodzieniec, blondyn ze starannie przystrzyżonym wąsikiem i w śnieżnobiałych mankietach, gorliwie służył damom w tej przykrej sytuacji i dbał o ich wygody. Prosił panów, aby ustępowali wyściełane fotele paniom, starszym kobietom przynosił podnóżki, młodsze pytał nieustannie, czy im czegoś nie brak, chociaż w chaosie, jaki panował początkowo, trudno było spełniać ich najrozmaitsze życzenia. Ale młodzieniec był ciągle w ruchu, biegał na wszystkie strony i stale był zajęty.

Ordynansi starych generałów spierali się ze służącymi osób cywilnych o wygodne miejsce dla swoich panów. Kupcy prowincjonalni siedzieli z zatroskanemi minami po kątach, zajęci chowaniem na piersiach pieniędzy i papierów wartościowych. Sala przypominała więc wyglądem zamęt podczas budowy wieży Babel...

Tymczasem zaszła konieczność zaprowadzenia jakiego takiego porządku, a przedewszystkiem przerwania wojny, jaka wybuchła między zwierzętami, gdyż psy poczęły się rzucać na koty, a jedne i drugie na kanarki i papugi, należące do pań. Niebawem rozbrzmiało wściekłe ujadanie psów, przejmujące miauczenie kotów, gniewny pisk papug i żałosne ćwierkanie małych ptaszków, trzepoczących skrzydełkami w klatkach.

Panie tuliły swoich ulubieńców do piersi i robiły mężom wymówki, że nie bronili po męsku bezbronnych stworzeń. A gdy mężowie stanęli w obronie piesków, kawalerowie dam, do których należały nieprzyjacielskie pieski, ujęli się za niemi. Panowie, którzy nie potrzebowali bronić żadnych zwierząt, zaprotestowali przeciwko hałasom i szczekaniu. W ten sposób walka zataczała coraz szersze kręgi, aż wreszcie zmieniła się w wojnę wszystkich przeciw wszystkim. Temu stanowi można było położyć kres tylko przez zaprowadzenie jakiegoś porządku wśród zwierząt.

Jakiś starszy pan — z wyglądu Żyd, który najwidoczniej nie czuł szczególnej sympatji do zwierząt — zaproponował, aby usunąć z sali czworonogi, które wprowadzały tylko zamęt i wywoływały spory między „mieszkańcami tej małej republiki" (tak się wyraził). Stosownie do ducha czasu propozycję tę oddano pod powszechne głosowanie i przyjęto większością głosów.

Nastąpiły teraz wzruszające i rozczulające sceny pożegnania, wśród namiętnych pieszczot i czułych słów;

niejednemu widzowi łzy stanęły w oczach. Wreszcie w sali bilardowej zapanował spokój.

Jak się to często dzieje w takich wypadkach, gości hotelu ogarnął nagle niezwykły głód. Sprawiało to wrażenie, jakby żołądek instynktownie wyczuł grożące niebezpieczeństwo daleko wcześniej od człowieka i chciał nagromadzić zapasy na złe dni, jakie go czekały. Goście byli teraz nienasyceni; wszyscy kelnerzy, jakich posiadał olbrzymi hotel, wraz z pomocnikami zajęci byli nieustannie wnoszeniem na salę półmisków z przekąskami, kanapkami, zimnemi wędlinami, sałatkami, ogórkami, marynowanemi grzybami, kawiorem, wędzonemi rybami, zimnemi pieczeniami wołowemi i cielęcemi.

Im więcej zjadano, tem większe stawały się apetyty. Eleganccy panowie walczyli wprost o półmiski i przynosili upolowane potrawy swoim damom. Dopiero gdy kierownik restauracji zapewnił, że hotel jest dostatecznie zaprowjantowany, aby wytrzymać nawet wielodniowe oblężenie, i gdy kelnerzy przedstawili rachunki za spożyte potrawy, których ceny dyrektor stosownie do nadzwyczajnych okoliczności szybko podniósł kilkakrotnie, głód uspokoił się nieco i goście postanowili zaoszczędzić sobie apetyt do obiadu.

W każdym razie wspólny posiłek złagodził trochę naprężenie, a nerwy, podniecone nieco epizodem ze zwierzętami, poczęły się uspokajać. Zaczęto się zapoznawać ze sobą i wkrótce jednakowe położenie, w jakiem się wszyscy znajdowali, stworzyło poufały niemal stosunek.

SĄD NAD BOLSZEWIKAMI

Niebawem zapanował w sali bilardowej tak ożywiony i podniecony nastrój, iż przypadkowy widz mógłby sądzić, że znajdujące się tutaj osoby zeszły się nie przypadkowo, z konieczności, ale dobrowolnie zebrały się na

jakąś imprezę towarzyską, jakiś raut. Brakowało tylko strojów wieczorowych.

Rosyjskie poczucie narodowe, a bardziej jeszcze wódka rosyjska rychło zbliżyła ludzi i zbratała tak dalece, iż wszyscy mieli wrażenie, że są starymi znajomymi. Nietylko kobiety, ale i mężczyźni nieustannie rzucali się sobie na szyję, całowali się, zawierali przyjaźni i poufale klepali się nawzajem po ramionach.

Oczywiście niezwykła powaga sytuacji, uczucia patrjotyczne, wspólna miłość do Rosji i wspólna nienawiść do wrogów istniejącego porządku rzeczy, którzy za niemieckie pieniądze pogrzebać chcieli rewolucję i jej zdobycze, bardziej jeszcze łączyły wszystkich.

Niebawem wywiązała się ożywiona, gwałtowna niemal dyskusja na temat celów bolszewików.

Oczywiście nikt nie traktował poważnie ich usiłowania zagarnięcia władzy i wszyscy byli przekonani, że „czerwoni" żadną miarą nie zdołają się utrzymać. Niektórzy uważali to wszystko za manewr wyborczy bolszewików, którzy pragnęli w ten sposób zdobyć jak najwięcej miejsc w konstytuancie, której wybór był bliski.

Jakiś młodzieniec w czapce studenckiej (nie zdjął jej ostentacyjnie, chociaż wszyscy mężczyźni mieli nienakryte głowy, ale z wyglądu i ubrania przypominał raczej zamożnego kupca, niż biednego studenta) powtarzał ciągle, tak głośno, że wszyscy mogli go słyszeć, iż uwolniony przez rewolucję powrócił dopiero co z Syberji i obawia się, że z winy bolszewików znowu się tam dostanie.

— Dosyć Syberji! — wołał. — Nie chcę już wracać na Syberję!

Lepszy nastrój, który powstał zwolna na sali, wywarł pomyślny wpływ na słynnego adwokata. Podniecenie pierwszych minut minęło rychło, co więcej — ożywiony, radosny ruch na sali bilardowej dolał poniekąd oliwy

do ognia jego temperamentu, który niebawem zapłonął znowu.

Energja Halperina zbudziła się, a jego zmysł społeczny gwałtownie domagał się zatrudnienia. Czuł się zupełnie w swoim żywiole — jak ryba w wodzie — i stosownie do panującego wówczas ducha czasu z zapałem przystąpił do zorganizowania „oblężenia“ (tak nazywał spowodowany okolicznościami przymusowy pobyt w sali bilardowej) i — jak się wyraził — do „przekształcenia tego przypadkowego zbiorowiska ludzi w jedno ciało społeczne z celowo funkcjonującemi organami“.

Z pomocą kolegów stworzył „Komitet Obrony“; na czem polegać miała działalność tego komitetu, nie było coprawda jasne, gdyż nikomu nie przyszłoby na myśl wmieszać się do walki między bolszewikami a milicją miejską, jaka rozgrywała się teraz w całej pełni na placu Teatralnym; zresztą komendant, który bronił placu, nie pozwolił opuszczać hotelu. Ale komitet zawiązał się, werbował w sali bilardowej ochotników, a nawet powołał do życia kolumnę sanitarną. Po chwili większość pań — zwłaszcza młodych i ładnych — nosiła czepce pielęgniarek, zaimprowizowane zręcznemi dłońmi kobiecemi z chustek i szalów. Oczywiście powstał także „Czerwony Krzyż“, do którego obowiązani byli przystąpić wszyscy starsi panowie. Większość panów miała więc przepaski na rękawach albo odznaki oddziałów, do których należeli, panie zaś czepki, które czyniły młode jeszcze młodszemi i piękniejszemi, stare — jeszcze starszemi i brzydszemi.

Ale po krótkim czasie komitety nie miały już co robić. Ponieważ jednak adwokat Salomon Osipowicz nie mógł usiedzieć bezczynnie, wpadł na wspaniały pomysł zorganizowania „sądu ludowego“ nad bolszewikami, aby ujawnić publicznie ich niegodziwy sposób postępowania i napiętnować ich rolę w historji Rosji. Niepodobna

było jednak obsadzić stanowiska obrońcy, gdyż oczywiście w gronie tem trudno było znaleźć człowieka, któryby chciał bronić sprawy bolszewików.

Niebawem jednak ten sposób spędzania czasu okazał się zbyteczny, gdyż towarzysz Galenko, który wdzierał się z oddziałem czerwonogwardzistów do poszczególnych redakcyj pism burżuazyjnych i demolował maszyny zecerskie, został przez milicję miejską i podchorążych wyparty z placu Teatralnego i zmuszony do cofnięcia się do pałacu gubernatorskiego, gdzie znajdowała się kwatera główna bolszewików. Na ulicach staczano jeszcze walki, ale na placu Teatralnym przed hotelem „Metropol" zapanował zupełny spokój.

Dyrektor hotelu pozwolił gościom powrócić do pokojów; milicja nie zezwalała wprawdzie jeszcze na opuszczenie budynku, gdyż sytuacja była nadal niepewna, a na ulicach padały odosobnione strzały. Część gości — byli to starsi i stateczniejsi — przyjęła uspokajającą wiadomość radośnie i skorzystała z niej szybko. Ludzie bardziej wojowniczy — przeważnie elementy młodsze — nie śpieszyli się z powrotem do pokojów, a właściwie byli w duchu trochę źli, że ten epizod, tak mile podniecający, miał tak spokojny przebieg i tak szybko się skończył.

Czekali teraz na nowe wstrząśnienia i emocje, a wspólne życie, które tak zajmująco zaczęło się w sali bilardowej, przypadło im do gustu, to też nie zamierzali zrezygnować z niego tak szybko. Większość gości pozostała więc w sali bilardowej i przy bufetach; ostatecznie był to najmilszy sposób spędzenia czasu, gdyż na ulicę nie można było przecież wyjść.

Ale duch braterstwa, stworzony wśród mieszkańców hotelu przez przymusowe przebywanie razem i wspólne niebezpieczeństwo, znikł szybko. Każdy przyoblekł się znowu w swoją osobistą godność.

Powściągliwsi z gości, bogatsi ziemianie, dawni wyżsi urzędnicy, bywalcy, piękne młode panie z wielkiemi świtami, ci wszyscy, co w pierwszej chwili niebezpieczeństwa potracili głowy, teraz, gdy się uspokoiło, odzyskali znowu wytworny chłód i trzymali się zdala od „podejrzanych“ żywiołów najrozmaitszego gatunku.

Ale że goście nie mieli co robić — na ulicę nie mogli wyjść, a do pokojów nie chciało im się wracać — wycofali się do seperatek, aby oblewać tam „oblężenie“ szampanem i konjakiem. Niebawem we wszystkich pokojach, sąsiadujących z salą bilardową, rozbrzmiewały przytłumione śmiechy, głośne okrzyki kobiet i pijane głosy mężczyzn. Nigdy jeszcze nie otrzymywała służba tak wysokich napiwków, nigdy jeszcze nie miał hotel tak świetnych dochodów, jak tego dnia — i nigdy jeszcze nie był dyrektor tak zadowolony z humoru gości, jak owej pamiętnej moskiewskiej środy, 25 października starego stylu.

Niemało przyczynił się do ogólnego uspokojenia i do podniesienia nastroju osobliwy gość, Misza „Mołodiec“, którego nazywano „genjuszem kombinacyjnym“, znany nam już, z przesadną elegancją ubrany młodzieniec o bladej twarzy.

Hotel odcięty był od świata zewnętrznego, plac Teatralny został tymczasem obsadzony przez oficerów garnizonu moskiewskiego, których wysłał komendant miasta, aby zapobiec atakowi na dumę miejską. Niemożliwością było wydostać się z hotelu albo dostać się do niego. A Misza był mimo to doskonale poinformowany o wypadkach w mieście, potrafił dokładnie wymienić punkty strategiczne, obsadzone przez bolszewików, i te, z których ich wypędzono, wiedział, jakie ważne budynki i instytucje znajdowały się w rękach dumy miejskiej, a jakie zdobyte zostały przez „czerwonych“.

Każdej chwili był au courant stanu walki w mieście.

Ale wiedział dokładnie nietylko o wszystkiem, co się działo w Moskwie — zdawało się, jakoby miał połączenie bez drutu z całym światem albo też otrzymywał swoje informacje na jakiejś tajemniczej drodze, może przez wiatr; gdyż wiedział, co się działo w stolicy i na prowincji, jak się odnosił front do ostatnich wydarzeń, jak funkcjonowały koleje, jakie warstwy ludności i jakie grupy socjalistów przyłączyły się do bolszewików albo wyparły się ich.

Wszyscy dziwili się, skąd Misza otrzymywał swoje wiadomości, i wątpili w ich prawdziwość. A jednak wszyscy słuchali uważnie jego informacyj; podawał je niejako w płynnej formie, naprzykład:

— Rząd Tymczasowy uwięziony w Pałacu Zimowym...

— Z frontu wysłano dywizję kozaków w kierunku Orszy...

Zazwyczaj powiadano wtedy:

— Aha, Misza fantazjuje!

A jednak wszyscy łaknęli nowej kropli, aby zaspokoić pragnienie nowin. Kiedy się nie ma czystego źródła, zadowala się człowiek i mętnem — informacje Miszy przechodziły więc z ust do ust, i niebawem wszyscy zwracali się do niego po wiadomości o położeniu.

Przez resztę dnia i cały wieczór „stacja iskrowa“ Miszy ogłaszała stale uspokajające i wesołe wieści:

— Burmistrz naczelny zwołał na jutro nadzwyczajne zebranie prawomyślnych warstw ludności moskiewskiej.

— Burmistrz naczelny zażądał od wszystkich dum miast sąsiednich, aby nadesłały na obronę „Mateczki-Rosji“ wszystkie siły, jakiemi rozporządzają; mnóstwo transportów śpieszy już Moskwie z pomocą...

— Nastrój prowincji doskonały...

— Zupełna likwidacja awantury bolszewickiej spodziewana jest dzisiaj w nocy...

Ponieważ wszystkie wiadomości, jakie rozpowszechniał Misza, były pomyślne i odpowiadały pragnieniom i nadziejom gości hotelowych, rychło zdobył on sobie powszechną sympatję; w pierwszym rzędzie stał się ulubieńcem kobiet, a przez to niebezpiecznym konkurentem dla młodego świata panów. „Sympatyczny Misza“ (tak go już przezwano) wynoszony był przez płeć piękną pod niebiosa i mimo zazdrości panów stał się niebawem główną niemal osobą towarzystwa w sali bilardowej. Dobijano się o znajomość z nim, i nawet starsi i elegantsi panowie gorąco ściskali mu rękę z uprzejmem „Bardzo mi miło poznać pana“.

Przy wszystkich stolikach zapraszano Miszę do picia; trzeba mu oddać ten honor, że zaproszeniom podobnym uprzejmie ale stanowczo odmawiał. Zwiększało to jeszcze osobiste uznanie, z jakiem się do niego odnoszono.

Na tle powszechnego dobrego humoru gości hotelowych odcinała się tylko mała grupa osób, pogrążonych w przygnębieniu. Trzymała się ona na uboczu, siedziała oddzielnie i prowadziła rozmowę przytłumionym głosem. Cała powaga sytuacji odmalowana była na tych smutnych twarzach.

Była to grupa kapitalistów żydowskich, którzy zjechali się do „Metropolu“ moskiewskiego na zebranie organizacyjne towarzystwa akcyjnego „Nowa Rosja“: stary Mirkin, hurtownik herbaty Rozamin i potentat naftowy Goldstein z Baku. Ale podczas gdy ostatni dwaj przynajmniej zewnętrznie okazywali pozory pewności siebie, jakby ostatnie wydarzenia zupełnie ich nie obchodziły, stary Mirkin był wprost złamany. Zdawało się, że całe brzemię ciężkich chmur, które zawisły nad Rosją, spadło na jego barki. Twarz jego nabrała nagle chorobliwej, niebieskawo-żółtej barwy, oczy cofnęły się głęboko za obwisłe, okolone ciemnemi kręgami powieki. Na po-

liczkach i szyi zwisały mu fałdy skóry, a końce jego brody, sprawiające zwykle imponujące wrażenie i dotąd zachowujące rudawoblond barwę w zwycięskiej walce ze starością, poszarzały nagle. Wielki Gabrjel Mirkin o dumnej postawie stał się teraz zgarbiony i mały, jakby skurczony.

Daremnie dwaj kupcy perswadowali mu cicho, stłumionemi głosami, że jeszcze nie jest za późno i że wszystko da się jeszcze „doprowadzić do porządku". Mirkin nie słuchał, i jakby ich nie było, z zakłopotaniem mruczał pod nosem:

— Nie o to idzie. Nie idzie mi o majątek — nie, idzie o Rosję, o moje życie. Przez całe życie budowałem; sądziłem, że buduję na mocnej podstawie. Nie lękałem się żadnej burzy, żadnej zawieruchy, ufałem fundamentowi — rozumiecie? — fundamentowi! Wierzyłem mocno, że pod warstwą gruzu znajduje się żwir, który oprze się wszystkiemu. W istocie zaś niema tam nic prócz g r u z u, w którym się wszystko zapada...

Rozamin, którego myśli zajęte były teraz tem, jak mógłby jeszcze zatrzymać transport herbaty, który miał właśnie nadejść z granicy chińskiej do jego centrali, odpowiedział staremu Mirkinowi głośno, śpiewnym tonem, mając przytem własne interesy na oku:

— Musi się znaleźć jakaś droga, aby zachować kontakt z zagranicą!

— Poco? — zapytał Gabrjel Mirkin.

— Aby ulokować tam nasze kapitały.

— Toby była zdrada, — odpowiedział stary Mirkin, zgrzytając zdrowemi jeszcze zębami.

— Ależ, ależ... wobec kogo? — wtrącił król naftowy Goldstein.

— Wobec Rosji!

— Jakiej Rosji? Jeżeli wogóle będzie jeszcze istniała Rosja! Zawsze ostrzegałem pana, Gabrjelu Chai-

mowiczu, żeby nie stawiać wszystkiego na jedną kartę!

— Jaka Rosja, to mi obojętne — odpowiedział stary Mirkin, — nie mam innej ojczyzny, a na to, żeby wziąć w rękę kij pielgrzymi, jestem już za stary. Nie żałuję też, że postawiłem wszystko na jedną kartę — wierzyłem w Rosję.

— Ach, wy Żydzi! — rozległ się nagle dźwięczny głos adwokata, który zbliżył się do stolika trzech panów, trzymając pod rękę kolegę z rosyjskiej partji kadetów. — Co za okropny widok! Siedzicie tu, jak kury u rzezaka! Jeszcze się na dobre nie zaczęło, a wyście już stracili odwagę! Ze mną jest akurat naodwrót — mnie walka daje nowe siły. „Burza jest rumakiem, który niesie moje siodło“, — zacytował z klasyka rosyjskiego. — Nie dawajcież swojem przygnębieniem złego przykładu innym! Tylko odwagi! odwagi! — zawołał słynny adwokat energicznie.

— Gdyby tylko odwagi trzeba było do wypędzenia bolszewików z placu Teatralnego, na pewnoby nam jej nie zabrakło! — przerwał przemysłowiec naftowy.

— Ale wypędzimy ich, — ciągnął Halperin, — owszem, zobaczymy, kto silniejszy! Sąd nad nimi zaczyna się już, zaprawdę, jeszcze dzisiejszego wieczora! Nawet obrońca się znalazł, — ciągnął zachwycony swoim pomysłem, wskazując kolegę, — oto stoi przed wami! Fedor Arkadjewicz Smirnow podjął się tej niewdzięcznej roli, co jest zaiste wielką ofiarą w interesie dobra ogólnego. Napiętnujemy ich dzisiaj raz na zawsze i wyznaczymy im należne miejsce w historji Rosji!

— Owszem, będzie to prawdziwe wypędzenie djabła, — dodał król nafty z ironicznym uśmiechem.

Ale Halperin nie dosłyszał już tej drwiącej uwagi. Trzymając pod ramię chrześcijańskiego kolegę — chcąc widocznie w ten sposób wyrazić symbolicznie, że

w chwili niebezpieczeństwa wszyscy podają sobie ręce — szedł adwokat od stolika do stolika i zapraszał obecnych na „rozprawę sądową“, na której miał być po wszystkie czasy wydany wyrok o roli bolszewików w Rosji.

Przy wielu stolikach przyjmowano zaproszenie chętnie. Zapewniano sobie miejsca siedzące i tłoczono się do kąta sali, w której służba ustawiała zaimprowizowaną trybunę dla „sądu“ i „przysięgłych“. Nagle światło elektryczne zgasło i sala zatonęła w egipskich ciemnościach.

W pierwszej chwili powstała panika. Ze wszystkich stron rozległy się histeryczne krzyki pań. Tu i ówdzie zabłysły jednocześnie ślepe latarki, a kilka rozważnych głosów w różnych końcach sali nawoływało do rozwagi.

— Spokój! Spokój! Spokój! Zaraz będzie jasno!

— Co to jest? Co to znaczy?

I wszystkie oczy zwróciły się ku jedynej osobie, która mogła dać wyjaśnienie — ku Miszy.

— To znaczy, że bolszewicy zajęli elektrownię, — oznajmił Misza.

Ale zaledwie skończył zdanie, gdy światło elektryczne zapłonęło znowu.

— A! — Wszystkie oczy rozbłysły i spojrzały na Miszę ze zdziwieniem i nieufnością.

— A to znaczy, że bolszewicy zostali wyparci z elektrowni, — wyjąkał młodzieniec niepewnie.

— Tak szybko? — zawołał jakiś starszy pan zdziwiony. — Pańskie informacje okazują się niezbyt pewne, drogi przyjacielu!

Niepodobna zaprzeczyć, że autorytet Miszy został przez ten wypadek nieco zachwiany.

— No, moi państwo, sąd nad bolszewikami zacznie się zaraz, obrońcę już mamy! — zawołał adwokat, podobnie jak inni przeniknięty uczuciem zwiększonej pew-

ności siebie, wywołanem przez funkcjonujące znowu światło.

Musimy wyznać w tem miejscu, że niestety mała tylko część obecnych, i to prawie wyłącznie młodzież, usłuchała wezwania i okazała należyte zainteresowanie tak ważnemu „sądowi ludowemu“, jaki adwokat powołał przeciw bolszewikom. Pozostali — a była to przeważająca część towarzystwa — nie przywiązywali tak wielkiej wagi do doniosłego dla przyszłej historji Rosji wyroku, który miał być tutaj wydany. Nie przerwali rozpoczętej gry w karty ani picia, co więcej, dobry humor po ponownem zapłonięciu światła wprawił ich dopiero w należyty nastrój. Pozostawili więc ważny problem bolszewizmu, który powstał nagle w wielkiem państwie, „żydowskim głowom“ — niech oni sami biorą się za włosy! I istotnie trudno było zorjentować się w gmatwaninie teoryj i twierdzeń!

Służba ustawiła długi stół, który zgodnie z duchem czasu nakryto nie zielonem, lecz czerwonem suknem, i postawiła na nim dwa olbrzymie świeczniki z zapalonemi świecami. I trzeba przyznać, że gdy słynny adwokat zasiadł między dwoma asystentami na wysokim, pozłacanym fotelu, który przyniesiono specjalnie, jego siwa głowa o gęstej czuprynie wzbudzała w blasku świec respekt i poważanie.

Czerwono nakryty stół i świeczniki nadawały widowisku powagę i nastrój; można było istotnie przypuszczać, że idzie tu o doniosłą rozprawę sądową. Dla uzupełnienia efektu brakło tylko na ścianie za stołem olbrzymiego portretu jakiegoś panującego; zastępowała go jednak skutecznie siwa głowa adwokata. A w głosie jego drżało całe przejęcie uroczystością i powagą chwili, gdy zagaił:

— Moi państwo! Rozpoczynamy sąd nad bolszewikami!

W PAŁACU GUBERNATORSKIM

Na placu Skobielewa znajdował się pałac generał-gubernatora. Zajmował niemal cały środkowy front placu, na którym stał pomnik Skobielewa, i ciągnął się aż do ulicy Twerskiej.

Charakterystyczna dla czasów Aleksandra I czerwona barwa, w jakiej utrzymane były prawie wszystkie rosyjskie budynki rządowe, zawsze napawała mieszkańców olbrzymiego państwa przerażeniem. Ale czerwień moskiewskiego pałacu gubernatorskiego podobna była do świeżej krwi. Niesamowite wrażenie tej barwy mordu potęgowały jeszcze zatknięte na karabiny bagnety, błyszczące nad grubemi baraniemi kożuchami licznych kozaków i policjantów, patrolujących stale przed gmachem; poza tem w okolicy budynku kręciły się stale podejrzane postacie, ubrane po cywilnemu.

Kiedy mieszkańcy Moskwy musieli przechodzić przez plac Skobielewa, szli po stronie przeciwległej pałacowi, aby przypadkiem nie wzbudzić podejrzenia, że wzrok ich zabłąka się na niesamowicie wielki dziedziniec, rozciągający się za szeroko otwartą, masywnie obitą bramą.

Od niepamiętnych czasów w domu tym mieszkali tylko ludzie z krwi Romanowów albo najbliżsi członkowie domu cesarskiego. Ale gdy po rewolucji lutowej rozsypane i włóczące się oddziały dezerterów powróciły na tyły, gdy do Moskwy napływać poczęli ze wszystkich stron kraju maruderzy, aby pozostać w „centrum“, wówczas — jakby na szyderstwo — rozkwaterowali się oni w tym straszliwym budynku, stojącym pustką od ucieczki gubernatora: wszystkie jego skrzydła, wszystkie jawne i ukryte pokoje napchane były żołnierzami wszelkich broni. Była to babilońska mieszanina ludów i ras, zamieszkujących ziemię rosyjską — śmiejący się, jasnowłosi Wielkorusi, ciemnowłosi Małorusi o krowich

oczach i tępych twarzach, posępni, melancholijni Azjaci z wąskiemi mongolskiemi oczyma, czarnoocy Polacy z kartoflanemi twarzami, mali, ruchliwi Żydzi. Najgęściej zaludnione było skrzydło ociężałych Łotyszów i Litwinów o złowieszczych minach; ubrani byli w pstrą zbieraninę części mundurów, czap futrzanych, butów, bluz najrozmaitszego kroju i z najrozmaitszych materjałów — co im w rękę wpadło.

Jednocześnie z żołnierzami schroniło się do gmachu mnóstwo osób, nie pozostających w bezpośredniej łączności z wojskiem, przeważnie agitatorów i wysłanników rozmaitych partyj socjalistycznych i rewolucyjnych. Nosili oni wprawdzie ubrania cywilne, ale o wojskowym kroju: krótkie kożuszki lub kurtki skórzane, buty i czapki, podobne do czapek żołnierzy. Wszyscy bez wyjątku byli brudni i od tygodnia lub dwóch niegoleni.

Pałac gubernatorski był siedzibą Rewolucyjnego Komitetu Wojennego, którym zawładnąć chciały wszystkie partje. To też od wielu, wielu miesięcy żołnierze, przebywający tutaj, zamęczani byli przez wszystkie partje aż do ostatecznego wyczerpania wiecami i dyskusjami, mowami i proklamacjami. Pałac gubernatorski zamienił się niejako w szkolę talmudyczną, a żołnierze w uczniów talmudu, którym każda partja bez przerwy narzucała swój program i wygłaszała swoje tezy; oczywiście żołnierze oddawna nie rozróżniali już tego, co tutaj słyszeli.

Po każdej takiej dyskusji uchwalano naturalnie odpowiednią rezolucję i zmieniano skład Rewolucyjnego Komitetu Wojennego, tak, że ostatecznie żołnierze nie znali już twarzy swoich przewódców i dlatego każdy sam tylko wydawał sobie rozkazy...

I oto wieczorem 25 października w olbrzymiej sali pałacu gubernatorskiego, gdzie dawniej odbywały się tylko wielkie moskiewskie bale reprezentacyjne wyż-

szej arystokracji rosyjskiej, nastąpiła powszechna dyskusja wszystkich partyj socjalistycznych, reprezentowanych w Rewolucyjnym Komitecie Wojennym.

Niesamowicie wielka sala z marmurowemi kolumnami, której ściany obite były czerwonym adamaszkiem, a sufit ozdobiony obrazami bogiń i muz na błękitnem tle, wypełniona była żołnierzami i robotnikami. Marmurowy balkon, na którym niegdyś koncertowała muzyka wojskowa, pełen był teraz głów żołnierzy ze zmierzwionemi czuprynami.

Miejscami brakowało już kawałków jedwabnego obicia ścian. Jakiś bagnet chciał je wykroić, ale w porę jeszcze przeszkodziła mu w tem „komisja domowa"; strzęp jedwabiu zwisał więc luźno nad bronzowym kandelabrem ściennym.

Nagie nimfy i amorki z pozłacanego bronzu i teraz spełniały swój obowiązek: jak oświetlały dawniej gołe plecy i ramiona pięknych dam moskiewskich na balach u gubernatora, tak teraz oświetlały — coprawda nieco mętnie wskutek kurzu i brudu, jakim były pokryte — twarze żołnierzy.

Marmurowe kolumny zwilgotniały od wyziewów spoconych, ściśniętych w tłoku ciał żołnierskich.

Na wgłębionej estradzie, w głębi której połyskiwała dawniej matowa barwa czekoladowa lub pergaminowa portretów rodziny cesarskiej, widnieją teraz czerwone płachty z rozmaitemi napisami, a pośród nich olbrzymia, splątana broda i potężne, świecące czoło Karola Marxa. Przy długim czerwono nakrytym stole, siedzą prowodyrzy, niedaleko od nich stoją mówcy. Tłum żołnierzy przysłuchuje się.

Zmęczeni, otępiali i znudzeni wspierają przeważnie senne głowy na ramionach sąsiadów. Już od szeregu tygodni i miesięcy ciągną się debaty, a niewiadomo właściwie, o co tu idzie. Obiecywano, że po detronizacji

cara wyśle się żołnierzy z frontu do domu i podzieli się ziemię między chłopów. Car został już zdetronizowany — ale ciągle jeszcze wlecze się ludzi na front, a o rozdawaniu ziemi jakoś nic nie słychać. Włóczęgowskiego życia z miasta do miasta już człowiek ma dość. Dość łajdaczenia się i picia!... Wszyscy tęsknią za domem, za własną wsią, własną żoną, własną rodziną, własnem bydłem. A tu — nic, tylko gadanie, gadanie bez końca, spory i kłótnie, i nie można dojść do zgody — niech to wszystko djabli porwą!...

Twarze są ożywione i rozgrzane. Pot ścieka z pozlepianych, gęstych włosów na niskie czoła. Rozdęte nozdrza oddychają głęboko. Usta są szeroko rozwarte, widać w nich język i zęby, i krzyczą, nie wiedząc, co krzyczą. Niektórzy wchłaniają przemówienia cicho, jak gąbka wodę, słuchają w religijnym niemal zachwycie i za każdem słowem potakująco kiwają głowami. Kilku ugina się nawet pod gradem słów, spadającym na ich głowy z trybuny mówców; każde słowo trafia w sedno, jak dobrze wycelowany strzał — jeden mówca trafia równie dobrze jak drugi, jeden ma rację i drugi ma rację, zawsze ostatni mówca ma rację. A ściśnięte ciała wydzielają taki żar, że koszula przylepia się człowiekowi do pleców. W gardle zaschło, podniebienie lepi się od źle wypieczonego, wilgotnego chleba i tłustej kaszy — a herbaty jest za mało. Żeby mieć chociaż łyk wody i móc spłókać ten ohydny smak ciasta! A przytem ten zaduch okropny! I gorąco uderza człowiekowi do głowy jak w łaźni!

Na górze, na wgłębionej trybunie, siedzą o n i, znajome i obce twarze, żołnierze i cywilni: jeden z pięćdziesiątego szóstego pułku, stojącego na Kremlu, i dwóch marynarzy. Djabelne chłopy, ci marynarze, oni to wszystko urządzili — ale mądre łby! Rozumieją się na rzeczy i wiedzą, o co idzie. Obok cywile w robotni-

czych bluzach, z niegolonemi twarzami — ale licho wie, jak to jest z cywilami! Kiedy oni mówią, nie rozumiesz ani słowa, a zawsze są ochrypli, niech ich djabli porwą!

Znowu wszedł, ten cywil z wąską, płaską piersią! Nie słychać ani słowa z tego, co mówi! Głos — jak z pustej beczki, a zachrypły jest ten drab jak kot podczas rui! A gdy nareszcie złapiesz jakieś słowo, to i tak na nic. Znowu „rewolucja w niebezpieczeństwie" i „bronić jej własnemi piersiami!" O jakich piersiach on gada? Gdyby to jeszcze była kobieta, wtedy miałoby sens mówić o piersiach.

Wszyscy żądają od ciebie życia. Najpierw wołali cię, żebyś bronił cara, potem — ojczyzny, a teraz — rewolucji. Ale co ty sam będziesz z tego miał, jeżeli oddasz życie? Rewolucja nie może ci go już przywrócić!

— Milcz, psi synu! Nie słyszysz, co ci się mówi? „Biali" chcą cię posłać na front, a ci nie pozwalają na to i mówią: „Nie chodź, to niepotrzebne — dość wojny!"

— Ale co mam z tego, jeżeli mi każą iść na ulicę, pod ogień „białych"? Wszystko jedno przecież, czy zginę tutaj czy tam!

— Jeżeli nie chcesz iść na ulicę, psi synu, to „biali" wezmą cię za kołnierz i poślą na front, rozumiesz? A ci nie pozwalają na to. Oni należą do nas!... Bolszewik mówi teraz, rozumiesz?

— Niech ich wszystkich djabli wezmą! Na jednem drzewie trzebaby ich wszystkich razem obwiesić, Kierenskiego, Lenina i innych Żydów! Powinno się zarekwirować koleje i pojechać do domów! Ziemię trzeba dzielić — a ci tu ciągle gadają o rewolucji. Panie Boże święty, już mi to gardłem wyłazi! Niech ich wszystkich djabli porwą!

— Uspokójcie tego psiego syna! Pijany jest pewnie!

Dzikie brody, smutne twarze. Marzycielsko i rozpaczliwie zarazem spoglądają poszarzałe oczy, osadzone

w okrągłych jak u zwierząt oczodołach. Z niejednej piersi żołnierskiej wydarł się bolesny jęk na dźwięk ochrypłego, piskliwego głosu mówcy.

— Hej, towarzyszu, powiedzcie nam nareszcie, co to są właściwie bolszewicy? — zabrzmiał z jakiegoś kąta dźwięczny głos, którego właściciel nie przestał przytem żuć kawałka czarnego chleba.

Pytanie to wywołało w pierwszej chwili zmieszanie i zdziwienie. Mówca stracił koncept, na trybunie i wśród części słuchaczów powstało zdumienie i niepokój, które zupełnie wytrąciły mówcę z równowagi.

— Ach, ty koński łbie, t o są bolszewicy! Jesteśmy przecież na bolszewickiem zebraniu, — odpowiedział ktoś pytającemu.

— To wiem — ja sam jestem bolszewik. Ale czem są właściwie bolszewicy, tego nam nikt nie powiedział. Czego my chcemy i czego oni chcą?

Pytanie to przełamało czar. Nagle wszyscy słuchacze uświadomili sobie, że pytania były dozwolone, i ze wszystkich stron podniosły się głosy.

— Racja! Niech nam to towarzysz raz na zawsze wyjaśni! — zawołał ktoś inny; był niski i przysadkowaty, ledwo można go było dostrzec między ramionami stojących dokoła niego.—Co to jest właściwie bolszewik?

Mówca — (był to typowy inteligent, który dopiero co powrócił z zagranicy, ubrany po cudzoziemsku, w bardzo brudnym kołnierzyku i koszuli) — zbladł; pytanie to wprawiło go w zakłopotanie. Chciał mówić dalej, zwrócony raczej do towarzyszów na trybunie, niż do słuchaczów. Ale żołnierze zaczęli hałasować i musiał opuścić mównicę.

W chwili, kiedy zaczynał się przewrót bolszewicki, Rewolucyjny Komitet Wojenny składał się jeszcze ze zwolenników rozmaitych partyj rewolucyjnych; należeli do niego zarówno socjal-rewolucjoniści, jak i mieńsze-

wicy; coprawda byli oni prawie zupełnie usunięci od głosu. A chociaż zaczęły się już walki uliczne między różnemi grupami socjalistycznemi, partje bardziej umiarkowane starały się ciągle jeszcze stworzyć przez porozumienie wspólną platformę. Zwolennicy ich skorzystali teraz z wrzawy, jaka zapanowała na sali, aby wbrew zamiarom bolszewików, którzy usuwali umiarkowanych z Rewolucyjnego Komitetu Wojennego, stworzyć na sali odpowiedni dla siebie nastrój; zwiększało to jeszcze zamęt.

Przy stole na trybunie siedział towarzysz Ryszkow; jego niezwykle wielka, gładko wygolona czaszka połyskiwała w blasku lamp elektrycznych jak wyczyszczony garnek.

Całe zebranie zna towarzysza Ryszkowa. Obgryza on paznogcie swoich krótkich palców i nie mówi ani słowa. Towarzysz Ryszkow nie jest mówcą, tylko słuchaczem. Niewzruszonym słuchaczem. Ani jeden mięsień nie drgnie na jego twarzy, jakby całe zebranie nie obchodziło go. Od czasu do czasu pisze tylko kilka słów na karteczce, którą obojętnie podsuwa towarzyszowi Karpiłowowi na drugim końcu stołu.

W tej samej mierze, w jakiej towarzysz Ryszkow jest swobodny i obojętnie obserwuje zebranie zimnemi, spokojnemi oczyma, w tej samej mierze towarzysz Karpiłow jest zdenerwowany. Całe jego ciało to jeden suchy kłębek nerwów, okryty o wiele za dużym i za szerokim, czarnym surdutem cudzoziemskiego kroju. Z brudnego, sztywnego, wykładanego kołnierzyka sterczy długa, sztywna szyja, jakby upleciona z drutu. Towarzysz Karpiłow nieustannie zapisuje coś w małym notesiku, energicznie przyciskając ołówek do papieru. Marszczy przytem suchą twarz, podobną do skurczonej gąbki, i nieustannie poprawia binokle, chyboczące się na cienkim nosie.

Podczas gdy zebranie hałasuje bez przerwy, towarzysz Ryszkow krótkiem, zimnem spojrzeniem porozumiewa się z przewodniczącym. Jest to żołnierz łotewski o posępnym wyrazie twarzy i zgasłych oczach. W fioletowej barwie jego policzków i ciemnych jamach, w których osadzone są łupkowo-szare oczy, wyczytać można całą posępną gorycz jego egzystencji. Chociaż na sali można się udusić z gorąca, nosi nowy, ciężki płaszcz wojskowy, uszyty nie na jego miarę i wlokący się za nim przy każdym kroku.

Przewodniczący zrozumiał spojrzenie towarzysza Ryszkowa; wstaje i przedstawia zebranym teoretyka partji, towarzysza Karpiłowa, który wyłoży im tezy Lenina.

Potężny wybuch zapału, połączony z oklaskami i okrzykami, wita zasłużonego teoretyka partji. Wobec tego entuzjastycznego powitania milkną protesty strony przeciwnej. Jakiś głos intonuje „międzynarodówkę", całe zebranie podchwytuje pieśń.

Wreszcie sala ucisza się. Lekkie chrząkanie. Zebrani przygotowują się do słuchania i rozumienia. Żołnierze wyciągają jak cielęta naiwne głowy, ogarnięci szczerem pragnieniem usłyszenia nareszcie z ust teoretyka nauki bolszewickiej i uświadomienia sobie raz na zawsze, za jaką ideę mają iść uzbrojeni na ulicę i narażać życie.

Niski, zgarbiony człowiek na trybunie przez spory czas trzaskał stawami palców, chrząkał i zbierał ślinę w ustach. Potem wyjął notes, zajrzał do niego i zaczął mówić.

Głos jego był równie ochrypły, jak głosy innych mówców, ale tak samo nerwowy jak cały ten człowiek, to też często się załamywał. Wskutek tego stawał się świszczący i sprawiał takie wrażenie, jak para, kiedy ucieka przez wentyl.

Zaczął swoją mowę od historji socjalizmu rosyjskie-

go, omówił szczegółowo rozdwojenie na konferencji londyńskiej i dowiódł wyczerpująco, że tezy Martowa, przewódcy mieńszewików, odbiegają od ortodoksyjnego marksizmu i „nie wytrzymują krytyki z punktu widzenia materjalizmu dziejowego". Jedyną słuszną interpretacją marksowską jest koncepcja Lenina.

Ale dla zebrania, które chciało się tylko dowiedzieć, dlaczego wzywa się je do walki, dlaczego każe mu się iść z bronią w ręku na ulicę, strzelać do ludzi i domów, bolszewizm nie oznaczał teorji i dyskusji o tezach. Dla każdego z żołnierzy, którzy tłoczyli się na tej sali, zachodziła kwestja: śmierć czy życie. Dlaczego ma tutaj, w centrum własnego kraju, wystawiać się na grad kul nieprzyjaciela, który jest przecież jego współobywatelem? To zaś, co tutaj mówiono, wydawało się prostemu człowiekowi pustą gadaniną, wymyśloną przez próżniaków, którzy nie mają nic innego do roboty, i obliczoną tylko na wywoływanie sporów; i dla tych pustych słów kazano mu narażać młode życie, które dopiero co uratował z wilgotnych okopów?!

Bezgraniczna cierpliwość żołnierza, który w niemem posłuszeństwie dźwiga swój los, wyczerpała się i zaczęła się rewolta:

— Do djabła z Leninem! Do djabła z Martowem! Do djabła z tezami! Powiedz, dlaczego nam każesz strzelać do innych ludzi!

Okrzyk ten podziałał zaraźliwie; dotknął on najwrażliwszego miejsca w duszach żołnierzy i natychmiast zabrzmiało ze wszystkich stron:

— Dlaczego nas męczycie? Dlaczego każecie nam strzelać? Tego się chcemy dowiedzieć! Za kogo? Za co?

Towarzysz Karpiłow stał na trybunie, nie rozumiejąc nic, bezradny. Zdumiony, z drżącemi wargami, mrugając oczyma rozglądał się na wszystkie strony i nie

wiedział, co się tu dzieje i dlaczego tłum popadł w takie podniecenie.

Daremnie starał się przewodniczący przywrócić spokój, obiecując, że mówca postara się wyrażać jaśniej i głośniej; żołnierze nie dawali już kierować sobą, nie chcieli słuchać.

Przewodniczący spojrzał chłodno na towarzysza Ryszkowa; ale ten obserwował obojętnie, jakby się nic nie stało, swoje krótkie, poobgryzane paznogcie. Przewodniczący wiedział, że znaczy to: Czekać! Pozwolić się wykrzyczeć!

Towarzysz Karpiłow, ciągle jeszcze mrugający oczyma, opuścił mównicę i wzruszając ramionami zasiadł przy stole na trybunie. I nagle ktoś inny stanął na mównicy. .

Szmer przebiegł wśród zebranych.

— Patrzcie, kto tam stoi!

Ze zdumieniem ujrzał tłum na trybunie — towarzysza Anatola.

Przewodniczący w płaszczu żołnierskim rzucił okiem na towarzysza Ryszkowa; obserwował on ciągle jeszcze swoje paznogcie. Wówczas przewodniczący podszedł do towarzysza Anatola i rzekł stłumionym głosem:

— Towarzyszu, nie macie teraz głosu!

— Pozwolić mu mówić! Pozwolić mu mówić! — wołały odosobnione głosy.

— Zdrajca! Judasz! — zabrzmiało w odpowiedzi na sali.

Człowiek, do którego odnosiły się te okrzyki wściekłości, stał w miejscu jak wkopany i obojętnie znosił obelgi. Spokojnie przyglądał się szalejącemu tłumowi, który miotał na niego ohydne wyzwiska, a drwiący uśmiech, okalający jego skrzywione wargi, ani na chwilę nie zniknął z poważnej twarzy.

— Milcz, psi synu! Czy wiesz, kto tam stoi? To towarzysz Anatol!

— A cóż to za wielka persona ten towarzysz Anatol?

— Gdzieś ty był dotychczas? On siedział na Syberji, on dla ciebie potajemnie drukował proklamacje! Wiesz już teraz, kto to jest towarzysz Anatol?

— A teraz trzyma z tamtymi!

— Swoją rewolucyjną przeszłością uświęca zdradę! Aureolą swoją wzmacnia nieprzyjaciela! Precz z nim! Precz z nim!

Zebranie zawrzało znowu i zaatakowało trybunę. Przeciwnicy bolszewików mieli widocznie wśród obecnych sporo jeszcze zwolenników, gdyż wokół towarzysza Anatola utworzył się szybko gęsty mur żołnierzy i cywilów, którzy bronili go przed czynnemi atakami.

Przewodniczący w płaszczu żołnierskim spojrzał na towarzysza Ryszkowa. Człowiek z błyszczącą czaszką dał Łotyszowi znak okiem.

— Głos ma teraz przedstawiciel mieńszewików, towarzysz Anatol, — zawołał przewodniczący.

Mówca starał się mówić głośno, chociaż i jego głos był już zachrypły. Powaga, bijąca z jego twarzy i brzmiąca także w jego głosie, rychło zjednała mu należny posłuch:

— Jeżeli nalejecie wody do własnych armat, nie osiągniecie przez to jeszcze pokoju! Do osiągnięcia pokoju potrzeba woli dwóch stron. Jeżeli żołnierze nasi opuszczą front i otworzą przez to bramy kraju, wejdzie przez te bramy nietylko pokój, ale i żelazna pięść militaryzmu niemieckiego; zamiast knutów rosyjskich będziemy mieli — niemieckie szable. Nie, takiego pokoju wy sami nie chcecie. Wiecie jednak doskonale, że nie w waszej jest mocy stworzyć prawdziwy pokój. Mówicie o pokoju, a gotujecie się tymczasem do uczynienia czegoś, co ma rozpętać najkrwawszą wojnę domową...

— Kontrrewolucjonista!

— Pozwolić mu mówić!

— Nie idzie wam o pokój, ale o rewolucję socjalną, którą chcecie przemycić pod fałszywą pokrywką „pokoju“...

— Podżegacz wojenny! Wróg rewolucji!

— Nic łatwiejszego, jak być w czasie rewolucji rewolucjonistą. Nic łatwiejszego, jak ustępować waszym pragnieniom. Ale ja nie jestem cukiernikiem, — zawołał towarzysz Anatol, — ode mnie nie spodziewajcie się słodyczy! Mamy grube skóry i nie jesteśmy tchórzliwi!...

Sala uspokoiła się.

— Dla nas rewolucja nie jest awanturką ani zamachem, który może się udać lub nie udać. Rewolucja to nie hazard i nie loterja. Rewolucja wybucha, ponieważ wybuchnąć musi! A gdy wybucha, trzeba ją ująć w silne ręce i nie można powierzać jej pierwszemu lepszemu szarlatanowi z ulicy! — Głos jego brzmiał teraz jak grom. — To, co chcecie uczynić, jest awanturą! Wiecie o tem równie dobrze, jak my! — i zwrócił się do mężów na trybunie. — Cała literatura socjalistyczna zajmuje się pytaniem, jak należy uskutecznić przejście od ustroju kapitalistycznego do socjalistycznego, jakiemi iść drogami, jakie przebyć etapy — a wy chcecie dokonać tego przejścia jednym skokiem w ciemności! To znaczy: przebijać mur głową! Demagogicznie nadużywacie nieświadomości mas!

Słowa te wywarły wrażenie i zjednały mówcy sympatje. Można to było natychmiast poznać po nastroju sali. Przewodniczący w płaszczu żołnierskim spojrzał na towarzysza Ryszkowa, który podsunął komuś karteczkę; marynarz, siedzący przy stole na trubynie, wstał i przerwał mówcy pytaniem:

— Więc jakbyście się zachowali w obecnej chwili,

towarzyszu? Czy wystąpicie z bronią w ręku przeciwko proletarjatowi?

— To będzie zależało od stanowiska, jakie zajmie moja partja, — odpowiedział towarzysz Anatol z uśmiechem, wykręcając się z przykrej sytuacji, w jaką chciał go wprawić marynarz.

— Widzicie, towarzysze, oto męczennik rewolucji! A jeżeli wasza partja, — zwrócił się znowu marynarz do towarzysza Anatola, — jeżeli wasza partja postanowi iść z junkrami? Jesteście przecież czemś w rodzaju demokraty? — dodał pogardliwie.

— Owszem, jestem demokratą, — odpowiedział towarzysz Anatol ze śmiechem, — wyznaję zasadę głosowania. Ale nie jestem ani pacyfistą za wszelką cenę, ani demokratą za wszelką cenę.

Zręczny manewr, jakim towarzysz Anatol wykręcił się z pułapki, wprawił znowu przewódców na trybunie w zakłopotanie. Wszyscy spoglądali bezradnie na człowieka z błyszczącą czaszką.

Towarzysz Ryszkow spokojnie napisał coś na kartce; ale podając ją dalej, nie mógł stłumić energicznego ruchu ręki.

I nagle stało się coś niespodziewanego: na trybunę weszła jakaś kobieta, i zanim się spostrzeżono, stanęła na mównicy.

Poruszenie na trybunie. Ktoś odepchnął mówcę. Na jego miejscu stanęła teraz towarzyszka.

— Towarzyszka Zofja! Towarzyszka Zofja! — wołano na sali.

Żołnierze spoglądali z zaciekawieniem na trybunę i zapomnieli pod wpływem ciekawości o hałasowaniu i protestowaniu, nie zauważyli nawet, jak towarzysz Anatol zniknął z mównicy. Uwagę ich pochłonęła w zupełności kobieca postać na trybunie, silna pierś dziewczęca, wznosząca się pod rozchyloną kurtką skórzaną,

szyja, wychylająca się z mocno wyciętej bluzki, gęste pukle włosów, opadające mówczyni na czoło.

Twarz towarzyszki Zofji była niezwykle blada. Nozdrza drżały z podniecenia, żyły na szyi były napięte. Starała się opanować drżenie kolan i w tym celu przechadzała się po trybunie. Można było przytem spostrzec, jak pierś jej wznosiła się i opadała szybko pod bluzką. Dziewczęco jasnym, drgającym z podniecenia głosem, który początkowo był prawie zupełnie bezbarwny, tak że gesty musiały go podkreślać, zaczęła mówić brzmiącym z cudzoziemska, ale zupełnie poprawnym, szkolnym językiem rosyjskim:

— Towarzysze żołnierze! Chcecie wiedzieć, co to są bolszewicy! Bolszewicy — to wy, uciemiężone i udręczone masy rosyjskie, pozostające od niepamiętnych czasów w niewoli, pod knutem. Dawniej ciemiężone przez carów i czynowników, teraz — przez patrjotów i bohaterów wojennych. Dawniej kazano wam poświęcać życie za cara, teraz — za ojczyznę. Wy jesteście bolszewikami, wy biedni, uciemiężeni i udręczeni! Wy, których wydarto z domów rodzinnych, od matek, żon i dzieci, wtłoczono w mundury, latami trzymano w koszarach, w wilgotnych okopach, bez jedzenia, bez ubrania, których wystawiano na grad kul nieprzyjacielskich! Obiecywano wam ziemię — ale jej wam nie dano. Obiecywano wam wolność — a gna się was bagnetami zpowrotem na front, groźbą rewolwerów zmusza się was do ofensywy, do ataków na proletarjat niemiecki, który tak samo jak wy składa się z robotników i włościan. I dzieje się to na niczyją korzyść, chyba dla dobra rozmiękczonych mózgów kilku pustogłowych karjerowiczów, którzy za cenę waszej krwi chcą się stać bohaterami. Wyście przez wojnę nic nie zyskali! Ktokolwiek wygra wojnę — wy ją w każdym razie przegracie, wy w każdym razie będziecie musieli dźwigać jarzmo, czy

będzie to jarzmo cara, czy generała, czy patrjoty! Precz z wojną! Precz z patrjotami!

Krótkie pauzy, jakie mówczyni robiła wśród zdań, aby otrzeć chusteczką ślinę z warg, bicie jej serca, szybkie, drgające niemal ruchy piersi, widoczne poprzez cienką bluzkę — wszystko to trzymało słuchających żołnierzy na uwięzi; z otwartemi ustami stali przed dziewczyną.

Musiała zrobić dłuższą pauzę, aby zaczerpnąć oddechu. Przerwa ta wytworzyła w tłumie nastrój niemal naładowany materjałem wybuchowym. Słabość kobieca porywała ich. Twarze pobladły z podniecenia. Oczy połyskiwały, drgające nozdrza i wargi wciągały przesycone gorącem powietrze. Pukle, opadające na czoło, uszy i dziewczęcy kark, obnażona dziewczęca szyja i piękne, białe dziewczęce dłonie całą mocą oddziaływały na żołnierzy i uniosły ich ponad przepaści zwątpienia i niepewności.

A jednak i słowa przyczyniły się do tego wrażenia; w słowach tej dziewczyny zawarty był cały los słuchaczów i dlatego pochylili się do jej stóp jak dojrzałe kłosy.

— Mów dalej, towarzyszko! Mów! Mówże! — zawołał jakiś żołnierz.

— Czego krzyczysz? Widzisz przecież — dajże jej odsapnąć!

— Hej! Podajcie jej wody! Czego siedzicie tam jak kloce? Podajcie jej wody!

— Mężczyźni nie umieli objaśnić — ale kiecka potrafi!

— Nie gadaj nic złego na kiecki! Jedna taka dziewczyna więcej jest warta, niż cała brygada!

— Cicho! Nic przecież nie słychać!

— Mówcie dalej, towarzyszko!

Towarzyszka Zofja zaczerpnęła oddechu i ciągnęła

swoje przemówienie, teraz już z mniejszą tremą, ale z taką samą siłą jak przedtem.

— A gdybyście nawet wygrali wojnę — co na tem zyskacie? Co nastąpi po zwycięstwie? Rewolucja? Nie — przyjdą generałowie, Korniłowie, Russcy i jak ich tam wszystkich zwać. Posadzą znowu cara na tronie. Widzicie przecież, jak czule go strzegą, jak delikatnie się z nim obchodzą!...

— To im się nie uda! — zawołał jakiś zapalczywy żołnierz.

— Przed chwilą stał tutaj przed wami mieńszewik i mówił — co mówił? Wracajcie na front i ciałami swemi brońcie wrót Rosji! Dlaczego nie idzie sam? Dlaczego posyła was? Ale nie, oni siedzą w ciepłych pokojach, a was posyłają na śmierć. Chcą zniszczyć wasze młode ciała, żeby się was w ten sposób pozbyć. Wojna to dla nich rozżarzony kocioł, do którego wrzucają siły rewolucji, aby je spalać na popiół. Dlatego wszystkim im potrzebna jest wojna: kadetom, socjal-rewolucjonistom, mieńszewikom. Potrzebują wojny, żeby zdusić rewolucję!

— Śmierć zdrajcom! Pod ścianę ich! — rozległy się na sali okrzyki oburzenia.

— Towarzysze! — Głos dziewczęcy górował już nad wrzawą. — W stolicy przyjaciele nasi rozpoczęli udane powstanie. Masy przyłączyły się do nich i rozpędziły zdrajców z „Rządu Tymczasowego". Teraz walczą ze zdradzieckimi generałami. Musimy tu w Moskwie uczynić to samo — musimy z bronią w ręku wygnać wrogów ludu, wszystkich, wszelkie gatunki, i całą władzę oddać w ręce rad!

— Całą władzę w ręce rad! Hurra! — odpowiedziała sala z zapałem.

Na trybunie redagowano tymczasem odpowiednią rezolucję i układano nową listę Rewolucyjnego Komitetu

Wojennego, z którego oczywiście mieli być usunięci „zdrajcy".

Rezolucja, której treść opracował jak zwykle człowiek o zmiętej twarzy, oraz nazwiska członków nowego Rewolucyjnego Komitetu Wojennego, składającego się teraz wyłącznie z bolszewików, zostały dla formy odczytane podnieconemu do najwyższych granic zebraniu. Powitało je ono, nie słuchając, złorzeczeniami przeciwko „zdrajcom". Tłumowi na sali było już teraz zupełnie obojętne, o co szło; łaknął czynu.

Żołnierze otoczyli mówczynię, która z trudnością uwolniła się z ciżby. Kiedy wreszcie mogła zaczerpnąć powietrza, zbliżył się do niej jakiś człowiek, który niepostrzeżenie wysunął się z pomiędzy żołnierzy. Był to Zachary Mirkin. W jego krótkiej, czarnej brodzie widać było kilka srebrnych nitek. Twarz była blada i wychudła, ale niezwykle ożywiona. Oczy jego — co dawniej było niezmiernie rzadkim wypadkiem — tryskały ogniem.

— Słyszałeś mię?

— Tak.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Mowa twoja podobała mi się, gdyż pchnęła tłum do czynu. Ale mimo to kłamstwo jest niepotrzebne.

— Kłamstwo?

— No, tak bardzo się przecież z prawdą nie liczyłaś, — uśmiechnął się.

— Innemi argumentami nie możnaby ich zdobyć. Trzeba z nimi mówić językiem, który rozumieją. W rękawiczkach nie można robić rewolucji.

— Ale demagogją także nie.

— O ty burżuju! Szedłeś z nami aż do bramy pałacu gubernatorskiego — ale sentymentalizm swój zachowałeś.

— Zdaniem mojem bolszewicy walczą za tak słuszną

sprawę, że nie potrzebują wcale pracować środkami demagogicznemi. Wystarcza powiedzieć ludowi prawdę — że inne partje chcą nadal prowadzić wojnę i odłożyć zbieranie plonów rewolucji na czas po zwycięstwie. My zaś twierdzimy, że każdy dzień, jaki wyczerpani żołnierze spędzić mają jeszcze na froncie, jest zbrodnią. A wojna jest nietylko zbrodnią wobec ludzkości, ale także wyrokiem śmierci dla rewolucji.

— Sądzisz chyba, że masz do czynienia z inteligentami?

W trakcie tej dysputy podszedł do nich towarzysz Anatol. Z tym samym jeszcze ciągle niemiłym uśmiechem na skrzywionych wargach zwrócił się do towarzyszki Zofji:

— Winszuję wam, towarzyszko. Argumenty wasze były nie do obalenia.

Towarzyszka Zofja zaczerwieniła się.

— Jak to rozumiecie, towarzyszu?

— Mam oczywiście na myśli wasz temperament. Któżby mógł z nim walczyć?

— Co zamierzacie czynić, towarzyszu Anatolu? — zapytał Mirkin.

— Odchodzę — a wy?

— Ja zostaję, — odpowiedział Mirkin swobodnie.

— I wy, Mirkin? — zapytał towarzysz Anatol tonem żartobliwym.

— Tak, i ja, — odpowiedział Zachary.

Niemiły uśmiech na wargach Anatola stał się jeszcze bardziej gorzki. Niedosłyszalnie niemal powiedział:

— Tak przypuszczałem.

Mirkin i towarzyszka Zofja patrzeli na starego, zgarbionego człowieka, który wcisnąwszy głowę w ramiona, zmierzał ku wyjściu; zdawało się, że na jego barkach leży całe ciężkie brzemię nadchodzących, nieznanych jeszcze czasów.

Bezpośrednio po przyjęciu entuzjastycznej rezolucji, w której zebranie żołnierzy wyraziło swoją solidarność z proletarjatem petersburskim, przystąpiono do zorganizowania powstania w Moskwie.

Kto nie zgadzał się z rezolucją, opuszczał gmach; tylko kilku niezdecydowanych mieńszewików postanowiło czekać do następnego dnia. Natomiast olbrzymia większość żołnierzy stanęła do dyspozycji Rewolucyjnego Komitetu Wojennego. Pozostali też oni odrazu w pałacu gubernatorskim. Znajdował się wśród nich Zachary Mirkin i oczywiście towarzyszka Zofja. (Był to nikt inny jak Zosia, córka nauczyciela Hurwicza z Warszawy). Tej nocy nie myślano już o tem, aby iść spać do domu.

Olbrzymi gmach gubernatorstwa zamienił się w żywy organizm. Głowa jego, jego mózg pracował na najwyższych piętrach, gdzie w oddzielnych pokojach rozlokowane były najrozmaisze komitety. Towarzysz Ryszkow i „Komitet Egzekucyjny“ zajmowali dawny gabinet gubernatora. W niżej położonych salach znajdowały się masy kończyn, ręce i nogi tej żywej istoty. Jeden towarzysz po drugim schodził zgóry z arkuszami zapisanego papieru w ręku, zabierał z tłumu kilku żołnierzy lub czerwonogwardzistów i znikał z nimi potajemnie.

Towarzysz Burszanow, żołnierz łotewski o posępnej, skrytej twarzy, w długim płaszczu żołnierskim, ten sam, który przewodniczył na zebraniu, kręcił się między żołnierzami. Bez słowa prawie, blady, wysyłał ich niememi spojrzeniami jako wartowników do drzwi pokojów, gdzie odbywały się posiedzenia, i do wszystkich wejść gmachu.

Następnie zajął się mnóstwem ludzi, którzy wypełniali budynek, pytał każdego, czy chce pozostać, i odprawiał osoby, które nie miały tu co robić.

Towarzyszka Izmaiłowa, typ intelektualistki o troskliwej twarzy mniszki, ubrana jest w mieszczańską czarną suknię, podpiętą pod samą szyję; nawet biały szal jedwabny spięty jest skromnie agrafką. Z cichą, swobodną pieczołowitością dzielnej pani domu zajmuje się gospodarstwem, w czem pomaga jej gromada kobiet, zarówno ze sfery inteligencji, jak i zwykłych wieśniaczek; należy do nich i towarzyszka Zofja; kontroluje ona magazyny i śpiżarnie i notuje, ile jest mąki, chleba, kaszy i innych produktów żywnościowych.

Przy takiej sposobności znaleziono gdzieś płótno. Pod kierownictwem towarzyszki Izmaiłowej pokrojono je na pasy i porobiono z niego bandaże. Rewidowała też apteczkę domową, ustawiała wszędzie posterunki z nabitemi karabinami, wydawała inteligentnym paniom i chłopkom zarządzenia, jakie miały wykonywać zadania, i każdej z nich wskazywała pracę. Jeden z żołnierzy, który umiał rysować, zrywał — tym razem bez przeszkód — kawały obić jedwabnych ze ścian i zaimprowizowanym pendzlem, sporządzonym naprędce z włosia ze szczotki, wypisywał czarnym tuszem na czerwonym tle rozmaite zagrzewające sentencje, żądania, życzenia i hasła oraz nazwy poszczególnych komitetów. Każdy napis ozdabiał obrazkiem z własnej fantazji.

Na górze zaś, w gabinecie gubernatora, znajdowała się głowa: towarzysz Ryszkow; telefonował, odpowiadał na telefony, wydawał rozkazy i hasła.

Pułk 193, który był bolszewicki, wysłał na Kreml, gdzie wraz ze stacjonowanym tam 56-ym, który również należał do partji, obsadzić miał arsenał:

— Komendant arsenału na Kremlu jest towarzyszem partyjnym. Wyda on karabiny na uzbrojenie proletarjatu.

Ryszkow zwoływał robotników z przedmieść, wysyłał towarzyszów do koszar garnizonu moskiewskiego,

aby nakłonić do czynu żołnierzy, sympatyzujących z bolszewikami. Artylerzyści znajdowali się zupełnie pod wpływami bolszewickiemi, szło więc o to, żeby ich obudzić w nocy i sprowadzić wraz z działami do gmachu Rewolucyjnego Komitetu Wojennego.

Ale najważniejsza rzecz to zdobyć broń z arsenału na Kremlu — im więcej dostanie się karabinów ręcznych i maszynowych, dział rewolwerowych, amunicji, tem lepiej:

— Wszystko jak najszybciej przetransportować do pałacu gubernatorskiego!

I wnet wymykają się w ciemną noc przytulone do murów cienie; suną z karabinami i amunicją z arsenału kremelskiego do pałacu gubernatora.

Szczęk wiązanych karabinów, które przy blaskach latarek elektrycznych składa się w magazynach. Wzmocnione patrole obejmują straż nad temi zapasami.

Towarzyszka Zofja pracuje bez wytchnienia. Twarz jej płonie. Zrzuciła kurtkę skórzaną. Naukos przez pełną, falującą szybko pierś biegnie czerwony rzemień pochwy rewolweru. Dziewczyna biega niezmordowana z pokoju do pokoju, wdół i wgórę po schodach, pędzi do Komitetu Egzekucyjnego, wraca natychmiast z kartką w ręku, zbiega znowu nadół, odciąga nabok jakiegoś towarzysza, szepcze mu coś. W chwilę potem stoi w grupie żołnierzy o ożywionych, naprężonych twarzach, przemawia do nich, gestykulując z zapałem, a cała jej postać dziewczęca, znajdująca się w nieustannym ruchu, jest niby silny wicher, bijący w twarz słuchaczów argumentami, które muszą ich przekonać. O, towarzyszka Zofja (jak ją tutaj nazywają) jest w swoim żywiole! Nie napróżno jest córką Racheli Lei! Na te czasy, na tę noc czekała lata. A teraz cała jest w ruchu, w gorączce, cała przeniknięta rozpaloną i rozpalającą energją — energją Racheli Lei. Jest wszędzie —

w piwnicach, w kuchniach, przy kucharzach wojskowych; odbiera chleb, który znoszą żołnierze, aby jak w prawdziwej komunie dzielić go między wszystkich. Niewiadomo przecież, czy nie trzeba będzie tu zostać, czy nie trzeba będzie znosić oblężenia.

W tym gmachu, pełnym rozpętanych mocy, porusza się towarzysz Mirkin jak lunatyk, chodzi chwiejnemi krokami, jak we śnie. Wszystko wydaje mu się zarazem rzeczywiste i nierzeczywiste, jasne a jednak niejasne; wie, co się tutaj dzieje, a jednak nie wie tego. Nagle budzi się w nim myśl:

— To jest ostatnia walka, wiodą ją ludzie ostatni.

W mroku nocy poczęli się właśnie zbierać w pałacu gubernatorskim robotnicy; przybywali z piwnic i nor Moskwy, z olbrzymich przedmieść, z rękoma czarnemi od dymu i sadzy, z ciałami obsypanemi opiłkami żelaza z odlewni. Palacze szli prosto od kotłów, narzuciwszy tylko bluzy robotnicze na nagie, połyskujące jak stal tułowie. Przedsiębiorczo wysuwały się loki gęstych czupryn z pod zniszczonych czapek, a mocne ramiona pełne były nagromadzonej żądzy walki. Na wszystkich twarzach promieniała uroczysta powaga. Tylko w oczach migotały błyski zemsty, przebiegając jak iskry elektryczne od twarzy do twarzy. Miało się wrażenie, jakby cała przestrzeń naładowana była elektrycznością.

Mirkin widział, jak olbrzymi pałac gubernatora stawał się niejako stacją energji elektrycznej, jak dawno zdrętwiałe, skrzywione z bólu twarze, podobne do masek śmiertelnych, ożywiały się znowu i pełne nowej energji zapełniały salę poniżej wielkiej estrady; widział, jak ból i gniew pokoleń, dławione dotąd w bezsilnem zgrzytaniu zębów i złorzeczeniach, wyładowały się nagle w wielkiej sali; widział oczy o śmiertelnym wzroku i tryskające siłą ramiona, sięgające po broń. Nie byli to już ludzie: cienie pokoleń, które ginęły marnie, wypeł-

zały z ukrycia, domagając się wyzwolenia, i stawały się ciałem i krwią w tych potężnych, twardych jak stal tułowiach robotniczych, połyskiwały zemstą w oczach robotniczych, wypełniały napięte żyły silnych ramion robotniczych, stawały się ładunkiem karabinów robotniczych. Posiew zemsty wschodzi, rośnie i dojrzewa na wielki dzień sądu, który się teraz zbliża.

Mirkinem owładnęła zgroza wobec tych uzbrojonych cieniów, które trzymając karabiny między kolanami, siedziały w mrocznych kątach. Pewne swych ofiar, czekały cierpliwie na chwilę zemsty. A razem z cieniami siedziała tu czekając — kara. Kara za grzech, któremu na imię „Rosja“.

Teraz uświadomił sobie Mirkin, że jego miejsce jest tutaj, w pałacu gubernatora.

O brzasku porannym uzbrojone cienie zasnęły, znużone gorączkową atmosferą ubiegłej nocy. Wyczerpane czekaniem na czyn padały, każdy gdzie stał.

Na podłodze, w kurzu i brudzie leżały rozciągnięte ciała żołnierzy w mundurach, obok ustawionych w kozły karabinów. Wsparłszy głowy na piersi, kolanie, plecach czy ramieniu sąsiada, z rozkoszą upajali się snem. Inteligenci spali pochyleni nad stołami. Tu i ówdzie ciało kobiece pośród męskich. Robotnicy drzemali po kątach, trzymając karabiny między kolanami.

Teraz dopiero zszedł z najwyższego piętra Ryszkow. Wolno przechadzał się tam i napowrót między śpiącemi cieniami. Boleśnie skrzywiła się jego senna, niewyspana twarz, okolona nagle brodą. Z zadumą mruczał pod nosem:

— A jednak nie przyszli: Sami młodzi! Dojrzałych robotników nie widać. I mało żołnierzy. Ani jednej armaty! A ja myślałem, że miasto powstanie w ciągu nocy?!

Rzucił okiem na wielkie okna i dodał posępnie:

— A ranek już szarzeje!...

I strona przeciwna nie trwała w bezczynności.

Na wczesną godzinę poranną zwołał burmistrz naczelny nadzwyczajne zebranie obywateli do dumy miejskiej, aby stworzyć „Komitet Obrony Przed Powszechnem Niebezpieczeństwem", mający na celu uchronienie Mateczki-Rosji od „złych mocy".

I Rosja powstała. Stary podwójny orzeł carski spróbował jeszcze raz — po raz ostatni — rozpostrzeć skrzydła.

Przyszli wszyscy. Prawica i lewica zjednoczyły się na tem zebraniu: Starzy oficerowie carscy, na których wargach nie przebrzmiały jeszcze hymny na cześć cara, stali obok terorystów rewolucyjnych, których zamachy bombowe spryskały bruk moskiewski mózgami wielkich książąt i gubernatorów, — wszyscy gotowi do walk za Rosję, która teraz, zgodnie z nowym prądem czasu, udrapowana została w nazwę „rewolucji".

Wszyscy oficerowie garnizonu moskiewskiego stanęli w gotowości do dyspozycji naczelnego burmistrza. Nawet żołnierze, znajdujący się pod wpływami socjal-rewolucjonistów, przysyłali na zebranie swoich delegatów. Zjawili się podchorążowie moskiewskiej Szkoły Wojennej, zwolennicy demokratycznej partji kadetów bratali się z mieńszewickimi socjalistami, którzy dopiero co powrócili z Syberji. Szczególnie licznie reprezentowana była inteligencja i studenci. Także prowincja, do której burmistrz skierował poprzedniego dnia wezwanie, aby śpieszyła Moskwie z pomocą, nadesłała delegacje.

Nadawali jednak ton i przewodzili wszystkim prawicowi socjal-rewolucjoniści: żadna partja rewolucyjnej Rosji nie mogła po przewrocie lutowym odnotować tak silnego przypływu z najrozmaitszych warstw, jak boha-

terscy socjal-rewolucjoniści. Przyczyniała się do tego niewątpliwie także romantyczna przeszłość, ale przedewszystkiem ich patrjotyczne stanowisko wobec wojny, dostosowane w zupełności do nastrojów kraju.

Już w czasie działalności rewolucyjnej za panowania carów, gdy członkowie tej partji wykonywali najzuchwalsze zamachy na satrapów carskich, bojówka socjalrewolucyjna, podobnie jak i partja sama, uważała się za narodową tajną organizację wojskową, zwalczającą jedynowładztwo, ale nie mieszczaństwo rosyjskie. Zajmowano się bardziej przygotowywaniem zamachów, sporządzaniem bomb, zdobywaniem materjałów wybuchowych, szpiegowaniem ministrów i gubernatorów, niżeli zagadnieniami socjalistycznemi. Te sprawy pozostawiano kilku „darmozjadom", teoretykom partji; niech się kłócą z teoretykami innych partyj!

Hasło „Ziemię chłopom, fabryki robotnikom" — dziedzictwo, które partja przejęła wraz z pozostałym balastem tradycyjnym po „narodowołcach", jednej z pierwszych tajnych organizacyj rewolucyjnych Rosji — było już wówczas traktowane tylko jako zbożne życzenie, którego spełnienie odkładano do „złotych czasów", gdy przyjdzie „Mesjasz" w postaci rewolucji socjalnej. Kiedy rząd carski w roku rewolucyjnym 1905 okazał pierwszy ślad ustępliwości, kierownictwo partji socjalrewolucyjnej — ku wielkiemu zgorszeniu terorystów — natychmiast zaprzestało teroru. W chwili wybuchu wojny 1914 roku, a nawet do ostatnich czasów rządów carskich, w szeregach partji panował nastrój wybitnie patrjotyczny. A gdy zwyciężyła rewolucja i przewódcy socjal-rewolucjonistów objęli najważniejsze stanowiska w Rządzie Tymczasowym, partja zmieniła się w czysto patrjotyczną organizację. Zbożne życzenia, zawarte w jej hasłach socjalistycznych, odłożono do czasu po „ostatecznem zwycięstwie"; kierownicy partji objeżdżali

front i wygłaszali do żołnierzy entuzjastyczne przemówienia socjal-patrjotyczne, domagając się w imię rewolucji kontynuowania wojny bratobójczej.

Dzięki romantycznej przeszłości rewolucyjnej i patrjotycznej teraźniejszości, wzmocnionej jeszcze przez władzę i wpływy, partja socjal-rewolucjonistów stała się wygodnem schronieniem dla najrozmaitszych elementów. Każdy Rosjanin, choćby należał do najbardziej reakcyjnych warstw, żywił w głębi serca jakąś połączoną z zazdrością cześć wobec liberalizmu i wobec poświęconego świętej sprawie życia rewolucjonistów. Uczucie to wywodziło się niewątpliwie z owego dualizmu, tak charakterystycznego dla Rosjanina, i z głęboko zakorzenionego pragnienia, aby rewolucja zwyciężyła.

Kiedy wybuchła rewolucja lutowa, nawet ci, co dotąd w zupełności stali po stronie władzy panującej, przeszli na stronę zwycięzców. Nie przyszło im to z trudnością, gdyż Rosjaninowi wystarczyło tylko niejako zmienić kierunek myśli, aby się przekonać, że właściwie zawsze był przeciwnikiem despotyzmu, zawsze sympatyzował z rewolucją, a tylko z tych czy innych powodów nie znajdował się w jej szeregach.

I oto po rewolucji lutowej cała Rosja stała się nagle socjalistyczna i rewolucyjna. Osiadli mieszczanie kroczyli po ulicach Petersburga z czerwonemi wstęgami na ramieniu lub piersi, z promiennemi minami, wygłaszali dość niejasne poglądy o socjaliźmie i podejmowali hasło „ziemię chłopom, fabryki robotnikom", nie troszcząc się o to, czy się to da czy nie da pogodzić z ich interesami.

Patrjotyczny nastrój, jaki owładnął tym socjalistyczno-mieszczańskim żywiołem wywołany był z jednej strony przez zwycięstwo rewolucji, z drugiej przez dziwnie zaciętą ambicję, aby pokazać światu, że rewolucja jest lepsza od caryzmu, który podczas wojny ponosił same

porażki, podczas gdy rewolucja osiągnie zwycięstwo. Dlatego też te właśnie warstwy rewolucyjnej Rosji poczęły się bratać z wojskiem i niejako zalecać się do niego. Wszyscy mieli sobie za punkt honoru zostać oficerami. Zwłaszcza zaś żywioły żydowsko-mieszczańskie, dla których za czasów carskich karjera oficerska była niedostępna, pragnęły ukoić tęsknotę za błyszczącemi szlifami.

Szkoły oficerskie zalane zostały młodzieżą z żydowskich sfer mieszczańskich. Kto nosił jakiekolwiek dystynkcje wojskowe, dla tego bramy najlepszych domów mieszczańskich były szeroko otwarte. A że z drugiej strony nie chciano popełniać grzechu wobec rewolucji, której zawdzięczano wszystkie swobody i która jedynie gwarantowała bezpieczeństwo i opiekę, wyznawano jawnie wszelkie dogmaty i postulaty wolności. W ten sposób powstała dziwna mieszanina wojskowo-patrjotycznych i socjalistycznych rewolucjonistów: z jednej strony głoszono „wojnę aż do ostatniego człowieka" i chciano — czy to miało sens czy nie — prowadzić żołnierzy do ofensywy „na chwałę rewolucji" — z drugiej strony swobodami rewolucyjnemi burzono całą organizację wojskową, podkopywano dyscyplinę i usiłowano — patrjotycznemi przemówieniami utrzymać żołnierzy w wilgotnych okopach.

Z takich właśnie elementów składała się większość zebrania, które burmistrz naczelny zwołał do dumy miejskiej, aby stworzyć „Komitet Obrony Przed Powszechnem Niebezpieczeństwem" i ustrzec Moskwę przed grozą bolszewizmu.

Nie poszło to coprawda zupełnie gładko. Przedewszystkiem doszło do ostrych różnic zdań co do samego sposobu utworzenia komitetu, mianowicie czy miał się on składać z przedstawicieli organizacyj politycznych czy też instytucyj wojskowych.

Po smutnych doświadczeniach z generałem Korniłowem obawiano się oddawać zbytnio w ręce oficerom i junkrom. Chciano się bronić przed „czerwonymi“, ale zarazem zachować dewizy rewolucji, nie wydając się na łup takich elementów, które po zwycięstwie same sięgnęłyby po władzę. Wzajemna nieufność powodowała nieskończone debaty, kłócono się i targowano godzinami; wreszcie dowództwo nad wszystkiemi siłami obronnemi powierzono „socjal-rewolucjoniście“ pułkownikowi Karamzowowi.

Nowy dowódca przedsięwziął natychmiast konieczne kroki, aby zorganizować obronę przed bolszewikami. Kazał obsadzić całe dzielnice miasta, otoczył Kreml, gdzie znajdowały się oddziały usposobione bolszewicko, począł blokować pałac gubernatorski i odpierać robotników bolszewickich, którzy okrężnemi drogami starali się przedostać z przedmieść do centrum.

Gdy wrogie oddziały spotykały się z sobą, dochodziło do starć, przy których obie strony strzelały — oczywiście nie oficjalnie, ale niejako na własną rękę.

Wojna domowa jeszcze się nie zaczęła, gdyż — „biali“ byli niezdecydowani, „czerwoni“ jeszcze nie uzbrojeni.

Przed drzwiami gabinetu gubernatora stały uzbrojone warty, nie wpuszczając nikogo. Gdyż Komitet Egzekucyjny odbywał ważną naradę. Komendant antybolszewickich, „białych“ oddziałów zażądał od pułków usposobionych bolszewicko opuszczenia Kremlu. Co do tego ultimatum miała teraz zapaść decyzja.

Dawny gabinet gubernatora była to wielka, wysoka sala o czterech oknach, przez które widać było ogród przed domem i pomnik generała Skobielewa, bohaterskiego szermierza za carską Rosję.

Zdawało się, jakoby budowniczowie pałacu wie-

dzieli, kto będzie kiedyś mieszkał w tej sali i jakim będzie ona służyła celom; gdyż postarali się, aby olbrzymi pokój wytapetowany został wyłącznie krwistoczerwonym adamaszkiem, z którego już i tutaj dla użytecznych celów wykrojono wielkie kawały. Na ścianach wisiały szerokie, puste ramy złocone; portrety carów były wyrwane, ale złote korony zdobiły jeszcze ciągle górne listwy poprzeczne. I jakby na ironję stała w przeciwległym kącie nietknięta fotografja w ramie; przedstawiała ona poprzedniego mieszkańca tego pokoju, wielkiego księcia Sergjusza, w otoczeniu rodziny. Twarze — zapewne ze wstydu wobec zbezczeszczenia sali — były zupełnie blade; tej okoliczności należało prawdopodobnie przypisać fakt, że fotografja pozostała niedostrzeżona...

Wielki gabinet gubernatora zasypany był zupełnie niedopałkami papierosów, przeważnie kręconych. Tytoniu i bibułek do papierosów dawno już nie było. Wyrywano więc kartki z książek i akt i kręcono w nich papierosy z zielska, które nazywano „machorką“. Składało się ono z suchych liści tytoniu, uprawianego przez chłopów rosyjskich, i najrozmaitszych innych produktów roślinnych. Ponieważ najbardziej nawet zahartowany palacz nie mógł znieść długo tej „machorki“ i papieru, odrzucano szybko papierosy, a żarzące się niedopałki leżały wszędzie dokoła, na wszystkich stołach i parapetach okien; przeważnie jednak zdobiły one marmurowe płyty wielkich luster i gzymsy marmurowego kominka.

W sali stały liczne kanapki jedwabne obok żelaznych łóżek żołnierskich. Wszędzie siedzieli poważni, zatroskani mężczyźni — żołnierze i robotnicy; tu i ówdzie profil kobiecy. Niektórzy ponuro opierali głowy na rękach, wspartych na lufach karabinowych. Oczywiście w pierwszym rzędzie i najbardziej stracili panowanie nad sobą inteligenci. Krótkowzroczny mężczyzna ze zmiętą

twarzą i grubemi szkłami okularów leżał jęcząc na jednej z licznych kanapek; dostał nagle silnych boleści brzucha, a męczące kolki ryły głębokie brózdy na jego woskowej twarzy. Obok niego siedział na brzegu kanapy stary człowieczek o twarzy dziadka i żuł nieustannie czarny chleb, który ułamywał małemi okruchami z trzymanego na kolanach bochenka.

Przy olbrzymiem, masywnem, obitem bronzem biurku gubernatora siedzi człowiek o wygolonej, połyskującej czaszce, towarzysz Ryszkow. Na biurku leży mapa Moskwy, na niej stoi cała baterja szklanek od herbaty, wypełnionych po brzegi niedopałkami papierosów, popiołem, nadpalonemi zapałkami, strzępami papieru i innemi odpadkami, chociaż w pokoju znajdują się — przez nikogo coprawda niedostrzeżone — ciężkie popielniczki metalowe. Twardy, kształtny podbródek Ryszkowa z głębokiem wyżłobieniem w środku porusza się energicznie, gdy towarzysz mówi krótko i ostro:

— Jedno jest pewne — położenie nasze nie jest różowe.

Ponury żołnierz łotewski potakuje bez słowa, niemem skinieniem głowy.

I podczas narady nosi ten sam długi płaszcz wojskowy, sięgający mu aż do stóp i stanowiący niejako jego drugą skórę. Nie siedzi, jak inni, lecz stoi obok biurka i spuściwszy posępnie wzrok, obserwuje końce butów, na które spada płaszcz.

— Chcę, aby towarzysze uświadomili sobie sytuację, zanim przystąpimy do głosowania, — rzekł człowiek o wygolonej czaszce wolno i metalicznym głosem, jakby odważał każde słowo. — Nie mamy amunicji. Towarzysze, których wysłaliśmy do koszar po artylerję, nie powrócili. Zresztą jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy zdołają jeszcze przedrzeć się przez łańcuch „białych“. Mamy kilka karabinów ręcznych i maszynowych, ale ani

jednej armaty. Natomiast Komitet Obrony „białych“ rozporządza wszystkimi oficerami garnizonu moskiewskiego, podchorążymi ze Szkoły Wojennej, studentami, inteligentami i — co najważniejsza — socjal-rewolucjonistami, a może nawet żołnierzami, którzy znajdują się pod ich wpływem. Działa ich mogą dosięgnąć naszych punktów obronnych. Jakie więc jest wasze zdanie, towarzysze?

Przez minutę panowała wśród zebranych śmiertelna cisza. W blasku wiszących lamp twarze, znieruchomiałe i zatopione w poważnej zadumie, podobne były do pergaminowych masek. Zęby wpijały się w wargi, wargi krzywiły się w płaczliwych, bezsilnych, bolesnych grymasach. Płonące oczy cofały się coraz głębiej do oczodołów i tryskały stamtąd gniewnym ogniem. Nozdrza wznosiły się i opadały w ciężkich oddechach.

Cisza ta, trwająca zaledwie minutę, wydawała się wiecznością całą. Wreszcie towarzysz z błyszczącą czaszką przerwał milczenie, które wydawało się jak zastygłe w śpiżu, i niby młotem uderzył ręką w stół:

— Towarzysze, nie wiemy kto jest po naszej stronie. Nie liczyliśmy naszych sił. Ale wierzymy, że przez wiele pokoleń niewoli i poniżenia masy dojrzały do naszej i swojej sprawy. Za nami stoi klasa robotnicza. Przystępujemy teraz do głosowania, towarzysze. Kto jest za przyjęciem ultimatum, jakie burżuazja postawiła proletarjatowi, niech podniesie rękę!

Lękliwe milczenie. Ani jedna ręka nie podniosła się.

— Kto jest za odrzuceniem tego haniebnego ultimatum, niech uderzy kolbą karabinu w ziemię!

Kolby karabinów zadudniły na posadzce. Wolno padało jedno uderzenie za drugiem, budząc głośne echa w kątach wielkiej sali. Za każdem uderzeniem rozlegał się brzęk kryształowych ozdób przy bronzowych żyran-

dolach. Przewodniczący Komitetu Egzekucyjnego liczył każde uderzenie.

— Decyzja zapadła, — oznajmił.

Jakiś głos kobiecy załkał głośno. Gdzieś rozległ się dźwięk pocałunku.

— Nie jesteśmy na romantycznem zebraniu terorystów, lecz w Rewolucyjnym Komitecie Wojennym, — oświadczył przewodniczący pustym, wilgotnym od śliny głosem. — A teraz — do pracy! Zwołajcie towarzyszów!

Nie trzeba ich było dopiero wołać. Szarpnięto drzwi i gęsta ciżba żołnierzy i robotników w cywilnych ubraniach wpłynęła do pokoju; wszyscy mieli karabiny w rękach. Odepchnęli uzbrojonych wartowników i z podnieceniem wpadli na salę.

Jak ogień rozniosła się po całym gmachu wiadomość, że Komitet Egzekucyjny postanowił odrzucić ultimatum „białych" i rozpocząć akcję.

— Najważniejsze i najpilniejsze jest teraz obsadzić obronne punkty, — zaczął Ryszkow. — Musimy się zakraść do „białych" dzielnic i ulokować karabiny maszynowe na dachach. Potrzeba nam do tego inteligentnego dowódcy, który potrafi panować nad sobą i powstrzymać towarzyszów żołnierzy od przedwczesnego zdradzenia się. Trzeba być ostrożnym. Punkt, który chcemy obsadzić, jest bardzo niebezpieczny.

Wśród niewielu mężczyzn, którzy wystąpili z szarej masy ludzkiej, znajdował się także Mirkin; zarumieniony podszedł lękliwie do biurka towarzysza Ryszkowa:

— Sądzę, że ja...

Przewodniczący spojrzał na niego badawczo:

— Jak się nazywacie? Kto was tutaj zna, towarzyszu?

— Towarzysz Mirkin pracował z nami w Warszawie, — zawołała towarzyszka Zofja.

Przewodniczący zmrużył jedno oko i pytająco spojrzał na Mirkina:

— Mirkin... Mirkin... słyszałem już to nazwisko... Czy nie pracowaliście razem z towarzyszem Anatolem?... Jak się dostaliście do nas? — zapytał zdziwiony.

— Po nieudanej ofensywie Kierenskiego na froncie galicyjskim...

— Czy jesteście członkiem naszej partji?

— Nie, sympatyzuję z nią. Jestem przekonany, że tylko wy możecie dać temu udręczonemu krajowi pokój.

— To wszystko jedno — dzisiaj jesteście z nami, to wasza najlepsza legitymacja partyjna! Czy podejmujecie się poprowadzenia towarzyszów żołnierzy na dach teatru?

— Prawdę mówiąc, nie przeprowadzałem jeszcze nigdy operacyj wojskowych, ale sądzę, że potrafię sprostać temu zadaniu.

— Niema obawy, rewolucja najlepiej was nauczy! A jesteście dość inteligentny, aby zrozumieć, o co idzie.

— Zdaje się, że zrozumiałem.

— Idzie o to, żeby się przekraść przez „białe“ patrole do teatru i dać tam umówiony znak znajdującym się w budynku dozorcom, którzy należą do nas. Otworzą wam oni pocichu drzwi. Pozostałych ludzi ze służby trzeba zamknąć w jednym pokoju. Karabiny maszynowe należy tak ustawić, żeby ich nie dostrzegli junkrowie, którzy ulokowani są na dachu hotelu „Metropol“ jako obserwatorzy. Najważniejszą rzeczą jest utrzymać surową dyscyplinę wśród towarzyszów żołnierzy, aby się nie pokazywali na dachu i nie rozpoczęli za wcześnie działań. Damy wam znać, kiedy przystąpić do akcji. Celem jest: obsadzić plac Teatralny, wyprzeć „białych“ z hotelu „Metropol“ i zająć sam hotel. Zamieszkują go bogaci burżuje — trzeba ich będzie wypędzić. Rozlewu krwi i aktów zemsty ze strony żołnierzy należy bezwarunkowo uniknąć! Ważną jest rzeczą, abyśmy sobie

zjednali zwolenników w przeciwnych szeregach. Towarzysz Burszanow przydzieli wam oddział karabinów maszynowych. Towarzysze żołnierze muszą włożyć ubrania cywilne, aby się nie rzucać w oczy. Zlecenia na piśmie nie potrzebujecie — gdyby was schwytano, nie będą o was nic wiedzieli. Powtarzam — jest to trudne zadanie, udajecie się w sam środek najsilniejszej dzielnicy „białych“.

— Poto tu jestem, — odpowiedział Mirkin.

— To racja. Resztę powie wam towarzysz Burszanow. Towarzyszu Burszanow, idźcie z towarzyszem Mirkinem i wskażcie mu jego oddział karabinów maszynowych! Szczęśliwej drogi, towarzyszu! — i Ryszkow pochylił się znowu nad planem Moskwy.

Gdy Mirkin odszedł od biurka z żołnierzem łotewskim, podbiegła do niego Zosia; była bledsza od niego.

— Zachary! — zawołała, chwytając go za rękę.

— Co się stało? — Mirkin spojrzał na nią.

— Nic! — ale potem przypomniała sobie coś; zdjęła swój krótki kożuszek i zarzuciła go Mirkinowi na ramiona. — Na dachu nie będzie ci za ciepło.

— Towarzyszu Burszanow, zaopatrzcie ludzi obficie w chleb! — zawołał nagle Ryszkow za odchodzącymi, nie odrywając wzroku od mapy. — Damulki moskiewskie nie będą im posyłały na sznurkach kanapek na dach teatru, jak podchorążym „białych“.

Żołnierze roześmiali się z dowcipu przewodniczącego.

Gdy towarzysze opuścili gabinet gubernatora, aby się pożegnać z odchodzącemi patrolami, których powrót był niepewny, wszedł stary lokaj Wasyli, który przez całe życie miał zaszczyt usługiwać licznym gubernatorom moskiewskim. Zgodnie z duchem rosyjskim towarzysze, obsadzając pałac gubernatorski, nie wypędzili służby. Uważali służących za członków proletarjatu,

traktowali ich życzliwie i dzielili się z nimi chlebem i solą.

Stary Wasyli ciągle jeszcze, jak za dobrych, dawnych czasów gubernatora, nosił starannie wypielęgnowaną, rozdzieloną w dwa ostre końce brodę; ale na czerwoną liberję gubernatorską towarzysze nie chcieli mu pozwolić, gdyż zdaniem ich, uchybiało to godności ludzkiej. Wierna dusza lokajska Wasylego nie mogła się jednak pogodzić z zupełnem wyrzeczeniem się tradycyjnych nawyknień z czasów dawnych panów; uciekł się więc do kompromisu i włożył prastary frak urzędniczy ze złotemi guzikami.

Ostatniemi czasy stary Wasyli chodził trochę zgarbiony. Ale stając w drzwiach gabinetu gubernatora, z przyzwyczajenia wyprostował zgięte plecy i wygładził palcami końce siwej brody, jak czynił zawsze, gdy wchodził do pokoju swego pana, bez względu na to, czy gubernator był tam czy nie. Wasyli miał w ręku szczotkę i skurzawkę. Wszedł i zakaszlał głośno. W pokoju począł zbierać z podłogi i marmurowych luster papiery i niedopałki papierosów. Ale było ich tak wiele, że niebawem z westchnieniem zrezygnował z tej pracy.

Potem, wierny długoletnim nawyknieniom, przystąpił do skurzania portretów cesarskich. Używał do tego małej drabinki, która specjalnie w tym celu stała zawsze w kącie pokoju. Ale że portretów cesarskich już nie było, zadowolił się otarciem kurzu ze złoconych ram.

Czynność tę podejmował stary Wasyli zawsze, gdy towarzysze opuszczali pokój i dawali mu do tego sposobność. Ale zadowolenie jego z ulubionej pracy nigdy nie trwało długo; gdyż zawsze wchodził zaraz ktoś z towarzyszów, wygłaszał staremu Wasylemu kazanie na temat jego carskiej służalczości i wypraszał go z pokoju.

Tym razem przyjemność jego trwała dłużej i miał czas gruntowniej oczyścić ramy. W kącie odkrył przy-

tem wyblakłą fotografję wielkiego księcia, której towarzysze nie zauważyli. Długo stał przed nią, wysilając stare oczy, aby się zorjentować, co przedstawiał obraz. Wreszcie poznał swego dawnego pana, Jego Cesarską Wysokość wielkiego księcia Sergjusza. Z radością wpatrywał się w wyblakłe rysy i mruczał bezzębnemi szczękami:

— Ach, batiuszka, batiuszka! Najpierw przelali twoją krew, teraz robią to samo z Mateczką-Rosją!

NA DACHU TEATRU

Cienie snują się nocą po ulicach Moskwy. Tulą się do murów, kryją się za występami domów, nastawiają uszu, przebijają wzrokiem ciemności, nasłuchują kroków, głosów, pełzają jak zwierzęta na czworakach. Cicho snują się cienie za cieniami, owinąwszy dokoła ciał pasy z amunicją, ukryte pod futrami i płaszczami; potem cienie z częściami karabinów maszynowych, cienie z granatami ręcznemi, cienie z nabitemi rewolwerami, gotowe na wszystko. Droga jest niedaleka. Minąć rynek, ulicę — i będą na placu Teatralnym. Ale na tej krótkiej drodze czyha tysiące niebezpieczeństw. Ulice są szerokie i czujnie strzeżone przez junkrów. Tutaj biegnie granica między „białymi“ a „czerwonymi“. Ale cerkwie są życzliwymi pomocnikami. Mają występy i ukryte nisze, pod których osłoną zatrzymują się zawsze bezdomni i żebracy. Gdy grozi niebezpieczeństwo, można się tam schronić, a noc pochłania człowieka. Najsurowszy rozkaz: unikać wszelkiego hałasu, nie zwracać na siebie uwagi; dlatego biegnie się z workami chleba z jednej strony ulicy na drugą. Cienie przemykają się od domu do domu, od niszy do niszy, wypełniając pustą noc swoją bezistotną cielesnością.

Oto już teatr. Pośród olbrzymich kolumn otwarte są

tylne drzwiczki. Postarał się o to młody posługacz teatralny, aby obsadzenie gmachu mogło nastąpić bez hałasu i bez przemocy. Reszta służby zamknięta jest w odległym pokoju. Ustawia się posterunki. Stronnicy wskazują drogę na strych i do pokoików poddasza. Przez tarasy, po drabinach, na ramionach wnosi się części karabinów maszynowych, i zanim jeszcze ranek zaszarzał nad ulicami Moskwy, kulomioty ustawione są w niszach i okienkach dachowych, zasłonięte śpiżowemi rumakami na dachu, z wylotami skierowanemi na plac Teatralny.

O brzasku spadła gęsta mgła i spowiła całą Moskwę. Czerwony Plac, Kreml, tysiące cerkwi i krzyży jakby ziemia pochłonęła. Mgła leży nisko; ale wgórze powietrze jest czyste, a z szarych chmur wznoszą się złote orły podwójne, nadziane na złote drążki, symbole Kremlu.

Mirkin, owinięty w kożuszek Zosi, leży obok karabinu maszynowego; podobnie jak jego towarzysze, żołnierze, ukrył głowę za śpiżowemi rumakami i obserwuje złote orły carskie, unoszące się w powietrzu; ma wrażenie, jakby przyfrunęły z Kremlu...

Wydaje mu się to niby sen, niby fata morgana: on w okienku dachowem — obok karabinu maszynowego, skierowanego na moskiewski plac Teatralny...

Skąd on się tu bierze? Co on ma wspólnego z karabinami maszynowemi? Właśnie tego chciał zawsze uniknąć, właśnie z tem walczył zawsze — fizycznie coprawda bezsilny, ale jak potężny, jak ognisty w duchu! Przecież ta gorycz, ten bolesny krzyk protestu przeciw pogwałceniu niewinnego świata, prowadzonego jak stado bydła do rzeźni, poprowadził go do wrót pałacu gubernatora moskiewskiego! Do tego kroku skłoniło go pogwałcenie woli ludzkiej — gdyż właśnie wszyscy bez różnicy przypisywali sobie boskie prawo decydowania o życiu ludzkiem, czy to w imieniu cara, czy nędz-

nego adwokata pokątnego, który wczoraj dopiero wydźwignął się na barkach udręczonego ludu, czy w imieniu jakiegoś innego bożka!

A teraz on sam leży obok karabinu maszynowego! Zaczarowane koło! Uciekł z jednej przepaści i stoi na skraju drugiej. A wyjścia niema! Unikał przemocy oręża — a oto bierze udział w wojnie, operuje bronią, której wyloty skierowane są przeciwko nieprzyjacielowi, przeciwko człowiekowi!

Chce sobie uświadomić swój krok, usprawiedliwić się przed sobą i usiłuje odtworzyć w pamięci ową długą, krwawą drogę, jaką przebył od wybuchu wojny. W ten sposób chce sobie sam dowieść słuszności decyzji, która doprowadziła do tego, że teraz o brzasku leży na dachu w Moskwie obok karabinu maszynowego!

Wojna nie wyciągnęła po niego ręki. Jako jedynak był w Rosji wolny od służby wojskowej. Ale niebawem zgłosił się dobrowolnie na „żydowski front".

Podczas wojny był i „front żydowski". Był to front bez nadziei zwycięstwa, front, który wszyscy obierali sobie za cel ataku, zarówno obce jak i własne wojska — ba, własne bardziej jeszcze niż obce.

Zanim Mirkin zdążył rozejrzeć się należycie i zorjentować w pożodze światowej, która nagle wybuchła ze wszystkich stron, „front żydowski" wciągnął go już; zrozumiał gdzie jego miejsce.

Po ulicach Warszawy sunęły pewnego dnia polskie wozy chłopskie, naładowane dziećmi i zwojami Tory. Szły za niemi długie szeregi Żydów z węzełkami na plecach, zawodzące matki z dziećmi na rękach i przy piersi. Teraz jeszcze brzmią Mirkinowi w uchu obłąkane biadania kobiet, które w ucieczce po gościńcach zgubiły swoje dzieci; teraz jeszcze niby krwawe piętna widnieją przed jego oczyma rozwarte w bolesnych krzykach wargi, zwisające ze skrzywionych w przerażeniu ust ję-

zyki; nie może zapomnieć biadania, jakie rozlegało się na dziedzińcu warszawskiej gminy żydowskiej. Jęczały tam i krzyczały wypędzone ze swoich miasteczek rodziny żydowskie, które władze rosyjskie ze zwierzęcem okrucieństwem, niby stado bydła z obór, wypędziły z mieszkań i domów, z uliczek i miast, ze sklepów i bóżnic i gnały wzdłuż całego frontu.

Wypędzono ich w ciągu jednej nocy, dając im tylko kilka godzin, często tylko kilka minut czasu na spakowanie mienia, na zabranie chorych z łóżek, dzieci z kołysek. Wozów do transportu chorych nie było, za nieliczne, jakie posiadali jeszcze chłopi, płacono na wagę złota. Każda więc gmina żydowska najmowała jeden lub dwa wozy na rodały i dla położnic, zaś wszyscy inni szli pieszo. Ponieważ na drogach, przez które musieli przechodzić, odbywały się walki, trzeba się było przebijać przez manowce leśne i kamieniste pola, wśród gradu kul, świszczących w powietrzu. W trwodze i przerażeniu wszyscy poczynali biec, a w panicznym zamęcie ginęło mnóstwo dzieci.

Ciągle jeszcze widzi Mirkin twarze matek z obłędem w oczach; twarze te na zawsze wryły się w jego pamięć. I teraz widzi je przed sobą, widzi zwichrzone włosy, zwisające rozpaczliwie z pod peruk, teraz jeszcze widzi te nieme, dzikie, nawpół obłąkane spojrzenia, a gdy patrzy na orły carskie, wznoszące się ponad morzem mgły moskiewskiej, ze zdrętwiałych jego warg pada przekleństwo; zaciska groźnie pięść i szepcze, drżąc z gniewu:

— Mikołaju Mikołajewiczu! Lufy naszych karabinów skierowane są na twoje złote orły, teraz zaczyna się polowanie na myśliwego!

W owych dniach na początku wojny krew strumieniami płynęła po ulicach Warszawy. I Mirkin biegł, aby — powstrzymać ją swemi dwiema rękami. Widzi

znowu słynnego poetę żydowskiego z siwą czupryną, stojącego na dziedzińcu gminy żydowskiej wśród gromady zawodzących matek, bezradnego wobec takiego nadmiaru nieszczęścia i nędzy; przed chwilą poprzydzielał jednej grupie kwatery, które z największym wysiłkiem zdobyto w pośpiechu, rekwirując kilka pustych mieszkań — a oto nadeszła już nowa grupa. Czyż wszyscy Żydzi Polski zebrali się w tem jednem miejscu, na dziedzińcu warszawskiej gminy żydowskiej?

Pani Hurwicz miała w tym czasie dużo roboty. W domu była tylko w nocy, a i to nie zawsze. Gdyż Rachela Leja umieszczała kobiety żydowskie na kwaterach; zebrała gromadę młodzieńców i na ich czele wdzierała się przemocą do pustych mieszkań, prowadziła wojnę z rządcami domów i służbą, groziła gospodarzom pięścią. To trzeba było zdobyć słomę do noclegów, to kartofle do kuchen dla uciekinierów. Któż miał więc czas myśleć o własnym domu, o własnych sprawach? A cóż dopiero o miłości czy małżeństwie?

Mirkin prawie nie widywał wtedy swojej narzeczonej, Heleny. Była ona niezmiernie zajęta pracą w szkole. „Cokolwiekby się stało, szkołę trzeba utrzymać“ — to była dewiza nauczyciela Hurwicza. W tych czasach posiadała ona większe niż kiedykolwiek znaczenie. Mirkin sam zupełnie oddany był dziełu niesienia pomocy. Obowiązek ten przyjął na siebie od pierwszego dnia. Pomagał poecie w domu gminnym w stworzeniu komitetu, w zdobywaniu pieniędzy, organizowaniu młodzieży, w zamienianiu przytułków na szkoły, w szukaniu pracy dla mężczyzn, w zbieraniu płótna i skóry na koszule i buty.

Lokalne pieniądze i środki pomocy nie wystarczały na wszystko, co było najkonieczniejsze. Napływ wygnańców nie ustawał i niebezpieczeństwo rosło jak ogień. Konieczna była pomoc ze stolicy. Mirkin poje-

chał do Petersburga, nawiązał kontakt z dawnymi znajomymi, wstrząsał sumieniami polityków i innych ludzi, biorących udział w życiu publicznem. W tych czasach zetknął się nawet z ojcem, coprawda nie bezpośrednio, lecz przez powstały komitet. Ale w sprawach osobistych był Zachary zupełnie obojętny; wszystkie te sprawy zatonęły w powszechnej niedoli. Wydarzenia warszawskie tak dalece zahartowały jego serce, że nie reagował już na rzeczy minione.

W stolicy powstał wielki Komitet Pomocy. Niebezpieczeństwo rosło z dnia na dzień: ogniste znaki Mikołaja Mikołajewicza płonęły już w siedzibach żydowskich na całym froncie. Im bardziej cofał się front, tem więcej miasteczek i gmin żydowskich wypędzano i niszczono. Trzeba było dawać schronienie zbiegom. Mirkin jeździł więc nieustannie z miejsca na miejsce, coraz dalej w głąb kraju, i zakładał lokalne komitety pomocy dla uchodźców.

Wypadki następowały z obłędną szybkością, mknęły jak kula w przestworza, a wraz z niemi człowiek, jego uczucia i myśli, jego wiara. Nie posuwał się od celu do celu, ale ścigany pędził naprzód pod smaganiem bezsilnej, bolesnej wściekłości. Palił za sobą wszelkie mosty, wyzbywał się wszelkich skrupułów i wątpliwości i szedł tam, gdzie gnała go rozpacz (nie rozum)...

Do tego, że Mirkin znajdował się teraz na placu Teatralnym przyczyniły się bardzo — prócz rozpaczy — także sprawy osobiste.

Z Heleną czuł się związany nierozerwalnemi więzami zażyłości; nie potrzeba im było poświęcać szczególnej uwagi, gdyż stały się już naturalne, niejako wrodzone i powszednie. Natomiast Zosia, młodsza siostra, poczęła wywierać na Zacharego niezrozumiały dla niego samego, niepojęcie silny wpływ. Cieleśnie oddziaływała Zosia podobnemi urokami jak jej matka, przedewszyst-

kiem lśniącą białością dziewczęcego ciała, połyskującego w wykroju lekkiej bluzki, a także energicznemi, macierzyńskiemi ruchami. Gdziekolwiek się znajdowała, osiągała władzę nad otoczeniem. Dzięki swemu stanowczemu charakterowi już oddawna zdobyła przewagę nad flegmatyczniejszą, i nieco marzycielską starszą siostrą, a stopniowo poczęła też wywierać wpływ na Mirkina. Uważała go za narzędzie, podobnie jak wszystkim narzucała mu swoje poglądy i zwolna wciągnęła go do swej pracy rewolucyjnej.

Już na długo przed wojną Zosia należała do partji, zaś od śmierci brata oddała się niezmordowanej, energicznej działalności agitacyjnej. Nigdy prawie nie sypiała w domu, często nie było jej całemi dniami i tygodniami; rozwoziła wtedy od miasta do miasta zabronioną literaturę propagandową. Agitowała to wśród robotników fabrycznych w Łodzi, to w Białymstoku lub gdzie indziej. Woziła nawet na front paczki zabronionych pism, które ukrywała na ciele. Zwolna wciągnęła też do pracy Mirkina; korzystając z jego ciągłych podróży do obszarów frontowych i do Petersburga, nawiązywała przez niego stosunki, kazała mu zabierać instrukcje a niekiedy i paczki, które mocno pachniały sądem wojennym...

Współpraca i wspólne niebezpieczeństwo zbliżyły ich do siebie. Kiedy się spotykali, zawsze mieli do omówienia jakieś tajemnice. Helena widziała to, ale nie dawała po sobie nic poznać. Wiedziała, o co idzie. A jeśli nawet w głębi duszy odczuwała trochę zazdrości, nie okazywała tego, co więcej — robiła wszystko, aby ułatwiać spotkania siostry z Mirkinem. Gdy w czasie pauzy obiadowej siedzieli razem w pustej klasie, Helena stała na czatach, aby ojciec nie zaskoczył ich niespodzianie.

Pisząc z podróży do narzeczonej, Mirkin dodawał zawsze, aby zawiadomiła Zosię o dacie jego powrotu do

Warszawy. A Helena dokładała wszelkich starań, aby w wymienionym przez Mirkina dniu siostra powróciła z Łodzi czy innego miasta fabrycznego, w którem „pracowała“. Zosia powracała też zawsze.

Wolny czas podczas takich pobytów w Warszawie spędzał Mirkin częściej z Zosią niż z narzeczoną. I to uważała Helena za naturalne, a jeśli nawet bolało ją to, nigdy wyrzut nie zjawił się na jej ustach. „Mają oni do omówienia poważne i doniosłe sprawy“ — ta myśl uspokajała ją zawsze.

Jeżeli mimo wszystko budziło się w niej kiedy lekkie powątpiewanie, wstydziła się swojej małostkowości.

Coprawda od czasu do czasu Helena miewała chwile słabości, kiedy mówiła nawpół żartem, nawpół serjo:

— Macie ciągle tyle wspólnych spraw, że zaczynam być zazdrosna!

Ale Zosia spoglądała na siostrę zdumiona i odpowiadała, kiwając współczująco głową:

— W tych czasach są naprawdę ważniejsze rzeczy od sentymentalnych scen miłosnych!

A Helena czuła się w najwyższym stopniu zawstydzona.

Przez Zosię zetknął się Mirkin z towarzyszem Markiem.

Towarzysz Marek pochodził ze szlachty polskiej, ale nie podzielał bynajmniej jej sentymentalnych marzeń o niepodległej Polsce, które z wybuchem wojny stały się głównem hasłem i pobudką Polskiej Partji Socjalistycznej i wpłynęły na całą jej działalność. Tylko pogardę miał dla owych żywiołów socjalistycznych, które brały udział w stworzeniu legjonów Piłsudskiego, a wszelką działalność, mającą na celu wyzwolenie ojczyzny polskiej, uważał za reakcyjną. Dlatego też znajdował się w nieustannej walce z partjami patrjotyczno-socjalistycznemi. „Ojczyzną“ jego była rewolucja światowa, epoką

mesjańską — ustrój świata po rewolucji socjalnej. Jak wyjdzie na tem własna jego ojczyzna, to mu było zupełnie obojętne, byle nastąpiło „panowanie klasy robotniczej“. Ojczyzna bez dyktatury proletarjatu była dla niego burżuazyjnem państwem wyzyskiwaczy, które zawczasu należało zwalczać. Z chwilą wybuchu wojny wszedł natychmiast w porozumienie z rosyjską centralą partyjną w Petersburgu, odbierał stamtąd instrukcje i rozpoczął podwójną działalność propagandową: w fabrykach i na froncie.

Jedno tylko porównanie stosowne jest dla tego człowieka: Arcykapłan jakiegoś bożka w starożytnym Babilonie.

Nierzadko zdarza się w naszych czasach, że postacie z dawno minionych epok zmartwychwstają i biorą udział w życiu dzisiejszem. Takie wrażenie budził już wygląd zewnętrzny Marka: Blada twarz ascety, na nienaturalnie wąskiej, podłużnej czaszce brak było tylko czerwonawo-żółtej, kutej w miedzi mitry. Z twarzy tej trudno było poznać wiek. Towarzysz Marek mógł mieć czterdzieści lat, ale mógł też być o wiele młodszy albo starszy. Na woskowo-żółtej skórze, powlekającej jego kości policzkowe, rysował się wyraźnie szkielet głowy, jakby chciał przebić suchą powłokę pergaminową. Z tego szkieletu głowy, obciągniętego skórą, wyrastała krótka, jakby martwa, rudawoblond broda. Przy mówieniu na wysokiem czole ukazywały się rozgałęzione żyłki niebieskie, i miało się wprost wrażenie, jakby się widziało we wgłębieniach skroni pracę mózgu.

Tylko oczy ożywiały tę żółtą, nieruchomą twarz. Ale działanie ich polegało na zdumiewającem podobieństwie do oczu trupa. Gałki, ukryte głęboko w wielkich oczodołach, migotały lodowatym, metaliczno-zielonym blaskiem, jaki miewają oczy topielców. Cień, jaki rzucały na oczy wystające kości czołowe, potęgował ten dziwny

blask. Gdy Marek spoglądał na kogoś, oczy cofały się jeszcze głębiej i nieufnie czatowały na przeciwnika. Niby człowiek, gotujący się do skoku, cofały się o krok, aby potem z podstępnie-zielonym, kocim blaskiem skoczyć na wroga i chwycić go za gardło...

Naturalnym tonem nie mówił nigdy: albo krzyczał (zazwyczaj na zebraniach i wiecach), aż zdawało się, że żyły na jego czole muszą pęknąć, albo szeptał, ale poważnie i przejmująco: tym szeptem przemawiał, zwracając się do oddzielnych osób. Trzymał przytem zawsze partnera zaciśniętą pięścią za krawat albo surdut, a jeżeli to była kobieta, za bluzkę, mówił głębokim, pustym, poważnym głosem i co chwila przerywał sobie pauzami, jakby liczył słowa i jakby każde z nich było rozżarzonym oszczepem, który chciał wbić przeciwnikowi w serce.

Człowiek ten przyciągał kobiety z taką samą siłą, jak światło ćmy. Otaczały go zarówno młode i piękne, jak stare i brzydkie — panienki ze sfer mieszczańskich, robotnice fabryczne, służące, ale przeważnie kobiety o ciężkich, czarnych koronach włosów i wybitnych semickich rysach. Był w nim jakiś magiczny czar, który dawał mu nieprzezwyciężoną władzę nad kobietą.

Kiedy poważnym, cichym, niemal pobożnym tonem przemawiał kobietom zbliska prosto w twarz, utkwiwszy w nich przytem martwe oczy, ogarniała je religijna ekstaza, czuły się wciągnięte w jakieś tajemnicze, boskie misterjum. Gotowe były żywcem skoczyć w ogień, co więcej, błagały go, aby im to rozkazał. A on spełniał ich życzenia. Bez drgnienia powieki, bez zbytecznego słowa, nawet bez uśmiechu podziękowania posyłał je — na śmierć. Nie oszczędzał żadnej, nawet własnej żony, którą niedługo przed porodem wysłał do zagłębia węglowego, aby agitowała tam wśród górników; nie powróciła już. Fakt ten był powszechnie znany; ale nie

odstraszało to dziewcząt i kobiet — przeciwnie, podniecało je i bardziej jeszcze pociągało do niego. Niby arcykapłan Molocha składał w ofierze dziewczęta i kobiety, które tłoczyły się dokoła niego. Jedne wysyłał z zabronioną literaturą propagandową na front, co przy surowej kontroli żandarmerji polowej oznaczało pewną śmierć, inne z bronią do miast fabrycznych. A gdy dziewczyna jakaś przypadkowo powróciła kilka razy szczęśliwie z takich niebezpiecznych wypraw, towarzysz Marek stawał się natychmiast podejrzliwy i poddawał ją surowemu, inkwizytorskiemu wprost przesłuchaniu. Rezultat bywał zawsze jednakowy: albo Marek pozostawiał towarzyszkę w zamkniętym numerze hotelowym, z rewolwerem na stole, proponując jej, aby dla usunięcia wszelkich wątpliwości sama odebrała sobie życie — albo powierzał jej nowe zadanie, z którego już jednak nie powracała...

Zosia tak samo wpadła we władzę tego człowieka, jak wszystkie inne kobiety. Mimo swego władczego usposobienia poddała się towarzyszowi Markowi z psiem posłuszeństwem i drżała wprost przed jego cieniem. Mirkin nie mógł zrozumieć władzy towarzysza Marka nad Zosią; i trzeba dodać, że właśnie wskutek jego wpływu na nią nienawidził go.

Do nieprzyjaźni tej przyczyniała się też zapewne świadomość własnej słabości, jakiej doznawał Zachary w stosunku do towarzysza Marka.

„Na czem polega jego potęga?“ — zadawał sobie ciągle pytanie.

Chciał stłumić siłą to uczucie, którego się wstydził, i usprawiedliwiał się przed sobą.

„Działa tutaj wola rewolucyjna, jaka płynie z towarzysza Marka. Dzięki niej panuje nad wszystkimi, także nad Zosią“.

Przez Zosię dostał się i Mirkin — podobnie jak

inni — pod wpływ towarzysza Marka. Choć nigdy nie zdołał przezwyciężyć antypatji, nieprzyjaźni, a także — pewnej nieufności wewnętrznej wobec Marka, spełniał jednak wszystkie jego polecenia, narażając często nietylko własne życie, ale dzieło swoje, Komitet Pomocy. Wiedział, że popełnia przez to przestępstwo wobec cierpiących, wiedział, że nie wolno mu tego robić — a jednak robił to. Stopniowo stał się Mirkin czemś w rodzaju łącznika między Markiem a jego towarzyszami w miejscowościach obszaru frontowego, dokąd w związku ze swoją akcją pomocy często jeździł.

Ze względu na konspiracyjny charakter ich stosunku, a także z motywów osobistych utrzymywał Mirkin kontakt z towarzyszem Markiem nie osobiście, lecz przez Zosię, z którą łączyła go coraz bliższa zażyłość...

Podczas jednej z takich podróży nastąpiła ofensywa niemiecka pod Gorlicami. Front rosyjski cofnął się daleko w głąb kraju, a Warszawa zajęta została przez nieprzyjaciela.

Mirkin został odcięty od narzeczonej i jej rodziny.

MESJAŃSKIE CZASY

Front rozpętał całe swoje krwawe okrucieństwo. Mikołaj Mikołajewicz chciał się zemścić na Niemcach, wylewając bezsilną wściekłość na ludność żydowską, bezbronną i wydaną na łup jego samowoli. Po przerwaniu frontu pod Gorlicami prawe skrzydło armji rosyjskiej musiało się również cofnąć pod Kownem. W odwrocie Mikołaj Mikołajewicz ogniem i mieczem ewakuował Żydów z małych miasteczek litewskich.

To, co się działo przedtem w gminach żydowskich w Polsce, w Sochaczewie, Skierniewicach i Grodzisku, było zabawką w porównaniu z nieludzkiemi mękami, jakie tyran ten zadawał bezbronnej ludności żydowskiej

na Litwie. Wielkie miasta — jak naprzykład Kowno — musiały być na rozkaz naczelnego dowództwa ewakuowane w ciągu kilku godzin. Około trzydziestu tysięcy Żydów z żonami i dziećmi wypędzono bagnetami i kolbami z mieszkań i domów i załadowano jak bydło do towarowych wagonów. Położnice i chorych, którzy nie mogli opuścić łóżek, oficerowie poprostu zabijali wystrzałem rewolweru, aby — jak brzmiał okrutny żart tych morderców — „ułatwić ucieczkę" ich krewnym. Jak śledzie wciskano nieszczęśliwych bez wyboru do wagonów — dorosłych i dzieci, zdrowych i chorych, bez powietrza, bez żywności, bez napoju, ciało przy ciele, fragmenty ludzkie ze splecionych bezładnie członków, pstrokaciznę skłębionych części ubrań. Wagony, poprzyczepiane do uruchomionych naprędce lokomotyw, mknęły ze swoim nieszczęśliwym ładunkiem przez pola i lasy ku celowi, którego nikt nie znał. Nie ludzie oszaleli — oszalał świat: Kwitnące pola, zieleniejące lasy kręciły się w obłędnym korowodzie dokoła ciężko naładowanych wagonów.

Centralny Komitet Pomocy czynił wszystko, co było w jego słabych siłach, aby — o ile się dało — ulżyć niedoli. Mirkin jeździł nieustannie od jednego miasta do drugiego i organizował lokalne komitety niesienia pomocy.

Uboga ludność żydowska małych miasteczek, przez które przejeżdżały natłoczone pociągi, przynosiła na stacje ostatnie kęsy, pełne fartuchy chleba, imbryki gotowanej wody, dzbanki mleka, i podawała to owym fragmentom ciał ludzkich, które co dziwna — chociaż stłoczone jak towar — potrzebowały jeszcze pożywienia...

Biadanie, które poprzez zamknięte drzwi wagonów brzmiało przez całą drogę, wywoływało wśród ludności żydowskiej w poszczególnych miejscowościach paniczne

przerażenie, gdyż brzmiało ono, jakby ludzie w wagonach niby winogrona miażdżeni byli masą własnych ciał. A z drzwi i szpar mknących naprzód wagonów kapała krew, wypadały trzewa ludzkie na szare pola Litwy.

Niezatarcie wryły się w pamięć Mirkina twarze nawpół oszalałych matek, które przez kraty małych okienek i wąskie szpary rozsuniętych drzwi podawały stojącym na dworcach Żydom swoje rzężące, konające dzieci.

Na każdej stacji wagony wypluwały zwłoki jakiegoś zmarłego, który udusił się w drodze lub z braku pomocy uległ jakiejś chorobie. Matki i krewni ufnie oddawali swoje dzieci i swoich zmarłych obcej a przecież tak bliskiej ludności żydowskiej nieznajomych miasteczek, jeżeli tylko policjanci — wbrew surowemu zakazowi — pozwalali na to przez ludzkość. Ci najnieszczęśliwsi z nieszczęśliwych mieli przynajmniej tę pociechę, że powierzyli swoich bliskich braterskim rękom. Poczucie wspólnoty, zaszczepione w krwi żydowskiej przez wieki wspólnej niedoli, zbudziło się znowu. Krew żydowska stała się krwią jednej matki i jednem tętnem płynęła w ciałach. Wspólny ogień stopił razem wszystkie żywoty żydowskie.

Chociaż Mirkin przebiegał w obszarze frontowym miasteczko za miasteczkiem, ani razu jednak nie miał sposobności spojrzeć śmierci prosto w oczy. Niezliczone razy zatrzymywała go żandarmerja polowa, podejrzewając go o uprawianie szpiegostwa lub propagandy rewolucyjnej; zawsze jednak ratowała go zimna krew i obojętność wobec śmierci, darzące go pewnością siebie, jaka jest w takich wypadkach konieczna. Z taką samą obojętnością, jak do śmierci, odnosił się też do tyfusu. Transporty fragmentów ludzkich stały nieraz po całych dniach na dworcach małych miasteczek. Straszliwa ciasnota i brud, jaki się podczas tylu tygodni na-

gromadził w wagonach, wywoływały wśród wygnańców najrozmaitsze choroby zakaźne. Gdy podawano nieszczęsnym żywność, trzeba było zarazem usuwać z wagonów nawpół zgniłe trupy. Można to było zazwyczaj uskutecznić tylko zapomocą wielkich łapówek, rozdawanych służbie stacyjnej i miejscowej policji.

Mirkin wchodził do wagonów, zarażonych tyfusem, i stykał się z chorymi. Stale spodziewał się infekcji — ale zdawało się, że śmierć nie chce go zabrać. Każdej chwili był gotów umrzeć; cóż znaczyło jego nędzne życie wobec tego morza zniszczenia? Ale właśnie dlatego, że ośmielał się zbliżać do śmierci, śmierć oszczędzała go.

Obserwując braterskie współżycie mas żydowskich, które tak wyraźnie wyszło najaw w chwili niedoli, zadawał sobie pytanie: dlaczego idea braterskiego współżycia nie może ogarnąć całej ludzkości? Krew całego gatunku ludzkiego ma ten sam skład chemiczny. Prawdopodobnie i popęd społeczny był niegdyś elementarną siłą charakteru ludzkiego, stopniowo jednak przytłumiono go w człowieku. Proces ten zaczął się już zapewne u człowieka pierwotnego wskutek polityki rodowej. Zabiły zaś popęd społeczny płomienie, jakie wznieciły w rasie ludzkiej pojęcia religji i ojczyzny. Gdy kiedyś zjawi się wielki Mesjasz, zadaniem jego będzie przywrócić przedewszystkiem do życia to poczucie wspólnej krwi macierzyńskiej. Wówczas dopiero nastąpi prawdziwe zbawienie świata, wyzwolenie się od indywidualności i powrót do społeczności. Wówczas dopiero ustanie panowanie zła i zacznie się królestwo dobra. Nad ziszczeniem tego ideału trzeba pracować już teraz, trzeba go szukać już teraz, pośród pożogi bratobójczych mordów, pośród wszechświatowej wojny...

Pewnego dnia znajdował się Mirkin na jakiejś małej stacyjce. Nagle zauważył zbiegowisko. Zbliżył się, aby

zobaczyć, co się stało. Kilka wagonów z jeńcami austrjackimi, których przewożono z frontu w głąb kraju, zatrzymało się na stacji. Ludność miejscowa, chłopi i Żydzi, otoczyła wagony, przyglądając się przerażonym żołnierzom nieprzyjacielskim w obcych, postrzępionych mundurach i starając się doszukać w nich owych rzekomych przeraźliwych bestyj, których okrucieństwo usprawiedliwiać miało nienawiść, jaką wzniecono w narodzie dla umotywowania wojny. Ale ludzie miejscowi nie mogli dostrzec w nieprzyjacielu nic niezwykłego. Byli to tacy sami ludzie jak oni: smutne, przygnębione twarze, na których malowała się ulga z powodu niewoli, a zarazem trwoga przed nieznanym losem, jaki czekał ich w obcych krajach..

— Ludzie jak my — niema różnicy, — rzekł ktoś z tłumu.

Jakaś wieśniaczka dźwigała na ramieniu kosz z jajami i masłem, które przyniosła do miasta na sprzedaż. Przecisnęła się do wagonu i podała koszyk zdumionym, zalęknionym jeńcom.

— To przecież nieprzyjaciele! — zawołał ktoś z niezdecydowanym wyrzutem.

— Nakarmijmy ich. Zato ich matki dadzą jeść naszym synom, kiedy się dostaną do niewoli, — odpowiedziała wieśniaczka naiwnie.

Tłum zrozumiał ją i przyłączył się do jej zdania.

Na Mirkinie prosta ta scena zrobiła silne wrażenie. Wzruszał go wszelki czyn ludzki, rozjaśniający jak promień słońca posępne i krwawe dni walk bratobójczych. Każdy akt humanitarności, rozgrywający się na froncie między żołnierzami wrogich wojsk, budził w Mirkinie, kiedy o tem słyszał, nową nadzieję i nową wiarę, był dla niego przypomnieniem, że c z ł o w i e k żyje jeszcze, oddycha jeszcze pod przygniatającą go górą trupów.

Mirkin doznał pragnienia, aby podejść do wieśniacz-

ki, ukłonić się jej nisko i podziękować za radość, jaką w tych dniach posępnych wznieciła w sercach ludzkich. Ale nie uczynił tego, aby nie wzbudzać uwagi otaczających. Czekał jednak na kobietę przed dworcem, a gdy odeszła zadowolona, pobiegł za nią i zastąpił jej drogę; potem ujął jej ciężką, zbróżdżoną rękę robotniczą, wycisnął na niej pocałunek i zawrócił bez słowa.

Wieśniaczka z przerażeniem spojrzała za nieznajomym, splunęła i przeżegnała się.

A potem nadeszły „mesjańskie czasy". To, co niemożliwe, stało się rzeczywistością; to, co tak dalece wydawało się wolą nieba i boską potęgą, że walka z tem była niby walka z niebem — leżało zdeptane, pokonane pod stopami ludu, nędzne, żebrzące o życie i dygoczące. Bożek spadł ze swego nieba — car z tronu; nastały mesjańskie czasy, cud mesjaszowy stał się. I nadeszły dni lutowe w Petersburgu! W jasnym blasku słonecznym — zaprawdę, codzień świeciło w tym lutym petersburskim słońce: czy śnieg padał, czy burze szalały na świecie, w Petersburgu ciągle świeciło słońce — oswobodzone, wyzwolone tłumy ludzkie falowały po ulicach. Wszędzie płomienna czerwień: czerwień na białym śniegu, czerwień nad czarnemi głowami ludzkiemi, czerwone sztandary nad zasypanemi śniegiem pochodami demonstrantów, czerwień w butonierkach, czerwone przepaski na rękach, kryształki śniegu na czerwonych chustach. I biała ziemia, i czarni ludzie.

Dokąd prowadzi droga? Co mnie to obchodzi? We wszystkich pochodach płoną stłoczone gęsto ciała ludzkie. Człowiek — Ojciec, żołnierz — Syn, a nad nimi unosi się w płomiennej czerwieni Duch Święty.

Tak się dzieje od Dumy do Pałacu Taurydzkiego, od zebrania żołnierzy do sali Katarzyny, od Domu Ludowego do dawnej willi metresy carskiej Kreszyńskiej.

Co mię obchodzi, dokąd dąży demonstracja?! Wszystkie wole stopiły się razem, żyje tylko siła, siła mesjańskich czasów, zdolna urzeczywistnić wszelką wolę, wolę wszystkich ludzi.

Pewnego razu tłum omal nie rozszarpał go na kawały: Gromada ludzi otoczyła groźnie mężczyznę w futrzanej czapie, z czarną, przystrzyżoną brodą. Niektórzy poznawali w nim znienawidzonego dyrektora więzienia petersburskiego, Płatonowa.

Z śmiertelnem przerażeniem w dziecięcym wzroku wybałuszonych oczu leży ten człowiek na ziemi, otoczony wściekłą ciżbą, wyciąga ramiona, szukając pomocy, i bełkocze dziecięce, bezradne słowa. Sztywne, czarne włosy brody poruszają się w trwodze, jakby błagały o litość.

W mesjańskiej godzinie wyzwolenia serce wezbrane jest łagodnością i przebaczeniem.

Mirkin przyłącza swoje prośby do próśb silnego a jednak podobnego do dziecka człowieka, który leży na brudnym śniegu:

— Puśćcie go towarzysze! I tak już nie może zrobić nic złego!

Tłum odpowiada:

— To jest znienawidzony Płatonow! Pachołek katowski!

Mirkin wstawia się znowu za silnym mężczyzną:

— Puśćcie go! Nie czyńcie mu nic złego!

Jakiś marynarz zbliża się i przeciska przez gęsty tłum do człowieka, leżącego na szarym śniegu; swobodnie, bez nienawiści lub gniewu, ze skręconym z machorki papierosem w kąciku ust, wyciąga z kieszeni rewolwer, przykłada go do skroni leżącego — i zanim ofiara ma czas krzyknąć „nie!“, głowa jej opada na śnieg, a nieruchome, zimne oczy spoglądają na ludzi niemo, ze zdumieniem.

— A kto to jest? — pyta kilku, wskazując na Mirkina.

Marynarz podchodzi do niego z rewolwerem w ręku i obserwuje go obojętnie, paląc dalej papierosa.

Mirkin śmieje mu się w twarz:

— Strzelaj, jeżeli chcesz! Wszystko jedno — jest rewolucja!

Marynarz chowa rewolwer do skórzanej pochwy i wysuwa się z gromady. Ratuje to Mirkinowi życie, ludzie pozwalają mu odejść. Czuje na wargach gorzki posmak śmierci, jakby rozgryzł kawałek zatrutego mięsa — ale słońce świeci i śnieg pada na czerwone sztandary i płachty.

Pochody manifestantów, chóry — Mirkin ginie w tłumie, jest oszołomiony białym śniegiem, czerwonemi sztandarami, jak ciężkim winem; ale posmak trucizny na wargach nie znika!

Od dzieciństwa wyczuwa Mirkin we wszelkiej radości żałobę, we wszelkiem święcie dzień powszedni. Czuje więc i teraz w śpiewie tłumu żałobę i — pustkę. Powodu nie umie sobie wyjaśnić. Ma wrażenie, jakby serce jego toczył czerw.

Gdy potem przemija miodowy miesiąc rewolucji, w duszy Mirkina staje się jaśniej. Uczucie pustki przenika w niego coraz głębiej i coraz potężniej. Święta minęły — ma się wrażenie, jakby wszystko pozostało po dawnemu. Z wesołym brzękiem dzwoneczków mkną po ulicach Petersburga saneczki, wielkie restauracje toną w morzu świateł, kinematografy grają nadal — a po wąskich bocznych uliczkach włóczą się bezdomni, obdarci żołnierze, zmierzając do przejętej przez rewolucję wspaniałej, rzęsiście oświetlonej sali Katarzyny, na zebranie oficerów i szeregowców.

Na trybunie siedzą bogowie. Stary prowodyr liberalnej Rosji każe z namaszczeniem:

— A teraz, drogie dzieci, żołnierze — organizować zwycięstwo! Pierwszy obowiązek rewolucji, to żelazna dyscyplina wobec przełożonych! Prowokacja niemiecka nie złamie naszej jedności! Owoców rewolucji możemy zakosztować dopiero po ostatecznem zwycięstwie!

Sekunduje mu, uśmiechając się z zadowoleniem, polityk demokratyczny:

— Cel nie jest jeszcze osiągnięty. Rewolucja to dopiero pierwszy etap, końcem zaś jest — Konstantynopol. Rewolucja musi urzeczywistnić pragnienie wieków!

Wstaje arcykapłan we własnej osobie. Jest niski, a szczeciniaste włosy przystrzyżone ma krótko — fryzura cara. Staje na palcach, aby wydać się wyższym, i woła ochrypłym głosem:

— Za chwałę rewolucji! Musimy przekonać naszych sprzymierzeńców, że nawskroś przegniły carat nie mógł osiągnąć sukcesów militarnych, ale że rewolucja będzie zwycięska!

Czerwone sztandary powiewają w zalanej światłem marmurowej sali. Okrzyki „hurra“ uderzają o biały sufit. Oficerowie podnoszą na rękach arcykapłana rewolucji. Wszyscy podsuwają mu pocztówki z jego fotografją; a on z gestem primadonny rozdaje autografy i podaje podpisane karty zarumienionym z zachwytu młodym damom, które go otaczają. Ale czerwone sztandary powiewają i nie bledną, czerwonych płacht z napisami nie spala ogień, nie pożera wstyd i hańba.

Samotny, ogarnięty swoim nastrojem jak urokiem, wałęsa się Mirkin po ulicach, strojnych jeszcze w świąteczne szaty czerwonych sztandarów i białego śniegu, i szepcze jak w modlitwie:

— Mesjańskie czasy — a niema Mesjasza! Mesjańskie czasy — a nikt nie myśli o tem, aby wyzwolić świat z przekleństwa wojny, co niby okrutny wilk wżarła się w gardła ludzi, wpiła w nich kły i pazury, aby ich po-

szarpać na kawały! Nikt nie myśli o tem, aby powstrzymać bestję-wojnę! Arcykapłani rewolucji czynią wszystko, by zaostrzyć pazury szalejącego zwierzęcia!

Niekiedy zaś ma wrażenie, jakby rewolucja sama była tym bożkiem. Moloch przebrał się, wdział na głowę czerwoną perukę rewolucyjną, aby złudzić swoje ofiary jej barwą. Stare metody zwabiania ciał ludzkich do jego żarłocznej paszczy nie skutkują już; „car“ i „ojczyzna“ to już zużyte słowa. Więc Moloch wymyślił nowe: „Rewolucja“. A ci, co siedzą na trybunie, ozdobili paszczę Molocha płomiennie czerwonemi sztandarami, stoją obok niej i wabią ludzi pomiędzy jego straszliwe kły — w imię rewolucji...

W owych dniach rozpaczy spotkał Mirkin przypadkowo adwokata Halperina. Adwokat, który zrobił wielką karjerę i pozostawał w ścisłym kontakcie z rządem, często wygłaszał teraz na zebraniach żołnierzy i oficerów patrjotyczne przemówienia, których konkluzją było: „wytrwać aż do ostatecznego zwycięstwa“. Przedewszystkiem apelował do młodzieży żydowskiej, aby okazała teraz rewolucji patrjotyczną wdzięczność za uzyskane swobody. Na jednem z takich zebrań spotkał go Zachary Mirkin.

Chciał go wyminąć, zwłaszcza, że lękliwie unikał w Petersburgu zetknięcia się z osobami ze sfery ojca. Ale Halperin poznał go już — niełatwo wprawdzie, gdyż Mirkin zmienił się bardzo w ciągu trzech lat wojny i postarzał się silnie. Adwokat zawahał się w pierwszej chwili, czy ma odnowić znajomość z Zacharym; ale ostatecznie podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł tonem napomnienia, jakby wczoraj dopiero widział Mirkina:

— Młodzieńcze, na front! Musimy swoją ofiarnością w służbie ojczyzny dawać innym przykład!

Gdy Mirkin spojrzał na niego zdumiony, nie rozumiejąc nic, dodał:

— Syn mój jest w szkole lotniczej, Nina Salomonowna i jej matka po całych dniach zajęte są robieniem bandaży. My, Żydzi, musimy przodować!

Mirkin odwrócił się. Adwokat odszedł z podniesioną głową.

Słowo „bandaże" uderzyło Zacharego jak obuch. Ujrzał małą Ninę, teraz jego macochę, i cichą, wytworną Olgę Michajłownę, siedzącą w swoim buduarze i zwijającą bandaże. Prawdopodobnie „Anglik" pomagał także, nie spuszczając przytem aksamitnego wzroku z dekoltu Olgi Michajłowny.

Gdy Zachary wyszedł na ulicę, ujrzał, dla kogo eleganckie panie przygotowywały bandaże: Po moście Newskim maszerowały długie szeregi żołnierzy w rynsztunku bojowym, zdążając ku dworcowi Moskiewskiemu.

Nie towarzyszyły im już pieśni. Szli poważnie i niemo; głucho dudniły na pokrytym śniegiem moście kopyta koni oficerskich.

Wskutek nalegań sprzymierzonych posłów i pełnomocników wojskowych przygotowywał Kierenski bezsensowną ofensywę przeciwko Galicji, „na chwałę rewolucji".

„Okres pięknych słów przeminął; teraz kolej na bagnety", pomyślał Mirkin. I dodał głośno:

— Mesjańskie czasy — a Mesjasza niema!

PRZED OSTATECZNEM ZWYCIĘSTWEM

Śnieg stopniał, wszystko zazieleniło się, a wraz z łagodniejszym wietrzykiem zawitał nowy zapał i nowa nadzieja — ale czerwień pozostała, wzmogła się jeszcze. Pochody uliczne nie kończyły się: żołnierze z karabina-

mi i — czerwonemi szarfami, żołnierze z czerwonemi sztandarami. Któżby przypuścił kiedy, że to zobaczy? Wydaje się to snem albo mirażem śniegów syberyjskich, a jednak jest rzeczywistością — żołnierze z karabinami i czerwonemi sztandarami! Nietylko przez dzień lub dwa — nie, przez tygodnie i miesiące! Coraz mniejsze stają się racje chleba, z dnia na dzień gorsze. Cukru i soli w wolnym handlu nie można już dostać. Ale kto zważa na takie drobiazgi, kiedy żołnierze maszerują po ulicach z czerwonemi kokardami na ramionach i czerwonemi chorągiewkami w lufach karabinów?

Mirkin mieszka w małym pokoiku w tanim hotelu na przedmieściu Petersburga. Podczas wojny przyzwyczaił się nosić bieliznę tak długo, aż zgnije, ubrania i buty, aż się rozpadną, a kąpieli także zbyt poważnie nie traktuje.

W takim stanie spotyka kiedyś ojca. Zachary nie jest bynajmniej stropiony. Stary Mirkin robi ruch, jakby chciał podejść do niego. Ale po chodzie syna poznaje, że Zachary nie zatrzyma się, więc zanim syn ma czas pośpieszyć dalej, ojciec wymija go, jakby go nie widział.

Dla siebie samego potrzebuje Mirkin mało; jada w kuchniach publicznych, często z kotłów żołnierskich w koszarach, jeżeli tylko jest tam co jeść; a rację chleba zawsze może dostać. Czegóż trzeba więcej, gdy po ulicach maszerują pochody z czerwonemi sztandarami, żołnierze z czerwonemi kokardami?

Każdy dzień jest dniem świątecznym, co godzina prawie przywożą koleje do stolicy słynnych mężów. Każdym pociągiem przyjeżdżają oni ze wszystkich stron świata — z zesłania syberyjskiego, z zagranicy na dworzec Finlandzki, nawet na Warszawski dworzec w zaplombowanych wagonach niemieckich. Codziennie zbierają się manifestanci przed dworcami, a żołnierze niosą

bohaterów rewolucji na ramionach. Chorągwie powiewają na wietrze, płomienne mowy brzmią we wszystkich językach. Pochody po mieście. Ogląda się Pałac Zimowy i tron cara, zwiedza Dumę i Pałac Taurydzki, gdzie mieści się Rada Robotników i Żołnierzy. Ale z każdym dniem sytuacja staje się coraz bardziej skomplikowana, coraz kłopotliwsza, po każdym dniu świątecznym racje chleba zmniejszają się, ubranie jest coraz droższe, coraz trudniej je zdobyć.

Lud łaknie pokoju i owoców rewolucji — ale nikt nie potrafi dać mu pokoju. Niby piernik głodnemu dziecku przyświeca masom cel rewolucji — ziemia, fabryki, wolność i inne skarby, o których wiele mówi się na zebraniach; i masy wyciągają pożądliwie ręce — ale nie mogą dosięgnąć tego, co tak blisko widzą przed oczyma...

W pierwszych tygodniach, podczas miodowego miesiąca rewolucji, kiedy to, co niemożliwe, stało się możliwem, oczekiwano cudu z innej strony i spodziewano się, że nieprzyjaciel pójdzie za przykładem Rosji, że ludy ponad głowami swoich władców podadzą sobie ręce. Cud nie stał się. Ogniem i mieczem rozerwano ręce, dążące ku sobie nad okopami i zasiekami z drutu kolczastego. Każda próba zbratania się, każdy dowód przyjaźni dławiony był przez Niemców prochem i ołowiem. Bezsensowna ofensywa Kierenskiego na froncie galicyjskim do reszty poderwała korzenie uczucia braterskiego, jakie w pierwszych tygodniach rewolucji zakwitło w sercach ludzkich po obu stronach frontu. Militaryzmowi niemieckiemu dostarczyła ta ofensywa pożądanej sposobności wzniecenia na nowo ognia patrjotyzmu i zbudzenia w Niemcach morderczej nienawiści przeciwko braciom rosyjskim.

Co robić? Jak osiągnąć pokój? Porzucić broń i opuścić front? Znaczyłoby to otworzyć nieprzyjacielowi

bramy rewolucji. Mirkin uczęszczał więc jak wszyscy inni na zebrania w wielkich salach i budynkach cyrkowych Petersburga, aby usłyszeć od mówców zbawcze słowo. Wszyscy przemawiali w imieniu rewolucji, wszyscy byli już ochrypli, wszyscy chcieli tego samego — pokoju. Ale żaden nie wiedział, jak mogło nadejść zbawienie.

Pewnego dnia spotkał Mirkin na dziedzińcu sowietu w Pałacu Taurydzkim człowieka o potężnej, łysej głowie i kałmuckich oczach, którego nazwisko było wówczas na wszystkich ustach.

Był on najbardziej nienawidzonym a zarazem najbardziej czczonym człowiekiem w całym olbrzymiem państwie. Część narodu uważała go za zdrajcę, który przybył do kraju z pomocą nieprzyjaciela, aby pogrzebać zdobytą z trudem wolność i wprowadzić do rewolucyjnej Rosji niemiecką pikielhaubę. Inni natomiast widzieli w nim Mesjasza, jedynego, kto mógł przynieść zbawienie, nowego Mojżesza, który zjawił się w cudowny sposób, aby wydobyć bezradny naród z głębokiej przepaści, w jaką wtrącili go liczni wrogowie mas; dla nich był on zbawicielem, jedynym człowiekiem, zdolnym zdeptać dławiącego wszystkich węża — wojnę.

Człowiek ten stał na dziedzińcu pałacu sowietu wśród niewielkiej grupy mężczyzn w mundurach i po cywilnemu oraz kilku kobiet; zdawało się, że polemizuje z zapałem i uniesieniem. Mirkin zbliżył się do grupy, obserwując mówiącego. Był on ubrany w płaszcz deszczowy cudzoziemskiego kroju, uszyty widocznie nie na jego miarę, ręką, w której trzymał zgnieciony kapelusz, wykonywał ruchy, jakby chciał kogoś powalić uderzeniami. W tym samym takcie, co ręka i kapelusz, poruszało się też krępe ciało, które w stosunku do szerokości i olbrzymiej czaszki wydawało się niemal niskie. Broniąc swoich poglądów, wydął nienaturalnie szero-

kie nozdrza i skrzywił kurczowo wargi, jakby chciał złowić gęsty wąs. Szeroko wykrojone oczy mongolskie były nawpół przymknięte, jakby je oślepiało jaskrawe światło.

Niezwykle wielka głowa tego człowieka budziła w Mirkinie niemal cześć. Goła czaszka wydawała się przedłużeniem czoła. Na tem połyskującem czole, pokrytem siecią niebieskawych żyłek, gromadziły się chmury; sprawiało to wrażenie, jakby w sklepieniu tej czaszki obracała się maszynerja świata, a ruch jej widoczny był na olbrzymiem czole.

Podobnie jak inni, Mirkin przysłuchiwał się jego słowom z uwagą i szacunkiem. Mówił właśnie o wojnie:

— Musi się stać jedno z dwojga! — powiadał. — Albo wojna zdławi rewolucję, albo — jeżeli to nie ma nastąpić — rewolucja musi pokonać wojnę, i to natychmiast, bez zwłoki! Do tego jednak zdolna jest jedna tylko potęga: proletarjat! Władza musi przejść całkowicie w ręce sowietów. Tylko sowiety zdolne są dokonać tego cudu, aby osiągnąć pokój!

W tej chwili kilku poważanych członków Rady Wojskowej wyszło z gmachu sowietu na dziedziniec; wysokie ich stanowisko można było poznać już choćby po wielkiej świcie oficerów, którzy ich otaczali. Ośrodek tej grupy stanowił niski pan w wysokich butach i ubraniu sportowem o wybitnym kroju wojskowym; gestykulował on z wielkim ożywieniem.

Kiedy grupa ujrzała człowieka o mongolskich oczach, stojącego w kole żołnierzy, wyminęła go starannie, rzucając gniewne spojrzenia i szepcząc pocichu. Krąg żołnierzy wokół człowieka z połyskującem czołem stawał się coraz mniejszy. Kto tylko nosił mundur, starał się oddalić od niego i niepostrzeżenie zbliżyć do drugiej grupy.

Człowiek z mongolskiemi oczyma bardziej jeszcze

wydął nozdrza, a dolna jego warga skrzywiła się w niemiłym, zimnym uśmiechu.

Z chwili tej skorzystał Mirkin, aby podejść do niego. Skromnym, pohamowanym, niemal lękliwym głosem przemówił do niego:

— Pozwólcie mi na jedno pytanie, towarzyszu — jak sobie to wyobrażacie? Jak mogą sowiety przynieść pokój? Nieprzyjaciel...

Mirkin nie mógł dokończyć zdania, gdyż przerwało mu nieufne spojrzenie. Mężczyzna zmrużył jedno oko, a nozdrza jego ściągnęły się. Nie otwarte, ale przymknięte oko mierzyło twarz Mirkina badawczo i podejrzliwie. Lecz w rysach lub głosie Zacharego było widocznie coś, co budziło zaufanie do niego. Zimny uśmiech okolił usta mężczyzny, a szerokie kości policzkowe wystąpiły silnie pod ciemnożółtą skórą twarzy; potem odpowiedział — nie bezpośrednio, lecz pytaniem:

— Do kogo mają mieć zaufanie nasi towarzysze, proletarjat niemiecki? Może do ludzi, którzy rozpoczynają nową ofensywę przeciwko żołnierzom niemieckim? Gdy jednak cała władza przejdzie w ręce sowietów, będzie to dla proletarjatu niemieckiego jedyną gwarancją, że Rosja pragnie prawdziwego pokoju bez aneksji i bez pustych frazesów o zwycięstwie — a wtedy proletarjusze niemieccy zmuszą swoich generałów do sprawiedliwego pokoju.

— Oczywiście... ale, towarzyszu, oczekiwaliśmy cudu z tamtej strony. Niestety, cud ten...

Mężczyzna znowu nie pozwolił Mirkinowi skończyć zdania:

— Towarzyszu, wojna i z tamtej strony dokona swego, podobnie jak dokonała u nas. Fundamenty świata burżuazyjnego są nawskroś przegniłe i dojrzałe do upadku. Świat ten opiera się jeszcze na bagnetach

i armatach. Wierzę w proletarjat niemiecki, podobnie jak wierzyłem w rosyjski, i wierzę w proletarjat wszechświatowy.

— Wiara? — zapytał Mirkin zdumiony.

— Tak, wiara. Wierzyć, pracować i czynić wszystko, aby tę wiarę urzeczywistnić! Jak było u nas, tak będzie i u innych.

— Ale jak można pracować wśród Niemców, towarzyszu, gdy zabijają oni wszystkich dezerterów, przechodzących na ich stronę?

— Rzucili hasło, aby nie brać jeńców, — dodał jakiś żołnierz, który przysłuchiwał się rozmowie.

Otoczenie przeszkodziło człowiekowi z błyszczącą czaszką w kontynuowaniu rozmowy. Gniewne, płonące spojrzenia drugiej grupy, która zatrzymała się na dziedzińcu, nie zwiastowały nic dobrego. Nieliczni mężczyźni i kobiety, którzy otaczali człowieka o mongolskich oczach, szepnęli mu coś na ucho, ujęli go za rękę i pociągnęli z sobą. Miał jeszcze tylko czas odwrócić się do żołnierza, który mówił ostatni, i odpowiedzieć na jego pytanie:

— Jeżeli idzie o zabijanie robotnika niemieckiego, o strzelanie do twego proletarjackiego brata, gotów jesteś narazić życie — a żeby oświecić bliźniego, żeby wyciągnąć do niego braterską dłoń — nie? Poświęćcie się za pokój tak samo, jak na rozkaz tamtych ludzi poświęcacie się za wojnę!

Towarzysze odciągnęli go siłą.

W drugiej grupie, która stawała się tymczasem coraz liczniejsza, rozległy się szepty oburzenia. Teraz jakiś głos oficerski ośmielił się powiedzieć głośno:

— Czy można się dziwić, że nasze operacje wojskowe nie udają się, jeżeli szpiegowie niemieccy bezkarnie agitują w stolicy wśród żołnierzy?

A inny głos stał się jeszcze wyraźniejszy:

— O, gdyby Rząd Tymczasowy chciał wystąpić trochę energiczniej przeciwko zdrajcom!

Od tego czasu Mirkin bywał regularnie w willi tancerki Kreszyńskiej, gdzie znajdowała się główna siedziba bolszewików. Słowo „wiara“, użyte przez człowieka z kałmuckiemi oczyma, wzięło Zacharego w niewolę.

„Tak, o to właśnie idzie — o wiarę w sumienie proletarjatu, które musi się zbudzić wszędzie, jak zbudziło się u nas! Na tem trzeba budować, innej potęgi niema!“

W wyrazie „wiara“ widział Mirkin prawdziwą treść ludzką, prawdziwą wartość ludzką, budującą, etyczną siłę. Uczył go tego niegdyś stary Żyd z Tolestyna, wypowiedział to także towarzysz Anatol: najważniejszym czynnikiem w ukształtowaniu naszego życia ludzkiego jest wiara w siły etyczne. Żyją one, istnieją, nawet jeśli ich nie można dostrzec. Gdy chwila dojrzeje, siły te muszą się zbudzić...

W willi, którą ostatni car z rozrzutnym przepychem zbudował dla swojej kochanki, tancerki polskiej, spotkał Mirkin innych zupełnie ludzi. Miał wrażenie, jakby i tutaj, podobnie jak poza tym domem, świat żył we śnie. Ze wszystkich więzień, ze wszystkich miejsc zesłania przybywali coraz nowi ludzie. Znajome i nieznajome twarze, twarze, które się już gdzieś na pewno widziało, ale nie pamięta się gdzie. A w jednym z licznych pokojów siedziała na miękkiej, różanej kanapce jedwabnej — Zosia! Zosia (tutaj nazywano ją towarzyszką Zofją), siostra jego narzeczonej, dziewczyna o mlecznobiałej cerze, przypominającej cerę jej matki. Zarzuciła na ramiona czarną kurtkę skórzaną, czerwony sznur rewolweru biegnie po jej pełnej piersi. Jedwabiście miękkie włosy, obcięte teraz krótko, gęstemi, ciemnemi lokami spadają z pod junackiego kapelusza męskiego na małe, różowe uszy i jasny, migoczący kark

dziewczęcy, którego mocna nasada tak żywo przypomina szyję jej matki, Racheli Lei. Z rewolwerem w wielkiej pochwie skórzanej i rękoma, jak zwykle, w długich, bronzowych rękawiczkach skórzanych, siedzi Zosia na jedwabnej kanapce, założywszy niedbale nogi w wysokich, sięgających do kolan butach sportowych, i pali papierosa, skręconego z machorki w kawałek papieru! Otacza ją grupa żołnierzy z roześmianemi, zadowolonemi twarzami. Jak zwykle, agituje z zapałem.

— Zosiu!

Okazało się, że dom Racheli Lei był dobrze reprezentowany w willi Kreszyńskiej. Była nietylko Zosia, ale i starszego brata Jasia spodziewano się lada dzień z Syberji.

Zosia przybyła przez kraje neutralne. Niemieckie władze okupacyjne w Polsce po przewrocie rosyjskim pozwoliły wielu rewolucjonistom na wyjazd z Polski zagranicę, do krajów neutralnych. Towarzysza Marka wypuściły nawet z twierdzy, w której był po obsadzeniu Polski internowany, i wystawiły mu paszport zagraniczny. Marek i Zosia czekali w Sztokholmie na pozwolenie wjazdu do Rosji i otrzymali je niebawem od Rady Robotników i Żołnierzy. Teraz znajdowali się w willi Kreszyńskiej i stanowili oddzielną sekcję polską pod kierownictwem towarzysza Marka.

Wspomnienie domu Racheli Lei powiało ku Mirkinowi. Obraz Heleny stanął mu przed oczyma.

— Co porabia Helena?

— Helena, naturalnie... Szkoła została rozszerzona i nauka odbywa się teraz wyłącznie w ojczystym języku żydowskim. Pełno tam teraz dzieci uciekinierów... Za kawałek chleba płaci się w Warszawie na wagę złota. Wszędzie panuje głód, gdyż Niemcy wywożą wszystko z kraju. Ludność cierpi bardzo. U nas w domu nie jest tak źle, gdyż szkoła posiada własną kuchnię, zorgani-

zowaną przez Komitet Pomocy. Matka zajęta jest dzień i noc zdobywaniem żywności dla kuchni szkolnej. Sprawą tą absorbuje całe miasto. Helena oddana jest zupełnie swojej pracy w szkole. Trzeba było otworzyć klasy równoległe, jest więc tyle pracy, że Helena nie ma czasu pomyśleć o sobie. Ojciec dzieli z nią kłopoty prowadzenia szkoły. Matka jest cały dzień na nogach i biega od jednego komitetu do drugiego, aby zaopatrzyć w żywność także kuchnie ludowe, utworzone dla ubogiej ludności. Pada już niemal pod brzemieniem pracy. Ostatniemi czasy skarży się na bóle w nogach, czego dawniej nigdy nie było. Nie sypia po całych nocach. I zanim jeszcze dzień zaświta, już jest przy pracy. Ale kto ma czas myśleć o sobie?

„Helena, ach tak, Helena...“

Mirkin zastanawiał się wprawdzie nieustannie nad tem, w jaki sposób mógłby się z nią skomunikować przez kraje neutralne. Napisał też do niej dwa czy trzy listy, ale nie otrzymał odpowiedzi. Potem i on zamilkł. Kto ma czas na sprawy osobiste?...

— Naturalnie — kto ma czas na osobiste życie? — potakuje Zosi.

Ujęli się za ręce i chodzą po ulicach Petersburga.

Słońce świeci. Najczarowniejsza wiosna, najczarowniejsze lato. Wszystko pokryte kwieciem. Z kasztanów pada na ziemię biało-czerwony śnieg. Całe miasto pełne jest rewolucyjnych żołnierzy i czerwonych sztandarów. Wszędzie wiece. Entuzjastyczne mowy rewolucyjne. Od czasu do czasu Zosia wchodzi na zebraniu żołnierskiem na trybunę, a brunatne jej loki, dysząca szybko pierś dziewczęca, mlecznobiały dekolt pod skórzaną kurtką stanowią skuteczną propagandę; żołnierze wołają „hurra“ i podnoszą mówczynię wgórę...

Lato i rewolucja. To, co najniemożliwsze, staje się możliwe, padają wszelkie szranki. Przeskakuje się góry,

pokonywa się wszelkie przeszkody, dociera się do zasieków i okopów, na skrzydłach wichru nowej epoki, nowego tworzenia...

Kiedyś pocałował Mirkin białą, mocną szyję Zosi. Nie mógł się już opanować. Było to po zebraniu, na którem Zosia przemawiała do żołnierzy. Słuchacze obnosili ją w triumfie. Niby powiewający sztandar szybowała dziewczyna nad ich ramionami. Zagrzana własnemi słowami, wyniesiona na rękach mężczyzn, dostała się na ulicę.

Noc była jasna. Mleczne światło gwiazd zalało świat. Szli oboje jak po obłokach marzenia. Pierś Zosi falowała pod rozpiętą kurtką skórzaną. Niby huragan mknęła z Mirkinem przez ulice Petersburga w białą noc. I wśród ulicy rzucił się jej Zachary jak pijany na szyję i niby opuszczone cielątko zatopił twarz w macierzyńskim, gorącym puszku jej karku.

Silne jej ramiona przyciągnęły go mocno do pełnej piersi, ale natychmiast odepchnęły energicznie:

— Helena! — zawołała Zosia ze zdławionem westchnieniem.

— Tak, Helena, — szepnął Zachary posłusznie.

W milczeniu poszli dalej. Nieco później wsunęła chłodną rękę pod jego ramię i powiedziała cicho:

— Chodźmy do twojego mieszkania!

Siedzieli tam razem przez całą noc. Zachary zrobił herbatę na maszynce spirytusowej. Czarny chleb miał w domu. Zosia wydobyła z kieszeni kurtki kilka kawałków cukru.

— Skąd masz cukier?

— Żołnierze mi przynoszą.

Potem położyli się w ubraniach na łóżku, trzymając się za ręce, i rozmawiali o rewolucji.

W rozmowie padło imię Heleny.

Mirkin oparł głowę o pierś Zosi. Przytuliła go do

siebie mocno jak opuszczonego chłopca i mówiła nieustannie o Helenie, wychwalała jej urodę, jej dobroć i pracowitość. Coraz mocniej przyciskała przytem głowę Mirkina do piersi. Leżeli tak ubrani do rana...

Potem powrócił z Syberji brat Zosi, Jaś — tak go nazywały siostry. Był to ociężały, flegmatyczny mężczyzna w binoklach, typ uczonego. Na wygnaniu napisał dzieło o plemionach tubylczych Syberji i ich narzeczach. Chodził mocno pochylony i mówił bardzo cicho. Ale pod tą miękką, cichą zasłoną żarzył się potężny płomień. Brał on udział we wszystkich fazach wypadków petersburskich, oświadczał jednak, że właściwie wszystko to nic go nie obchodzi, gdyż nie jest Rosjaninem, lecz Polakiem. Zachowanie jego sprawiało wrażenie, jakby był cudzoziemcem, którego wydarzenia w Rosji o tyle tylko interesują, o ile dotyczą jego ojczyzny. Należał jeszcze do owego pokolenia socjalistów polskich, dla których socjalizm związany był nierozłącznie z ideą odzyskania przez Polskę niepodległości. I teraz rewolucja pod tym tylko kątem widzenia miała dla niego znaczenie. Brał udział w tworzeniu legjonów polskich, był przekonany, że Piłsudski, internowany podówczas, odzyska znowu wpływy, i dążył do skoncentrowania i zorganizowania jeńców polskich, aby gotowi byli wystąpić z chwilą, gdy armja niemiecka pójdzie w rozsypkę.

Z siostrą był w ciągłej rozterce i zachowywał się wobec niej tak, jakby należeli do wrogich obozów. Po pewnym czasie zupełnie przestał się pokazywać, gdyż znalazł grono Polaków, podzielających jego poglądy.

— Powinnoby się właściwie, — oświadczył towarzysz Marek, — aresztować ich wszystkich, a przedewszystkiem brata Zosi, który spiskuje z żołnierzami polskimi.

Później Jaś zniknął z Petersburga, udał się do obszaru frontowego, uprawiał tam propagandę wśród żoł-

nierzy Polaków w armji rosyjskiej i w tajemniczej misji bawił dłuższy czas w obozie jeńców wojennych. Potem zjawił się znowu nagle w Petersburgu, ale zniknął równie prędko, tym razem na zawsze...

Wydarzenia mknęły szybko, jakby się kręciły na skrzydłach wiatraka.

Po nieudanym zamachu lipcowym urządzano w Petersburgu obławy na bolszewików. Pobyt w willi Kreszyńskiej stał się niebezpieczny. Raz doszło nawet do rewizji. Prowodyrzy bolszewiccy, o ile nie zdołali zbiec, dostali się do aresztu. Agitatorzy nie śmieli pokazać się na żadnem zebraniu. Co tylko było bolszewickie, musiało uciekać na cztery wiatry, szukać schronienia w piwnicach i na strychach i podziemnie tylko prowadzić propagandę w izbach robotniczych.

Towarzysz Marek ukrył się w odległem mieszkaniu robotniczem na jednej z Wysp i wydawał stamtąd zlecenia grupie polskich bolszewików.

Ale powszechna tęsknota za pokojem przerzedzała poważnie szeregi socjal-rewolucjonistów. Z dnia na dzień coraz więcej robotników i żołnierzy przystawało do bolszewików. W masach umacniało się coraz bardziej przeświadczenie, że tylko bolszewicy zdolni są zdeptać węża wojny, grożącego Rosji uduszeniem, a tem samem raz na zawsze położyć kres knowaniom wszystkich wojowniczych patrjotów, jak również wpływom generałów, którzy chcieli ponownie narzucić narodowi carat.

Nieudana ofensywa na froncie galicyjskim była początkiem, chybiony marsz generała Korniłowa na Petersburg końcem owej linji rozwojowej. która uczyniła stolicę dojrzałą do przewrotu bolszewickiego.

Kiedy doszło do tego, przewódcy bolszewiccy mogli opuścić ukrycie i wystarczyło tylko, aby nastawili usta na dojrzałe owoce, spadające im z drzewa rewolucji.

Petersburg skapitulował, kiedy z Kronsztadtu przybył krążownik i skierował lufy dział na Pałac Zimowy.

Ale Moskwy nie byli bolszewicy pewni.

Wobec tego wysłano tam najlepsze siły agitacyjne. Towarzyszka Zofja była popularną mówczynią na zebraniach żołnierskich i osiągała stale dobre rezultaty. Dlatego towarzysz Marek skierował ją do Moskwy. Mirkin pojechał także.

A w Moskwie tak długo przebywał w pałacu gubernatorskim, aż wreszcie dostał się na dach teatru...

I oto leży teraz o szarym brzasku, owinięty w skórzaną kurtkę Zosi, przy okienku w dachu, obok karabinu maszynowego, zasłonięty olbrzymiemi śpiżowemi rumakami.

Spoglądając w zamyśleniu przez małe okienko na dwugłowe orły carskie, które zdają się nadlatywać z Kremlu, ma wrażenie, jakby się znajdował na polowaniu. Lufy jego karabinów maszynowych skierowane są na orły carskie. Teraz droga jest dla niego jasna.

On, który przez cały okres wojny walczył z krwawemi spustoszeniami oręża, leży tutaj obok karabinu maszynowego; on, który przez całe życie z odrazą odwracał się od wszelkiej broni, przyciska ją teraz do piersi. Doznaje uczucia, jakby się dostał do zaczarowanego koła, którego nieustannie starał się uniknąć, a w którego labirynt wpadł teraz mimo wszystko; szuka uzasadnienia dla swojej drogi, dla tego, co teraz robi, chce zrozumieć, dlaczego leży tutaj na dachu teatru w mieście carów.

I sam sobie daje odpowiedź, która jest zarazem usprawiedliwieniem.

„Jest to o s t a t n i a bitwa przed o s t a t e c z n e m zwycięstwem. A my Żydzi możemy być zbawieni tylko przez ostateczne zwycięstwo. Gdyż jesteśmy o s t a t n i".

Olbrzymi posąg bronzowy Skobielewa, bohatera wojny rosyjsko-tureckiej, zatonął w gęstej, wilgotnej mgle, która rozpostarła się przed wielkiemi oknami gabinetu byłego pałacu gubernatorskiego w Moskwie. A jednak domyślano się pobliża pomnika, gdyż od czasu do czasu oświetlały go czerwone ogniki, towarzyszące strzałom „białych“ oddziałów niedaleko placu Skobielewa.

Co chwila błyskała w ręku generała krzywa szabla, rzucając niesamowity odblask na okna. Echo potęgowało jeszcze warkot strzałów.

Towarzysz Ryszkow siedział niecierpliwie przy biurku, ze słuchawką telefoniczną w ręku, starając się uzyskać w jakiś sposób połączenie z Petersburgiem. Ale nie udawało mu się, słuchawka pozostawała nadal martwym instrumentem. Nawet gniewne przekleństwa, jakie towarzysz Ryszkow rzucał co chwila, nie pomagały zupełnie — telefon był niemy i głuchy.

— Widocznie junkrowie zmusili naszych do ucieczki i obsadzili centralę telefoniczną, — rzekł człowiek ze zmiętą twarzą, który nie bacząc na powagę sytuacji, pisał artykuł teoretyczny dla pisma partyjnego.

— A wydałem im przecież kategoryczny rozkaz, żeby bezwarunkowo, za wszelką cenę utrzymali centralę telefoniczną, przynajmniej chwilowo! Musimy przecież wiedzieć, jak się sytuacja przedstawia! — zawołał towarzysz Ryszkow z niezwykłą u niego gwałtownością.

— Czyżby „biali“ uwięzili naszych towarzyszów w Petersburgu? — wtrącił ktoś z obawą.

— W tej chwili sprawa na pewno się już rozstrzygnęła, — rzekł towarzysz Ryszkow raczej do siebie, niż do innych. — Ostatnia wiadomość, jaką mieliśmy z Petersburga, głosiła, że Kierenski wraz z kozakami generała Krasnowa opuścił Gatczynę. Teraz powinni się już

natknąć na naszych czerwonogwardzistów. Musimy się dowiedzieć, czy doszło do starcia, czy też udało się przeciągnąć kozaków Krasnowa na naszą stronę.

— Cóż nam pomoże stan sprawy w Petersburgu? Musimy t u t a j doprowadzić do rozstrzygnięcia! — odpowiedział człowiek ze zmiętą twarzą, który ciągle jeszcze pisał swój artykuł, nie podnosząc głowy od kolan, służących mu za pulpit. — Zdaje się, że „biali“ noszą się z poważnym zamiarem zaatakowania tego domu. Widzicie — ogień wzmaga się ciągle.

Istotnie silna łuna przebiła gęsty mrok, oświetlając nietylko szablę, ale i wielkiego, śpiżowego rumaka, na którym siedział generał Skobielew.

— Zbliżają się widocznie, — rzekł zatroskany głos.

— A my musimy tu siedzieć bezczynnie! — zawołał jakiś młody żołnierz. — Powinniśmy walczyć z nimi!

— Radbym wiedzieć, czem! Gołemi pięściami? — odpowiedział Ryszkow. — Nie mamy ani jednego działa. Towarzysz Smirnow, który został wysłany, aby sprowadzić naszą artylerję, nie powrócił. Nie posiadamy nawet dość karabinów dla wszystkich żołnierzy, a od punktów posiłkowych w mieście odcięły nas łańcuchy „białych“ wart. Jakże więc podjąć walkę? Czy sądzicie, że ulękną się naszych nosów?

— Więc co robić? Czy mamy im może oddać bez walki pałac gubernatora i z pobożną rezygnacją pozwolić się wyciąć w pień przez „białych“? — zabrzmiał oburzony okrzyk z ciemnego kąta. — Karabiny do ręki i przebić się do naszych punktów posiłkowych! Tam będziemy już mogli rozpocząć walkę z junkrami.

— Jak się przebijesz? Jesteśmy przecież otoczeni przez gęsty łańcuch „białych“ patroli! — zawołał jakiś żołnierz.

— Musimy zyskać na czasie! Nie będzie to trudne, gdyż oni nie ośmielą się jawnie rozpocząć wojny do-

mowej! — przerwał Ryszkow wszystkim członkom Komitetu Egzekucyjnego. — Nie wolno nam porywać się na nierozważny krok!

Nagle buchnął potężny płomień, a jednocześnie rozległ się głuchy warkot, jakby olbrzymi bąk wirował z niesłychaną szybkością w powietrzu. Z najwyższego piętra zabrzmiał brzęk stłuczonych szyb.

— Widzicie, jak się nie ośmielą rozpocząć wojny domowej! — zawołał ktoś ze śmiechem.

— A jednak powtarzam — nie ośmielą się. Będą strzelali i strzelali, ale pałacu gubernatorskiego nie zaatakują! — upierał się towarzysz Ryszkow. — Obsadzili przeważną część miasta, wdarli się do Kremlu, strzelają do naszych robotników, którzy chcą się przedostać do pałacu gubernatorskiego — ale samego pałacu nie tykają. Gdyż boją się wziąć na swoje sumienie tę zbrodnię przeciwko rewolucji..

— Towarzysze, ten pokój staje się niepewny. Zejdźmy na parter! — ostrzegł jakiś głos.

Gdy Ryszkow i inni członkowie Komitetu Egzekucyjnego weszli do wielkiej sali balowej, była ona niemal pusta. Obojętnie, jakby wszędzie panował zupełny spokój, siedziało kilku żołnierzy dokoła kotła, który przynieśli z kuchni, i w braku herbaty pili gotowaną wodę. Kilku robotników z „Czerwonej Gwardji“, z karabinami w ręku, nerwowo chodziło tam i zpowrotem. Wyczekująco spojrzeli teraz na wchodzących prowodyrów. Niektórzy powstawali szybko z kątów, gdzie leżeli, wyczerpani kilkoma bezsennemi nocami. Otoczyli oni Ryszkowa i jego towarzyszów.

Także z dziedzińca i piętr napływać poczęli do sali ludzie, sądząc, że to alarm. Wszystkie spojrzenia zwrócone były na Ryszkowa; błagały one wprost o rozkazy.

Ryszkow spoglądał na cienie, snujące się dokoła niego, i zapytał ochrypłym głosem:

— Co się stało?

— Tak dalej być nie może, towarzyszu — musimy coś zrobić.

— Chwilowo nic zrobić nie można, — odpowiedział Ryszkow krótko.

— A jeżeli oni przyjdą?

— Nie przyjdą, — odpowiedział Ryszkow pewnym tonem.

Przy jednym ze stołów siedziała grupa kobiet; znajdowała się wśród nich towarzyszka Izmaiłowa o mądrej, arystokratycznej twarzy, której spokoju nie potrafiła zmącić ani burzliwa przeszłość rewolucyjna, ani trzy nieprzespane noce. Obok niej siedziały towarzyszka Zofja i jakaś dziewczyna wiejska w chłopskiej chustce na głowie, stała mieszkanka pałacu gubernatorskiego, gdzie pomagała w kuchni. Kobiety pracowały gorliwie przy blasku elektrycznego kandelabru ściennego.

Towarzysz Ryszkow zbliżył się i spostrzegł, że żołnierze zdzierali kawałki jedwabnego obicia ze ścian; towarzyszka Izmaiłowa i Zofja pisały coś na nich czarnym tuszem.

— Co to ma być? — zapytał Ryszkow zdziwiony.

— Ma to służyć do tego, żeby „biali" nie pomylili się co do was, kiedy przyjdą, — odpowiedziała towarzyszka Izmaiłowa; i przypięła do ramienia Ryszkowa czerwoną wstążkę, na której wypisane były słowa „Rewolucyjny Komitet Wojenny".

— Teraz przynajmniej was poznają, — dodała złośliwie.

— Racja, — uśmiechnął się Ryszkow.

Na końcu stołu zauważył młodego żołnierza, który dzięki swoim zdolnościom rysowniczym piastował w pałacu gubernatorskim urząd malarza transparentów; sie-

dział on w niejakiem oddaleniu od kobiet i zajęty był pilnie malowaniem ozdobnemi literami jakiegoś napisu na wielkim kawałku czerwonego jedwabiu.

— Jakie hasło wypisujecie tam, towarzyszu Iwanow? — zapytał Ryszkow młodego żołnierza.

— Przeczytajcie, towarzyszu! — odpowiedział żołnierz, wskazując na napis, który właśnie ukończył.

— „Pokój chatom, wojna pałacom“, — przeczytał Ryszkow. Dokoła napisu poumieszczane były obrazki, jakie nasunęła rysownikowi wyobraźnia; z lewej strony dom chłopski, na którego progu siedział spokojnie wieśniak, z prawej płonący dwór.

— Skąd znacie to hasło?

— Słyszałem je na zebraniu. Może niedobre?

— Nie, nie, przeciwnie — doskonałe! Podnieście ten transparent, towarzyszu! Spełniacie jedyną użyteczną pracę, jaką można teraz spełniać, — pochwalił go Ryszkow.

Tymczasem na Czerwonym Placu padły pierwsze ofiary wojny domowej.

Grupa żołnierzy bolszewickich, w sile około trzystu ludzi, zwana od ojczystego miasta swego pułku „dyneburczykami“, dokonała ze swoich koszar zbrojnej wycieczki, aby się przebić do pałacu gubernatorskiego. Na Czerwonym Placu otoczył ją oddział podchorążych, który był ukryty w dziesięciu wieżyczkach murów Kremlu; junkrowie poczęli ze wszystkich stron ostrzeliwać bolszewików. „Dyneburczycy“ nie mieli osłony przed kulami i kilkudziesięciu z nich padło na murach Kremlu. Pozostali wzięli rannych kolegów na plecy, otoczyli swego dowódcę Sopranowa, którego „biali“ oficerowie dosłownie podziurawili szablami, i z bronią w ręku utorowali sobie krwawą drogę przez łańcuch „białych“ patroli do pałacu gubernatorskiego na placu Skobielewa.

Zbiegli przed gradem kul żołnierze z rozpaczą walili kolbami w bramę pałacu gubernatorskiego. W pałacu zaś myślano, że to kozacy albo białogwardziści, i nie chciano otworzyć.

Ryszkow wybuchnął głośnym śmiechem, kiedy mu zameldowano, że „biali" kozacy pukają do bramy i chcą się wedrzeć do pałacu:

— Kozacy? A może nawet żandarmi? Oniby się na to nie odważyli! To są nasi towarzysze. Hurra! Przybywają nam z pomocą! — zawołał z radością i sam pobiegł otworzyć bramę.

„Dyneburczycy" wnieśli rannych kolegów (z których wielu zmarło w drodze) do wielkiej sali i ułożyli ich tam na stołach.

Trudno opisać, jaką burzę wściekłości i rozpaczliwej żądzy walki wywołał widok tych pierwszych krwawych ofiar wśród ludzi, zamkniętych w pałacu gubernatorskim. Towarzyszka Izmaiłowa, Zosia i inne kobiety objęły natychmiast role sióstr miłosierdzia. Przyniesiono bandaże, gorącą wodę z kuchni. W pałacu znajdował się też cyrulik wojskowy, który nałożył rannym opatrunki. Następnie wyniesiono ich szybko do przyległych pokojów, które naprędce zamieniono w sale szpitalne. Na stołach w wielkiej sali pozostali tylko zmarli i zakłuty dowódca „dyneburczyków", którego ciało wyglądało jak wypchany, podziurawiony worek; niesamowicie sterczały na końcu stołu pokrwawione buty.

Ze wszystkich pokojów olbrzymiego gmachu płynęli do sali balowej żołnierze, robotnicy, czerwonogwardziści, inteligenci, a także towarzysze, należący do poszczególnych komitetów i odbywający na wyższych piętrach posiedzenia. Na twarzach wyczytać można było burzę, która leżała na nich niemo, a jednak wyła obłędną wściekłością. Widok przelanej krwi wołał o zemstę. Na-

tychmiast, choćby gołemi rękoma, trzeba się było rzucić na wroga!

Z karabinami w rękach zbierali się żołnierze po kątach sali. Twarze ich były ponure, wargi skrzywione. Wszyscy milczeli i patrzeli wyczekująco na przewódcę. Ryszkow stał śmiertelnie blady pod kandelabrem ściennym, gryzł paznogcie krótkich palców — i nie mówił ani słowa.

Towarzyszka Izmaiłowa kręciła się po sali ze spuszczonemi oczyma, jakby czegoś szukała. Niby przypadkowo przeszła obok Ryszkowa i z pod schylonych powiek rzuciła mu gniewne spojrzenie:

— No, co powiecie teraz, towarzyszu? — Słowa te zdawał się mówić raczej jej wzrok, niżeli cichy głos.

— Co mam mówić? — odpowiedział Ryszkow głośno, tak że wszyscy na sali musieli go słyszeć. — Chcą nas sprowokować, aby móc rozpędzić Rewolucyjny Komitet wojenny. Ale my się nie damy sprowokować. Przyjmiemy walkę wtedy, gdy będzie to n a m, nie naszym wrogom odpowiadało.

Z kątów rzucano na Ryszkowa gniewne spojrzenia, nie rozumiejąc jego intencyj. Ryszkow czuł to, czuł niejako owe niesamowite ogniki, które żarzyły się w oczodołach ponurych twarzy żołnierskich.

— Towarzysze, musimy zachować spokój! — zawołał. — Nie jesteśmy w takiem położeniu, abyśmy mogli podjąć walkę, nie mamy ani jednego działa.

Ale jak zachować spokój, gdy tu na sali leżeli martwi, pomordowani żołnierze, ze zwisającemi bezradnie głowami i szeroko rozwartemi ustami, z których sterczały budzące litość zęby? Tu i ówdzie odpięty mundur odsłania obrośniętą pierś męską, młodą jeszcze, z silnemi mięśniami. Na białej skórze, która wydaje się żywa, zakrzepła świeżo przelana krew. Na jasnych koszulach żołnierskich widnieją ciemne, niesamowite plamy.

Jak zachować spokój, kiedy nieruchome ciała leżą tutaj i niby podniecający krwawy napis wołają zemsty?

— Wynieść! Wynieść! — rzuca Ryszkow przez zęby.

Żołnierze i cywilni, mężczyźni i kobiety gromadzą się w jedną grupę. Ryszkow widzi, że towarzyszka Zofja wchodzi na krzesło, aby mówić. Doskakuje do grupy i woła donośnie:

— Bez przemówień! Towarzysze, zanieście ofiary rewolucji do magazynów, nakryjcie je pieczołowicie! Rewolucja znajdzie właściwy sposób uczczenia ich!

W podnieconym tłumie zapanowała śmiertelna cisza, jakby wszyscy utracili mowę. Ani jedna ręka nie poruszyła się, aby wykonać rozkaz dowódcy.

Nagle z marmurowej estrady, na której dawniej, za rządów gubernatora, rozbrzmiewała wesoła muzyka balowa, rozległy się przeraźliwe jęki i biadania; zdawało się, że cały pułk płaczek zebrał się tam i wznosi w niebo swoje wyrzekania:

— Popłynęła krew żołnierska, pomordowali nasze dzieci!

Wszyscy zwrócili głowy w stronę estrady.

— Kto tam jęczy?

Była to towarzyszka Masłowa. Zakradła się ona — Bóg wie w jaki sposób — na estradę i waliła teraz chłopską głową, której włosy wysunęły się z pod czerwonej chustki, w marmur ścian, wołając zdławionym głosem, w którem nie było już nic ludzkiego:

— Popłynęła krew żołnierska, pomordowali nasze dzieci!

Towarzyszka Masłowa była zwyczajną dziewczyną wiejską. Przebywała jednak widocznie bardzo długo wśród żołnierzy, gdyż o jej chłopskiem pochodzeniu świadczyła jeszcze tylko czerwona chustka, którą zerwała teraz z głowy. Poza tem ubrana była po wojsko-

wemu: w długi, szeroki płaszcz żołnierski i wysokie buty; na szyi miała sznur rewolweru.

Nikt nie wiedział, skąd przybyła Masłowa. Znajdowała się w pałacu gubernatorskim od pierwszych dni istnienia Rewolucyjnego Komitetu Wojennego; prawdopodobnie przyszła wraz z grupą dezerterów i pozostała już tutaj. Jak wszyscy inni dostawała swój „pajok“, codzienną rację chleba, i posiadała karabin; żołnierze uczyli ją obchodzić się z bronią, i uważali ją za koleżankę. Oczywiście od pierwszego dnia była towarzyszka Masłowa bolszewiczką.

Biadanie jej podziałało zaraźliwie na inne kobiety i zdenerwowało żołnierzy; ze wszystkich stron wołano:

— Dość, dość, towarzyszko Masłowa!

Ale płacz towarzyszki Masłowej stał się skargą bezradnego, udręczonego zwierzęcia. Jej przeraźliwy, wyjący głos, bicie głową o ścianę niby rozżarzony eter przenikało w krew ludzi na sali, budząc w nich pierwotne instynkty. Pragnienie zemsty budziło się, wywabione z głębin duszy przez krzyki towarzyszki Masłowej.

Głos jej przeszedł nagle w głuchy, zachrypły jęk; brzmiało to, jakby w wilgotnym, cienistym lesie spiłowano olbrzymie drzewo. I monotonnie, jak wycie psa, rozlegały się ciągle słowa:

— Popłynęła krew żołnierska, pomordowali nasze dzieci!

Towarzysz Ryszkow stał na środku sali śmiertelnie blady i bezradny. Atmosfera stała się tak duszna, jakby wypompowano powietrze i napuszczono do wielkiej sali gorącego eteru.

— Spokój! Dość! Zabierzcie ją! — krzyknął Ryszkow.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy kryli się w groźnym cieniu kątów.

— Zabierzcie towarzyszkę Masłową, bo ją zastrzelę! — Ryszkow wydobył rewolwer. — Robimy rewolucję, a nie babskie widowisko! Towarzyszu Burszanow, aresztujcie towarzyszkę Masłową! — rozkazał, chowając rewolwer.

Żołnierz łotewski skinął niemo głową. Rozkaz dowódcy został wykonany. Nastała nowa dyscyplina.

— Komitet Egzekucyjny na zebranie! — rozkazał towarzysz Ryszkow.

Komitet Egzekucyjny udał się szybko do jednego z odległych pokojów pałacu.

TOWARZYSZ RYSZKOW I TOWARZYSZKA IZMAIŁOWA

Towarzysz Ryszkow był dzieckiem ubogich rodziców. Matka jego umarła, kiedy był jeszcze chłopcem. Ojciec, dorożkarz moskiewski, nie mając gdzie ulokować malca, zabierał go z sobą na cały dzień. W nocy kładł go obok siebie na słomie w stajni. Czułe ciepło, jakie płynęło z owłosionej piersi ojca w dziecięcych latach Ryszkowa, towarzyszyło mu przez całe burzliwe życie. W chłopięcym wieku musiał się w nieustannych walkach z dziećmi ulicy bronić jak młody zwierzak zębami i pazurami — kiedy podrósł, wiódł jak silne zwierzę leśne walkę z dorosłymi.

A poprzez wszystkie lata nędzy i walki towarzyszył mu obraz ojca.

Ilekroć przymyka oczy, widzi przed sobą tę naiwną twarz chłopską z serdecznemi, dobremi oczyma, tę twarz o starej, zoranej tysiącami zmarszczek skórze. Śnieżyce moskiewskie, mrozy moskiewskie wyrzeźbiły te zmarszczki jak w kamieniu. Ryszkow widzi też wąską kozią bródkę na końcu podbródka, poruszającego

się razem ze sztywną, twardą klatką piersiową, kiedy ojciec mówi; widzi pokrytą niebieskiemi żyłami szyję, sterczącą z kołnierzyka dorożkarskiej koszuli; czuje dotknięcie sinych rąk o grubych żyłach, rąk, które owijają go na koźle w podarte koce; czuje kościstą, zarośniętą pierś, która w nocy tuli go do siebie na legowisku w stajni. Do dzisiejszego dnia, zamykając oczy, czuje Ryszkow w mocnych członkach jej miłe ciepło...

Ulica była jego domem, twarz ojca — czujnem okiem macierzyńskiem.

I ta twarz utrzymała go na powierzchni, wydarła ulicy, której łupem stałby się niechybnie na zawsze; wznieciła w nim wolę dążenia do czegoś lepszego.

Ambicja zaprowadziła go do odlewni żelaza. Nadmiar razów i niedostatek chleba nauczyły go tam nie lękać się ognia. Nauczył się brać rozżarzone żelazo do ręki i znosić krople płynnej stali, padające na jego twarz. Wspomnienie ojca zawiodło go potem do obozu rewolucyjnego. Gorliwie uczył się czytać i pisać. Wrodzona inteligencja, ambicja, nieugięta wola, zahartowana w ogniu ręka, bezgraniczna miłość do klasy, z której wyszedł ojciec, uczyniły go przodującym duchem partji i wyniosły na stanowisko, które teraz zajmował.

Czerpał siłę z dwóch źródeł: z ulicy i z twarzy ojca.

Ulicy zawdzięczał zwierzęcy niemal popęd do samodzielności i instynktowną niezależność myślenia i działania. Dzięki niemiłosiernie okrutnemu dzieciństwu nauczył się być zawsze w fatalistyczny wprost sposób przygotowanym na wszystko i nikomu niczego nie zawdzięczać. Zaś oblicze ojca i wspomnienie o nim, które w dojrzałym jeszcze mężczyźnie żyło głęboko i żarliwie, wiążąc go z tym człowiekiem uczuciami, jakie dziecko żywi dla matki, — wskazało dążeniom jego kierunek, nakazało mu poświęcić wszystkie siły i zalety charakteru jednej tylko sprawie — sprawie klasy swego ojca.

Z ulicy wyniósł jeszcze nienawiść do wszystkich, którzy zaznali w dzieciństwie ciepła domu rodzinnego. Nienawidził inteligentów, a bardziej jeszcze owych ludzi, którzy nie z nędzy, lecz z altruizmu stali się współtwórcami rewolucji. Ilekroć spotykał się w swojej pracy partyjnej z inteligentami, którzy niejako w ciepłych rękawiczkach przeszli na stronę rewolucji, ogarniała go nieposkromiona wściekłość. Najchętniej byłby tym ludziom poukręcał łby i rzucił psom na pożarcie...

Zupełnem przeciwieństwem towarzysza Ryszkowa była towarzyszka Izmaiłowa.

Nie z osobistej niedoli, ale z idealizmu i romantyzmu przyłączyła się ona do rewolucji. Pochodziła z wysokiej arystokracji, ale już w latach pensjonarskich oddana była sprawie rewolucyjnej. Poświęciła jej życie, jak mniszka klasztorowi; miała też wygląd rewolucyjnej zakonnicy. Początkowo przystała do romantycznych socjal-rewolucjonistów i pracowała w ich organizacjach terorystycznych, załatwiając transporty materjałów wybuchowych i podejmując się wszelkich niebezpiecznych funkcyj.

Rewolucja była dla niej bóstwem, własna praca — służbą bożą. W jej oczach rewolucja posiadała własną moralność i etykę, nieprzerwaną linję romantyczną, była ideałem przyszłych pokoleń i sama w sobie celem wychowawczym.

Terorystycznie-rewolucyjni towarzysze czcili ją jak świętą, przychodzili się do niej spowiadać, czerpać od niej zapał i odwagę. Gdy partja socjal-rewolucyjna po ogłoszeniu konstytucji roku 1905 przerwała teror, Izmaiłowa płakała jak dziecko:

— Dlaczego zabijacie duszę rewolucji?

Pragnąc być zawsze na najniebezpieczniejszem stanowisku, porzuciła socjal-rewolucjonistów, którzy byli już teraz dla niej zbyt umiarkowani, i przeszła do skraj-

nego lewego skrzydła socjalizmu rosyjskiego — bolszewików.

Między Ryszkowem a towarzyszką Izmaiłową oddawna istniało naprężenie; ale blask wielkiej chwili zatarł różnice, i obie strony starały się ukryć swoją antypatję.

Kiedy się jednak spotykali, było to zawsze jak starcie dwóch przeciwnych prądów. Starali się uniknąć eksplozji, ale w Rewolucyjnym Komitecie Wojennym potencjalne napięcie wyładowało się, stwarzając jawny konflikt.

Towarzyszce Izmaiłowej nie podobała się taktyka Ryszkowa, jego dyplomatyczne zabiegi, rokowania ze stroną przeciwną, aby zyskać na czasie. Jak wszyscy towarzysze, pozostający pod urokiem silnej indywidualności Ryszkowa, miała do niego zaufanie, była jednak przekonana, że tym razem nie stoi on na wysokości zadania.

Konflikt wybuchnął z całą jaskrawością na posiedzeniu Komitetu Egzekucyjnego, które Ryszkow zwołał po wydarzeniach, związanych z przybyciem „dyneburczyków".

Komitet Egzekucyjny zebrany jest w komplecie. Towarzysz Ryszkow w milczeniu przysłuchuje się poszczególnym mówcom, rozważającym powstałą sytuację, ale myśli jego bawią przy innych zupełnie sprawach. Wyciągnął silną, twardą rękę i obserwuje swoje krótkie palce. Wzrok jego spoczywa długo na obgryzionych do samego ciała paznogciach. Widać wyraźnie, jak gorączkowo pracuje mózg w potężnej, bronzowej czaszce, jak silnie pulsują niebieskie żyły na szerokiem, kanciastem czole i na skroniach.

Ilekroć Ryszkow znajduje się w niebezpieczeństwie, przygląda się swoim paznogciom. Przypominają mu one,

jak postąpił niegdyś w chwili niebezpieczeństwa, i doradzają, jak ma teraz postąpić.

Tym razem budzą palce w pamięci Ryszkowa ów dzień, kiedy (było to jeszcze przed wojną, za rządów carskich) z paszportem, opiewającym na fałszywe nazwisko, zatrzymany został na granicy. Oficer żandarmów pozostawił go pod dozorem dwóch ludzi, póki nie nadejdzie z Petersburga odpowiedź, czy okazany paszport na nazwisko Antonowa jest prawdziwy. Ryszkow wiedział, że odpowiedź oznaczała dla niego śmierć albo dożywotnie ciężkie roboty na Syberji. Kiedy tak siedział z dwoma żandarmami w izbie odwachu, przyszło mu na myśl odwołać jednego z nich nabok i namówić do odwiedzenia domu publicznego. Tam pozbył się żandarma i zbiegł.

Od tego czasu miał zwyczaj w niebezpieczeństwie obgryzać paznogcie.

Teraz wskazują mu one podobne wyjście:

„Będę musiał postąpić tak samo, jak wtedy. Żal mi coprawda żołnierzy", dodaje w myśli, „ale inaczej zrobić nie można!"

— Będziemy musieli odwołać mieńszewików na słóweczko, żeby zapośredniczyli zawarcie pokoju! — zaczyna nagle, zwracając się do zebranych.

Ponieważ towarzysze nie rozumieją go i spoglądają na niego zdumieni, wyjaśnia im:

— Nie jesteśmy dość silni, aby podjąć walkę. Lada chwila mogą zaatakować pałac gubernatorski. Nie robią tego dotąd dlatego tylko, że elementy lewicowe pośród nich, zwłaszcza mieńszewicy, nie dopuszczają do ataku, obawiając się odpowiedzialności, jaką obarczyliby się wobec rewolucji. Musimy to wykorzystać. Musimy uczynić wszystko, aby zabić po przeciwnej stronie inicjatywę, sparaliżować ich energję, wywołać w ich obozie rozłam. W tym celu będziemy musieli telefonicznie od-

wołać mieńszewików na słówko. Niech zapośredniczą pokój i rozpoczną pertraktacje nad stworzeniem wspólnego Komitetu Egzekucyjnego dla miasta Moskwy. Oczywiście zastosujemy wszelkie środki, aby rokowania te jak najbardziej przeciągać, aż sytuacja w Petersburgu wyjaśni się zupełnie. Przez ten czas jednak praca nasza nie powinna ustawać, przeciwnie — musimy się starać na wszelkie sposoby skoncentrować siły proletarjatu moskiewskiego.

Słowa te oburzyły towarzyszkę Izmaiłową, która już od sceny w sali balowej z trudnością się hamowała. Nie mogąc zapanować dłużej nad sobą, zawołała, drżąc z gniewu:

— Taka taktyka nie jest godna rewolucji! Rewolucja posiada swoją moralność! Przedewszystkiem mamy obowiązek zachować swój sztandar w czystości! Nie możemy, nie wolno nam postępować w ten sposób, byłoby to niegodne naszej świętej sprawy i naszych męczenników! Jeżeli nie możemy żyć jako rewolucjoniści, musimy jako rewolucjoniści umierać — z rewolwerem w ręku!

Towarzyszka Izmaiłowa dygotała na całem ciele, wymawiając te słowa.

Ale teraz skończyło się też opanowanie Ryszkowa. Wgryzł się w paznogcie, aż poczęły krwawić, splunął i zawołał:

— Co mnie obchodzi moralność? Do djabła z waszą moralnością! Czy jesteśmy pensjonarkami? Tylko burżuje mogą sobie pozwolić na zbytek posiadania moralności. Czyż rewolucja jest bożkiem? Do djabła, nie potrzebuję rewolucji dla fetysza! Potrzeba mi dyktatury proletarjatu — władzy w naszem ręku! I jest mi wszystko jedno, w jaki sposób osiągniemy ten cel. Jeżeli trzeba uprawiać dyplomację, będzie się uprawiać dyplomację. Co to ma znaczyć? Czyż jesteśmy bandą

inteligentnych romantyków, którzy przygotowują akty teroru, aby dowieść, że mają odwagę? Nie jesteśmy romantykami, jesteśmy katowanym, ujarzmionym proletarjatem!

Towarzysz Ryszkow splunął jeszcze raz i usiadł. Inni członkowie komitetu pobledli i milczeli. Inteligenci pochylili głowy, to samo uczyniła towarzyszka Izmaiłowa. Czarne czupryny poruszały się, drżąc, jak kogucie grzebienie. Binokle zsuwały się z nosów. W oczach robotników i żołnierzy płonęła złośliwa radość...

Towarzysz przewodniczący niemo skinął głową.

— Przystępujemy do głosowania, towarzysze! — zawołał Ryszkow, uspokoiwszy się.

Wszyscy robotnicy i żołnierze, należący do Komitetu Egzekucyjnego, głosowali za wnioskiem towarzysza Ryszkowa, aby za pośrednictwem mieńszewików rozpocząć pertraktacje z dumą miejską. Kilku inteligentów było także tego zdania, większość jednak wstrzymała się od głosowania. Jedna tylko towarzyszka Izmaiłowa głosowała przeciwko wnioskowi.

Towarzysz Ryszkow kazał się połączyć z dumą miejską i poprosił towarzysza Anatola.

— Towarzyszu Anatolu, na Czerwonym Placu wasi obecni towarzysze przelali krew proletarjacką, krew żołnierską!

Przeciwny głos zaoponował widocznie, gdyż Ryszkow począł mówić tonem donośniejszym i bardziej stanowczym:

— Owszem, w a s i t o w a r z y s z e! Po czyjej stronie się stoi, za tego jest się odpowiedzialnym! W imię sumienia rewolucyjnego zaklinam was, abyście w tej ciężkiej chwili uczynili wszystko, co w waszej mocy, by ratować rewolucję. „Biali“ oficerowie śpiewają już na ulicach hymny na cześć cara. Zastanówcie się, co robicie — zanim będzie za późno! Dla dobra naszej wznio-

słej sprawy proponujemy natychmiastowe zaprzestanie działań wojskowych po obu stronach oraz wysłanie należycie uwierzytelnionych pełnomocników w celu rozpoczęcia rokowań nad stworzeniem mieszanego komitetu moskiewskiego.

Odpowiedź strony przeciwnej była widocznie niemiła dla Ryszkowa, gdyż zmarszczył ponuro wysokie, połyskujące czoło i krzyknął do aparatu:

— Nie, nie — to niedobrze! Nie powinniście opuszczać „Komitetu Obrony Przed Powszechnem Niebezpieczeństwem"! Rewolucja musi rozporządzać w tym komitecie jak największemi siłami, aby w tej doniosłej chwili mieć kontrolę nad białogwardzistami i zapobiec niebezpiecznym krokom z ich strony.

Strona przeciwna znowu widocznie zaoponowała, a Ryszkow ciągnął spokojniejszym tonem:

— Ależ bynajmniej, towarzyszu! Nie chcę wam dawać dyrektyw, pozwoliłem sobie tylko zwrócić wam uwagę na okoliczność, że krok wasz nie byłby korzystny dla rewolucji. Zresztą — czyńcie, co uważacie za konieczne! — zakończył i odłożył słuchawkę, zwracając się do swoich towarzyszów:

— Tak, wbiliśmy klin w drzewo! Mieńszewicy postawią „Komitetowi Obrony" ultimatum, aby natychmiast zaprzestać działań zbrojnych i rozpocząć pertraktacje nad stworzeniem wspólnego komitetu. Jeśli żądanie ich nie zostanie spełnione, opuszczą dumę miejską. Więcej nam chwilowo nie potrzeba...

W tej chwili do pokoju narad dotarły z wielkiej sali okrzyki triumfu i radości. Z niezmiernem zdumieniem zerwali się wszyscy z miejsc i pobiegli do sali balowej.

Ujrzeli tam następującą scenę:

Na ramionach szalejących wprost z radości żołnierzy i robotników wzniesiony był w powietrze blady i śmiertelnie znużony towarzysz Smirnow, wysłany

przez Rewolucyjny Komitet Wojenny 25 października, aby sprowadzić artylerję bolszewicką; dotychczas nie dał on znaku życia, wszyscy byli więc przekonani, że został ujęty przez „białych". Smirnow chciał mówić, ale nie mógł wydobyć słowa, wskazał tylko ręką na dziedziniec.

Stały tam trzy działa, a przed niemi dumny samochód pancerny. Jak się Smirnowowi udało przedostać z tem przez łańcuch „białych" wart — to pozostało tajemnicą.

Na widok dział ogarnął trawionych bezsilną wściekłością żołnierzy nieopisany zapał. Potężna siła rozdmuchała na nowo w żołnierzach i czerwonogwardzistach w pałacu gubernatorskim ogień, który wskutek przymusowej bezczynności przygasł niemal zupełnie.

„Dyneburczycy", którzy nie mieli dotąd możności pomszczenia przelanej krwi swoich towarzyszów, młodzi robotnicy, którzy przybyli do pałacu gubernatorskiego z tak wielką żądzą walki, a skazani byli na ustawiczną bezczynność, nawet kobiety podbiegły z radością do armat. Żołnierze całowali stalowe lufy i głaskali lawety. Kobiety tuliły do piersi zimne wyloty, które miały ziać morderczym ogniem. Towarzyszka Masłowa wybuchnęła histerycznym łkaniem radości:

— Dzieci, dzieci, pomścijcie przelaną krew żołnierską, — wołała dziewczyna wiejska, która nie pozostawała już pod strażą, mogła więc bez przeszkód dać wyraz swojej radości.

— O, armatki zemszczą się porządnie! Krzywda, jaka się nam stała, zawyje z ich luf! — krzyknął jakiś „dyneburczyk".

— Przybywają nam posiłki! Górą nasza! — dodawali sobie wszyscy wzajemnie odwagi.

Towarzyszka Izmaiłowa z podniesioną głową prze-

szła obok Ryszkowa, rzucając mu wyzywające spojrzenie. Towarzyszka Zofja pierwsza wdarła się z rewolwerem w ręku na samochód pancerny.

Ale towarzysz Ryszkow twardą ręką ujął cugle, aby opanować sytuację:

— Gdzie towarzysz Iwanow ze swoim transparentem? — zawołał.

— Towarzysz Iwanow! Towarzysz Iwanow! — zabrzmiało echem ze wszystkich stron.

Towarzysz Iwanow nadbiegł szybko, powiewając trzymanym w ręku czerwonym sztandarem.

Ryszkow rozwinął transparent i przy blasku zapalonych szybko łuczyw przeczytał głośno hasło:

— Pokój chatom, wojna pałacom!

Potem umocował sztandar na jednem z dział i wydał rozkaz:

— Naprzód, towarzysze — ustawcie działa na placu Skobielewa i zaczynajcie! Ja będę tymczasem prowadził rokowania pokojowe!

Ulice i dachy Moskwy poczęły pluć ogniem. Z placu Skobielewa padały przeraźliwe gromy, którym towarzyszyły drgające płomienie. Jeden z pocisków wpadł do apteki i spowodował eksplozję zbiorników benzyny i alkoholu — nad Moskwą zapłonął słup ognisty...

Dumnie przejechało pancerne auto, na którem znajdowały się też towarzyszka Zofja i towarzyszka Masłowa, przez straże „białych“ do dzielnicy robotniczej, wioząc posiłki osłabionym punktom obronnym. Młodzi rewolucjoniści, którzy tak długo czekali cierpliwie, mogli popuścić wodzy tłumionej z wysiłkiem żądzy walki. Na placu Sucharewskim wywrócono kiosk, ustawiono puste beczki, wyrywano bramy z zawiasów, wyrzucano przez okna meble — i towarzyszka Zofja ujrzała spełnienie swych marzeń młodości: Z falującą radośnie piersią i powiewającemi włosami stała, z nabitym re-

wolwerem w ręku, w mieście carów na barykadzie, na czele czerwonogwardzistów.

Z dachów, z okien facjatek począł padać ognisty deszcz. Złote kopuły cerkwi moskiewskich zajaśniały w nocy niby olbrzymie gwiazdy. Tu i ówdzie z wież rozlegały się dzwony, rozpaczliwie wzywając Boga na pomoc i na ratunek Mateczki-Rosji. Metaliczny ich dźwięk potęgował jeszcze huk dział...

W pałacu gubernatorskim towarzysz Ryszkow siedział najspokojniej w świecie przy swojem biurku i pertraktował telefonicznie z „Komitetem Obrony Przed Powszechnem Niebezpieczeństwem“ nad warunkami pokoju, przy akompanjamencie śpiżowych głosów, wyjących z długich luf armatnich za jego oknami.

Towarzyszka Izmaiłowa stała przy jednem z wielkich okien pałacu gubernatorskiego. Widziała snopy ogniste, zapalające się nad domami, i ogarnął ją lęk o Moskwę. Patrjotyczna krew przodków zbudziła się w niej. Blada z przerażenia wpadła do pokoju Komitetu Egzekucyjnego:

— Co robicie? Zburzycie przecież Moskwę! Każcie zamilknąć armatom!

— Uspokójcie się, towarzyszko, armaty nie zburzą Moskwy! — pocieszył ją towarzysz Ryszkow; obojętnie podniósł słuchawkę do ucha i zadzwonił do towarzysza Anatola, który ciągle jeszcze znajdował się w dumie miejskiej.

— Towarzyszu Anatolu, to jest nasza odpowiedź na rozlew krwi na Czerwonym Placu. Jesteśmy jednak nadal gotowi pertraktować nad utworzeniem wspólnego komitetu i natychmiastowem zawieszeniem broni...

Najbardziej cierpiała przy tych walkach ludność moskiewska. Ludzie obawiali się wychodzić na ulice, zasy-

pywane gradem kul; bardziej jeszcze obawiali się wpaść w ręce którejś z walczących stron.

Zarówno „czerwoni“ robotnicy i żołnierze, jak i „biali“ junkrowie wyładowywali swój zapał wojenny na ludności cywilnej. Każda ze stron przeciwnych domagała się legitymacyj i dokumentów, każda dokonywała rewizyj osobistych, konfiskując przytem znalezione złote zegarki i „kierenki“; i każda mogła człowieka wysłać na tamten świat jako ofiarę na ołtarzu rewolucji, przyczem później przeszedłby na konto zwycięzcy jako bohater do roczników historji.

Biedna, udręczona ludność cywilna zamykała się więc w czterech ścianach i nie wiedziała, czy należy do „czerwonych“, czy do „białych“. Z tęsknotą oczekiwała pomocy z frontu, gdyż w mieście krążyły uporczywe pogłoski, że wysyłano transporty kozaków, które mają uratować święte miasto Rosji.

Brak środków żywności dawał się odczuwać już od długiego czasu; bogaci żyli z obfitych zapasów, jakie nagromadzili jeszcze za lepszych czasów, biedni natomiast głodzili się teraz tak samo jak dawniej, albo z narażeniem życia zakradali się tylnemi drzwiami do sklepu spożywczego, żebrząc o trochę kaszy, aby nie umrzeć z głodu. Dla biednych było więc rzeczą obojętną, kto osiągnie w walce o Moskwę zwycięstwo; niech wojujące partje same się za łby biorą.

Masy były tak wyczerpane wydarzeniami, które od rewolucji lutowej następowały po sobie z przerażającą szybkością, tak znużone ciągłemi sporami i jawnemi walkami między poszczególnemi partjami, że obojętnem im już było, kto zdobędzie władzę, byle tylko walka skończyła się, byle nastał w kraju jakiś rząd, pod którego opieką możliwy byłby powrót do normalnych stosunków. Bogaci natomiast starali się uprzyjemnić sobie w miarę możności przymusowy pobyt w mieszkaniach,

podobny do regularnego oblężenia — bogaci potrafią w każdej sytuacji, w jakiej się znajdują, zdobyć sobie rozrywki.

Oblężenie stało się dla nich rodzajem sportu, poniekąd urozmaicenia. W mieszkaniach było ciepło, pogoda dopisywała, światło elektryczne funkcjonowało. A telefon — o, telefon zachowywał się w czasie wojny domowej, szalejącej w Moskwie, niejako neutralnie; służył zarówno „białym", jak „czerwonym", znajdując jeszcze ponadto czas na przenoszenie rozmów pięknych pań, które dowiadywały się wzajemnie o swoje zdrowie i opowiadały sobie pikantne ploteczki o zakwaterowanych w ich mieszkaniach podchorążych. W braku czegoś lepszego był telefon milą rozrywką, a na pochwałę jego trzeba powiedzieć, że podczas tych posępnych dni funkcjonował znacznie lepiej i punktualniej, niż za normalnych, dobrych czasów.

Poza tem spędzano całe noce przy stoliku karcianym, na preferansie lub pokierze — słowem, czyniono wszystko, aby czas upływał jak najmilej. Zaś piękne panie i panienki moskiewskie — trzeba im to przyznać — przyczyniały się w miarę sił do podtrzymania nastroju, pozwalając niejako „na cele dobroczynne" ubiegać się o swoje względy, aby panowie mogli bez troski czekać na chwilę, gdy Kierenski lub generał Krasnow przerzucą z frontu do Moskwy posiłki wojskowe. Wielkie możliwości spełnienia tego „obowiązku patrjotycznego" nastręczali paniom piękni, młodzi podchorążowie, ledwo wykluci z jajka podporucznicy i studenci — dzielni obrońcy Moskwy, których chętnie przyjmowano na kwatery, aby ich po ofiarnej walce na zimnych ulicach po macierzyńsku ogrzać w domu. Wiele dam w spełnianiu obowiązku patrjotycznego narażało poprostu życie; zawijały w papier sznytki i ośmielały się spuszczać je podchorążym z dachów na sznurkach.

Jak widać, Moskwa niezbyt się przejmowała całym tym przewrotem bolszewickim. Uważano, że idzie tu tylko o przejściowy epizod, poprostu o krotochwilę. Szeroka dusza rosyjska, właściwa zarówno rewolucjonistom, jak i umiarkowanym żywiołom wśród ludu, musiała się trochę wyszumieć, pozbyć nadmiaru sił, ale to znowu rychło przeminie...

Niebawem jednak zabawa znudziła ich, gdyż trwała za długo.

Moskwa dojrzewała stopniowo dla apetytów bolszewickich; sprawiało to długotrwałe oblężenie, sześciodniowy przymusowy pobyt w mieszkaniach, niepewność położenia i groza śmierci, unosząca się nad głowami. Daremnie czekano na jakiś decydujący krok, który — jak zapewniano ludność — lada dzień miał nastąpić i natychmiast wyjaśniłby sytuację. Daremnie oznajmiano codzień stanowczo, że miasto znajduje się w rękach „białych", którzy każdej chwili mogą się uporać z bolszewikami. Daremnie powtarzano raz poraz, że kozacy pod wodzą jakiegoś słynnego hetmana znajdują się w drodze do Moskwy, ba, że sam Kierenski, odbiwszy Petersburg, maszeruje na czele armji na Moskwę, aby uwolnić „Mateczkę Rosji".

Pomoc nie nadchodziła, sytuacja nie wyjaśniała się, a szóstego dnia po zamachu bolszewickim ciągle jeszcze nie widać było kresu uwięzienia ludności moskiewskiej. Zapasy zbliżały się ku końcowi, a nadzieje nie spełniały się. Ludność więc, widząc, że szala zaczyna się przechylać na korzyść bolszewików, zwróciła się również wlewo.

Początkowo zbuntowały się dzielnice ubogich na peryferjach miasta: wygnały one podchorążych i oficerów i poczęły pomagać bolszewikom. Ale i w centrum, gdzie mieszkali bogacze, poczęto niebawem spoglądać na wczorajszych zbawców zukosa, pogardliwie, nawet

groźnie. Wyraz „junkier“, doniedawna oznaczający jeszcze dumną nadzieję, zmienił się w obelżywe przezwisko.

Panie moskiewskie, które jeszcze przed kilku dniami otaczały młodych, pięknych oficerów kultem bohaterskim, nazywały ich teraz „białogwardzistami“. U wielu bohaterów poczęto nagle poznawać ich pochodzenie i przezywano ich „żydowską hołotą“. I ostatecznie Moskwa z niecierpliwością oczekiwała — bolszewików.

KAWIOR I SZAMPAN

Po zamieszaniu, jakie wywołał pierwszy dzień zamieszek, nastąpiła w hotelu „Metropol“ zupełna zmiana nastroju. Kiedy przeminęła burza z 25 października, życie w hotelu można było niemal nazwać normalnem.

Zupełnie normalnem coprawda nie było, gdyż goście nie mieli poza obrębem sal hotelowych swobody ruchów. Olbrzymi gmach odcięty był od świata zewnętrznego, a mieszkańcy jego skazani wyłącznie na własne towarzystwo. A że współżycie w hotelu było wymuszone, rychło znudzono się sobie wzajemnie. Każda z tych twarzy, które się miało nieustannie przed oczyma, stała się niebawem tak znajoma, jak wytarta moneta. Goście mieli wrażenie, że znaleźli się na ciasnym okręcie podczas nudnej przejażdżki morskiej. Każdy dałby chętnie majątek za jakąś nową twarz, gdyby ją tylko można było gdzie wyszperać!

Tutaj trzeba coprawda dodać, że niewszyscy mieszkańcy domu nudzili się tak niezmiernie. Niektóre panie tak sumiennie spełniały obowiązek podtrzymywania w miarę możności dobrego nastroju, że wynikały stąd sceny zazdrości między ich mężami a innymi męskimi mieszkańcami hotelu. Najwięcej tematu do rozmów do-

starczała owa pikantna młoda pani, która pierwszego dnia „oblężenia“ wkroczyła z uśmiechem do sali bilardowej w otoczeniu chmary dandysów, wywołując przez to żywe niezadowolenie starszych dam.

— Podobno w jej apartamentach rozgrywają się po nocach istne orgje, — szeptano sobie do ucha.

Szły także wieści o rozmaitych innych skandalach, przy których dochodziło rzekomo do policzkowania, mówiono nawet o pojedynku między dwoma wysoko postawionemi panami, którzy wzajemnie ubliżyli honorowi swoich dam; coprawda samo dopełnienie aktu honorowego trzeba było odłożyć na odpowiedniejszą chwilę.

Jednakże te skandale i skandaliki, te ciekawe i pikantne afery małżeńskie miały także swoją dobrą stronę — wnosiły nieco odmiany do jednostajnego życia.

Z zaprowjantowaniem gości także nie było łatwo. Już drugiego dnia oblężenia okazało się, że hotel był coprawda znakomicie zaopatrzony w najrozmaitsze delikatesy i drogie napoje, ale codziennych, najpotrzebniejszych artykułów spożywczych, jak chleb, kartofle, groch, posiadał bardzo mało. Chleb zaś, jak każdemu wiadomo, jest ulubioną potrawą Rosjanina, bogatego czy ubogiego. Kiedy mogło go teraz zupełnie zabraknąć, stał się wnet specjałem, bez którego nikt nie mógł się obyć; przywołano na pomoc wszystkie podstępy kupieckie, jakie stosuje się zwykle przy wielkich transakcjach, aby wyłudzić od służby jej skąpe porcje chleba.

Niebrak było natomiast najlepszych delikatesów, wszelkich gatunków wędzonych łososi, tłustych jesiotrów astrachańskich o bielutkiem mięsie, wielkich śledzi z Bałtyku i Krymu, a przedewszystkiem — kawioru. Zjawiły się olbrzymie słoje kawioru we wszystkich barwach, od czarnego poprzez szary do perłowo-białego i różowego, świeżego i prasowanego. Miało się wrażenie,

jakby hotel rozporządzał niewyczerpanemi zapasami lub tajemnemi źródłami kawioru. Mimo niepewnej sytuacji, kawioru można było dostać, ile się zechciało, oczywiście jeżeli się mogło zapłacić odpowiednią cenę. Ale że pieniądze straciły wówczas niemal zupełnie wartość, a przytem wśród warstw, z jakich składali się goście hotelu, nigdy nie odgrywały większej roli, kwestja ceny nie wchodziła wogóle w rachubę; żyło się według słów proroka: „Jedzmy dzisiaj, pijmy dzisiaj, jutro przecież umrzemy!“ i żarło się ze zrezygnowaną obojętnością.

Początkowo otrzymywano jeszcze do porcji kawioru kawałek suchara, a w wyjątkowych wypadkach, przy szczególnej protekcji, cienki plasterek czarnego chleba, a poza tem, zależnie od gustu gościa, trochę drobno posiekanej cebulki, no i oczywiście małą karafkę wódki. Ale niebawem suchary wyczerpały się. Czasami tylko udało się zdobyć cienki, słodki biszkopcik. Ale później stało się najgorsze, co się stać mogło: wódka, która jest w Rosji artykułem pierwszej potrzeby, wyczerpała się także; i do kawioru nie było nic innego, tylko — szampan.

Kawior jest wybornym środkiem na pobudzenie apetytu, ale jako główna potrawa, nie jako przysmak, w wielkich porcjach, bez pieczywa i bez łyku wódki, pozostawia w ustach tłusty smak i pobudza gruczoły do intensywniejszej działalności; w związku z tem wywołuje nadmierny wzrost energji życiowej. A że nadomiar trzeba było spłókiwać łepki kawior tylko szampanem, więc i ten napój szatański przyczynił się do tego, że popędy, zbudzone przez kawior, stawały się jeszcze bardziej niepohamowane.

Oczywiście wybuchy młodzieńczej pychy musiały nawet wśród statecznych gości oblężonego hotelu (w którym nie można się było wzajemnie unikać) wywoływać najrozmaitsze przykre starcia i niemiłe kon-

flikty, które tylko wskutek okropnych warunków życia traciły nieco na ostrości...

Zato widoki szybkiej likwidacji niemiłych wypadków moskiewskich były wprost wspaniałe. Codziennie zapewniano na nowo, że patrjotyczni obrońcy miasta są nieograniczonymi panami położenia, że wierne rządowi wojska zupełnie obsadziły miasto i lada godzina rozbiją bolszewików w pałacu gubernatorskim. Nikt nie mógł wprawdzie zrozumieć, dlaczego się to nie działo, aby ostatecznie raz na zawsze zakończyć tę „awanturę".

Telefon funkcjonował znakomicie, usłużnie i chętnie, znacznie lepiej, niż w normalnych czasach. Większość gości, zwłaszcza pań, spędzała więc czas na telefonicznych pogawędkach ze znajomymi w mieście. Elektryczność była w najlepszym porządku, pozwalając przesiadywać po całych nocach przy stoliku karcianym.

Misza „Mołodiec", który ciągle jeszcze stanowił główne biuro informacyjne oblężonego hotelu, ogłaszał nieustannie uspokajające meldunki, zupełnie w stylu oficjalnych agencyj telegraficznych w czasie wojny:

— Bolszewicy kapitulują bez zastrzeżeń. W tej chwili zebrał się mieszany komitet, aby omówić warunki poddania...

Nareszcie dowiedziano się, skąd czerpał Misza swoje informacje. Ale odkrycie to nietylko nie zmniejszyło jego poważania w oczach mieszkańców hotelu, lecz przeciwnie — spotęgowało je znacznie:

Wśród gości znajdowała się pewna pani, z którą Misza „Mołodiec" był bardzo zaprzyjaźniony. Z biegiem czasu poczęto przebąkiwać, że pani ta była legalną czy nielegalną żoną (dokładnie nie można było stwierdzić) jakiegoś wybitnego członka Komitetu Obrony, komendanta pobliskiego rewiru. Okoliczność ta zjednywała jej też wyjątkowe stanowisko; jej jednej naprzykład — ku wielkiemu zgorszeniu reszty świata kobiecego, roz-

goryczonego takiem uprzywilejowaniem — pozwolono zatrzymać przy sobie pieska, gdy goście hotelowi musieli się schodzić do sali bilardowej.

Misza „Mołodiec“ był z „panią komendantową“ — jak ją powszechnie nazywano — na bardzo poufałej stopie. Była to okazała brunetka z pikantnym, ciemnym puszkiem na wardze i uroczemi pieprzykami na policzkach. Figura skłaniała się raczej do otyłości, co szczególnie podkreślały szerokie biodra, ale pikantny, ciemny puszek przeważał szalę na jej korzyść, tak że powszechny wyrok brzmiał „ładna“.

Oczywiście „pani komendantowa“ cieszyła się w całym hotelu wielkiem poważaniem, a wraz z nią — Misza, który nie odstępował jej na krok. Ilekroć zjawiała się w salonie, wynurzał się z poza jej szerokiej „odwrotnej strony“. Zawsze miał dla niej wpogotowiu komplement lub uśmiech, a jeśli ona sama nie była w odpowiednim nastroju, to przynajmniej dla jej pieska z małym, wilgotnym pyszczkiem, wychylającym się stale z pod sklepienia jej ciepłego biustu. Efekt uprzejmości Miszy był w obu wypadkach taki sam, gdyż piesek stanowił nieodłączną część swojej pani.

Ponieważ komendant bardzo często odwiedzał swoją panią w jej pokoju, posiadała ona oczywiście informacje z pierwszej ręki. Od niej to pochodziły wiadomości Miszy.

— Na Boga, Misza, niech się pan dowie, co słychać! — nagabywano Miszę po każdej wizycie komendanta.

A Misza zjawiał się natychmiast ze swoim przelotnym, usłużnym uśmiechem za plecami „pani komendantowej“ i troskliwie wypytywał, jak się czują i jak spali pani i jej piesek.

— No, Misza, dowiedziałeś się czegoś?

— Wszystko w porządku, lepiej być nie może! Ko-

mitet omawia właśnie formalności, związane z kapitulacją bolszewików.

— A kiedy wszystko skończy się nareszcie?

— Trochę cierpliwości, trochę cierpliwości, moi państwo! — upominał Misza tonem niejako oficjalnym.

Ponieważ sytuacja zapowiadała się pomyślnie, więc nie bacząc na przymusowe internowanie dokonano przerwanego początkowo założenia towarzystwa „Nowa Rosja“.

Kiedy minęło pierwsze przerażenie i przed hotelem zapanował znowu spokój, organizatorzy towarzystwa zebrali się ponownie w marmurowej sali, i po dwóch dniach targów o pakiety akcyj i udziały w zyskach opracowano przy pomocy notarjusza, który znalazł się wśród gości hotelowych, statut towarzystwa; poza tem poszczególni członkowie syndykatu związali się odrębnemi umowami. I dzięki optymistycznym wiadomościom Miszy kurs akcyj wzrósł natychmiast w murach samego hotelu „Metropol“. Zwyżkowały one w kole głównych akcjonarjuszów jednocześnie z innemi papierami giełdowemi, które i tutaj bez przerwy notowano i któremi dokonywali transakcyj nietylko finansiści, ale i inne osoby, interesujące się giełdą; okazało się przytem, że osób takich było niezwykle dużo pośród pań i urzędników, zamieszkałych w hotelu. Sprzedaż i kupno efektów, zwyżka i zniżka akcyj „Nowej Rosji“ i innych papierów giełdowych zależnie od meldunków sytuacyjnych, dostarczanych przez Miszę, były to zjawiska nietylko ciekawe i pożyteczne, ale pomagały zarazem zapomnieć na chwilę o niemiłem położeniu...

Niebawem okazało się, że Misza założył właściwie swoje biuro informacyjne przy pomocy pikantnej brunetki wyłącznie wskutek zainteresowania, jakie miał dla spraw giełdowych, a zwłaszcza towarzystwa „Nowa Rosja“.

Ambicją Miszy było należeć do nowego towarzystwa. Ale stary Mirkin, jak czujny pies podwórzowy, nie dopuszczał go do niego. I właśnie, aby osiągnąć ten cel, założył Misza swoje biuro informacyjne, a raczej dwa biura: jedno przeznaczone dla szerszej publiczności i ogłaszające tylko meldunki bez szczegółów, bez bliższego oświetlenia sytuacji i bez perspektywy na przyszłość, — drugie potajemne, którego wiadomości podawano sobie tylko szeptem wśród wybrańców; było ono obliczone przedewszystkiem na członków towarzystwa „Nowa Rosja".

— Gabrjelu Chaimowiczu, mam możność być panu przydatnym i gotów jestem do usług, — zwrócił się Misza z pełną szacunku uprzejmością do starego Mirkina, prezesa towarzystwa „Nowa Rosja".

Mądry, drwiący uśmiech zaigrał na ustach starego Mirkina, okolonych siwiejącym już blond wąsem; poważnie pogładził prawą ręką jeden z długich końców brody i zapytał obojętnie:

— Czem mi pan właściwie może służyć?

— Otrzymałem przed chwilą ważne inormacje, — zaczął Misza rzeczowo.

— Informacje? — przerwał mu stary Mirkin. — To mnie nie interesuje. Mam czas, aby zaczekać na przyszłe wypadki, nie potrzebuję ich wyprzedzać, — dodał z uśmiechem.

— Ależ, Gabrjelu Chaimowiczu, ja chcę panu być przydatny.

— Nie potrzeba, — odpowiedział stary Mirkin szorstko; uśmiech znikł z jego twarzy, pozostawiając tylko lodowatą godność.

— Ciągle jeszcze nie? — zapytał Misza z wieloznacznym akcentem i badawczo spojrzał staremu Mirkinowi w oczy.

— Ani dzisiaj, ani jutro, — odpowiedział Mirkin i odszedł.

— No, to się jeszcze zobaczy! — zawołał za nim Misza.

Ale stary Mirkin zniknął już.

Goście hotelu „Metropol“ byli w jak najlepszym nastroju. Bawili się, flirtowali, ubijali interesy, szukali rozrywek i z radosną nadzieją oczekiwali końca epizodu.

Wszyscy pełni byli ufności, z wyjątkiem jednego człowieka — tego właśnie, po którym zgodnie z jego usposobieniem i stanowiskiem najbardziejby się można spodziewać ufności — słynnego adwokata Salomona Osipowicza Halperina.

Do powstania tego godnego ubolewania nastroju, w jakim się znajdował, przyczyniło się nietylko ogólne położenie, ale i przykre doświadczenie osobiste. Słynny adwokat doznał bowiem niemiłego przeżycia:

Powziął on niezłomne postanowienie, aby nareszcie jąć się energicznie czynu i odwagą swoją dać przykład innym. Uznał, że nie może jak stara baba siedzieć w zamkniętym hotelu, że w tej ciężkiej chwili musi wywrzeć osobisty wpływ na wypadki, że musi być tam, gdzie jest potrzebny!

Nie zdradzając się przed nikim ze swoich zamiarów, opuścił pewnego dnia hotel, w chwili, gdy na ulicach panował względny spokój. Udało mu się ominąć patrole oficerskie, strzegące hotelu. Czy go poznano, czy nie (Halperin przypuszczał oczywiście, że poznano), przepuszczono go. Stanowczym krokiem, z podniesioną głową, z odwagą w piersi minął słynny adwokat pusty plac Teatralny i skierował się w stronę szkoły wojskowej Aleksandra, gdzie znajdował się sztab „bia-

łych"; Halperin spodziewał się spotkać tam mnóstwo przyjaciół i znajomych.

Ale już na skrzyżowaniu ulic Gieorgiewskiej i Twerskiej zatrzymał go patrol podchorążych. Miejsce to było bardzo niebezpieczne; znajdowało się blisko pałacu gubernatorskiego, a cała przyległa dzielnica obsadzona była przez bolszewików. Junkrowie zamknęli dojście do obszaru bolszewickiego zasiekami z drutu kolczastego. Patrol składał się z młodych podchorążych i słuchaczów pierwszego semestru. Na twarzach ich widniał jeszcze pierwszy puszek, ale stali na posterunku z arcypoważnemi, pewnemi siebie minami, uzbrojeni od stóp do głów w karabiny, szable i rewolwery; przed nimi leżały granaty ręczne.

— Stój! Dokąd? — zatrzymał Halperina młody oficer.

— Do szkoły wojskowej Aleksandra, bronić ojczyzny, — zawołał adwokat, świadom swojej godności i doniosłej chwili, i chciał iść dalej, nie zwracając uwagi na młodzieńców.

— Gdzie legitymacja?!

— Nie potrzebuję legitymacji. Jestem...

— Hasło! — przerwali mu oficerowie zupełnie bez szacunku.

— Ja, ja... oto moje hasło! — zawołał adwokat, wskazując na tkwiącą w dziurce od guzika odznakę członka rządu.

Na młodych oficerów znaczek ten wywarł małe wrażenie, gdyż nie znali dystynkcyj członków rządu. A przytem każdy miał wówczas w klapie jakąś wstążeczkę czy odznakę, to też nikt nie mógł się zorjentować, co oznaczały rozmaite rozetki i emblematy i jakiej dowodziły przynależności partyjnej.

— Dzisiejszy system wychowawczy jest naprawdę godny ubolewania, jeżeli młodzież nasza nie zna twarzy

swoich przewódców. Należy to do zadań szkoły! — mruknął adwokat urażony.

— To chyba bolszewik? — zapytał jeden z oficerów drugiego, nie troszcząc się o słowa Halperina.

— Możliwe. Prawdopodobnie chciał się przekraść do pałacu gubernatorskiego.

— W każdym razie wygląda jak któryś z nich — prawdziwa gęba żydowska.

— Zabawimy się z nim! — zaśmiali się do siebie oficerowie.

— Słuchajno, ojczulku, — zaczął jeden, niewzruszenie dmuchając Halperinowi w twarz dymem z papierosa, — zawrócisz teraz, a my będziemy liczyli do czterech. Potem strzelamy. Jazda!

Siłą odwrócili słynnego adwokata i podnieśli rewolwery.

— Raz... Dwa...

Oczywiście Halperin począł biec, ile sił. W tym biegu o życie zapomniał zupełnie o swojej godności, a żałosna postać, która w śmiertelnym lęku uciekała dzikiemi skokami, pobudziła zarozumiałych młodzieńców do nieposkromionego śmiechu. Doliczywszy do czterech, wystrzelili w powietrze. Kiedy adwokat usłyszał huk wystrzałów, konwulsyjne drżenie wstrząsnęło całem jego ciałem. Junkrowie zataczali się ze śmiechu.

Skąpany potem przerażenia, z dygoczącemi kolanami i obłędnie bijącem sercem sadził adwokat w nieprzytomnem przerażeniu przez plac Teatralny i raczej martwy niż żywy dobiegł nareszcie do hotelu. Na progu padł zemdlony.

Długo trwało aż powrócił do przytomności; zaniesiono go do pokoju i położono do łóżka. Kiedy odzyskał znowu świadomość, począł bełkotać bez przerwy niezrozumiałe dla otoczenia słowa:

— Zwarjowali... Cała Rosja zwarjowała...

Od tej chwili odwaga jego załamała się. Nie opuszcza pokoju, nie schodzi do sali bilardowej i nie bierze udziału w życiu towarzyskiem hotelu. Zięć jego, Gabrjel Mirkin, stara się podnieść go na duchu:

— Jak pan mógł w takich czasach opuścić hotel?

A hurtownik herbaty, który w czasie oblężenia utracił świeże rumieńce na policzkach i dostał wielkie brunatne kręgi pod oczyma, przemawia do niego ufnym głosem i ze zwykłą swą wiarą:

— Wszystko minie niebawem. Podobno w dumie miejskiej pertraktują już nad utworzeniem wspólnego komitetu administracyjnego...

To była w hotelu „Metropol" powszechna formułka ufności i odwagi, aż — nadeszła noc 31 października.

SŁUŻBA

Nagle sytuacja zmieniła się zupełnie.

Walki uliczne coraz bardziej zbliżały się z peryferji ku centrum miasta. Bolszewicy moskiewscy otrzymali już z Petersburga posiłki, które wraz z towarzyszami moskiewskimi ruszyły z przedmieści przeciwko „białym".

Oficerowie i podchorążowie ubezpieczyli wszystkie dojścia do dumy miejskiej i Kremlu, między innemi także plac Teatralny, drutami kolczastemi i gęstemi posterunkami. Ale z okienek dachowych teatru wyglądały już nieustraszenie i bez trwogi karabiny maszynowe Mirkina, zwróciwszy lufy na hotel „Meropol".

Wieczorem 31 października oddział Mirkina otrzymał zapomocą umówionego sygnału rozkaz rozpoczęcia ognia. Z dachu Teatru Wielkiego posypał się grad kul, zalewając cały plac Teatralny. Mieszkańcy hotelu „Metropol" zaalarmowani zostali warkotem karabinów maszynowych i wybuchami granatów ręcznych. Dyrektor

począł znowu biegać ze swoim sztabem od pokoju do pokoju wielkiego gmachu, zabierając gości — to z łóżek, to od stolików karcianych, to od milszych jeszcze rozrywek — i prowadząc ich do znanej już sali bilardowej, gdzie przygotowane były krzesła, fotele, kozetki i kanapy, aby przyjąć mieszkańców hotelu, wytrąconych nagle z równowagi. Tym razem jednak nie pozwolono zatrzymywać się w wielkim westybulu ani przy bufecie; podobnież zabroniono wchodzenia do seperatek i alkow, położonych od strony dziedzińca. Wszystkie salony były wymarłe, bufet zamknięty. Goście, cała służba i personel hotelowy mieli do dyspozycji jedynie salę bilardową.

Podczas sześciu dni przymusowego wspólnego pobytu nawet najlepiej wychowani goście oduczyli się dobrych manier. Wszyscy byli już tak znudzeni widokiem innych, a przez to tak podrażnieni, że o lada drobnostkę gotowi byli bić się do upadłego. Dyrektor i nieliczni goście, którzy panowali jeszcze nad swojemi nerwami, musieli sobie zadawać wiele trudu, aby uspokoić wzburzone umysły i zaprowadzić wśród zdenerwowanego towarzystwa trochę porządku.

Zaledwie Misza wszedł na salę, otoczono go natychmiast. Jak spragnieni łakną łyku wody, tak tutaj łaknęli wszyscy słowa otuchy w niedoli, promienia światła w mroku przerażenia. Przez cały dzień rozpowszechniał Misza pocieszające wiadomości, że w najbliższych godzinach pałac gubernatorski zostanie obsadzony, a miasto uwolnione od bolszewików — i nagle tak niespodziewany zwrot!

— Na Boga, Misza, niechże się pan dowie, co się stało?

— Misza, niechże pan pójdzie do swojej damy i zapyta, jak się przedstawia sytuacja! — atakowano Miszę ze wszystkich stron.

Misza i teraz jeszcze zapewniał nieustannie, że nie ma to najmniejszego znaczenia, gdyż otrzymał przed chwilą zupełnie poufnie „maleńką wiadomość“, według której idzie tutaj o kontratak bolszewików, podobnie jak było 28 października na placu Skobielewa; tym razem jednak zostali bolszewicy rozmyślnie sprowokowani przez „białych“ oficerów, aby cała ta awantura mogła być nareszcie zlikwidowana za jednym zamachem poza plecami „zarażonej socjal-rewolucyjnie“ dumy miejskiej.

Ale nagle nie wierzono już informacjom Miszy. Wszyscy uczuli naraz, jak głupią rolę grali wobec siebie, dając wiarę temu podejrzanemu fanfaronowi. Wszystko, co mówił, sprawiało wrażenie, jakoby pozostawał on w bliskim kontakcie z miarodajnemi sferami; a gdy autorytet Miszy okazał się złudnym pozorem, cały dawny ład stał się wątpliwy dla tych, co się na nim dotąd wspierali.

Oświadczenia Miszy przyjmowano teraz z ironicznemi uśmiechami:

— To są ludzie, którzy nas bronią! — poczęto drwić nagle. — T a c y ludzie rządzą Rosją! — i z jawnem szyderstwem wskazywano na Miszę.

Podobny był teraz do papieru giełdowego, który stracił wartość, do monety wycofanej z obiegu, i wszyscy dziwili się sobie, że mogli dawać posłuch takiemu człowiekowi.

Misza odczuł niebawem obelżywą pogardę całej sali i zapłonął gniewem:

— To naprawdę doskonałe — atakujecie mnie teraz, jakbym to ja był rządem!

I „sympatyczny Misza“ stał się nagle kozłem ofiarnym całego dotychczasowego ustroju, ginącego starego świata...

Ale oto, zaszedł wypadek, który skłonił wszystkich

do ponownego zwrócenia się do Miszy. Światło elektryczne zgasło i sala pogrążyła się nagle w gęstym mroku. Tym razem jednak, wbrew oczekiwaniom, światło nie zapłonęło znowu po chwili, jak się to stało na początku oblężenia, lecz ciemności trwały.

— Światło! Światło! Światło! — wołano ze wszystkich stron.

— Spokój! Toż to istne piekło! — krzyknął ktoś głośno.

— Spokój! Spokój! — powtarzano na całej sali.

Panowie zapalali zapałki. Zajaśniało też kilka kieszonkowych latarek elektrycznych, jakie większość mieszkańców miasta nosiła wtedy stale przy sobie. Dyrektor krzyknął coś na salę. W chwilę potem zapłonęła świeca. Po niej nastąpiła druga, trzecia. Służba wnosiła żyrandole i lichtarze z zapalonemi świecami. Przyniesiono też kilka lamp naftowych, które hotel posiadał na wypadek krótkiego spięcia.

— Nic się nie da zrobić. Będziemy się starali radzić sobie w miarę możności, — bronił się zdenerwowany już także dyrektor przed napastującymi go o światło gośćmi.

— A ja panu radzę oszczędzać świec, — rzekł jakiś głos z kąta sali.

— Racja! Niewiadomo, jak długo to może potrwać, — zgodził się dyrektor.

— No, Misza, co to znaczy? — zapytał ktoś szyderczo.

— Nie pytajcie mnie, nie wiem już nic, — odpowiedział Misza urażony.

— Ja wam powiem! — zawołał inny głos. — To znaczy, że bolszewicy zajęli miasto. Niedługo będziemy ich tu mieli.

— Tem lepiej! Oby tylko jak najszybciej przyszli i położyli kres temu piekłu!

Sala milczała. Wszyscy żywili to samo pragnienie...

Nikt nie wiedział, jak będzie wyglądało to, co miało nastąpić. Ale groza przyszłości widniała już teraz na twarzach służby.

Przez cały czas oblężenia służba była barometrem położenia. Początkowo, kiedy zdawało się, że bolszewicy zostaną wypędzeni, zachowywała się ona z niewolniczą wprost usłużnością i spełniała najbardziej kapryśne rozkazy gości z charakterystyczną dla Rosjan uniżonością. Ostatniemi dniami służba była już mniej uprzejma, zaś od owego wieczora, kiedy zgasło światło, poczęła grać role panów. Z pod masek lokajskich wypełzała cała okrutna przyszłość, jaka miała nastąpić, na twarzach ich wyczytać było można wyrok na panów, zemstę za psie życie sług, za wszystkie poniżenia i obelgi, za wszystkie lata niewoli.

Panowie obchodzili się teraz ze służbą tak delikatnie i ostrożnie, jak z pękniętym wazonem, byle jej tylko nie urazić jakiemś słowem, jakiemś choćby silniejszem tchnieniem. I jak niegdyś słudzy do panów, tak teraz panowie do sług poczęli się uśmiechać słodkawo i pochlebczo. Był to wymuszony uśmiech, próba stopienia lodowego pancerza, rozpędzenia chmur, które coraz posępniej powlekały twarze tak uniżonej dotąd służby...

Te chmury zbierały się jednak tylko na twarzach obcej służby. Zupełnie inaczej zachowywała się osobista służba gości. Wielu gości miało przy sobie własnych lokajów, wytresowanych jak zwierzęta domowe i nauczonych spełniać wszelkie ich życzenia. Ta kategorja służby była w swem niewolnictwie tak wyzbyta własnej indywidualności, że bardziej brała sobie do serca nie-

wygody, jakie niewola sprowadzała na panów, niż panowie sami. Na osobistych lokajach można było polegać. W ich stosunku do państwa nie zaszła najmniejsza zmiana, co więcej — starali się w miarę możności okazywać większą jeszcze usłużność, jakby pragnęli w ten sposób wynagrodzić panom przykrości, jakie ci musieli znosić. I istotnie panowie doznawali pewnej ulgi, mając w swoich lokajach niejako wentyl na bezsilny gniew, jaki się w nich gromadził. Największy użytek robiły z tej możliwości arystokratki.

Wśród gości znajdowała się pewna księżna, która miała jako „damę do towarzystwa" zubożałą baronównę, jej krewną. Księżna dręczyła tę biedną istotę bez litości. Nadawała jej najplugawsze przezwiska, nie zapominając przytem nigdy dodawać tytułu „baronówna".

— Baronówno, zachowuje się pani jak dziewka od krów! Kucharka ma lżejszą rękę i delikatniejsze dotknięcie, niż pani, baronówno! — krzyczała przy wszystkich na swoją damę do towarzystwa.

Ku zgorszeniu całego grona baronówna znosiła cierpliwie wszystkie obelgi, pokornie spełniała obowiązki i usprawiedliwiała jeszcze swoją panią przed świadkami takich scen:

— Biedaczka przyzwyczajona jest wyjeżdżać co rano, aby rozpędzić migrenę. Teraz to niemożliwe, i dlatego jest rano bardzo zdenerwowana.

Własna służba starała się w miarę możności uprzyjemnić państwu oblężenie. Lokaje walczyli z sobą o wygodne miejsca dla swoich panów, bili się o podnóżki, kłócili się w kuchni z kelnerami i kucharzami o większe porcje, o szklankę herbaty czy butelkę do zagrzewania łóżka. Jeśli nie mogli otrzymać tego, czego państwo pragnęli, brali na siebie winę, jakby się czuli odpowiedzialni za przykrą sytuację i złe czasy. Jak matki dzieciom, tak oni dodawali otuchy rozkapryszonym pa-

nom i paniom, przykładali im kompresy do czoła, podtrzymywali im flaszeczki z solami pod nosem lub nadstawiali paniom ramiona, żeby mogły na nich oprzeć zmęczone głowy. Ich plecy, piersi stawały się dla państwa miękkiemi poduszkami, słowem — starali się przynajmniej przez swoją osobistą usłużność dać państwu satysfakcję za nieszczęścia, jakie sprowadziła rewolucja tych przeklętych bolszewików.

Z personelem hotelowym, który znajdował się w bezpośrednim kontakcie z gośćmi — kelnerami, pokojówkami, numerowymi — także można było sobie jeszcze poradzić, choć nie tak łatwo, jak z własną służbą. Z przyzwyczajenia spełniali oni otrzymywane rozkazy, a co najważniejsza — goście znali już ich twarze. Coprawda w czasie oblężenia zatarła się nieco ostra linja, oddzielająca pana od sługi. Podczas tych dni personel hotelowy pozwalał sobie wobec gości na swobodę, na jaką nigdyby się nie zdobył; ignorował ich życzenia, udawał, że nie słyszy wołania i odpowiadał często w taki sposób, że niektórym gościom krew uderzała do głowy.

A jednak — jak powiedzieliśmy — z tą kategorją służby można sobie było jeszcze poradzić, gdyż istniała przynajmniej jedna możliwość — przekupywania ich. Personel hotelowy korzystał też obficie z tej sposobności i kazał sobie płacić za każdy uprzejmy uśmiech, za każdą najdrobniejszą pomoc, za każdy spełniony rozkaz. A że goście z duchem czasu wszyscy usiłowali okazać swoją „miłość dla ludu“, starano się przynajmniej hojnemi napiwkami naprawić grzechy, jakich się dotąd dopuszczano wobec ludu. W ten sposób wytworzył się wśród gości rodzaj współzawodnictwa w „przyjaźni dla ludu“: każdy usiłował przelicytować innych w wysokości napiwków. Niektórzy posuwali się nawet dalej; nie zadowalali się kupowaniem sobie „ludu“ za pieniądze, ale chcieli z nim także nawiązać niejako poufałe stosun-

ki. Co dawniej czyniła służba, teraz czynili państwo: wypytywali się o zdrowie personelu, interesowali się jego życiem i stosunkami rodzinnemi.

— Pan jest żonaty?... Ma pan oczywiście kilkoro dzieci!... A ile pan dostaje tygodniówki? Na pewno mniej, niż potrzeba, żeby przeżyć od poniedziałku do czwartku!... Trzeba pomyśleć o naprawie, drogi przyjacielu! Żona i dzieci muszą być zabezpieczone! Niech pan przyjdzie kiedyś do mojego biura, gdy się czasy uspokoją — zobaczymy, co się da dla pana zrobić...

Ale im uprzejmiejsi, im serdeczniejsi, im poufalsi stawali się państwo, tem chłodniej, tem sztywniej, tem mrukliwiej zachowywała się służba...

Nagle zjawiły się w sali bilardowej zupełnie nowe twarze, których dotąd nie widziano wcale. Wynurzały się z ukrytych kątów, z piwnic i izdebek hotelu i ukazały się wtedy dopiero, gdy sytuacja stała się groźna. Byli to kucharze, pomywaczki, sprzątaczki, palacze, służba ustępów, zamiatacze, słowem — „szczury hotelowe“, ukryte głęboko, głęboko, w nieznanych izdebkach tego wielkiego gmachu, na strychach i w piwnicach, i nie wychodzące nigdy na światło dzienne. Sam widok tych postaci wywoływał zimny dreszcz przerażenia i mroził krew w żyłach: umęczone albo czarne od sadzy twarze, nagie, spocone ciała, skąpo okryte fartuchami lub podartemi workami; płynął od nich słodkawo-kwaśny zaduch, pomieszany ze stęchlizną wystygłego jedzenia, które poprzynosili ze swoich ukrytych nor.

W półmroku świec i lamp naftowych nagłe zjawienie się tych nieznanych postaci podziałało na zmęczonych, zatrwożonych i łaknących wypoczynku gości hotelowych, jakby ujrzeli w koszmarnej zjawie djabły albo złe duchy.

I istotnie owinięci w łachmany przybysze o niezdarnych ruchach, brutalnych, brudnych twarzach i idjo-

tycznym śmiechu na rozwartych w zdumieniu ustach sprawiali takie wrażenie.

Jakaś kobieta o ropiejących oczach nieustannie szczerzyła przegniłe zęby w otwartych ustach do pań. Z bezczelnym a zarazem głupim uśmiechem oglądała poszczególne grupy gości, zapadających w przerywane drzemki, i ośmieliła się nawet podejść do jakiejś młodej pani i dotknąć jej sukni:

— Jedwab, — skonstatowała ze śmiechem.

Młoda pani przeraziła się tak dalece, że dostała histerycznego spazmu.

Bezkształtny kolos na dwóch kolumnach, widocznie tragarz węgla, stał nieruchomo na środku sali; nagi jego tułów owinięty był w czarny worek, a połyskujące oczy na pokrytej głębokiemi bliznami twarzy, z zimnym okrutnym uśmiechem spoglądały wyzywająco na wszystkich gości pokolei; było to spojrzenie, jakiem się patrzy na ofiarę...

Ale nowi przybysze posunęli się dalej — poczęli szydzić z personelu hotelowego, który ciągle jeszcze zachowywał się przyzwoicie, przedrzeźniać usłużne gesty lokajów i wykrzykiwać sprośne albo obelżywe uwagi:

— Pańskie psy! Patrzcie, jak się czołgają na czworakach przed pańskiemi tyłkami!

Zjawienie się i zachowanie tych niezwykłych postaci wywołało zrozumiałą panikę wśród gości, którzy i tak już nie panowali nad nerwami. Spoglądali po sobie z lękiem i szeptali:

— Co to za ludzie? Co to ma znaczyć?

Przeraźliwą przyszłość, która miała nastąpić jutro, można było wyczytać z twarzy tych awanturniczych postaci. Miało się wrażenie, jakby przed gośćmi hotelu rozwierała się posępna otchłań nadchodzących dni.

— Wyprowadźcież tych ludzi! Dlaczego ich tutaj wpuszczono? — zawołał ktoś oburzony.

Ułagodzono go szybko:

— Cicho! Na Boga, milcz pan! Czyż pan nie wie, w jakich czasach żyjemy?

Przybysze zuchwale wmieszali się między gości, starając się rozsiąść na miękkich fotelach i wyściełanych krzesłach, przeznaczonych wyłącznie dla mieszkańców hotelu — pozwalali sobie nawet brutalnie dotykać panów i panie. Praczki posuwały swój bezwstyd tak daleko, że wciskały się między siedzące panie. A nieznośny zapach potu i brudnej bielizny zmusił niektóre śmiertelnie przerażone panie do ucieczki.

— Czego oni tu chcą? Dlaczego ich tu wpuszczono? Iwan! Iwan! — wołały liczne głosy, wzywając głównego portjera.

— Hej tam, zwolnić miejsca, moi państwo! Dosyć się wysiedzieliście na miękkich krzesełkach, teraz kolej na innych ludzi!

Człowiek, który krzyknął te słowa, cuchnął jak trup szczura.

Na szczęście zjawił się Iwan; szybko zbliżył się w zgrabnych, błyszczących bucikach do brutala.

— Czego chcesz? Czy nie wiesz, że tutaj wolno siedzieć tylko gościom? Ej, naprzód, zejdź do swoich ludzi! — zaczął główny portjer najuprzejmiejszym tonem, na jaki się mógł zdobyć; widać było coprawda, że kosztowało go wiele wysiłku, aby do „takiego draba" mówić uprzejmie.

Ujął go za ramię i starał się odciągnąć od miejsc gości:

— Chodź lepiej ze mną! Pokażę ci o wiele wygodniejsze miejsce! Widzisz przecież, że tu jest ciasno!

— A, ty psie pański! Czekaj, czekaj, jak nasi przyjdą, to ci już pokażą!

— Cicho! Nie pyskować! — zawołał Iwan, odciągając draba.

Iwan jest w tych ciężkich chwilach jedyną pociechą gości.

Jest on głównym portjerem hotelu; w wytwornej postawie, z obitą srebrem wysoką laską w ręku, w uniformie ze złotem szamerowaniem stoi przy wejściu hotelu „Metropol“ i uśmiecha się do wszystkich wchodzących uprzejmie i zapraszająco, jak właściciel hotelu.

Jest to wysoki mężczyzna powyżej trzydziestki, ze zdumiewająco jasną cerą. Pod liberją nosi zawsze śnieżnobiałą, dzianą koszulę rosyjską, pod którą mimo luźnego kroju odcina się niezwykle silna pierś. Delikatna, jasna cera nadaje mu wygląd raczej silnej, dobrze rozwiniętej kobiety, niż mężczyzny. W błyszczących lakierkach na małych, kształtnych stopach usłużnie podbiega lekkim krokiem na każde zawołanie. Delikatne spojrzenie jego niebieskich oczu kusi zarówno męską jak i żeńską płeć...

Jego wąskie, miękkie dłonie, mimo ciężkiej pracy, jaką spełniać musi przy wnoszeniu bagażu, zawsze są wypielęgnowane, proste, podłużne a jednak silne palce mają zawsze czyste, starannie obcięte paznogcie, które lubi pokazywać i trzyma je zawsze tak, aby je trzeba było koniecznie zauważyć...

Tylko w Rosjaninie, wytresowanym przez wiele wieków niewoli, może się rozwinąć taki instynkt lokajski, tak nieomylne poczucie pragnień i potrzeb państwa, jakie posiadał Iwan. Niby dobry, rasowy pies, wietrzył on niejako wszystkiemi zmysłami najtajniejsze życzenia gości, zanim oni sami uświadomili je sobie. Lekkie jego nogi zawsze gotowe były na skinienie pana skoczyć bodaj w ogień. W rozmowie starał się nie patrzeć gościowi w twarz, jakby miał coś do ukrycia, i z czułą, błagalną wprost uniżonością spoglądał wbok. I zboku

tylko głaskał jego wzrok pieszczotliwie mężczyzn i kobiety...

Tylko niewolnictwo rosyjskie zdolne było rozwinąć w człowieku obok zupełnego wyrzeczenia się własnej indywidualności także ową przebiegłość, jaką spotykało się wśród uciemiężonych klas Rosji. I Iwan nie zapominał w służbie ani na chwilę o własnej korzyści. Stosował do tego środki, jakiemi go obdarzyła natura: od mężczyzn wyłudzał datki za usługi swemi kobiecemi wdziękami, od kobiet — męskiemi. Każdy krok, jaki czynił, był starannie obliczony. Chociaż zgodnie ze swoją lokajską naturą posłuszny był na każde skinienie, to jednak nie szafował zbytnio swojem ujmującem spojrzeniem, rezerwując je dla tych tylko gości, po których mógł się spodziewać hojnych napiwków...

Jak służalczym był Iwan wobec potężniejszych, tak tyrańsko traktował tych, co byli pod jego władzą. Podwładni musieli mu opłacać taki sam haracz, jaki on składać musiał silniejszym. Dręczył ich z owem chorobliwem okrucieństwem, właściwem temu typowi ludzi, pilnował ich na każdym kroku i bezlitośnie zapędzał do roboty. Ale ta sama twarz, która dopiero co skrzywiona była zajadłym gniewem, zmieniała się na widok zbliżającego się gościa w poddańczo uśmiechniętą, kuszącą do grzechu maskę.

Oczywiście Iwan, podobnie jak jego państwo, nie wierzył w zwycięstwo rewolucji. Był przekonany, że idzie tu o chwilowe rozruchy, wywołane przez tę przeklętą wojnę (Iwan i jemu podobni byli również wrogami wojny): ale świat nie zginie od tego. Niekiedy zdarzają się złe czasy, i w Rosji już je przeżywano. Ale uspokoi się znowu, batiuszka-car powróci, a wraz z nim dawni urzędnicy i piękne ruble carskie. (Do „kierenek“ miał Iwan mało zaufania i zamieniał je stale na ruble carskie, których miał już pełną poduszkę).

Wiedząc, że pan nie zapomina nigdy usługi, wyświadczonej mu w nieszczęściu, i zdając sobie sprawę, że panowie byli teraz w nieszczęściu, starał się służyć im jeszcze gorliwiej, jeszcze uniżeniej niż zwykle, aby sobie o nim w lepszych czasach przypomnieli. A goście czuli instynktownie, że Iwan jest ich przyjacielem. Radzili się go, co mają robić i jak postępować, gdy przyjdą bolszewicy. Inni posuwali się dalej jeszcze, umawiając się z Iwanem, że ukryje w chwili wtargnięcia bolszewików ich brylanty i papiery wartościowe; niektórzy dawali mu je już teraz na przechowanie, i Iwan nosił w obcasach lakierków, na piersi i w innych, bardziej jeszcze ukrytych miejscach, niejeden majątek...

Gdy fale nieszczęścia sięgały już gościom po szyje, a niebezpieczeństwo w postaci nowych, niezwykłych przybyszów w sali bilardowej, stawało się dla nich coraz groźniejsze, odbywano z Iwanem formalne narady, co czynić. Zajął on teraz stanowisko, jakie poprzednio zajmował Misza „Mołodiec". Goście wyrywali go sobie, ciągnięto go od jednej kanapy do drugiej:

— Iwan, na chwileczkę!...

— Iwan, może pan przyjdzie do nas?...

Iwan biegał na lekkich stopach od jednej grupy do drugiej i wołał co chwila miękkim, jasnym głosem:

— Zaraz, jaśnie panie!... Natychmiast będę do usług!...

Gorliwość podsunęła Iwanowi szczęśliwy pomysł; pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy zwierzył go nielicznym tylko wybrańcom, od których na pewno mógł się spodziewać sowitej nagrody. Później twierdzono wprawdzie, że myśl tę podsunął portjerowi Misza „Mołodiec", gdyż Iwan nigdyby nie wpadł na taki pomysł, godny zupełnie głowy Miszy. Istotnie Misza propagował też żywo nową ideę: niespodzianie zjawił się przed zna-

jomą nam grupą syndykatu „Nowa Rosja“, siedzącą razem w posępnem zamyśleniu nad niewesołą przyszłością.

Misza nie należał do ludzi, którzy się zbytnio przejmują obelgą. Znowu zwrócił się do starego Mirkina:

— Gabrjelu Chaimowiczu, chwila jest zbyt poważna, aby pamiętać o dawnych urazach. Chociaż dwa razy już odtrącił pan moje usługi, chcę panu dowieść, że jestem gotów pomóc panu w tej decydującej chwili.

— Powiedziałem panu już raz, że nie życzę sobie pańskich usług — nie jest mi pan sympatyczny.

— Ależ, Gabrjelu Chaimowiczu, tu idzie o pańskie życie, — odpowiedział Misza poważnie.

— Nie życzę sobie pańskich usług, nawet jeżeli idzie o moje życie! Zresztą cóż moje życie ma z tem wspólnego? — zapytał stary Mirkin zdziwiony.

— Czy pan wie, do czego zdolni są bolszewicy, jeżeli pana tutaj zastaną, nadomiar z wypchanym portfelem?! W Petersburgu bywały wypadki...

— Powiedziałem panu już, że nie życzę sobie pańskich usług.

— Niech pan przynajmniej wysłucha, co on ma do powiedzenia! — zaoponowali inni panowie. — Niech pan mówi, Miszo — o co idzie?

— Jest już faktem nieuchronnym... mówię to panom w tajemnicy... — Misza stłumił głos do szeptu, — że „biali“ z nastaniem dnia wycofają się z placu Teatralnego... Dowiedziałem się tego przed chwilą od „komendantowej“... Niema już nadziei...

— Wiemy o tem, — przerwali mu finansiści.

— Kiedy czerwonogwardziści i pijani robotnicy wtargną do hotelu, można się po nich spodziewać wszystkiego. Wściekli, że tak długo nie mogli zdobyć hotelu, gotowi będą mordować. Nie zapominajcie, że piwnice z winem są jeszcze pełne. Dyrektor wzbrania się wylać wino. Idzie więc o to, aby w pierwszej chwili

zejść im z drogi, aby nie podniecać ich wściekłości. Kiedy się potem uspokoją, już się coś da zrobić...

— Doskonale — a jak pan zamierza zejść im z drogi?

— Na tem właśnie polega cały plan! Omówiłem go z Iwanem... — Misza zniżył głos jeszcze bardziej. — Zabierze on kilku z nas do swego mieszkania i przebierze w ubranie służby. Każdy dostanie bluzę, fartuch albo kelnerską marynarkę i będzie zmywał naczynia, zamiatał korytarz lub spełniał podobną pracę, aby wprowadzić w błąd bolszewików. Pomyślą oczywiście, że należymy do służby hotelowej. W ten sposób będziemy mogli uratować trochę pieniędzy. Idzie tylko o pierwszą chwilę, aby się obronić przed ich wściekłością — rozumiecie przecież?!

— Precz stąd, szubrawcze! — zawołał stary Mirkin, a wielka jego twarz, ostatniemi czasy szara zupełnie, poczerwieniała nagle. — Precz, bo...

Pozostali panowie milczeli.

Misza schronił się szybko w bezpieczne miejsce.

Ale nie wszyscy byli tak wrażliwi, jak stary Mirkin. Zarówno z grupy „Nowej Rosji", jak i z innych miejsc, poczęli się niebawem ulatniać panowie, którzy odciągali Miszę i Iwana nabok, szeptali z nimi i znikali w głębi gmachu.

Okazało się jednak, że posiadane przez Iwana zapasy fartuchów, bluz i marynarek kelnerskich nie wystarczały wobec olbrzymiego popytu, a przytem portjer nie miał odwagi przebrać tylu osób za służących, aby zbyt wielka ilość personelu hotelowego nie wzbudziła podejrzenia; to też owej przeraźliwej nocy 31 października cena ubrania roboczego wzrosła wśród gości „Metropolu" do niebywałej wysokości. Za bluzę służącego płacono sznurem pereł, za fartuch majątkiem.

Gdy ranek zaświtał, ogień karabinowy na placu

Teatralnym wzmógł się. W hotelu wiedziano jednak, że „biali“ cofali się i osłaniali tylko swoje tyły.

Stary Mirkin, siedzący poważnie na swojem miejscu, spostrzegł nagle hurtownika herbaty Rozamina, spacerującego po sali w śmiesznem przebraniu: koszuli rosyjskiej i zielonym fartuchu wokół grubego brzucha, z bladą twarzą, wymazaną sadzami.

Mirkin odwrócił się ze wstrętem i wybuchnął histerycznym śmiechem.

Zawstydzony zerwał Rozamin fartuch z brzucha i lękliwie starał się usprawiedliwić przed Mirkinem:

— Jakichże głupstw nie robi się w takich czasach!

KREML WOŁA

Człowiek posiada potajemne zapasy sił i cech charakteru, które dopiero w chwilach potrzeby wychodzą najaw. Jedną z takich sił jest poczucie odpowiedzialności. Poczyna ono u każdego człowieka działać niejako automatycznie, gdy niespodzianie poruczy się mu ważne stanowisko. Tak było też z Zacharym Mirkinem.

Zawsze posiadał on w wysokim stopniu poczucie odpowiedzialności. Cecha ta rozwinęła się w nim niby święte przykazanie, gdy w czasie wojny niósł pomoc transportom zarażonych tyfusem uciekinierów. Teraz jednak zadanie, jakie nałożył mu Rewolucyjny Komitet Wojenny przekształciło zupełnie jego charakter. Poczucie odpowiedzialności przywołało na pomoc wszystkie inne zalety, drzemiące w ukrytych zakątkach jego natury.

W chwili, gdy Mirkin objął dowództwo nad oddziałem karabinów maszynowych, z zadaniem zdobycia placu Teatralnego i hotelu „Metropol“, znikły wszelkie wahania i wszelkie wątpliwości. Widział przed sobą je-

den tylko cel: spełnić swoje zadanie dokładnie według instrukcyj, jakie otrzymał, nie bacząc na wszelkie przeszkody i niebezpieczeńswa. Niebezpieczeństwa te, nawet śmierć, były teraz niczem innem, jak — częścią jego zadania.

Jakby przez całe życie zajmował się wyłącznie dowodzeniem nad żołnierzami, wydawał Mirkin swemu oddziałowi konieczne rozkazy głosem urodzonego dowódcy, z rewolwerem w ręku. On sam zajął pozycję przy okienkach w dachu, gdzie stały karabiny maszynowe, i zapobiegał wszelkim próbom przedwczesnego rozpoczęcia ognia, na co mieli chętkę łaknący zemsty, podnieceni żołnierze. Wystawił warty i poprzez łańcuch „białych“ posterunków wysyłał do pałacu gubernatorskiego gońców z meldunkami, po instrukcje albo w celu przemycenia do teatru prowjantu i amunicji.

Stanowcze, rozważne słowa, twardy ton głosu i powaga, z jaką niósł brzemię swojej odpowiedzialności, rychło nadały mu autorytet i władzę.

Ale długie, bezczynne wyczekiwanie było męką dla oddziału Mirkina; niecierpliwość dręczyła żołnierzy jak ból zęba. Dzień za dniem musiał Mirkin z naprężoną uwagą stać na straży, aby zapobiec wybuchowi. Grupa na dachu mogła być lada chwila dostrzeżona przez junkrów, którzy obsadzili gęsto plac Teatralny, a w razie przedwczesnego rozpoczęcia akcji, naraziłaby życie, gdyż najprawdopodobniej zostałaby zestrzelona przez oddziały „białych“; w najlepszym nawet przypadku niepodobna byłoby uniknąć ataku junkrów na dach, a gdyby się nawet jego załoga uratowała — straty karabinów maszynowych.

„Tak łatwo nas nie dostaną“, — na to był każdy żołnierz oddziału zdecydowany, zaś Mirkin wiedział, że tym razem idzie o śmierć lub życie. Ale, — „nie życie jest teraz stawką, lecz zwycięstwo rewolucji, koniec

wojny i nowa epoka, które nadejdzie nazajutrz po zwycięstwie. A wszystko to jest tysiąc razy ważniejsze i konieczniejsze niż życie — są to sprawy święte, w ich obronie musimy być ustawicznie na stanowisku, wypełniając obowiązki z żelazną dyscypliną".

Myśl ta dodawała Mirkinowi odwagi, aby rozkazywać, żądać, a gdyby było potrzeba, przyłożyć człowiekowi lufę rewolweru do piersi. I to surowe poczucie odpowiedzialności przenosił na cały swój oddział.

Gdy podczas jednego ze swoich obchodów mijał grupę żołnierzy, wolnych od służby i rozłożonych na miękkich fotelach z lóż teatru, usłyszał przypadkowo, jak rozmawiali o niezmierzonych skarbach, znajdujących się w posiadaniu burżujów w hotelu „Metropol". W rojeniach tych była też mowa o brylantach z korony carskiej, które Rząd Tymczasowy dał rzekomo bogatym burżujom w hotelu, aby je wywieźli zagranicę.

Mirkin zrozumiał natychmiast, że niecierpliwi żołnierze wynagradzają sobie męczącą bezczynność marzeniami o fantastycznych bogactwach, jakie odbiorą niebawem burżujom z hotelu „Metropol". Wiedział, że o skarbach tych obiegały wśród żołnierzy legendy i że zacierali oni z zadowoleniem ręce na myśl o bogactwach, jakie ich czekały. Zrozumiał teraz, że znacznie trudniejsze i niebezpieczniejsze, niż sama walka z „białymi", jaka go czekała w decydującej chwili, będzie utrzymanie przy obsadzeniu hotelu dyscypliny w oddziale; nie mógł dopuścić, aby rewolucja splamiła się niewinnie przelaną krwią, aby ten święty czyn, za jaki uważał ostatnią walkę, stał się zwykłym rabunkiem. Zastanawiał się więc nad środkami, aby temu zapobiec. Nieraz wyjaśniał swoim żołnierzom idealistyczne cele rewolucji; tem bardziej oburzał go cynizm, z jakim mówili o jawnem morderstwie i rabunku. Zatrzymał się przy grupie:

— Nie wstyd wam, towarzysze, mówić o takich rzeczach? Kim my właściwie jesteśmy? Czerwonogwardzistami, którzy świadomi swojej odpowiedzialności, walczą za rewolucję, czy bandą rabusiów? Zwracam wam uwagę, towarzysze, że wszelkie usiłowanie skompromitowania naszej świętej sprawy uważane będzie za akt kontrrewolucyjny! A wiecie, czem to pachnie!

Żołnierze zamilkli zawstydzeni.

Mirkin wiedział, że zadanie jego będzie trudne, i już podczas pobytu na dachu zastanawiał się nad środkami zapobieżenia złamaniu dyscypliny. Istniała jedna tylko droga: uświadomić oddział i znaleźć w nim towarzyszów, którzy mieliby dość zrozumienia dla sprawy, aby mu dopomóc w jego zadaniu.

Do oddziału w Teatrze Wielkim należał także „czerwony Zumaszko". Przydomek swój nosił nie bez powodu. Miał on jasno-rude, lniane włosy, które wyglądały zawsze, jakby je deszcz wymył; spadały gęsto z jego szerokiej czaszki na białe, piegowate czoło i równie biały kark. Jasno-rude brwi rzucały cień na wielkie, niebieskie oczy dziecka. Jasno-rudy, rzadki puszek niby młoda trawa po deszczu pokrywał jego zdrowe, czerwone policzki i podbródek. Oślepiająco białe ciało Zumaszki sprawiało wrażenie, jakby niezdolne było przyjąć brudu ani kurzu; po tygodniu snu na kupie wyniszczonych i wyplamionych kostjumów do „Króla Leara", pochodzących z rekwizytorni teatru, ciało Zumaszki tchnęło świeżą wonią, przypominającą zapach żyznej roli. Wyglądał zawsze, jakby się przed chwilą wykąpał w rosie. Zdrowe ciało Zumaszki budziło wspomnienie krainy, z której pochodził. Podobny był do młodej, białej brzózki w lasku na tłustym gruncie swojej wołyńskiej ojczyzny, do młodej brzózki, z której zielonych gałęzi, zwisających jak ramiona dziewczęce, płynęło tchnienie szronu porannego.

Zumaszko śmiał się zawsze i zawsze był w dobrym humorze. Śmiał się nawet, spełniając swoje krwawe rzemiosło. W istocie miał już przeraźliwe rzeczy na sumieniu. Przyczyniły się one do tego, że koledzy, którzy nadali mu początkowo przezwisko „białego Zumaszki“, przemianowali go na „czerwonego Zumaszkę“.

Podczas trzech lat, jakie Zumaszko spędził w okopach, stało się dla niego rzeczą zupełnie naturalną deptać po trupach, gdy musiał przeskoczyć z jednego okopu do drugiego; to go nauczyło cenić życie ludzkie równie mało, jak naprzykład garść ziaren dyni, których kieszenie jego zawsze były pełne. Zabić człowieka, przyłożyć mu rewolwer do piersi, albo jeśli nie można było inaczej, udusić go własnemi rękoma — znaczyło to dla Zumaszki tyleż, co zgryźć ziarnko dyni. Czynił to bez gniewu i złości, naiwne spojrzenie jego dziecięcych oczu nie zmieniało się przytem, a miły uśmiech nie znikał z jego sympatycznych, czerwonych warg.

Tego Zumaszkę obrał sobie Mirkin za sprzymierzeńca. Wyczuwał, że poza swobodą zarozumiałego chłopaka tkwiło niezmiernie rozwinięte, instynktowne poczucie odpowiedzialności, które zresztą wychodziło najaw przy każdej sposobności, gdy powierzano mu jakieś poważne zadanie, służbę wartowniczą albo wywiadowczą.

Do bolszewików przyłączył się Zumaszko początkowo z pychy. Przecież bolszewicy nawoływali do nieposłuszeństwa wobec przełożonych, agitowali za opuszczeniem frontu, chcieli odebrać wszystkim bogaczom majątki i porozdzielać je między ubogich! Ubóstwa widział Zumaszko w życiu wiele: u ojca, u rodziny. Uważał więc za rzecz zupełnie sprawiedliwą, aby zabrać ziemię bogatym panom i dać ją biednym chłopom. Gdy jednak później usłyszał proklamacje, które mu czytano (sam ku wielkiemu żalowi nie umiał czytać), gdy się przysłuchiwał przemówieniom i dyskusjom partyj

w pałacu gubernatorskim, wyczuł, że sprawa bolszewików jest znacznie poważniejsza i donioślejsza, niż sądził. Zupełnie jeszcze tych rzeczy nie zrozumiał, ale polegał na ludziach, siedzących na trybunie: już oni wiedzieli, o co idzie! I z tą samą wiarą, z jaką spoglądał niegdyś na świętego Michała, patrzał dzisiaj na każdego z tych mężów o zwichrzonych czuprynach i niegolonych twarzach, co zasiadali na trybunie: „Oni wiedzą wszystko. Idzie o wielką i ważną sprawę. Ty, Zumaszko, jeszcze niezupełnie zrozumiałeś, ale to nic!"

— Towarzyszu Zumaszko, czy wiecie właściwie, co my robimy? — zapytał go Mirkin.

— Naturalnie, że wiem — robimy rewolucję, bolszewicką rewolucję.

— A co to jest właściwie bolszewicka rewolucja?

— Tego już nie wiem, ale ty wiesz. W każdym razie jest to ważna i wielka sprawa, — dodał Zumaszko z szacunkiem.

— Towarzyszu Zumaszko, czy wiecie, że robimy rewolucję bolszewicką dla wszystkich, dla całej Rosji — nawet dla całego świata? Dla biednych i uciemiężonych, dla wszystkich, którzy byli dotychczas uciskani i prześladowani, dla nich wszystkich robimy rewolucję, aby ich uwolnić z jarzma panów...

— O tak, to wiem, — zapewnił Zumaszko.

— Nie dla mnie i dla ciebie — nie żeby napełnić sobie kieszenie, ale dla nas wszystkich jest rewolucja. Prawda?

— Naturalnie, to przecież jasne, — przytaknął Zumaszko z głęboką powagą.

— Ale słyszałem dzisiaj, jak żołnierze, nasi żołnierze i czerwonogwardziści mówili o tem, żeby przy zajęciu hotelu „Metropol" ograbić burżujów i zatrzymać sobie ich pieniądze i klejnoty...

— O, to niesłuszne, na to nie można pozwolić, —

wtrącił Zumaszko, uśmiechając się przytem dziwnie zimnym uśmiechem.

— Bez wyraźnego rozkazu nie wolno tknąć nam niczego, co należy do burżujów! Musimy ich puścić wolno! Nie wolno hańbić rewolucji! Rozumiecie, towarzyszu Zumaszko? Musimy dowieść, że nie jesteśmy bandą rabusiów, która idzie plondrować, lecz rewolucyjnymi czerwonogwardzistami. Służymy świętej sprawie, nie własnej korzyści! Jeżeli trzeba będzie, odbierzemy burżujom ich majątki prawną drogą. Porządek musi być — prawda, Zumaszko?

— To przecież jasne, nato jesteś komisarzem! Twoja rzecz rozkazywać, nasza — słuchać, tak nam powiedziano. Musimy postępować według rozkazu. Porządek to porządek!

— A pomożecie mi w tem?

— Naturalnie — rozkazuj tylko! Jesteśmy obowiązani słuchać.

— Towarzyszu Zumaszko, jesteście dzielnym czerwonogwardzistą! Niewszyscy pojmują z taką łatwością, jak wy. Dlatego trzeba pomówić z towarzyszami i uświadomić ich pod tym względem, wytłumaczyć im, że nie wolno hańbić rewolucji! Rozumiecie?

— Zrobi się!

Zumaszko staje w służbowej postawie i śpieszy spełnić rozkaz...

Towarzyszom żołnierzom wyłożył słowa Mirkina na swój sposób, swoim językiem, z zimnym uśmiechem, którego znaczenie koledzy jego znali doskonale...

Karabiny maszynowe stały przygotowane w otworach okiennych dachu. Daremnie czekał Mirkin z dnia na dzień na rozkaz rozpoczęcia operacyj. Rozkaz nie nadchodził.

Początkowo pozostawał w kontakcie z pałacem gubernatorskim, gdyż ludzie jego mogli się jeszcze przekradać z meldunkami przez szeregi „białych“. Ale od 28 października był zupełnie odcięty. Kurjerzy, których wysyłał, nie wracali. Telefon, przez który miał otrzymać umówiony sygnał rozpoczęcia akcji, milczał uporczywie. Mirkin sam nie chciał dzwonić do pałacu gubernatorskiego, obawiając się, że „biali“ mogliby podsłuchać rozmowę i w ten sposób wyśledzić kryjówkę.

Ze swego punktu obserwacyjnego widział odblask salw, jakie „biali“ oddawali na pałac gubernatorski. Wiedział, że sytuacja była poważna i że szło o „być albo nie być“ Rewolucyjnego Komitetu Wojennego, — ale ciągle jeszcze nie miał rozkazu działania. Jedynie zimna krew powstrzymywała go od przedwczesnego rozpoczęcia ognia, gdyż postanowił za wszelką cenę wytrwać na stanowisku.

Tak mijały dni na czekaniu, noce na nadsłuchiwaniu. Nerwy Mirkina były napięte do ostatnich granic i groziły wypowiedzeniem posłuszeństwa. Załoga tak była wyczerpana niecierpliwością i bezczynnem czekaniem, że tylko zimny, groźny uśmiech towarzysza Zumaszki i jego gotowy do strzału rewolwer mógł ją utrzymać w karbach.

A potem owa noc 28 października, gdy z placu Skobielewa zagrzmiały pierwsze strzały armatnie! Domyślano się, że były to własne działa. Z okienek dachu widziano pociski, padające do domów. Tak, to była odpowiedź pałacu gubernatorskiego na ogień „białych“!

Okrzyk wyzwolenia wydarł się z krtani żołnierzy. Wszyscy rzucili się do karabinów maszynowych. Mirkin i Zumaszko musieli z rewolwerami w ręku odganiać żołnierzy — gdyż ciągle jeszcze nie było rozkazu, a strzelać bez rozkazu znaczyło to — być odkrytym

przez nieprzyjaciela i z własnej winy ponieść śmierć lub niewolę.

Ale dręczące czekanie wyczerpuje wszystkie siły ciała, zabija zapał rewolucyjny; w takim stanie wikła się człowiek w powątpiewaniach i obawach, zapomina o celu, nie pojmuje już dawnego żaru, uważa życie i dzieło swoje za zbyteczne i niezrozumiałe.

I oto — nagle umówiony sygnał z pałacu gubernatorskiego!

— Towarzysze, bądźcie gotowi! Nie zapomniano o was!

Nareszcie znak życia!

Telefon dzwoni.

— Owszem — wszystko gotowe!

— Zaczynać, towarzysze!

Boże wielki, cóż to był za atak na głodne karabiny maszynowe! Miało się wrażenie, jakby każdy z żołnierzy chciał własne ciało wystrzelić przez stalową lufę.

W okienkach na dachu Teatru Wielkiego rozległ się warkot, zabłysły ogniki. I ten sam Mirkin, który widział własnemi oczyma grozę wojny, który tysiąckroć przeklął przemoc orężną jako najnikczemniejszą, najniegodziwszą formę siły ludzkiej, który uważał wojnę za wyładowanie się bestji w człowieku — ten sam Mirkin odczuł teraz warkot karabinów maszynowych jako radosne wyzwolenie z bezsilnej, trawiącej wściekłości. Niby muzyka, niby marsz triumfalny brzmiały jego uszom szybkie odgłosy strzałów. Jego okrzyk wojenny zmieszał się z krzykami żołnierzy, atawistyczna żądza zemsty syciła się w nim, i jak gracz kartom, tak on zaprzedał się przekleństwu wojny. Czuł się wyzwolony ze wszystkich więzów, stał się iskrą w deszczu ognistym, padającym z dachu teatru na „białe“ patrole.

Walka o plac Teatralny trwała całą noc, cały dzień i znowu noc. Wreszcie „biali“ zostali wyparci zapo-

mocą posiłków, jakie bolszewicy moskiewscy otrzymali tymczasem z Petersburga. Obwarowali się w dumie miejskiej i na Kremlu.

Hotel „Metropol“ pozostał bez osłony. Mirkin ustawił przy wejściu silną straż, sam stanął również z dobytym rewolwerem przy drzwiach i groźnie krzyknął na rozgorączkowanych, głodnych, zdziczałych od czekania i walki żołnierzy i czerwonogwardzistów, którzy chcieli się wedrzeć do gmachu:

— Towarzysze, kto się poważy przekroczyć bez rozkazu próg hotelu, zostanie jako kontrrewolucjonista na miejscu rozstrzelany przez wartę!

Gdy słowa jego w powszechnym zamęcie nie wywarły należytego wrażenia, rozkazał:

— Towarzyszu Zumaszko, nakażcie warcie nałożyć bagnety na broń!

— Rozkaz!

Rząd bagnetów zagrodził żołnierzom drogę.

— Pięć kroków wtył! — zakomenderował Mirkin. — Towarzyszu Zumaszko, weźmiecie trzech ludzi i wejdziecie! Każcie dyrektorowi, żeby was zaprowadził do piwnic! Wszystkie butelki z winem potłuc, odbić wszystkie beczki! Dopilnujcie, żeby w całym budynku nie pozostało ani kropli alkoholu!

— Rozkaz!

Zumaszko wybrał trzech ludzi. Przez pewien czas walili kolbami w bramę, potem znikli w głębi hotelu.

Nieruchomo stoi przy wejściu warta z opuszczonemi bagnetami, obok Mirkin z dobytym rewolwerem. Po chwili płyną już przez kraty małych okienek piwnicznych, znajdujących się na poziomie chodnika, ciemnoczerwone strumyczki, pokryte białą pianą, pozostawiające na asfalcie czerwone, tłuste plamy.

Kilku żołnierzy podbiega i chce nadstawić czapki. Mirkin woła:

— To hańba dla czerwonogwardzistów pić z rynsztoka!

Dwaj towarzysze stają dobrowolnie z gotową do strzału bronią przed okienkami piwnic. Pozostali cofają się zawstydzeni. Kilka kobiet i starych pijaków rzuca się na zalany czerwienią chodnik, starając się pochwycić strumyk ustami. Nikt się o nich nie troszczy.

— Towarzyszu Zumaszko, obejmijcie komendę! Ręczycie mi za to, że nikt bez rozkazu nie przekroczy progu tego hotelu!

— Rozkaz!

Zumaszko zajmuje miejsce Mirkina przed bramą.

Mirkin wybiera tuzin uzbrojonych czerwonogwardzistów i wchodzi do hotelu. Dyrektor wybiega mu natychmiast naprzeciw z usłużnym uśmiechem.

— Pan jest dyrektorem? — pyta Mirkin.

— Tak jest, towarzyszu.

— Byłoby dobrze, gdyby goście opuścili hotel tylnemi drzwiami. Czy istnieje takie wyjście?

— Owszem, towarzyszu!

— Niech je pan otworzy! Gdzie znajdują się goście?

— W sali bilardowej, towarzyszu.

— Wypuści ich pan pojedyńczo — rozumie pan! — i Mirkin zwraca się ze swoimi ludźmi na schody, prowadzące do sali bilardowej...

Kiedy otworzył drzwi, ujrzał tylko ciemną, falującą masę, tłoczącą się pod ścianami.

— Obywatele, jesteście wolni! Aby uniknąć starć, wyprowadzi was dyrektor pojedyńczo tylnemi drzwiami.

Na te słowa ciemna masa rozproszyła się jak groch, wysypany z worka. Wszyscy rozbiegli się po kątach sali; każdy chwytał swoje rzeczy i tłoczył się potem szybko do wyjścia. Ludzie Mirkina musieli kolbami zaprowadzać porządek.

Nagle dojrzał Mirkin znajomą twarz. Para nawpół

zgasłych oczu spoczęła na nim z lękliwie-nieruchomym wyrazem. Zachary nie odrywał wzroku od tych oczu. Trwało to jednak sekundę tylko. Potem stary Mirkin energicznie odwrócił głowę i szybkim krokiem skierował się za innymi do wyjścia.

— Postarzał się, — skonstatował Mirkin w myśli.

— Aresztujcie mię! Jestem waszym przeciwnikiem! — zawołał nagle jakiś głos, a siwa głowa wynurzyła się tuż przed twarzą Zacharego.

— Co to znaczy? — zapytał Mirkin, nie pojmując nic. — Kim pan jest?

— Ja... ja...

Tymczasem Mirkin poznał już słynnego adwokata. Z uśmiechem odpowiedział:

— Poco pana aresztować? Nie jest pan dla nas niebezpieczny.

Teraz dopiero spostrzegł Halperin, kto stał przed nim. Zdumiony, z otwartemi ustami, zatrzymał się przed Zacharym, nie mogąc wymówić słowa. Jeden z żołnierzy szorstko popchnął słynnego adwokata do drzwi.

— Towarzyszu, to moja niezłomna decyzja — pozostaję przy Nataszy! Proszę, zapamiętajcie to sobie! — zawołał tęgi, niezdarny mężczyzna, kłaniając się Mirkinowi.

— Czy ci ludzie poszaleli? Śpieszcie się, towarzysze! — zawołał Zachary.

Żołnierze wypchnęli kolbami Wasylego Andrejewicza i pozostałych gości.

Dopiero gdy ostatni mieszkaniec opuścił tylnem wyjściem hotel i wszyscy rozproszyli się w rozmaitych kierunkach miasta, Mirkin rozkazał:

— A teraz wpuśćcie towarzyszów — niech sobie zrewidują trochę hotel!

Niby stado zdziczałych słoni rzucili się udręczeni niecierpliwością i wściekłym gniewem żołnierze i robot-

nicy na resztki jedzenia w bufecie i rozbiegli się po pokojach.

W kilka dni później „czerwone“ wojska zdobyły i ostatni szaniec „białych“ — Kreml. Wśród oblegających znajdowały się także towarzyszki Zofja i Masłowa.

W Kremlu znaleziono podejrzaną stację radjową, którą począł budować Rząd Tymczasowy. Oczywiście agitatorzy zawładnęli natychmiast mikrofonem. Towarzyszka Zofja doniosła proletarjatowi całego świata, że nad Kremlem powiewa czerwony sztandar, i w płomiennych słowach wezwała lud roboczy wszystkich krajów, aby poszedł za tym przykładem.

Gdy i inni agitatorzy we wszystkich językach przemówili przez radjo do proletarjatu całego świata, towarzyszka Masłowa, dziewczyna wiejska, zapragnęła także powiedzieć coś całemu światu. Ale kiedy stanęła przed mikrofonem (zapowiedziano najpierw „całemu światu“, że teraz przemówi przedstawicielka wsi rosyjskiej), nie wiedziała, co ma powiedzieć, i w zdenerwowaniu nie mogła wymówić ani słowa. Wreszcie krzyknęła do mikrofonu donośnym, piszczącym głosem kobiecym:

— Świecie, świecie! Niech cię djabli porwą, świecie!

Stacja nadawcza nie funkcjonowała, i pamiętne słowa Masłowej nie wydostały się niestety poza mury Kremlu.

DRUGA CZĘŚĆ

KOMISARZ PRZYSZEDŁ!

W Petersburgu zapanowały już wilgotne mgły, które co rok przed pierwszemi śnieżycami wznoszą się z Kanałów i jak gąbka wsysają w siebie miasto. Mieszkania opalano oszczędnie, gdyż sąsiedzi dawno porozkradali nagromadzone na dziedzińcach zapasy drzewa. To też przenikająca wszystko wilgoć przesiąkała przez grube mury i okna — mieszkano we mgle.

Chwilowo w stolicy mało się zmieniło. Sklepy były otwarte. Kto miał dość pieniędzy, mógł otrzymać poddostatkiem żywności, coprawda po bardzo wysokich cenach. Nawet kawioru i tłustych ryb było tyle, co za dobrych czasów, brakło natomiast mąki i kartofli. Na rynkach miejskich można było jeszcze dostać wiele rzeczy, chociaż potajemnie, gdyż lotni handlarze rozpędzani byli przez milicję. W sklepach z wiktuałami — jeśli się wchodziło tylnemi drzwiami i miało dość pieniędzy — można było otrzymać artykuły spożywcze. Było niemal zupełnie tak samo, jak dawniej, przed 25 października: kto posiadał pieniądze, miał co jeść, kto ich nie posiadał — cierpiał głód.

Najrozmaitsze podejrzane elementy napływały do miasta. Przybywały one z frontu i z okolicznych wiosek, naładowane złośliwą energją, zdolne do wszystkiego, rozzuchwalone nowopowstałą sytuacją. Wszystko znajdowało się w stanie przejściowym, stary system nie żył już, nowy nie zapanował jeszcze. Dwie potęgi, spowite w mgłę, ciążyły nad Petersburgiem — jedna

zmarła tam, druga się tam narodziła. Tymczasem zaś stolica i kraj pozostawały bez władzy.

Zaczął się bojkot nowego regime'u. Od mieńszewików do najskrajniejszych prawicowców wszyscy podawali sobie rękę w walce przeciwko zuchwałym uzurpatorom. Urzędnicy, pozostali w biurach jeszcze z czasów carskich, uprawiali sabotaż przeciwko nowemu rządowi; opuszczali swoje biurka, a urzędy, sądy, nawet więzienia były bez nadzoru. Ci z urzędników, którzy pozostali w kancelarjach, czynili to poto jedynie, aby w ten sposób podkopywać autorytet bolszewików. Partje socjalistyczne, które za czasów Kierenskiego obsadziły urzędy swoimi zwolennikami, odwoływały ich teraz. Hurtownicy zatrzymywali towary w zagranicznych portach albo na granicy.

W pierwszych tygodniach po przewrocie październikowym wszyscy starali się tylko ulokować swoje mienie w zagranicznych bankach. Daremnie wyciągali nowi władcy ręce po pomoc, daremnie prosili o poparcie przy organizacji nowego ustroju — wszyscy odwracali się od nich, musieli sobie sami radzić. Sytuację tę wykorzystywały oczywiście podejrzane elementy; ludzie ci zdejmowali szybko „burżuazyjne" ubrania, które nosili jeszcze wczoraj, wdziewali robotnicze koszule, nie golili się przez kilka dni i z drzewem genealogicznem „biedaków" w kieszeni zgłaszali się u władz:

— Najuboższego pochodzenia. Oddawna przyjaciel rewolucji. Gotów służyć proletarjatowi.

Potem siadali przy biurkach i rządzili.

Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Ukraina i Odesa wstrzymały dowóz zboża, Kijów nie dostarczał już cukru, Baku nafty, Moskwa nie produkowała już płótna, nawet Wołga przestała zaopatrywać stolicę w ryby i kawior. Sklepy opustoszały. Co można było jeszcze dostać — paczuszkę igieł albo koszulę — po-

prostu wyrywano kupcom z ręki. Bogaci gromadzili w mieszkaniach zapasy żywności. Spekulanci opuszczali łóżka wczesnym rankiem i skupywali wszystko z okolicznych wsi.

Małe saneczki wiozą po ulicach kilka funtów mąki albo parę szczap drzewa. Na rynkach starzyzny zjawiają się pierwsze szlachcianki, niosąc koronkowe koszule, które wymieniają na kartofle. Ciężkie sanie chłopskie wloką po ulicach Petersburga worek mąki jęczmiennej dla Pałacu Zimowego. Woźnica pyta tam o nowego cara. Dowiedział się, że nowy car rosyjski nie ma co jeść, więc przywiózł mu worek mąki. Z Pałacu Zimowego posyłają go do Smolnego Instytutu, siedziby nowego rządu. Następnego ranka gazety przynoszą całe szpalty o tym wzruszającym wypadku i wyciągają z tego przepisowy wniosek: „Nowy ustrój zdobywa sobie oparcie wśród ludu“.

Podejrzane elementy, które zebrały się w Petersburgu, starają się wykorzystać grożącą klęskę głodu. Na peryferjach stolicy odbywają się zebrania. Zachodzi obawa zamieszek. Nowy rząd wysyła patrole z komisarzami do wszystkich hoteli i restauracyj. Pierwszy ich środek: zniszczenie wszelkich zapasów alkoholu. W „mieście carów i urzędników“ nagromadzone są olbrzymie ilości wina i wódki; gdyż od niepamiętnych czasów panuje w niezliczonych jawnych i potajemnych lokalach pijaństwo i rozpusta. Z okienek wszystkich piwnic płyną po chodnikach do ścieków czerwone, oleiste strumyki wina. Pieniący się biało szampan syczy na bruku, tworząc pęcherzyki. Pijacy i żebracy klękają na ziemi i zanurzają usta w ściekach, kobiety pożądliwie zlizują płyn z kamieni.

Głód wypędza dziewczyny z domów publicznych na ulicę. W jaskrawych strojach z jedwabiu i koronek, pochodzących jeszcze z dobrych czasów, krzycząco upu-

drowane i wyzywająco uperfumowane, narzucają się one każdemu zataczającemu się pijakowi. Ale nie znajdują nabywców, gdyż za bochenek chleba albo za funt ryżu można mieć każdą przyzwoitą kobietę. Miłość staniała... Więc blask i przepych Babilonu carskiego włóczy się o głodzie po ulicach, a nikt na niego nie zwraca uwagi...

Jak potop wdziera się nędza najpierw do dzielnicy ubogich. Mimo „października" biedacy są pierwszymi, którzy cierpią głód. Wołanie chleba i ubrania staje się z każdym dniem silniejsze. Do „Smolnego" płyną deputacje:

— Gdzie są te pierniki, które nam obiecywał „październik"?

A człowiek o mongolskich oczach każe im powiedzieć:

— Dlaczego przychodzicie do nas? Wszystko przecież do was należy — sklepy, składy, domy, pałace. Bierzcie, co do was należy!

Buduar pani jest przytulny i miły jak zawsze. I teraz jeszcze stoją w nim ozdobne kanapki damskie, krzesła w stylu Louis XVI i serwantki z porcelaną petersburską i zagraniczną, którą „Anglik" latami całemi wyszukiwał u antykwarjuszy Petersburga i znosił pani domu jako niemy dowód swojej miłości. Pokój Olgi Michajłowny jest jedynym opalanym pokojem w wielkiem mieszkaniu adwokata. Służba rozbiegła się zupełnie, pozostała tylko stara mamka Miszy, syna Halperina. Jest ona na dobrej stopie z zarządcą domu (taki jest teraz tytuł portjera) i uprzejmym uściskiem dłoni udaje jej się od czasu do czasu zdobyć trochę drzewa na opalenie buduaru. W tym małym kąciku mieszkają teraz po powrocie z Moskwy Halperin i jego zięć...

Stary Mirkin, jako doświadczony kupiec, przewidział, że niedługo będzie się cieszył posiadaniem własnej willi, którą nabył wpobliżu Dworca Finlandzkiego. Dobrowolnie więc opuścił wygodnie urządzony budynek z antycznemi meblami, gdzie spędzić miała dzieciństwo najmłodsza latorośl rodu Mirkinów, zatrzymał tylko przedmioty, cenne osobiście dla niego i jego żony, i przeniósł się do teścia. Od żon, które bawiły na Kaukazie, obaj panowie byli odcięci. Wejść z niemi w kontakt było rzeczą niemożliwą, jeśli Mirkin i Halperin nie chcieli się narazić na podejrzenie, że konspirują z wrogiemi armjami, które poczęły się w owym czasie koncentrować na południu pod wodzą zbiegłego z frontu generała Korniłowa. Stary Mirkin musiał więc pozostawić swoją młodą żonę i małego synka ich własnemu losowi. To samo uczynił jego teść, adwokat Halperin, to samo czynili wszyscy inni mężowie, znajdujący się w podobnem położeniu; czekali na lepsze czasy, ciągle jeszcze nie tracąc nadziei.

Misza, syn adwokata, znajduje się jeszcze przy swoim oddziale lotniczym na froncie, gdzie brał udział w walkach podczas ofensywy galicyjskiej Kierenskiego. Operacje wojskowe ustały już. Pertraktacje pokojowe w Brześciu Litewskim posuwają się ociężale naprzód. Więc teść i zięć są sami w wielkiem mieszkaniu.

Stary Mirkin, nie bacząc na wszelkie trudności, prowadzi dalej swoje przedsiębiorstwo, chodzi codzień do biura i każdej chwili spodziewa się, że zostanie stamtąd wypędzony. Ale póki to możliwe, chce trwać na stanowisku. Chwilowo wszystko toczy się spokojnym biegiem. Chociaż przybity wydarzeniami i ciężko przygnębiony troską o jutro, stary Mirkin trzyma się jeszcze nieźle i stara się dostosować do nowej sytuacji.

Inaczej słynny adwokat Halperin. Od owego przeżycia na ulicach Moskwy podczas oblężenia hotelu „Me-

tropol“ nie może powrócić do równowagi i coraz bardziej poddaje się apatji i zrozpaczonej rezygnacji. Nawet zachęcające słowa zięcia i jego ufny optymizm nie pomagają. W szlafroku, ze zwichrzonemi włosami i brodą, siedzi adwokat w pokoju żony, a wielkie jego oczy wlepione są nieruchomo w próżnię, jakby widział przepaść, która rozwarła się przed nim i przed Rosją.

Z pośród nowych mężów, dzierżących teraz władzę, niejeden zawdzięcza głowę słynnemu adwokatowi, który przebiegłością i wymową ocalił go z rąk katów carskich...

W pierwszych czasach po przewrocie bolszewickim oszczędzano jeszcze ludzi, którzy zasłużyli się rewolucji; co więcej — starano się o ich współpracę. Wobec braku inteligentnych sił, zaostrzonego jeszcze przez powszechny bojkot antybolszewicki, nowe władze były nawet gotowe do ustępstw — oczywiście natury osobistej, nie zasadniczej. Ale adwokat Halperin z pogardą odwrócił się od nowych władców, uważając za zdrajcę każdego, kto wchodził w kontakt albo popierał „agentów niemieckich“ (jak ich nazywał uporczywie, nawet publicznie). Fakt, że zięć jego, stary Mirkin, i przemysłowiec nafciany Goldstein współpracowali w nowym rządem, nieraz był powodem ostrych tarć. Gdyż adwokat nie wahał się jawnie wypowiadać wobec wszystkich swego zdania, zdawało się niemal, jakby szukał wprost sposobności, by zostać aresztowanym. Ale ignorowano go — a to go bolało i rozgoryczało jeszcze bardziej. Teraz — jak cała Rosja zresztą — pokładał ostatnią nadzieję w mającej się zebrać „konstytuancie“.

Wszyscy usiłowali opierać się nowym czasom. W pierwszym rzędzie czynił to świat kupiecki. Niedość, że wszystko zostało po staremu, co więcej — kupcy stawali się wyzywający i zarozumiali.

Akcje towarzystwa „Nowa Rosja“ notowano bardzo

wysoko i jak za normalnych czasów uprawiano niemi handel, choć potajemnie. W ostatnich dniach, gdy rozeszła się wieść, że panowaniu bolszewików grożą ciężkie chmury, kurs tych akcyj osiągnął zawrotną wysokość. Miny finansistów stawały się spokojniejsze i bardziej wypoczęte. Nawet brzuchy, które za czasów oblężenia w hotelu „Metropol" pokaźnie zmalały, zaokrągliły się znowu — jeśli nie od dobrego jedzenia, to przynajmniej od dobrych wiadomości i radosnych nadziei. Hurtownik herbaty Rozamin miał znowu jak dawniej wypoczęte, wypielęgnowane policzki; mógł sobie także pozwolić na wytworne chrząkanie, oszczędzać się i starannie przestrzegać zarządzeń lekarza.

Mimo ciężkich czasów panowie zbierali się wieczorami, jak za dawnych dobrych lat, u słynnego adwokata, aby wypić w buduarze pani „szklaneczkę herbaty" bez herbaty i cukru (mimo obecności „herbaty" rosyjskiej i rosyjskiego „cukru"). Przy jednej z takich pogawędek hurtownik herbaty Rozamin pozwolił sobie nawet na ironiczną uwagę wobec starego Mirkina, oczywiście w tonie bardzo umiarkowanym, aby nie urazić siebie samego.

— Niepotrzebnie się pan pośpieszył, Gabrjelu Chaimowiczu, — zaczął nawpół żartem, nawpół serjo, — niepotrzebnie zaczął pan współpracować z tymi ludźmi. Jak długo oni się jeszcze utrzymają? Aż do konstytuanty!

— A co pan zrobi, gdy rozpędzą konstytuantę? — zapytał stary Mirkin.

— Jakby się mogli na to odważyć? — zawołał słynny adwokat przerażony.

— Tak samo, jak odważyli się rozpędzić Rząd Tymczasowy i zagarnąć władzę nad Rosją! Tak samo, jak odważyli się strącić generalissimusa i oddać dowództwo armji marynarzomi, albo jak odważyli się

prowadzić na własną rękę rokowania pokojowe. Kto im zabroni „odważyć się“ i na to? Może pan?

— W takim razie pozamykamy nasze przedsiębiorstwa, banki, cofniemy kredyty, zatrzymamy towary na granicy albo zagranicą — słowem zatamujemy cały bieg życia handlowego! A wtedy niech głodny lud ruszy pod ich okna i niech im grozi pięściami. Jedyny środek, aby ich poskromić, to sabotaż.

Stary Mirkin zatonął w zadumie, a twarz jego posmutniała.

— Sabotaż? Ciekaw jestem, przeciwko komu! Przeciwko bolszewikom, czy przeciwko Rosji? Bolszewików tem nie nastraszycie. Jeżeli wy będziecie sabotowali, przyciągną innych ludzi, niedoświadczonych i niezdolnych — znajdą ich dość. Ale kraj bardziej jeszcze na tem ucierpi. Zatrzymacie swoją herbatę i swój cukier, żeby wygłodzić udręczony lud? Ale przeciwko komu lud ten podniesie pięści? Jak sądzicie? Nie przeciw ich oknom, ale przeciw waszym. Rosja odczuje to, co uczynicie, a my będziemy za to pokutowali.

— Znaczy to, że jest pan gotów iść z nimi ręka w rękę, pracować dla nich?

— Nie z nimi, lecz z Rosją. Nie wolno nam zapominać, że nie idzie tu o bolszewików, ale o naród rosyjski. Jeżeli zatrzymamy mąkę, cukier, herbatę, nie kilkuset bolszewików będzie cierpiało głód, ale naród rosyjski, a wtedy Bóg wie, co się stanie.

— Więc co robić? Siedzieć cicho i pozwolić im zrujnować wszystko? — wybuchnął adwokat. — Takie argumenty są smutnem świadectwem, jak nisko upadliśmy!

— Widzicie przecież, do czego my doprowadziliśmy Rosję! A może teraz rzeczywiście nadeszła odpowiednia chwila? Może oni naprawdę wprowadzą ojczyznę na nową drogę, a wraz z nią cały udręczony świat,

który otumaniony przez swoich wodzów i władców kąpie się w potokach własnej krwi?! Może Rosjaninowi sądzone jest istotnie stworzyć nową formę sprawiedliwego ustroju społecznego i zbawić przez to świat! Kto wie? W każdym razie nie powinniśmy im w tem przeszkadzać, myśląc tylko o swoich marnych paru kopiejkach, przeciwnie — musimy im pokazać, że my, którzy dotychczas pomagaliśmy w budowaniu, nie chcemy też stawać w drodze i ich nowej próbie. Gdyby świat był już tak doskonały, że nie byłoby uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych, silnych i słabych, że nie byłoby nędzy i cierpienia — wtedy zbrodnią byłoby robić jakieś nowe eksperymenty. Ale świat i tak jest djabła wart, niech więc oni popróbują poprawić go! Dla Rosji nie obawiam się stąd niczego złego — nie zginęła ona ani pod chanami, ani pod Romanowami, nie zginie więc i pod bolszewikami. Rosja to zdrowa, silna chłopka o żelaznej budowie ciała, potrafi ona strawić wszystko. nawet bolszewików, i potem będzie jeszcze silniejsza. Nie dlatego chcę współpracować, że wierzę w bolszewików, ale że wierzę w Rosję...

Zanim stary Mirkin zdążył skończyć swoje wywody, przerwało mu nagłe ożywienie w sąsiednich pokojach. Ciężkie kroki żołnierskie zadudniły po posadzkach. Mamka weszła śmiertelnie blada, oznajmiając, że przyszedł zarządca z komisarzem i kilku żołnierzami i pytają o pana.

Zebrani pobledli z przerażenia. W następnej chwili w drzwiach buduaru pani Halperin stanął były kolega szkolny młodego Miszy — Osip Markowicz.

Ze zdumieniem obserwował adwokat zmianę, jaka zaszła w przyjacielu Miszy. Zamiast starannie odprasowanego i nienagannie skrojonego ubrania z dobranym kolorem kamizelki i z utrzymanemi harmonijnie w jednej barwie krawatem i skarpetkami, ubrany był teraz

Osip Markowicz w krótką kurtkę sportową wojskowego kroju, w czarną, podpiętą pod szyję koszulę, a elegancko związany krawat zastępował czerwony sznur rewolweru, związany pod podbródkiem w węzeł.

Sądząc, że zaszło nieporozumienie i że Osip Markowicz przyszedł tylko dowiedzieć się o Miszę, adwokat otworzył już usta, aby skarcić młodzieńca za nietakt, z jakim otworzył drzwi cudzego pokoju, nie zapukawszy uprzednio. Ale wyzywająco natarczywy wzrok Markowicza odjął mowę zarówno pobladłemu Halperinowi, jak i jego przyjaciołom.

— Co się tu dzieje? Zebranie? Przeciwko komu spiskujecie? Przeciwko rewolucji? — zaczął Markowicz zimnym tonem. Tylko blade jego nozdrza węszyły i poruszały się z ożywieniem.

— Osipie Markowiczu, co się panu stało? — zapytał adwokat zdumiony, zbliżając się.

— Nie jestem dla pana Osipem Markowiczem! — zawołał młodzieniec, powstrzymując Halperina zuchwałym gestem. — Chcę wiedzieć, co się tu działo!

Towarzystwo zdrętwiało z przerażenia. Wypoczęte policzki hurtownika herbaty Rozamina obwisły znowu, a krew uciekła z nich. Potentat naftowy Goldstein uśmiechnął się z wymuszoną obojętnością. Jedynym, kto nie stracił panowania nad sobą, był stary Mirkin. Domyślił się natychmiast, o co idzie, odsunął adwokata i odpowiedział za niego:

— Nie odbywa się tu zebranie spiskowców. Widzi pan przecież — kilku dobrych znajomych siedzi przy szklance herbaty.

— Przy szklance herbaty? — powtórzył młodzieniec ironicznie. — Wiemy już, co oznaczają wasze szklanki herbaty.

— Młodzieńcze, niech się pan nie zachowuje zu-

chwale! Jeżeli posiada pan „mandat“, niech pan spełni swój obowiązek, ale bez grubijaństwa!

— Szkoda, że nie mam mandatu, aby pana aresztować. Mam tylko pełnomocnictwo wywłaszczenia tego mieszkania na korzyść proletarjatu. Z ilu pokojów składa się mieszkanie?

— Zdaje się, że z dwunastu — prawda, Salomonie? — zwrócił się stary Mirkin do teścia.

— A ilu jest mieszkańców?

— Chwilowo tylko my dwaj. Ale oczekujemy swoich rodzin.

— Widzicie, towarzysze, jak żyje burżuazja! Dwie osoby w dwunastu pokojach! Tak się tuczono kosztem proletarjatu! — zwrócił się Osip Markowicz do towarzyszących mu żołnierzy. — Moi panowie, od tej chwili będziecie się musieli zadowolić dwoma pokojami, pozostałe dziesięć wywłaszczamy na korzyść proletarjatu. Zarządco, zanotujcie to mieszkanie! Moi panowie, — zwrócił się do towarzystwa, — ubolewam, że muszę przerwać wasze zebranie, ale rozejdziecie się teraz!

— Czy mogę zobaczyć wasz mandat, towarzyszu? — zapytał stary Mirkin zamiast odpowiedzi.

Teraz młodzieniec zbladł. Wyciągnął z kieszeni marynarki arkusz papieru i podał go staremu Mirkinowi, który bez pośpiechu, jakby siedział w swojem biurze, nałożył okulary i przeczytał dokument.

— Z mandatu waszego nie widzę, że jesteście upoważnieni do rozpędzania spokojnych obywateli. Zrobię na was doniesienie, towarzyszu, że przekraczacie swoje pełnomocnictwa, — rzekł stary Mirkin, oddając Markowiczowi papier.

— Może pan robić, co pan chce! Tutaj odbywało się zebranie konspiracyjne! Znam was wszystkich i wiem, o czem tu mówiono — o sabotażu przeciwko rządowi sowieckiemu! Wzywam was do natychmiasto-

wego rozejścia się, w przeciwnym razie każę was natychmiast aresztować!

Stary Mirkin poczerwieniał. Czoło jego w jednej chwili pokryło się wielkiemi kroplami potu. Dyszał ciężko. Zdawało się, że nie zdoła już zapanować nad sobą. Ale nagły wybuch wściekłości ze strony Halperina przywrócił bankierowi opamiętanie. Oczy adwokata rozbłysły jak sztylety, kiedy podbiegł do młodzieńca i krzyknął z oburzeniem:

— Precz, łajdaku! Strzelaj, jeżeli chcesz! Ale precz!

Stary Mirkin natychmiast odzyskał spokój. Odsunął teścia, wystąpił naprzód i rzekł do pobladłego z przerażenia Markowicza:

— Przyjmujemy wasz mandat do wiadomości. Ten pokój zatrzymujemy dla siebie. Czyńcie, co jest waszym obowiązkiem, towarzyszu! Ale jeżeli nie macie pełnomocnictwa do aresztowania nas, wzywam was, abyście natychmiast opuścili ten pokój! Zakłócacie spokój lojalnych, wiernych obywateli sowieckich. Pracujemy ręka w rękę z rządem sowieckim.

Nadęta odwaga Markowicza znikła natychmiast, jak się to dzieje z każdym tchórzem. Lękliwie wysunął się młodzieniec z pokoju.

— Oto rezultat waszego sabotażu! — szepnął stary Mirkin do pobladłego hurtownika herbaty. — Jeśli uczciwi ludzie powstrzymują się od współpracy, miejsca ich zajmują takie łotry...

Markowicz obszedł z zarządcą wielkie mieszkanie Halperina, obejmując je w posiadanie. Kiedy wszedł do długiego, jasnego salonu, który znał dobrze z dawnych wizyt u swego kolegi szkolnego Miszy i w którym tak lubił siadywać, nie mógł pohamować silnej żądzy i rozsiadł się w wysokim, miękko wyściełanym fotelu. Przypomniał sobie, jak bardzo zazdrościł zawsze Miszy, kiedy siedział w tym jasnym salonie. I jak niegdyś po-

czął obwąchiwać każdy obraz, każde krzesło, każdy dywan, jakby chciał wchłonąć w siebie woń bogactwa. Uśmiech zaigrał na jego wargach; przywołał zarządcę domu:

— Towarzyszu, ten pokój zatrzymuję dla siebie. Trzeba mieć otwarte oczy, aby się dowiedzieć, jakie sprzysiężenie przeciwko rządowi sowieckiemu knuje się w tem mieszkaniu!

PORCELANOWE FIGURKI

Zdolność dostosowywania się do otoczenia jest u człowieka nieograniczona. W wielkiem mieszkaniu adwokata Halperina znikł wszelki ślad indywidualnego życia — a jednak żyło się. Wszystkie zarekwirowane pokoje obsadzono szybko obcymi ludźmi, w każdym mieszkała inna para. Na korytarzu spotykał adwokat twarze, na których widok lękliwie tulił się do ścian. Zniszczono wszystko osobiste, wszystko indywidualne, co ręce wytwornej Olgi Michajłowny i rozmiłowanej w sztuce Niny Salomonowny poumieszczały w każdym kącie mieszkania. Pokoje stały się izbami koszarowemi, poczekalniami kolejowemi. Wszędzie, nawet w najbardziej ukrytych zakątkach, rozpierały się niezdarne, brutalne żywioły obce. Toalety były zanieczyszczone, wanny pełne najrozmaitszych tłumoków i brudnej bielizny pościelowej. W kuchni panował nieustanny ruch; kłótnie i wrzaski mieszkanek, walczących o miejsce na wielkiej kotlinie, gdzie mogłyby ustawić swoją maszynkę naftową, słychać było w całym domu. W pokojach zalegały gęste, cuchnące wyziewy jedzenia. Przez ściany drzwi i szpary docierały wraz z zapachem potu obcych ciał poufne rozmowy, prowadzone w intymnych sytuacjach. Często było się mimowolnym świadkiem wyda-

rzeń, które zazwyczaj rozgrywają się tylko za zamkniętemi drzwiami... Nie miało się więc osobistego życia — a jednak żyło się.

Buduar Olgi Michajłowny i przyległa sypialnia były jedynemi pokojami, w których Halperin należał do siebie; walczył o nie wszystkiemi siłami, jakby szło o honor jego domu. Tutaj poznosił — jak kotka swoje młode — wszystkie drobiazgi, odnoszące się do jego życia osobistego, do jego karjery albo rodziny. Niemożliwe było coprawda umieścić tam także jego wielkiej bibljoteki, czego adwokat pragnął bardzo; z ciężkiem sercem musiał z tego zrezygnować i zadowolił się tylko zabraniem licznych adresów, jakie w ciągu wielu lat praktyki otrzymał od gmin żydowskich, wsi i sekt chłopskich w podzięce za wyzwolenie ich ze szponów samowoli carskiej. Szczególną zaś wagę przywiązywał do wszystkiego, co należało do jego żony i córki, do ich ubrań, bielizny, przedmiotów toaletowych; chował każdy drobiazg, jakby cześć jego rodziny mogła być zbrukana, gdyby pozostawił te przedmioty w rękach tłuszczy, władającej teraz w jego domu.

I oto stało się coś dziwnego: nagle uczuł adwokat przesadne wprost przywiązanie do każdego, najdrobniejszego nawet podarunku, jaki wielbiciel jego żony, Naum Grigorowicz Rozamin, ofiarował jej w ciągu wielu lat swojej niemej adoracji. Halperin pokpiwał zawsze z tych drobiażdżków i korzystał z każdej sposobności, aby dać wyraz swemu lekceważeniu dla nich (wiedział przecież, jaki one posiadały potajemny sens). Ale teraz, w samotności swej, uczuł się w osobliwy sposób związany z niemi, jakby przedmioty te należały do nietykalnych tajemnic jego życia prywatnego i jakby dotknięcie obcej ręki lub spojrzenie obcego oka mogły je skalać. Nieustannie chodził chwiejnym krokiem, z potarganemi dziko siwemi włosami i zwichrzoną brodą

po całem mieszkaniu, z połyskującemi oczyma o przeraźliwem, niezdrowem spojrzeniu przeszukiwał wszystkie stoły i komody, zbierając wszystkie filiżaneczki do kawy, wszystkie cacka saskie, wszystkie talerzyki sewrskie, wszystkie figurki porcelanowe, starowiedeńskie, drezdeńskie i rosyjskie, jakie wielbiciel jego żony znosił jej stale; potem czule przyciskał te skarby do piersi i zanosił do swego pokoju.

Stara mamka Katajewa, która w ostatnich latach była na łaskawym chlebie, pozostała wierna panu. Niezmordowanie walczyła z nowymi sublokatorami o miejsce na kotlinie, gotowała na swojej małej maszynce skromne posiłki, trochę kartofli albo ryżu, duszonego w sztucznym tłuszczu (jedyne artykuły spożywcze, jakie po drogich cenach można było jeszcze otrzymać w sklepikach), i zanosiła adwokatowi jedzenie do buduaru jego żony. Za opał służyły już grube tomy orzeczeń Senatu z bibljoteki Halperina. Wprawdzie adwokat wszelkiemi siłami bronił się przeciwko temu, chcąc ustrzec swoje autorytety prawnicze, encyklopedje prawa, kodeksy rzymskie i napoleońskie przed zniszczeniem; ale nacóż się to zdało? Sąsiedzi i tak bez skrupułów nabijali piece książkami z jego bibljoteki, które im tylko zbytecznie zabierały miejsce; niebawem stało się więc dla Halperina rzeczą obojętną, jakie „autorytety prawa i sprawiedliwości“ wędrowały do pięknego, połyskującego kaflowego kominka w buduarze jego żony — byle w pokoju było ciepło.

Domu adwokat nigdy nie opuszczał. Obstawił drzwi i ściany swoich dwóch pokojów szerokiemi szafami, pozasłaniał wszystkie szpary i otwory chustkami, aby nie słyszeć, co się działo w innych pokojach. Siedział tak przy ciepłym kominku i godzinami wpatrywał się w ogień. Od czasu do czasu uratował przed płomieniami jakiś akt, który wypadł z kominka, zatapiał się

w nim i wspominał dawne, świetne czasy. Przeważnie jednak spędzał czas na ustawianiu i przestawianiu figurek porcelanowych, cacek, laleczek miśnijskich i starowiedeńskich talerzyków rokokowych, dowodów uwielbienia „Anglika“ dla Olgi Michajłowny; oglądał je i bawił się niemi jak dziecko zabawkami. Każdy przedmiot budził w nim wspomnienie okazji, przy jakiej „Anglik“ przyniósł go do domu, zebrań w buduarze żony, obiadów w wielkiej jadalni i rozmów przy stole, twarzy przyjaciół i znajomych. Stawał się przytem sentymentalny i czuł, że był wobec cichego wielbiciela żony niesprawiedliwy...

I wbrew jego woli „Anglik“ wydał mu się w samotności sympatyczny, zrozumiały, wręcz zajmujący. Dla Olgi Michajłowny odczuwał teraz bezgraniczną miłość i głęboką tęsknotę. Po całych dniach myślał tylko o niej i powiadał sobie:

„Dzięki Bogu, że jej to wszystko zostało oszczędzone! Jak to dobrze, że ma przy sobie Nauma Grigorowicza, który potrafi ją obronić! Może stanie się jednak cud i zdołają się uratować. Wojna nie będzie przecież trwała wiecznie, kiedyś musi się skończyć! Może aljanci wyślą okręt wojenny do jakiegoś portu krymskiego — a wtedy Olga, Nina i mały będą uratowani. Zamieszkają gdzieś zagranicą... A ja — co się ze mną stanie? Ach, mój los jest mi obojętny, byle tylko one były bezpieczne!...“

„Piękne to jednak rzeczy, te figurki porcelanowe!“ — snuł dalej swoje myśli, ślizgając się wzrokiem po cackach. — „Szkoda, że nie widziałem tego dotychczas! Nie znałem się na tem zupełnie. Może istotnie z całego życia nie pozostaje nic więcej, tylko kilka szczęśliwych chwil, małe, przelotne radości, muskające nas niby wietrzyk wiosenny i pozostawiające lekką, leciutką woń, która w posępnych dniach przypomina

nam je znowu. Dziwne — nigdy dotąd nie zauważyłem, ile swobody i gracji jest w takiej figurynce porcelanowej!“ — Wzrok jego z zachwytem spoczął na jednej z figurek. — „W linjach takiego przedmiociku jest przecież nieskończenie wiele kobiecego uroku!“

I nagle uświadomił sobie, że właściwie nie żył wcale. Sława i karjera tak go absorbowały, że nie miał już czasu ani dla siebie, ani dla żony, ani dla dzieci; doznał teraz wrażenia, jakby własne jego życie, niby płyn z wywróconej butelki, wysączyło się kropla za kroplą, podczas gdy on zajęty był swoją karjerą, swoją wielkością i swoją sławą... I wszystko to leży teraz w błocie jak odrzucony łachman, nie pozostało mu nic, prócz tych marnych drobiazgów, z których każdy nosi w sobie jakieś uczucie, jakieś pragnienie, jakąś tajemnicę. Stoją teraz przed nim jak niemi świadkowie, a z ich szlachetnych kształtów, z miękkiego tonu ich barw, z delikatnych linij i blasku uśmiechu, z całego ich uroczego wdzięku promienieje ciepło minionej tęsknoty. Oto wszystko, co pozostało — kilka zeschłych liści z letniego przepychu drzewa...

Halperin nie spostrzega, że trzyma w ręku jakąś figurkę drezdeńską i chłodzi rozpalone czoło gładką porcelaną, delikatną jak dłoń dziecka.

— Szkoda, że dotychczas nic o tem nie wiedziałem... — szepcze w głębokiej zadumie.

Wstydzi się tej myśli, odstawia figurkę na miejsce i poczyna się przechadzać po pokoju. Wzrok jego pada na kilka nawpół zwęglonych arkuszy, które wypadły z kominka. Podnosi je i czyta. Są to fragmenty akt słynnego procesu przeciwko rewolucjonistom z zabajkalskich kopalni srebra, który w swoim czasie wprawił całą Rosję w podniecenie. Mowa obrończa Halperina przez szereg miesięcy jeszcze przechodziła później z rąk do rąk niby nowa ewangelja. Cenzura zabroniła gaze-

tom ogłoszenia tego plaidoyer, zostało więc ono zhektografowane i krążyło potajemnie od przyjaciela do przyjaciela. Z mowy tej przypomina sobie adwokat zdanie, które zyskało sobie sławę i było niebawem na wszystkich ustach:

„Dajcie naszej młodzieży ideał, za który będzie mogła żyć i walczyć, a złoży ona cały swój zapał i wszystkie siły młodości nie na ołtarzu rewolucji, lecz u stóp ojczyzny".

A potem to miejsce, przy którem przewodniczący przerwał mu (i które później podawane było od ucha do ucha):

„Niby urok działa na tę młodość wolność, stojąca za wrotami rewolucji. Otwórzcie te wrota, wpuśćcie wolność, a nie będzie już rewolucjonistów, lecz sami tylko patrjoci!"

Jak niegdyś przed sądem, tak i teraz wyciąga Halperin niby do przysięgi dwa palce wzniesionej prawicy, gęsta czupryna otacza wieńcem jego głowę, a kosmyki włosów jak strumyki spadają na kark; czoło i oczy świecą, twarz rozjaśnia się znowu zachwyconym wyrazem chrystusowym, schylony grzbiet prostuje się, wzniesione ramiona wyprężają. To znowu dawny Salomon Halperin, którego zwano „szermierzem wolności", to ten, co walczył za jasną, słoneczną jutrzenkę. Znowu zdanie jakieś gotowe jest, aby się ześlizgnąć z jego warg, znowu kształtuje się zbawcze słowo, które da wyraz temu, co się teraz dzieje...

Ale wnet twarz jego zamracza się jak przedtem, policzki zapadają się, oczy gasną i cofają się głęboko w oczodoły, blade, suche wargi okala gorzki uśmiech i zamiast uskrzydlonych nadzieją słów wyrywa się z nich zdławione westchnienie:

— Wolności, wolności — któż wiedział, jakie jest twoje prawdziwe oblicze?

W ruchu, towarzyszącym jego słowom, jest żal po zmarnowanem życiu:

Jakie to wszystko nudne!

Halperin siada znowu przy kominku i wlepia wzrok w ogień. Przed oczyma jego płomienie obejmują akta, kodeksy, orzeczenia Senatu — wszystko się kurczy, czernieje, lizane języczkami ognia; wyraźnie widać jeszcze litery, tylko biało na czarnem, zamiast czarno na białem: „Sąd Najwyższy orzekł..." — „W imieniu Jego Cesarskiej Mości..." Jeszcze tchnienie — i wszystko rozpada się na szary popiół.

— Kodeksy spalają się, prawa znikają, sprawiedliwość, sprawiedliwość ginie!

Halperin ma wrażenie, jakby fundament świata zapadał się.

— Świat ginie! — mruczy pod nosem. — Trzeba spróbować żyć w nowym świecie, który powstaje teraz — albo umrzeć.

Drugą możliwość potrafi sobie z daleko większą łatwością wyobrazić; nie przeraża go ona.

Nie uszło uwagi Gabrjela Mirkina, że teść jego stawał się z każdym dniem bardziej dziecinny. Starał się zbudzić go z apatji, dodając mu otuchy i nadziei. Ale adwokat nie chciał już opuścić lat dziecięcych, w których czuł się tak swojsko i mile. Tam było mu dobrze — więc poco wracać do nagiej, zimnej, okrutnej rzeczywistości?

W wielkiem mieszkaniu Halperina kolega szkolny Miszy, Osip Markowicz, był już nieograniczonym władcą. On sam zajął salon, w którym znajdowały się najpiękniejsze meble, przedewszystkiem wysokie, pozłacane fotele i obrazy Lewitana, Ajwazowskiego i Rericha. Nie wolno było stamtąd usunąć żadnego sprzętu.

— To nie należy do pana! — wołał, gdy adwokat

z dziecinną małostkowością, jaka go teraz cechowała, chciał zabrać z salonu jakiś cenny dla niego przedmiot. — Wszystko, co się tu znajduje, należy do proletarjatu!

W kilku innych pokojach ulokował Markowicz swoją rodzinę. Ojciec jego, były makler giełdowy, suchy człowieczek o wychudłej postaci, w której było coś kwaskawego, i matka, poczciwa staruszka, mieszkali w bezpośredniem sąsiedztwie syna, w wielkiej jadalni niedaleko kuchni. Matka Markowicza chętnie gotowała i piekła dla wszystkich; po całych dniach zajęta była przyrządzaniem smakołyków dla syna, który w oczach rodziców znajdował się teraz na niedosiężonych wysokościach; artykuły spożywcze znosił jej Osip codziennie.

Para staruszków czuła i dzisiaj wielką cześć dla słynnego adwokata, większą zaś jeszcze dla tak potężnego niegdyś Gabrjela Mirkina. Gdy jeden z nich przechodził przez pokój, rodzice Markowicza wstawali szybko z miękkich, wygodnych foteli, w których siedzieli zazwyczaj. Stary pośrednik giełdowy, który tak często wystawał przed drzwiami gabinetu Mirkina, aby złowić jakiś skromny zarobek, przeniknięty był jeszcze nawskroś pomieszanym z zazdrością i pochlebstwem szacunkiem dla ludzi bogatych: wzdrygał się z przerażeniem na widok adwokata albo starego Mirkina. Stawał się przytem mniejszy jeszcze niż zwykle i uśmiechał się z ubolewaniem, ze współczującą miną, która zdawała się mówić: „Jestem niewinny!“ Staruszka na widok panów poczynała gorliwie ścierać fartuchem kurz z fotelu, z którego spędziło ją zjawienie się byłych bogaczów, i pomrukiwała bezzębnemi szczękami, z zakłopotanym uśmiechem:

— Gospodin Halperin, szanujemy pańską własność.

Pod karcącym wzrokiem syna spłoszeni staruszkowie siadali zpowrotem na fotelach.

— Dlaczego wstajecie? Dlaczego się tłumaczycie? Oni dość długo siedzieli na wyściełanych krzesłach — teraz na was kolej!

— Osipku, dziecko kochane, to przecież znany i słynny pan Halperin!

— Siedź, mamo! — rozkazywał syn surowo.

I staruszka siadała lękliwie, jakby obicie krzesła jeżyło się od igieł. Stary makler, który za żadną cenę nie mógł się zdecydować na to, żeby siedzieć w obecności tak godnych osób, tulił się blady do ściany.

Pani Markowicz przynosiła nawet adwokatowi od czasu do czasu — oczywiście bez wiedzy syna — talerz z próbką jakiejś potrawy, którą ugotowała dla swego ulubieńca. Serce jej waliło, kiedy pukała do drzwi Halperina. Wchodziła lękliwie, wyciągając do niego talerz z poufałym i zachęcającym uśmiechem.

— Gospodin Halperin — niech pan to zje szybko, zanim mój syn przyjdzie!

Słynny adwokat czuł się urażony i chciał z energicznem „Precz!“ wskazać kobiecie drzwi; ale potem nie czynił tego, lecz przyjmował talerz, rzucając staruszce wymowne spojrzenie, które miało wyrażać zarazem wdzięczność i pogardę. Ale jadł — gdyż był głodny. I podczas gdy podnoszone szybko do ust jedzenie kapało po brodzie Halperina, Żydówka mówiła:

— Niech mi pan wierzy, gospodin Halperin — dobrze jeszcze, że to my jesteśmy u pana zakwaterowani! My wiemy przynajmniej, kim byli dawniej Halperinowie...

Niezawsze jednak przyjmował adwokat obelgi sąsiadów spokojnie. Od czasu do czasu wybuchały w nim wszystkie furje gniewu; wpadał wtedy niby demon burzy do wielkiej jadalni, gdzie Osip Markowicz gościł u rodziców, przy długim stole, rozparty wygodnie w głębokim, angielskim fotelu skórzanym, rozkoszując się

przysmakami matki. Halperin zaciskał przeciw niemu pięści i wołał głosem, w którym nie było już nic ludzkiego:

— Świnie! Coście zrobili z Rosją?! Zamieniliście ją w dom rozpusty! Świnie, wszyscy jesteście świniami!

Stary Markowicz drżał na całem ciele i biegał zatrwożony po pokoju. Jego mała, zasuszona postać maklerska dygotała jak ostatni liść jesienny. Siwa Żydówka kuliła się jak pod uderzeniami bicza, porzucała jedzenie i chowała się w jakimś kącie pokoju. Oboje byli przerażeni widokiem adwokata, jego zwichrzonych siwych włosów i zdziczałych oczu, występujących z oczodołów.

— Siedźcie! Dlaczegoście wstali? — gromił rodziców syn.

Jak skarcone psy powracali staruszkowie do stołu.

— Obywatelu Halperin — wzywam pana do natychmiastowego opuszczenia tego pokoju! Obraża pan rząd sowiecki!

— Wy jesteście rządem? Bandytami jesteście! Jesteście bandytami! Zastrzelcie mnie, zabijcie, zamordujcie! — wołał adwokat, odsłaniając pierś.

— Obywatelu Halperin, za słowa, które pan przed chwilą wypowiedział, będzie pan odpowiedzialny! Oskarżę pana przed Trybunałem Rewolucyjnym!

— Możecie mnie postawić pod ścianę, bandyci, złodzieje! Precz od mojego stołu! Wszystko należy do mnie! To moje krzesła, moje talerze, moje łyżki! — i adwokat podbiega do stołu, chcąc porwać talerze.

— To nie należy da pana, lecz do proletarjatu! Ostrzegam pana przed dotknięciem czegokolwiek, obywatelu Halperin, gdyż będzie pan za to odpowiedzialny!

— Moje, to wszystko jest moje! — woła adwokat i zrzuca jedzenie na podłogę, ściąga ze stołu obrus, ła-

pie talerz i nakrycie, przyciska te skarby do piersi i ucieka do swojego pokoju...

Tegoż wieczora Osip Markowicz, w towarzystwie czerwonogwardzistów, zapukał do drzwi buduaru Olgi Michajłowny. Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i wszedł.

— Co się stało, dlaczego nam przeszkadzacie, towarzysze? — zapytał rozważny zawsze Mirkin, który był właśnie w domu.

— Wzywamy was do wydania karabinu, który przechowujecie w swojem mieszkaniu dla wrogów rewolucji! — zawołał młody Markowicz, blady z wściekłości.

— Karabinu? — Stary Mirkin uśmiechnął się zdumiony. — Skąd karabin do dwóch starców?

— Na to, żeby lżyć rząd sowiecki, nie jesteście dość starzy!

— Lżyć? Ależ, towarzyszu, macie do czynienia z rozgoryczonym staruszkiem, czyż tego nie rozumiecie? — rzekł stary Mirkin, starając się załagodzić poprzednie zajście.

— Rozumiemy, rozumiemy doskonale — co na sercu, to na języku! W każdym razie, towarzysze, musimy przeszukać dokładnie mieszkanie! Mamy wszelkie powody do podejrzenia, że jest to gniazdo kontrrewolucji! — zwrócił się Markowicz do czerwonogwardzistów. — Zaczynamy! Oto nasz mandat!

I oto zaczęła się bardziej niż sumienna rewizja, przy której przeszukano każdy zakątek pokoju. Pootwierano drzwi szaf, powysuwano szuflady komód, powyciągano bez skrupułów najintymniejsze szczegóły toaletowe żony i córki Halperina. Żołnierze trzymali koszule damskie, majteczki, szlafroki pod światło i obserwowali je z lubieżnemi spojrzeniami i faunowemi minami, mrugając do siebie znacząco...

Teść i zięć stali przy tem nieruchomo. Unikali swego

wzroku. Rewizja posuwała się szybko naprzód. Z łóżek powyrzucano pościel, obmacując dokładnie każdy materac. Nie szczędzono przytem uwag na temat miękkości i wygody łóżek...

Karabinu nie znaleziono. Natomiast natknęli się towarzysze na mnóstwo figurek, wazoników, filiżanek i talerzy z białej i malowanej porcelany. Było ich tak wiele, że buduar podobny był do pokoju dziecinnego, pełnego małych laleczek. Towarzysz Markowicz ujął białą figurkę kobiecą, którą adwokat obserwował poprzednio, i pokazał ją żołnierzom:

— Widzicie, towarzysze, jakiemi zabawkami bawiła się burżuazja, gdy wy musieliście znosić chłód i głód!

Żołnierze przyglądali się delikatnej, nagiej postaci kobiecej. Padło kilka soczystych zdań. Towarzysz Markowicz podniósł figurkę i roztrzaskał ją o podłogę.

Stało się to sygnałem dla czerwonogwardzistów: jedno cacko porcelanowe po drugiem padało, starannie wycelowane, w żelazne drzwiczki pieca. Filiżanki drezdeńskie, starowiedeńskie talerze, wazoniki sewrskie, rosyjskie fajanse rozbijały się o ściany, a małe osóbki, które przed chwilą jeszcze z wdziękiem chyliły do siebie wzajem swoje porcelanowe ciałka, leżały teraz bez ramion, bez głów na podłodze, spryskując ją krwią swoich skorup.

— Co robicie? Co robicie? — krzyknął adwokat blady i nieprzytomny.

Jęknął jak chore zwierzę, a w oczach jego zamigotał obłęd.

Stary Mirkin roześmiał się głośno i swobodnie, ze spokojną miną zwrócił się do teścia:

— Ba, gdybyż tylko figurki porcelanowe musiały w to uwierzyć! Ale tu idzie o Rosję, Salomonie Osipowiczu!

— Co mnie obchodzi Rosja? Oni łamią moje ży-

cie! — zawołał adwokat ze łkaniem i zakrył twarz rękoma.

— Widzicie, towarzysze — tacy są burżuje! Figurki ważniejsze im są niż Rosja! Tłuczcie dalej, towarzysze, tłuczcie dalej! — zachęcał Markowicz żołnierzy.

— Tłuczcie dalej, towarzysze, tłuczcie dalej! — krzyknął stary Mirkin, uśmiechając się także zachęcająco, poczem sam chwycił jakąś figurkę i rozbił ją o ziemię...

Towarzysz Markowicz i czerwonogwardziści spojrzeli na Mirkina z najwyższem zdumieniem. Nie mogli go zrozumieć... W każdym razie zachowanie jego odjęło im ochotę tłuczenia dalej figurek porcelanowych, i nie dokończyli swego dzieła zniszczenia.

MISZA „MOŁODIEC" JEST ZNOWU NA WIERZCHU

Stary Mirkin podobny był do dębu. Opierał się wszelkim atakującym go burzom, nie zachwiał się nawet. Co więcej — w okresie grożącej zagłady wyszły w nim najaw zapasy energji i siły życiowej, jakie snać nagromadził na złe czasy. Tak się dzieje z każdym organizmem, ale u Gabrjela Chaimowicza był to poprostu rys charakterystyczny całej jego linji życiowej. Dopomagały mu przytem doświadczenie, spryt i znajomość ludzi; nadawały mu one niemylnie tempo, jakie powinien był wziąć w każdej sytuacji. Szybko więc zorjentował się w nowem położeniu Rosji i dostosował się do niego.

Siłami temi darzyła go miłość do swego przedsiębiorstwa.

Organizacja, zaopatrująca Rosję w podkłady kolejowe, organizacja, którą Mirkin sam stworzył, była dla niego nietylko imprezą handlową, ale najwyższym celem i ideałem życia. Stary Mirkin posiadał ambicję; znał swoją niezmordowaną pracowitość, swój talent or-

ganizacyjny, swoją mocną rękę — i był z tego dumny. Dumny był nie z pieniędzy i władzy, jakie dawały mu jego zdolności — te rezultaty swojej działalności uważał za przypadkowe i podrzędne. Główną rzeczą była dla niego sama organizacja. Dla starego Mirkina imprezy jego były tem samem, czem dla rzeźbiarza życie, jakie twórcza jego ręka nadaje glinie.

Ta firma, którą założył już jego ojciec, a którą on później przejął, której poświęcił wszystkie swoje zdolności, swoją miłość, całe swoje życie, aż doprowadził ją na takie wyżyny, że rozciągała dziś właściwie kontrolę nad wszystkiemi kolejami państwa rosyjskiego; — to przedsiębiorstwo, które wszelkiemi środkami, nawet przekupywaniem najwyższych sfer i hulankami z najwpływowszemi osobistościami kraju niejako wydźwignął z niczego, które utrzymywał przy życiu i rozwijał, przezwyciężając wszelkie przeszkody, jakie stawiało mu niedbalstwo rosyjskie, niezdolność, lenistwo i zrodzona z pijaństwa złośliwość; — ta organizacja, którą w najposępniejszych nawet latach reakcji rosyjskiej ustrzegł wszelkiemi dozwolonemi i niedozwolonemi środkami przed zagładą: — ta organizacja musiała być i teraz utrzymana, zabezpieczona, a gdyby to było konieczne, oddana w ręce nowego rządu jako zdolny do życia twór gospodarczy! To przedsiębiorstwo, dzieło jego życia, było dlań droższe, miało dlań większe znaczenie, niż los osobisty — większe nawet, niż nowe szczęście domowe, które dane mu było osiągnąć w tak późnych latach. Dla firmy gotów był, jak wielki artysta dla swego tworu, poświęcić wszystko.

Bezpośrednio po powrocie z Moskwy zwołał w Petersburgu swoich współpracowników, inżynierów, posiwiałych w służbie firmy dyrektorów, kierowników organizacyjnych, których oddziały utrzymywały kontakt między poszczególnemi linjami kolejowemi — sło-

wem wszystkich, nawet najmłodszych urzędników. Do zebrania tego przemówił w następujący sposób:

— Panowie, nie wiem, co postanowi nowy rząd w stosunku do naszej firmy i do nas. Ale wiem jedno: że Rosja musi istnieć nadal, cokolwiekby się stało! Organizacja nasza jest jednym z głównych nerwów w ciele Rosji. Bez niej kolejnictwo runęłoby w ciągu najbliższych tygodni. Dlatego musimy za wszelką cenę utrzymać naszą organizację przy życiu, aby ją oddać nowym władzom, jako nadające się do pracy narzędzie. Proponuję więc, moi panowie, aby każdy z nas pozostał na swojem stanowisku, aż nowy rząd postanowi, co się ma z nami stać. Jestem przekonany, iż cała Rosja, nie wyłączając nowych władców, będzie nam później wdzięczna, za to, że ustrzegliśmy od upadku naszą firmę, najważniejszy organ kolejnictwa rosyjskiego.

Większość dyrektorów i urzędników firmy pozostawała zdawna w przyjaźni z szefem, z którym od lat dzielili troski i radości. W milczeniu uścisnęli mu teraz rękę. Było jednak kilku takich, co nie dowierzali szefowi, i dlatego, chcąc mu uniemożliwić sabotaż, domagali się ustanowienia rady nadzorczej, która byłaby wybrana z pośród pracowników i sprawowała swoje funkcje póty, póki przyszły los firmy nie zostanie wyświetlony.

Starzy inżynierowie zwalczali tę propozycję. Ale Mirkin sam przerwał dyskusję:

— Jestem gotów we wszelkiej formie pełnić służbę w przedsiębiorstwie, bez względu na to, czy będzie ono prowadzone z nami czy bez nas. Organizacja musi być utrzymana przy życiu. Przeprowadźcie swoją propozycję! Jestem zdecydowany na wszystko!

Słowa te zjednały mu sympatję także młodszych urzędników, uchwalono więc, że funkcjonarjusze firmy pozostaną na dotychczasowych stanowiskach, aż czyn-

niki miarodajne nie wypowiedzą się co do losu instytucji.

Zaczęły się teraz dla starego Mirkina złe, ciężkie dni: w zarządzie kolei, który organizował się dopiero na nowo, panował chaos. Starzy, doświadczeni urzędnicy porzucili swoje stanowiska, aby prowadzić tem skuteczniejszy bojkot nowego rządu. Na najważniejszych, najodpowiedzialniejszych placówkach znajdowali się niedoświadczeni młodzieńcy, nie posiadający najmniejszych wiadomości fachowych; gotowość współpracy z nowym rządem była ich jedyną kwalifikacją do nowych urzędów. Cała administracja kolei groziła zachwianiem się. Nikt nie wiedział, co robić. Nielicznym starym urzędnikom, którzy jeszcze pozostali, okazywano nieufność, nie słuchano ich rad, w przekonaniu, że celem ich jest potajemne uprawianie sabotażu; nowi zaś urzędnicy nie znali całego aparatu.

Gdy stary Mirkin zjawił się w Komisarjacie Ludowym Kolei Żelaznych i oświadczył gotowość współpracy z nowym rządem, spotkał się odrazu z nieufnością. Chciano się wywiedzieć, co kryło się za jego propozycją: Mirkin, współpracownik rządów carskich, który w najgorszych nawet czasach reakcji, za panowania Czarnej Seciny, wytrwał na stanowisku i nie był nawet zmuszony wyrzec się wiary żydowskiej, — Mirkin, współbiesiadnik wielkich książąt, przyjaciel najreakcyjniejszych biurokratów, proponuje rządowi sowieckiemu współpracę! Wszyscy jego znajomi i przyjaciele ze świata finansjery i przemysłu uprawiają bojkot i sabotaż — a ten „stary spryciarz“ chce utrzymać przy życiu założoną przez siebie organizację i oddać ją całkowicie do dyspozycji nowego rządu? Czy to nie pachnie potajemną zmową z „białymi“, z generałami carskimi, którzy organizowali teraz bunty kozackie? Dla nich to na pewno chce ten stary utrzymać koleje w należytym

porządku, aby tem łatwiej mogli rzucić wojska na stolicę!

Zaczęto szpiegować starego Mirkina, przeprowadzano w jego kantorze niespodziane rewizje, wertowano jego papiery.

Ale chwilowo nie można mu nic zarzucić i trzeba go zatrzymać, aż zostaną wydane nowe rozporządzenia. A „spryciarz“ godzi na na wszystko — nie oponuje nawet przeciwko wyznaczeniu komisarza, podczas gdy wszystkie banki w odpowiedzi na taką propozycję zaprzestały swoich czynności!

Pozostawiono go więc tymczasowo w spokoju — gdyż „stary lis“ był potrzebny. Ponieważ wyraził gotowość pracowania pod dozorem komisarza, nawet mu komisarza nie wyznaczono. Poprostu nie było na to czasu: oddano więc kontrolę nad przedsiębiorstwem Mirkina kilku młodym urzędnikom jego biura, którzy pozostawali najwidoczniej w bliskich stosunkach ze „sferami miarodajnemi“. Najstarszych i najdoświadczeńszych inżynierów zabrano mu, a jako najbliższych współpracowników otrzymał teraz młodzieńców, do których wyższe instancje miały zaufanie.

Położenie przedsiębiorstwa stawało się coraz gorsze. Trudności rosły z godziny na godzinę. Komunikacja z ośrodkami drzewnemi została niebawem przerwana. Firma nie miała już połączenia ze swemi dalszemi składami i filjami, ponieważ ruch kolejowy zamarł w całych połaciach kraju. Niebawem poczęto odczuwać brak rzeczy najniezbędniejszych — powstały bowiem trudności w przekazywaniu pieniędzy, gdyż banki na znak protestu przeciwko ustanowieniu komisarzy, pozamykały swoje okienka.

Stary Mirkin czynił wszystko, co było w jego mocy, aby przetrwać chaotyczne, niespokojne czasy, póki nie nastanie jaki taki ład. Z najwyższym wysiłkiem swojej

olbrzymiej energji i niezwykłego talentu organizacyjnego starał się przerzucać nadwyżki materjałów i pieniędzy z jednego miejsca na drugie. Był jednak spętany jak dziki bawół i przy każdym ruchu czuł więzy, krępujące wszystkie jego członki. Nowi współpracownicy, których mu dodano, byli niby pręty zamykającej go klatki. Musiał zużywać więcej energji i siły na to, aby przekonać własnych pomocników o celowości swoich zarządzeń, niżeli na wprowadzenie tych zarządzeń w czyn. Opierali się oni energicznie każdemu planowi Mirkina (węsząc wszędzie i zawsze jakiś ukryty zamiar), jedynie dlatego, że plan ten pochodził od „starego lisa". Ale Gabrjel Chaimowicz znosił wszystko. Nie przejmował się ironicznemi uwagami i nieufnemi spojrzeniami, nie zwracał nawet uwagi na rzucane od niechcenia zuchwałe obelgi — byle tylko przeprowadzić organizację bezpiecznie przez wzburzone fale. Pod straszliwem brzemieniem pracy uginał się już niemal. Mięśnie szyi za białemi końcami bokobrodów stawały się coraz słabsze, policzki z dnia na dzień coraz bardziej zapadłe. O rodzinie, o losie osobistym zapomniał zupełnie. O jedzenie i picie nie troszczył się wcale. Jeżeli ktoś z pracowników przyniósł mu jedzenie ze wspólnej kuchni (którą założono i tutaj, jak we wszystkich innych przedsiębiorstwach), stary Mirkin jadł. Jeżeli mu nie dano nic, żuł kawałek czarnego chleba, który mu ktoś z wiernych położył na biurku, i nie przerywał przytem pracy.

Wieczorem powracał przepełnionym tramwajem albo pieszo do swojej kwatery u Halperina. Padał tam na łóżko, śmiertelnie zmęczony. Długo trwało, aż usunął z płuc duszne, przegrzane powietrze, które wdychał w zawrotnem tempie długiego dnia roboczego, i zapadał w ciężki, niespokojny sen...

Jednym z pierwszych kroków nowego rządu była konfiskata prywatnych majątków burżuazji. W tym celu oddano wszystkie „safe'y“ i kasy ogniotrwałe w wielkich bankach pod nadzór wojska. Po pewnym czasie wzywano właścicieli depozytów do banków, aby otworzyli „safe'y“. Złoto, klejnoty i papiery wartościowe konfiskowano, listy prywatne i dokumenty, nie przedstawiające wartości, zwracano właścicielom.

Przy wykonywaniu tej akcji zachodziły wielkie nadużycia. Kto wpłacił kontrolującym urzędnikom pewną sumę, mógł zabrać z „safe'u“ wszystko. Kto nie miał gotówki, aby opłacić „taksę“, poprostu dzielił się zawartością swego „safe'u“ z żołnierzami, którzy asystowali przy otwieraniu; brał garść złota i klejnotów i chował do kieszeni, reszta należała do wartowników. Transakcje te organizowali zwykle woźni banków, którzy znowu ze swej strony zawierali odrębne układy z żołnierzami. W ten sposób wiele osób ratowało część swego mienia.

Stary Mirkin siedział pewnego dnia zatroskany, zatopiony w ciężkiej pracy w swoim gabinecie, gdy do pokoju wszedł gość, który wydał mu się zarazem znajomy i nieznajomy. Dość długo trwało, aż poznał młodzieńca o dość świeżym zaroście, w komunistycznej czapce z szerokim daszkiem, z gęstą, potarganą czupryną i teczką komisarską pod pachą. Był to Misza „Mołodiec“.

Stary Mirkin nie mógł pohamować śmiechu, który ogarnął go na widok metamorfozy młodzieńca.

Misza uśmiechnął się:

— Cóż począć, Gabrjelu Chaimowiczu? Trzeba iść z prądem czasu, — rzekł jakby na wytłumaczenie.

— Czem panu mogę służyć? — zapytał stary Mirkin, poważniejąc znowu.

— Gabrjelu Chaimowiczu, w dobrych i złych cza-

sach ofiarowywałem panu zawsze swoje usługi — ale pan stale je odrzucał. Nie wiem naprawdę, co pan ma przeciwko mnie. Musiałem więc czekać na chwilę, gdy będzie pan zmuszony przyjąć moją propozycję, aby się pan raz nareszcie przekonał, że jestem pańskim przyjacielem. Sądzę, że ta chwila nadeszła. Spodziewam się, że tym razem nie odtrąci pan mojej pomocy.

— Pańskiej pomocy? W jakiej sprawie?

— Idzie o uratowanie pańskiego majątku — w podobny sposób, jak uczynili Rozamin i wielu innych. Gabrjelu Chaimowiczu, dzięki mnie będzie pan mógł ocalić papiery wartościowe i klejnoty żony, znajdujące się w pańskim „safe'ie" w Banku Handlowym. Niema przytem najmniejszego niebezpieczeństwa, ryzyko biorę zupełnie na siebie.

Stary Mirkin siedział spokojnie i jak zwykle w decydujących chwilach, począł się bawić masywnym nożem do papieru, leżącym na jego biurku.

— Jak pan to chce zrobić?

— To już moja sprawa! Podejmuję się przeprowadzić wszystko.

Stary Mirkin utkwił wzrok w gościu i rzekł bez najmniejszego drgnienia powieki:

— A coby pan zrobił, Miszo, gdybym zawiadomił o tej propozycji nowych panów, którym pan służy?

— Nie uwierzonoby panu! — odpowiedział „Mołodiec" z zimną krwią, obserwując z dawnego przyzwyczajenia paznogcie, które nie były już coprawda tak wypielęgnowane jak niegdyś i miały czarne brzegi. — Postarałem się już o to.

— Więc niema przeciwko panu środka? — zapytał stary Mirkin poważnie.

— Sądzę, że nie, — odpowiedział Misza równie poważnie.

— Jeżeli tak, to trzeba się będzie obyć bez tego, —

westchnął stary Mirkin i wstał z głębokiego fotelu biurowego, na znak, że rozmowa jest skończona; wskazał przytem ciężkim nożem do papieru na Miszę.

— Powiedziałem panu już, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie skorzystam z pańskich usług — i w tem postanowieniu trwam nadal.

— Nigdy, w żadnych okolicznościach — tego mówić nie wolno! Może nadejść chwila, gdy będzie pan zmuszony przyjąć moją pomoc: żyjemy w dziwnych czasach, Gabrjelu Chaimowiczu — obawiam się tylko, że wtedy będzie za późno!

— Zobaczymy! Narazie, dzięki Bogu, chwila ta jeszcze nie nadeszła. Ale rozmowa pańska ze mną może na nas obu rzucić podejrzenie. Proszę, niech pan opuści ten pokój, zanim kogoś zawołam.

— Jeszcze słówko, Gabrjelu Chaimowiczu! Nie rozumiem pana! Czy rzeczywiście zamierza pan oddać tym ludziom wszystko i nie zatrzymać dla siebie nic, chociaż czasy są tak niepewne?

— Nie tym ludziom, lecz Rosji! Zrozumiano? Precz stąd, łajdaku! — zawołał stary Mirkin, a policzki jego zalały się krwią.

— Idę już, idę już!

Misza szybko opuścił pokój.

Stary Mirkin poszedł do banku, otworzył „safe“ i nie rzucił nawet okiem do wnętrza.

— Nie mam nic do wyjęcia, — powiedział do żołnierzy.

Wartownicy spojrzeli na niego zdumieni, gdyż uważali go za obłąkanego. I zanim jeszcze opuścił podziemie banku, poczęli już chować jego klejnoty po kieszeniach...

Potem nastąpiły dekrety, jeden po drugim. Najpierw dekret o ustanowieniu Komisarjatu Gospodarczego, następnie dekret o nacjonalizacji banków.

Pewnego jasnego, mroźnego poranka zimowego stary Mirkin, wchodząc do swego kantoru, zastał drzwi otwarte. Gdy wszedł do gabinetu, ujrzał, że w fotelu przy jego biurku siedzi jakiś obcy młodzieniec, a obok niego Misza „Mołodiec". Obaj wertowali stosy papierów. Na biurku leżał olbrzymi rewolwer.

I tym razem stary Mirkin z trudnością poznał Miszę; „Mołodiec" był teraz ubrany w czarną koszulę rosyjską z mnóstwem guzików i — o dziw nad dziwy! — nagle używał binokli.

Wejście Mirkina nie zmieszało intruzów; nie zauważyli też zdumienia, jakie odmalowało się na jego twarzy. Wreszcie bankier odezwał się pierwszy:

— Czemu mam do zawdzięczenia zaszczyt waszej wizyty, panowie? — zaczął z uśmiechem.

Obcy młodzieniec rozejrzał się ze zdumieniem i rzucił gniewne spojrzenie na przybysza, który ośmielił się przeszkodzić mu; potem zapytał chłodno:

— Ach, pan jest pewnie obywatelem Mirkinem, dawnym szefem tej firmy?

— We własnej osobie, — odpowiedział stary Mirkin.

— Z rozkazu Najwyższej Rady Gospodarczej przejęliśmy na rzecz proletarjatu przedsiębiorstwo podkładów kolejowych, które pan sabotażem swoim doprowadził niemal do ruiny. Zostałem wydelegowany do firmy jako komisarz. Towarzysz Binstock-Papałow — (wskazał na Miszę) — będzie zarządzał przedsiębiorstwem. Póki będziemy to uważali za potrzebne, odda nam pan na usługi swoje doświadczenie, obywatelu Mirkin, — rzekł nieznajomy, nie podnosząc wzroku z papierów, które przeglądał; wskutek tego nie dostrzegł drwiącego uśmiechu na ustach bankiera.

— Spodziewamy się jednak, że zawrze pan pokój z rządem sowieckim i uzna obecny stan rzeczy, spo-

dziewamy się, że zaprzestanie pan sabotażu i weźmie udział w reorganizacji kolejnictwa, służąc w ten sposób proletarjatowi, — dodał Misza, i zastosował podpatrzony u starego Mirkina ruch, wskazując na niego ciężkim nożem do papieru.

— Jeżeli pan tego nie uczyni, zastosujemy inne środki, — rzekł nieznajomy młodzieniec, spoglądając teraz na bankiera.

— Pański mandat? — zapytał stary Mirkin swobodnie.

— Ma pan mandat, jeżeli się pan chce koniecznie przekonać! — rzekł nieznajomy i podsunął mu arkusz papieru, nie podnosząc wzroku.

Stary Mirkin wziął dokument, wolno włożył okulary i uważnie przeczytał papier.

— Zgadza się, — rzekł nawpół do siebie. — Czego żądacie ode mnie, panowie?

— Chwilowo tajemnicy zamku pańskiej kasy, — pośpieszył z odpowiedzią Misza.

— Proszę, może pozwolicie tutaj, towarzyszu?

Misza wstał i podszedł do kasy.

— Cyfra 22, litera B, zpowrotem na cyfrę 7, litera A, potem cyfra 33 — i zamek jest otwarty, — rzekł stary Mirkin, otwierając ciężkie drzwi stalowe.

— Dziękuję, — odpowiedział Misza i cicho powtórzył cyfry.

— Chwileczkę! — zawołał stary Mirkin i wyjął z kasy jakiś dokument.

— Nie wolno! Nie ruszać nic! — krzyknął obcy młodzieniec z podnieceniem i z rewolwerem w ręku skoczył do kasy.

— Nie denerwujcie się, towarzyszu! To tylko mój testament. Nie ma on już teraz żadnej wartości! — rzekł stary Mirkin i podarł dokument, który trzymał w ręku. — Reszta jest do waszej dyspozycji. Proszę!

Nadzieje całej Rosji były teraz ześrodkowane na konstytuancie.

To było przecież marzenie całych pokoleń rewolucjonistów rosyjskich, to było hasło, za które szli na śmierć męczennicy.

Przez szereg miesięcy, zaraz od upadku cara, Rosja gotowała się do konstytuanty. Ponieważ chciano powołać ją na najwznioślejszych, najwyższych zasadach demokratycznych, odkładano ostateczny wybór z miesiąca na miesiąc, póki najlichsza wieśniaczka w najdalszej wiosce olbrzymiego państwa nie wyraziła swojej woli przez kartkę wyborczą. I oto ciało ustawodawcze narodu miało się zebrać. Czy bolszewicy ośmielą się oprzeć woli ludu? Czy ośmielą się zdeptać nadzieje, jakie pokolenia całe łączyły z tym dniem?

Tymczasem delegaci do konstytuanty poczęli się zjeżdżać do stolicy. Pstra mieszanina narodów: buty, krótkie kożuszki, wysokie czapy futrzane; wielu mężczyzn przybyło w strojach narodowych swoich krajów rodzinnych. Była to wieża Babel narodów, mieniąca się tysiącznemi barwami. Delegaci bolszewiccy zostali zakwaterowani wpobliżu „Smolnego“, inne partje przez wiele dni błąkały się po mieście bez dachu nad głową, głodne i wyszydzane, aż udało się wreszcie ulokować posłów w starym, opustoszałym budynku szpitalnym, pachnącym jeszcze karbolem i lekarstwami. Komisarz miasta Uricki pozwolił im rozlokować się tam, dostali nawet jeść, ale otoczeni byli gęstym łańcuchem szpiegów, którzy śledzili każdy ich krok.

Za pozwoleniem komisarza Urickiego mogli też przedstawiciele narodu minąć w pamiętny dzień otwarcia konstytuanty silny kordon żołnierzy, otaczający Pałac Taurydzki, w którym ciało ustawodawcze miało

obradować. Patrole czerwonych wojsk tak gęsto otoczyły „sanktuarjum“ nowej Rosji, iż wybrańcy narodu mieli wrażenie, że wchodzą nie na wszechmocne, suwerenne, z trudem wywalczone rosyjskie zgromadzenie ludowe, ale do więzienia, z którego już nie wyjdą. A przytem wartownicy witali ich okrzykami w rodzaju: „Sprzymierzeńcy koalicji“, „Lokaje burżuazji“, a przez całą drogę towarzyszyły delegatom groźby, jak „Lenin już wam pokaże, co to jest konstytuanta!“ albo „Pod ścianę ich!“

Członkowie zgromadzenia byli przygotowani na wszystko i przedsięwzięli odpowiednie środki. Powiadano, że wśród obrad światło zgaśnie nagle; to też każdy miał świecę stearynową w kieszeni. Ponieważ krążyły także pogłoski, że delegaci będą w pałacu głodzeni, każdy zabrał kilka tuzinów „kanapek“ i wszyscy byli zdecydowani raczej umrzeć z głodu, niżeli opuścić zgromadzenie ustawodawcze wolnej Rosji. Na jedno tylko nie byli delegaci przygotowani: na bagnety!

— O nie, nie ośmielą się rozpętać gniewu ludu, nie ośmielą się rozpędzić jego przedstawicieli! Naród nas wybrał, naród nas obroni!

Ale rychło usłyszeli „głos ludu“. Demonstacje na cześć konstytuanty, składające się przeważnie ze studentów, urzędników, mieszczan i inteligencji, wśród których zrzadka tylko dostrzec było można żołnierza lub robotnika, zostały zatrzymane na krańcach miasta i mimo czerwonych sztandarów i najpiękniejszych haseł na transparentach nie zostały przez patrole wojskowe dopuszczone do Pałacu Taurydzkiego.

Natomiast pod oknami pałacu maszerowały nieustannie pochody robotników, marynarzy i żołnierzy z czerwonemi sztandarami i podburzającemi napisami. Szyby w oknach gmachu drżały od ich okrzyków:

— Rozpędzić tych zdrajców!

— Precz z demokratyczną burżuazją!
— Śmierć patrjotom wojennym!
— Całą władzę sowietom!
Z okien rozlegały się w odpowiedzi okrzyki:
— Niech żyje przedstawicielstwo narodowe!
— Całą władzę konstytuancie!
Na ulicy śpiewano „międzynarodówkę". Przy oknach podchwytywano nutę, przyjaciele i wrogowie jednoczyli się w potężnym chórze.

Wrogie demonstracje przed Pałacem Taurydzkim nie kończyły się, groźne okrzyki, śpiewy z tej i tamtej strony trwały bez przerwy przez cały dzień.

„Biała Sala", w której odbyć się miało uroczyste posiedzenie inauguracyjne, wypełniała się zwolna. Naród rosyjski wysłał, co miał najlepszego: młode głowy, przedwcześnie posiwiałe w tajgach Syberji, blade twarze, z których więzienia carskie wyssały wszystką krew, chłopięce, chude ciała, które straciły pełne kształty w służbie rewolucji, zgarbione grzbiety, na których ciążyło brzemię troski o lud. Towarzysze bojów spotykali się tu po latach niewidzenia, spotykali się ludzie, którzy razem przelewali krew za wolność w ogniu wojny, razem stali przed sądem, dzielili jedną celę więzienną, mieszkali w tych samych osiedlach zesłańców w tajdze, razem wędrowali po lasach syberyjskich, razem przekradali się przez granicę, razem popełniali zamachy.

Wielu z tych, co od dni październikowych musieli się ukrywać przed bolszewikami, zdejmowało dopiero teraz brody i przebrania, w których się ukrywali, i pokazywali się jawnie przyjaciołom i towarzyszom. Radość spotkania objawiała się w sposób prawdziwie rosyjski, pocałunkami i uściskami. W oczach dorosłych mężczyzn migotały łzy. Wspominano padłych towarzyszów, męczeństwo rewolucjonistów, ofiarną śmierć męczenników, ostatnie słowa, jakie napisał z więzienia Zasa-

now, który zbawił Rosję od potwora Plehwe'go: „Witam wschodzące słońce!“ Atmosfera pełna była entuzjazmu, nad zgromadzeniem zdawała się świecić łuna rewolucji. Czupryny dumnie wznosiły się wgórę, oczy połyskiwały; na wszystkich ustach było jedno słowo, godne tej wielkiej chwili — ale nikt nie śmiał go wypowiedzieć.

Zapomniano o walce wzajemnej, zapomniano o „październiku“: mimo wszystko bolszewicy są przecież także za konstytuantą! Oni sami rzucili przecież to hasło, sami walczyli o zgromadzenie narodowe, sami pomagali w jego zwołaniu! I mieliby naprawdę nie odczuwać tej wzniosłej chwili? Czyż nie uczują, że nad głowami wybrańców narodu unoszą się teraz w tej sali duchy męczenników? Czyż nie usłyszą okrzyku pokoleń, padłych w walce, nie uczują drżenia nadziei, jakie przenikało ciała niezliczonych bojowników, co musieli na szubienicach cara oddawać życie? Przecież oni są rewolucjonistami, przecież oni są cząstką rewolucji! Wszyscyśmy podkopywali fundamenty caratu, aż cała budowla runęła wreszcie! Wspólnemi siłami tkaliśmy szatę wolności, razem oraliśmy pokrwawionemi dłońmi usianą kamieniami i chwastem rolę, razem braliśmy na swe barki więzienie, śniegi i lody Syberji, nawet szubienicę, aż sądzonem nam zostało ujrzeć wschodzące ziarno!

Dzień ten wydawał się odpowiednim, aby jak przez filtr usunąć rozgoryczenie, które nagromadziło się w walce partyjnej, i złączyć wszystkich w jedną wielką siłę. Żywiono niezłomną wiarę, że jedynie konstytuanta zdolna będzie zbudzić znowu wzniosłą tradycję rewolucji rosyjskiej. Zerwie ona zasłonę, która padła nagle na oczy rewolucjonistów — i wszyscy ujrzą znowu bohaterską drogę, po której kroczyli wspólnie. Brat pozna brata i padną sobie w ramiona...

Wszyscy byli zdecydowani unikać wszelkiego złego słowa, zrodzonego z zapałów partyjnych, wszelkiego

złego słowa, które mogłoby zbrukać wielką chwilę otwarcia tego zrodzonego w bólach, oczekiwanego z tęsknotą zgromadzenia. Przeciwnie, wspomnienie bohaterskiej śmierci męczenników wolności rosyjskiej miało zbudzić potężny entuzjazm, który zdołałby zjednoczyć wszystkie partje. Chwilę tę uważano za najodpowiedniejszą do sprawienia tego cudu. Przygotowywano się więc do przemówień, pomagano sobie wzajemnie w budzeniu zapału, podkreślając ciągle doniosłość tego momentu dziejowego.

Tymczasem bolszewicy wraz ze swymi nowymi sprzymierzeńcami, lewymi socjal-rewolucjonistami czynili wszystko, aby zmniejszyć entuzjazm strony przeciwnej, zbagatelizować całą konstytuantę i wprawić ją w tak śmieszne położenie, by podniosły nastrój, jaki inne partje zamierzały nadać pierwszemu posiedzeniu, nie mógł dojść do skutku. W tym celu odwlekali otwarcie z godziny na godzinę i w oddzielnych pokojach gmachu odbywali nieskończone narady frakcyjne. Minęło pół dnia, a mniejszość bolszewicka nie zjawiała się w „Białej Sali". Większość zaczęła się niecierpliwić, zmęczona długiem czekaniem. Kazano powiedzieć bolszewikom, że zgromadzenie zostanie otwarte bez nich. Odpowiedź brzmiała:

— Jeżeli Lenin pozwoli!

Poddano się.

Tymczasem galerje i loże napełniały się zwolna publicznością, wybraną przez komisarza miasta Petersburga, towarzysza Urickiego, na jedynych świadków wielkiej chwili.

Zaopatrzona w karty wstępu, wydane przez Urickiego, wysłana została do „Białej Sali" „siła zbrojna" partji bolszewickiej: czerwonogwardziści, którzy nie wahali się już przed otwarciem konstytuanty skiero-

wać na wybrańców narodu ostrzy swoich bagnetów i luf rewolwerów.

Każdy delegat, należący do przeciwnej partji, witany był przez galerję złorzeczeniami. Na głowy, posiwiałe w walce o wolność Rosji, padały obelgi, które wywołałyby rumieniec wstydu na twarzy dziewki ulicznej, i brutalny śmiech. Jakiś chłopak ze spłaszczonym nosem i bezczelnemi oczyma ulicznika, zdradzającemi, że nie znał on wstydu, wołał nieustannie do przedstawicieli ludu:

— A wy psy burżuazyjne! Gdyby Lenin chciał mnie słuchać, postawiłby was wszystkich pod ścianą!

Wreszcie zjawiła się frakcja bolszewików wraz z lewymi socjal-rewolucjonistami i zajęła miejsce, witana entuzjastycznemi okrzykami i nieskończonym poklaskiem galerji i lóż. Delegaci pośpieszyli na miejsca.

Wieża Babel narodów rosyjskich reprezentowana była w „Białej Sali" Pałacu Taurydzkiego przez wszystkie plemiona w strojach narodowych. Tu i ówdzie obraz Wschodu: bucharskie płaszcze jedwabne w żywych kolorach, pstre, przetykane złotem czapki na azjatyckich, wygolonych po tatarsku głowach. Większość przedstawicieli narodu pragnęła podkreślić strojem swój związek z wsią rosyjską: nosili kolorowe koszule chłopskie i wysokie buty — ale blade, inteligentne twarze zdradzały mieszczan. Zebranie sprawiało wrażenie raczej wiecu rewolucyjnego, niż ustawodawczego zgromadzenia; wprawdzie tu i ówdzie widać było jeszcze resztki ubrań mieszczańskich i pięknie wykrojone twarze szlacheckie, ale zwracały one na siebie uwagę właśnie przez to, że były tak rzadkie.

W jednej z lóż zjawił się człowiek o mongolskiej twarzy i świecącej czaszce. Znudzony wsparł wielką głowę na dłoni i przymknął małe oczy; trudno było poznać, czy drzemał, czy czuwał. Miało się wrażenie,

jakby to, co się tutaj działo, sprawiało mu fizyczny ból. Tylko od czasu do czasu rzucał przez wąską szparkę między powiekami drwiące spojrzenie na człowieka, który stał właśnie na trybunie. Szybko odwracał oczy, rozglądał się znudzony po sali, pokaszliwał, wspierał znowu głowę na dłoni i zamykał oczy, tak że niewiadomo było znowu, czy drzemie, czy czuwa. Myśli jego — tak się przynajmniej zdawało — dalekie były od wydarzeń na sali.

Wiele czasu zajął wybór przewodniczącego; przyczyniła się do tego i galerja. Wreszcie na miejscu prezydjalnem zjawił się wysoki mężczyzna o falującej, szpakowatej czuprynie i krótko przystrzyżonej brodzie. Z triumfalnym uśmiechem rozejrzał się po wysokiej, białej sali. Uśmiech nie zniknął z jego warg, gdy zwolennicy powitali go głośnemi oklaskami, powstając z miejsc, a stał się jeszcze silniejszy i radośniejszy, kiedy z drugiej strony, a zwłaszcza z galerji rozległa się głośna wrzawa:

— Zdrajca! Pachołek Korniłowa! Wróg ludu! Kat!

— Precz z nim!

— Bohater wojenny! Masowy morderca!

— Naszpikować mu gębę kulami! — krzyknął z galerji chłopak ze spłaszczonym nosem.

Kilka karabinów skierowało się przeciwko człowiekowi na trybunie.

— Tak wygląda wasza konstytuanta! Zasługujecie, żeby ją rozpędzić na cztery wiatry! — szalała dalej galerja.

Człowiek z falującą czupryną wyczekał, uśmiechając się ciągle, aż fala przycichła. Potem odchrząknął, jakby chciał nastroić kamerton, i zaczął mówić.

Rychło ogarnął go zapał i entuzjazm, gdy wspomniał męczenników rewolucji. Każdego z poległych bohaterów wymieniał po nazwisku. Ale przy każdem nie-

mał zdaniu bolszewicy na sali i na galerji przerywali mu okrzykami.

— Co to za brednie? To nikogo nie interesuje!

— Powiedz nam lepiej, jak się wiedzie Korniłowowi i twemu przyjacielowi Kierenskiemu?

— Słuchajno, byłeś w Saratowie? Co słychać w Saratowie?

Entuzjastyczne słowa mówcy ginęły w powodzi obelg i złośliwych uwag, spływającej z sali i galerji na jego głowę. To też i zapał jego zgasł niebawem. Zaczął mówić o sprawach realniejszych, przedewszystkiem o różnicach partyjnych. Ale to podnieciło umysły jeszcze bardziej. Goście z galerji zjawili się nagle na sali i wmieszali się między posłów. Wrzawa stawała się coraz większa. Wreszcie mówca urwał. Inny otrzymał głos. Sceny poprzednie powtórzyły się. Trwało to przez wiele godzin, aż wreszcie jakiś żołnierz z galerji krzyknął donośnym głosem na salę:

— Ach, to nudne! Niech ich djabli porwą!

Stało się to hasłem do nowej burzy. Ze wszystkich stron zabrzmiały okrzyki:

— Co oni sobie właściwie myślą? Chcą nas dzisiaj zagłodzić? Czy mamy tu siedzieć całą noc? Spać nam się chce! Idźcie spać!...

W rozmaitych kątach sali krzyczano jednocześnie:

— Koniec! Koniec! Czas najwyższy, żeby już zamknąć ten dom warjatów!

Przez cały czas trwania przemówień i obecnej wrzawy człowiek z kałmuckiemi oczyma siedział w swojej loży, wsparłszy głowę na ręku. Jego kanciasta, połyskująca łysina świeciła w padającym na nią blasku lamp elektrycznych. Cała sala czuła wyraźnie jego przytłaczającą obecność. Wszystkie oczy skierowane były na niego i z lękliwą ciekawością obserwowały każdy jego ruch, każdy zwrot głowy, każdy gest ręki, jakby tam,

w małej przestrzeni loży, skoncentrowany był sens, wola i siła motoryczna wszystkich wydarzeń na sali. Zaciekawione spojrzenia usiłowały raz poraz odczytywać z tej loży sytuację, jak się odczytuje gorączkę chorego na termometrze. Możnaby powiedzieć, że z samego ruchu powietrza wokół tej głowy chciano poznać, jak się sprawy przedstawiały...

Ale człowiek o łysej czaszce siedział niemy. Oczy miał przymknięte — opatrzność spała widocznie. A jednak wszyscy czuli, że nie spała, że czuwała. Kanciasta, połyskująca czaszka świeciła na sali niby nadziemskie słońce. Wszystkie oczy były w niej utkwione, jakby chciały przeniknąć do jej wnętrza, do tajemniczego świata, kryjącego się za jej ścianami — jakby w głowie tej obracała się maszynerja Rosji, po której ludzie na tej sali mogli poznać swój los. Ale człowiek o łysej czaszce milczał uporczywie.

Wreszcie poruszył się, podniósł głowę i otworzył usta do szerokiego ziewnięcia. Drżenie przebiegło po sali.

— Najwyższy już czas, żeby skończyć tę głupią zabawę! — zwrócił się do towarzyszących mu w loży ludzi.

— Czy mam zejść i rozpędzić ich? — zapytał czarnowłosy młodzieniec, którego kędzierzawe włosy zdradzały pochodzenie od ludu Ahaswera.

— Dlaczego wy? Poślijcie lepiej na trybunę towarzysza Szlezniaka, już on się jaśniej wypowie, — odpowiedział człowiek o kałmuckich oczach.

— Zaraz?

— Zaczekajcie lepiej, aż ja odejdę.

Przy ponownem ziewnięciu szerokie, mongolskie kości policzkowe wystąpiły silniej jeszcze na jego twarzy.

Człowiek z łysą czaszką opuścił lożę wraz ze swoją świtą. Cała sala odetchnęła z ulgą. Głos przewodniczącego zabrzmiał swobodniej, z nową odwagą. Delegaci

poczęli śmielej obradować; doznali podobnego uczucia, jak uczniowie w szkole, gdy nauczyciel odejdzie.

Nagle na trybunie zjawił się jakiś marynarz. Był to towarzysz Szlezniak. Podszedł do przewodniczącego, zdecydowanym gestem przerwał mu wśród słowa i rzekł cichym ale stanowczym głosem:

— Towarzyszu przewodniczący — czas opróżnić salę.

Przewodniczący spojrzał na zuchwałego marynarza oburzony i zdziwiony. Potem począł mu podniesionym głosem i z ożywioną gestykulacją prawić kazanie i wyjaśniać, gdzie się znajduje. Przedstawiciele narodu opuścili swoje miejsca i skupili się wokół przewodniczącego. Ale marynarz przerwał krótko jego wywody:

— Hej tam, rozejdźcie się, dziadulkowie, rozejdźcie się, zanim was rozpędzimy!

Delegaci chcieli protestować. Jakiś bardziej wojowniczy zawołał:

— Dobrowolnie nie wyjdziemy! Jesteśmy wysłańcami narodu!

Wówczas przez wszystkie drzwi wpadli na salę marynarze i kolbami karabinów rozpędzili posiwiałych w boju rewolucjonistów rosyjskich, pełnomocników narodu w pierwszej rosyjskiej konstytuancie.

Zachary Mirkin przyglądał się tym wypadkom z galerji. Jako naczelny kierownik jednej ze stworzonych zaraz po przewrocie październikowym komisyj odbudowy, mających na celu umocnienie rządów sowieckich, jeździł Zachary stale między Moskwą a Petersburgiem. Wciągnięto go także do kierownictwa „Komitetu Gospodarczego“, nietyle ze względu na jego zdolności lub ochotę do tej pracy, ile raczej z braku inteligentnych sił roboczych. Podczas jednej z częstych podróży służbowych do Petersburga, skąd stale otrzymywał in-

strukcje, dostał się Zachary na zebranie inauguracyjne konstytuanty.

Ujrzał tam, jak tłum lżył wybrańców narodu, siwe głowy, blade twarze, wśród których poznał niejednego słynnego rewolucjonistę. Czuł, że nadzieje pokoleń zostały tutaj zdeptane przez najemny motłoch, działający nie z własnego popędu, ale na rozkaz prowodyrów.

Już w Moskwie, zaraz po przewrocie bolszewickim, przeraził się Zachary na widok nowej autokracji, która w postaci „anonimowego cara samodzierżcy", masy rewolucyjnej, zdobywała wpływy. Widział, jak autokracja ta wyciągała potężne ramiona i porywała z sobą przewódców, „wieszczów". Pochłaniała wszystko. I Zachary w swojej pracy przy budowie nowej Rosji, w tej pracy, której oddał się od pierwszego dnia z zapałem, napotykał działanie tej siły; widział, jak przewódcy z dnia na dzień coraz bardziej stawali się jeńcami tej potęgi, którą sami zbudzili. Przerażało go to, ale posłuszny prawu bezwładności szedł dalej drogą, na którą pchnął go pierwszy krok.

„Tak musi być" — powiadał sobie Zachary, przecinając temi słowami cienie zwątpienia i podejrzeń, zasnuwające zwolna jego młodą wiarę.

Ze swego miejsca na galerji patrzał Zachary, jak wszyscy, na człowieka o kościstej łysinie, błyszczącej w loży w blasku lamp elektrycznych.

„Za tą czaszką", rozmyślał, „wirują koła. Tam zawarty jest sens i cel tego wszystkiego..."

„Cała władza", snuł dalej myśli, „musi być skoncentrowana tam, gdzie jest sprawiedliwość — gdyż wtedy tylko sprawiedliwość będzie mogła swobodnie nieść świat na swoich skrzydłach w jaśniejszą przyszłość. Dlatego trzeba całą władzę oddać w ręce tego człowieka o kościstej czaszce, aby mógł dokonać tego, co kształtuje się w jego umyśle. Tak — całą władzę so-

wietom, precz z tymi, co niezdolni są tego zrozumieć, co nie potrafią się wznieść dostatecznie!“

Ale gdy ujrzał, jak marynarze i żołnierze gnali przed sobą kolbami karabinów szlachetne, blade postacie o siwych głowach, postacie w kożuchach chłopskich i watowanych płaszczach, — wówczas ostry ból przeniknął jego ciało. Przymknął oczy i zasłonił je ręką, jak czyni człowiek, który nie chce patrzeć na jakąś rzecz ohydną. nienaturalną.

— Przestać! Przestać! Dosyć! Dosyć! — zawołał nagle dziko.

— Co tobie, towarzyszu? — zapytał ze zdziwieniem jakiś znajomy moskiewski, stojący obok niego. — Może ci tęskno za nimi?

— I tak przecież idą! Więc poco pchanie i wypędzanie?

— Żeby biegli! — odpowiedział ktoś ze śmiechem.

Gdy Mirkin opuścił Pałac Taurydzki, śnieg chrzęścił pod jego stopami i migotał jasno w mroku nocy. Zachary szedł skulony, jak pod ciężarem wielkiego brzemienia. Doznawał uczucia, jakby był nie świadkiem, lecz uczestnikiem jakiejś potwornej zbrodni. Starał się płomiennemi myślami usprawiedliwić przed sobą konieczność tego, co się stało, wzbudzał w sobie na nowo myśli, które niedawno jeszcze zapalały jego serce i mózg — ale daremnie, nie udawało mu się. Ogień jego argumentów zgasł, nie umiał sobie nawet przypomnieć logicznej kolejności swoich rozważań. W sercu jego była pustka.

Kiedy tak szedł zatopiony w myślach, ktoś dogonił go, wołając:

— Mirkin!

Padał śnieg. Postać, do której odwrócił się Zachary, widzialna była w żółtem świetle jak przez sito.

— Jeżeli się nie mylę — towarzysz Anatol?
— Nie poznajecie mnie już?
— O, owszem! Myślałem tylko... Czy byliście tam?
— Nie, nie wpuszczono mnie. Czekałem z wieloma innymi przed pałacem.
— Wszystko skończone, — rzekł Mirkin.
— I cóż wy na to mówicie? Pochwalacie to pewnie?! Należycie przecież do nich.
— Co mam powiedzieć? Bardzo to oczywiście smutne, że dopuściliście do tego.
— Wybaczcie, zapomniałem o tem. Znaczy to więc, że pochwalacie to zajście?
W Mirkinie zbudziła się przekora. Za żadną cenę nie chciał się zdradzić przed obcym z wątpliwościami, które go trawiły, co więcej — chciał mu okazać, że w całej pełni przyjmuje na siebie współodpowiedzialność za to, co się stało. Umotywował to więc znanemi wówczas powszechnie argumentami bolszewików:
— Czyż to była demokratyczna konstytuanta? Była to machina wyborcza, skonstruowana przez Rząd Tymczasowy. Rząd ten całą posiadaną mocą zmusił ludność, aby wysłała do konstytuanty jego zwolenników. Wiemy, jak się robi takie wybory.
— A wy stworzycie teraz konstytuantę na lepszych podstawach demokratycznych? — zapytał towarzysz Anatol, uśmiechając się pod wąsem.
— Czy wierzycie w demokrację? — odpowiedział Mirkin porywczo. — Czego demokracja dokonała dotychczas? Pół świata rządzone jest mniej lub bardziej demokratycznie — Ameryka, Anglja, Francja, poniekąd nawet Niemcy. Czyż pod panowaniem tej demokracji nie wybuchła najstraszliwsza i najokrutniejsza wojna? Czy robotnicy nie są uciskani? Czy pod panowaniem demokracji niema głodu? Demokracja stała się legalną, policyjnie chronioną prostytucją — czasy jej przemi-

nęły, drogi przyjacielu! Jej spadkobiercą jest dyktatura — albo dyktatura proletarjatu, albo dyktatura kapitału. Trzeba tylko wiedzieć, po której się jest stronie, i wybierać zależnie od tego.

Towarzysz Anatol spojrzał na Zacharego zdumiony.

— Mam niemal wrażenie, jakbyśmy się zamienili rolami. Dziwię się tylko, że to wy właśnie mówicie w ten sposób. Po was — przyznaję szczerze — najmniejbym się tego spodziewał. Przypominam sobie jeszcze czasy, kiedy dyskutowaliście ze mną o absolutnej wolności. Lękaliście się „anonimowego cara", jakiego zbudzimy w masach.

— Ach, do tego zmierzacie? Na to mogę wam tylko to jedno odpowiedzieć: przekonałem się, że wolność jest zbyt krótką kołdrą, aby nakryć wszystkich. Dlatego wyszukałem sobie tych, którym kołdra najbardziej jest potrzebna. Są to ci, co dotychczas byli nadzy. Możliwe, że upośledzamy przez to inne elementy. Ale i tamci nieinaczej postępowali, gdy oni mieli głos. Może nadejdzie kiedyś czas, gdy kołdra stanie się dość szeroka. Ale tymczasem nakrywajmy nią tych, co nam są najbliżsi... Ale dlaczego wy stoicie na uboczu? Chodźcież i pomóżcie rozszerzyć kołdrę! Na co czy na kogo się nagle rozgniewaliście? Na własne życie? Na własne nadzieje? Wybaczcie porównanie — ale przypominacie mi kochanka, który lata całe starał się, aby ukochana została jego żoną, czynił wszystko, co możliwe, aby wziąć z nią ślub. A gdy wreszcie dopiął tego, ogarnia go lęk i ucieka z wesela. Może się wam panna młoda nie podoba? Innej niema, towarzyszu Anatolu! Rewolucja socjalna — oto narzeczona, której daliście swoje słowo. A kto ucieka od ślubu, jest tchórzem — wybaczcie mi to ostre słowo!

Towarzysz Anatol pozwolił Zacharemu dokończyć. Jak dawniej, obserwował przytem nie bez sympatji jego

namiętny zapał. Mirkin nie mógł się jednak pozbyć wrażenia drwiącego uśmiechu, który nawet w mroku nocy widniał na wargach Anatola.

— Ba, gdybyż szło tylko o wesele! — zaśmiał się Anatol. — Na weselu można wraz z innymi tańczyć, bawić się, szaleć. Ale my, młody przyjacielu, my ponosimy odpowiedzialność za kobietę, którą poślubiamy. My właśnie musimy zaraz od pierwszego dnia po ślubie wziąć na siebie troskę o współżycie małżeńskie, o utrzymanie, o dzieci. Lecz dość porównań! Nic dziwnego, — ciągnął Anatol, przechodząc nagle do tonu goryczy, — właśnie ci, którzy przed przewrotem bolszewickim nie zapuścili jeszcze korzeni w ruchu robotniczym — mam przytem na myśli was, towarzyszu Mirkin, i podobnych do was — ci, dla których socjalizm i rewolucja nie są sprawami związanemi z ich własnem życiem, lecz kwestją zbytku, może zbytku duchowego, ale w każdym razie nie kwestją żołądka — przypomnijcie sobie rozmowy, jakie niegdyś prowadziliście ze mną, Mirkin! Powiadam więc — właśnie ci ludzie najłatwiej mogli się dostać na wóz, właśnie oni stali się nagle tak płomiennymi rewolucjonistami! Dzieje się to dlatego, że ich to nic nie kosztuje. Wy, Mirkin, nazywacie to weselem. Ale dla nas rewolucja nie jest weselem, lecz pełnem odpowiedzialności życiem, rozumiecie mnie? My, którzy orzemy pole krok za krokiem, którzy nawadniamy je kropla za kroplą — my nie możemy wykonywać skoków. Jesteśmy związani na całe życie, towarzyszu Mirkin! Rewolucja jest nam żoną i dzieckiem. Zaciągnęliśmy wóz krok za krokiem do tego miejsca, nie możemy wykonywać skoków, towarzyszu Mirkin, gdy widzimy przed sobą przepaść, gdyż na barkach swoich dźwigamy odpowiedzialność. My jesteśmy ożenieni, tak, towarzyszu Mirkin, ożenieni z ruchem robotniczym, a żadna przeszkoda, czy nadejdzie z prawej, czy z lewej strony, nie może po-

wstrzymać naszego powolnego, ale pewnego kroku do celu — gdyż my nie idziemy na wesele!

Mirkin przeraził się na widok ognia, błyszczącego w oczach Anatola. Nie poznawał go już — blady, zgarbiony Anatol stał się nagle wyższy i stał przed nim wyprostowany.

— Może właśnie dlatego, że nie byliśmy tak wrośnięci korzeniami, łatwiej nam było posunąć się naprzód, niż tym, którzy przyzwyczaili się do stępu?! Powiadają przecież, że świeżo osiadli wieśniacy daleko szybciej przyzwyczajają się do nowoczesnych metod uprawy ziemi, niż ci, co dawno siedzą na roli i uważają, że drewnianym pługiem, zaprzężonym w krowę, można doskonale orać. Tradycja, towarzyszu Anatolu, jest niekiedy przeszkodą w postępie. Cała nasza kultura jęczy w jarzmie tradycji...

— Wszystko to są słowa! — przerwał mu towarzysz Anatol. — Zadam wam proste pytanie, nie bacząc na wasze obecne poglądy, w których szczerość nie wątpię. Powiedzcie mi otwarcie — czy w najtajniejszej głębi waszej duszy zwykłe, ludzkie poczucie sprawiedliwości nie protestuje przeciwko wszystkiemu, co się tutaj dzieje i co niewątpliwie przy pracy swojej widzicie codziennie? Czy serce wasze nie ścisnęło się z bólu, gdy musieliście patrzeć, jak żołnierze i brutalna gawiedź, ludzie, o których niewiadomo, czem będą jutro, rozpędzali wybrańców narodu?

— Oczywiście, oczywiście — bolesna to rzecz patrzeć na to. Ale to są bóle porodowe nowego życia, które powstaje teraz. Musimy się z tem pogodzić, musimy te bóle przetrwać.

— Przetrwać? Pogodzić się? — przerwał Anatol Zacharemu. — Powiem wam coś: przyszliście do mnie kiedyś i zapytaliście mnie o najgłębszy sens naszego postępowania. Zapomnijcie o wszystkiem, co wam wtedy

odpowiedziałem! Zapomnijcie też o gorzkich wyrzutach, które wam dzisiaj czyniłem! Zapamiętajcie tylko jedno i strzeżcie tego jak oka w głowie, jak największego skarbu — mam na myśli żyjące w nas elementarne poczucie sprawiedliwości i prawdy! Jest to najgłębszy sens socjalizmu. Na niem opiera się wszystko, ono jest fundamentem ludzkości, ono jest w nas boskością. Wielu z pośród waszych towarzyszów rozżarzonemi cęgami wyrywa teraz ze swoich serc to elementarne poczucie sprawiedliwości i prawdy, chcąc na jego miejscu umieścić martwy dogmat. Świat widział już kiedyś, jak daleko zachodzą ludzie, gdy zastępują naturalne poczucie sprawiedliwości dogmatyczną inkwizycją!

— Towarzyszu Anatolu, wy mówicie o naturalnem poczuciu sprawiedliwości? Cóż wy z tem macie wspólnego?

— To jest ta nowa rzecz, której mię nauczyła rewolucja — dobranoc!

Mirkin ujrzał długi, wąski, niemal przezroczysty cień Anatola na pokrytym śniegiem moście Newy.

SPOTKANIE Z OJCEM

Gdy Zachary Mirkin po załatwieniu spraw urzędowych, które go sprowadziły do Petersburga, wszedł następnego ranka do Komisarjatu Gospodarczego, dostrzegł w tłumie, zalegającym korytarze, schody i przedpokoje wielkiego gmachu, znajomą postać. Przyjrzawszy się dokładniej, poznał w człowieku, który czekał, zatopiony w zadumie, na jednej z wielu ławek — swego ojca.

Sposób, w jaki stary Mirkin siedział tam, zadał Zacharemu ranę w serce. Nigdy jeszcze nie widział ojca jako człowieka zgarbionego. We wspomnieniu jego żyła postać wysokiego, dumnego, władczego mężczyzny, który zawsze, w dobrych czy złych czasach, potrafił za-

chować pewien dystans nawet w stosunku do swoich najbliższych. Tego starego Mirkina, który siedział tam skulony, wsparłszy siwą głowę na rękach, Zachary nie znał; człowiek ten był mu tak obcy, że syn zapomniał nagle o głębokiej przepaści, ziejącej między nim a ojcem, i uczuł teraz jedynie bezgraniczny ból i litość.

Szybko minął przedpokój, aby nie być dostrzeżonym. Nie mógł teraz załatwić tego, co go tu sprowadzało. Wmieszał się w tłum, i wciśnięty w kąt, obserwował uważnie twarz ojca. Chociaż nie mógł jej widzieć wyraźnie, gdyż czoło i policzki były prawie zupełnie zakryte dłońmi, poznawał jednak Zachary, że ojciec jego stał się zapadłym starcem. Rudawo-blond broda, którą syn pamiętał jeszcze żywo, pobielała, jej dwa końce były teraz złączone i nieporządnie spadały na pierś, woreczki zwisały pod oczyma.

Zachary postanowił nie tracić ojca z oczu, pójść za nim i zapytać, co mu dolega. Od owego dnia, kiedy ujrzał ojca wśród gości hotelu „Metropol", myśli jego ciągle bawiły przy nim. Ale nowe otoczenie, w jakiem żył teraz Zachary jako czynny komunista, nie było tego rodzaju, aby mu pozwalało na poważną troskę o los ojca, który był burżujem, więc wrogiem rewolucji. Ale gdy stanął teraz przed nim twarzą w twarz, nagle znikły wszystkie różnice, wszystkie przepaści, leżące między nimi — znikła gorycz, która nagromadziła się w przeszłości. Oblicze to stało się nagle Zacharemu rzeczą najbliższą, najbardziej własną, jaką wogóle posiadał. Dawny lęk przed ojcem rozwiał się. Drżeć przed tym starym, bezradnym człowiekiem — do tego naprawdę nie było powodu. Wszelkie hamulce znikły teraz i pozostała tylko miłość dziecięca i najbliższe przywiązanie.

Zachary chciał podejść do ojca i dać mu się poznać. Ale miejsce nie było po temu właściwe. Czekał więc, aż stary Mirkin opuści gmach.

Czekanie trwało długo. Zachary widział, jak ojciec, który był z jakiegoś powodu niezmiernie rozgoryczony, z trudnością tłumił w sobie uczucie poniżenia z powodu tego antyszambrowania. Stary Mirkin wstawał niecierpliwie kilka razy, chcąc odejść, ale za każdym razem wracał. Tymczasem miejsce jego zajmował kto inny z czekających.

Powietrze w przepełnionym ludźmi przedpokoju było nie do zniesienia. Było to mdłe, gęste, duszne powietrze koszarowe wszystkich korytarzy w urzędach. Przykre uczucie potęgowało jeszcze dręczące naprężenie i niepewność większości czekających. Ta nieokreślona trwoga działała poniekąd zaraźliwie: przenosiła się z jednego na drugiego. We wszystkich skroniach waliły młoty nerwowego bólu głowy — można to było poznać po niespokojnych, zgnębionych wprost twarzach. Zachary nie pojmował, skąd się brała ta trwoga i ten niepokój.

„Najwyższa rzecz, jaką można było osiągnąć, została osiągnięta — rewolucja zwyciężyła! Więc skąd ten nastrój? Na czem to polega? Czy zachodzi może jakieś nieporozumienie?“ — zapytywał siebie zdumiony.

Wreszcie spostrzegł, że nadeszła kolej na jego ojca. Jakiś zuchwały drab zagadnął starego Mirkina brutalnie. Nieopisana wściekłość ogarnęła Zacharego, musiał się siłą pohamować, aby go nie zdzielić pięścią. Sam się dziwił temu niezwykłemu oburzeniu. Potem zobaczył, jak ojciec wraz z tym drabem zniknął za jakiemiś drzwiami.

Minęło pięć minut, dziesięć minut — stary Mirkin nie wychodził. Zachary zaniepokoił się i chciał pośpieszyć do pokoju urzędowego, do którego wszedł ojciec. Ale uświadomił sobie, że mógłby mu tylko zaszkodzić. Postanowił więc, że będzie liczył do pięciuset.

„Jeżeli do tego czasu nie wróci, wejdę“.

W chwili, gdy powziął tę decyzję, ujrzał powracającego ojca. Twarz starca była teraz ożywiona, czerwone plamy pokrywały jego policzki. Końce brody rozdzieliły się znowu i stały się sztywniejsze, niż przedtem. W wyprostowanej postawie, z wysoko podniesioną głową zmierzał Gabrjel Mirkin szybkim krokiem do wyjścia. Zachary poszedł za nim.

Na ulicy panował mętny mrok, choć było jeszcze wczesne przedpołudnie. Dzień zrodził się z tym półmrokiem, gdyż od samego rana nad miastem wisiała beznadziejnie szara zasłona śniegowa. Teraz śnieg padał gęsto. Ciężkie płatki spadały jak kawałki waty, wirując zygzakami w powietrzu. Zdawało się, że przestrzeń skurczyła się i grube płatki wypełniają ją coraz szczelniej.

Zachary obawiał się, że straci ojca z oczu, szedł więc tuż za nim. Przystanek tramwajowy, do którego zdążał stary Mirkin, oblężony był przez wielki tłum ludzi, więc Gabrjel Chaimowicz poszedł dalej. Zachary spodziewał się, że ojciec weźmie sanki. Ale stary nie zrobił tego — z powodu, którego syn nie umiał sobie wytłumaczyć; zresztą nie widać było w tej chwili wolnych sanek. Gabrjel Mirkin szedł dalej pieszo, podniósłszy kołnierz futra. Białe płatki zatrzymywały się na jego ramionach i grzbiecie, niebawem pokryły go zupełnie. Ale on szedł dalej. Grzbiet jego wydawał się teraz zgarbiony nie przez wiek; Zachary miał wrażenie, jakby ojciec dźwigał worek śniegu, pod którego ciężarem stawał się coraz mniejszy i pochylał się coraz bardziej — niezadługo śnieg zasypie go zupełnie!

Chociaż Zachary szedł już za nim dość długo, nie miał jeszcze odwagi podejść do niego. Szeptał tylko nieustannie:

— Ojcze! Ojcze! Ojcze!

Ale szeptał to tak cicho, że ledwo wyczuwał to słowo na wargach i sam go prawie nie słyszał. Wreszcie uczu-

cie miłości i litości przeważyło; Zachary zdobył się na odwagę i podszedł do ojca.

— Ojcze! — zawołał głośno, a na wargach jego ukazał się bezradny uśmiech.

— Co tam? — Stary Mirkin odwrócił się raptownie. I jak pod zaklęciem czarodziejskiem postawa jego i wyraz twarzy zmieniły się nagle zupełnie. Stał się naraz wyższy. Zgarbiony grzbiet i worek na plecach znikły. Twarz, poczerwieniała od wiatru i podniecenia, nabrała świeżej barwy, a Zacharemu zdało się, jakoby i końce brody stały się znowu rudawo-blond, jak dawniej.

Tylko oczy starca spoglądały nieco zmieszane z pod osypanych śniegiem brwi. Krótkim ruchem ręki starł kryształki śniegu z twarzy. Kiedy poznał syna, wzruszył niechętnie ramionami i bez słowa odpowiedzi, nie zaszczyciwszy Zacharego nawet spojrzeniem, poszedł dalej stanowczym, pewnym krokiem.

Ale Zachary przegonił go już, patrzał mu nieustannie w twarz i szeptał ciągle to jedno słowo:

— Ojcze!

— Czego chcesz? Idź do swoich ludzi! Spotkanie ze mną może ci tylko zaszkodzić! — rzekł stary Mirkin i poszedł dalej.

Zachary z trudnością dotrzymywał ojcu kroku.

— Nie boję się! Chcę wiedzieć, jak ci się wiedzie.

Stary nie odpowiedział i szedł dalej mocnym, szybkim krokiem.

— Ojcze! — wołał ciągle jeszcze Zachary, przyśpieszając kroku.

Gdy ojciec nie odpowiedział mu znowu, chwycił go za rękę.

— Nie uciekaj ode mnie! Proszę cię!

Starego wzruszyła widocznie bezradność jego dziecka; zwolnił kroku i rzekł, już nie tak gniewnie, jak przedtem:

— Nie rozumiem cię! Jeśli się wyznaje jakieś poglądy, trzeba być im wiernym! Ja jestem burżujem. Nie wolno ci się dowiadywać, jak mi się wiedzie — może ci to tylko zaszkodzić!

— Ojcze! — zawołał Zachary, spoglądając mu błagalnie w oczy.

Stary Mirkin zatrzymał się w zadumie. Widocznie walczył z jakąś decyzją. Potem zapytał gniewnie:

— Czego się chcesz dowiedzieć?

— Jak ci się powodzi? Jak twoje zdrowie?

— Niczego mi nie brak. Wszystko w najlepszym porządku, wszystko idzie przepisaną zgóry drogą. Ale Salomona Osipowicza zaaresztowali.

— Salomona Osipowicza Halperina, słynnego adwokata? Za co?

— Zbyt jawnie wypowiadał swoje poglądy.

— Za poglądy? — zdziwił się Zachary. — Poglądy nie są u nas karane, tylko czyny. Kto go kazał aresztować?

— Co wy sądzicie o poglądach, nie wiem. Zresztą to wasza sprawa. Aresztować kazał go Osip Markowicz.

— Kto to jest?

— Dawny kolega szkolny jego syna Miszy, obecnie komisarz rekwizycyjny. Zarekwirował on mieszkanie Halperina.

— Nie uczynił tego na własną odpowiedzialność. Ktoś musiał mu dać takie polecenie!

— Nie wiem. Czy możesz uczynić coś w tej sprawie? Jestem bardzo niespokojny o Halperina, — rzekł stary Mirkin zmienionym tonem.

— Jadę natychmiast do komisarza sprawiedliwości. Ale przedtem odwiozę cię do domu.

— Mnie odwieziesz do domu? Poco?

— Wyglądasz niedobrze, a śnieg pada.

— O mnie nie potrzebujesz się troszczyć! Dam so-

bie sam radę. Postaraj się lepiej zrobić coś dla Salomona Osipowicza!

— Idę natychmiast. Sprowadzę tylko sanki — musisz pojechać do domu.

— Powiadam ci jeszcze raz — nie potrzebujesz się troszczyć o mnie! Umiem się sam pilnować. Jeżeli zdołasz zrobić coś dla Salomona Osipowicza, w takim razie Bóg cię zesłał.

— Idę natychmiast. Gdzie będę cię mógł spotkać?

— W mieszkaniu Salomona Osipowicza — nie, w mieszkaniu Osipa Markowicza, gdyż nie należy już ono do nas.

— Weźże sanki, ojcze, i pojedź do domu!

— Dość! — burknął stary, wydymając gniewnie wargi. — Idź! — i dodał cicho: — Rewolucję robił, a został głupim chłopakiem!

W gmachu komisarjatu sprawiedliwości, dawnego rosyjskiego ministerstwa sprawiedliwości, skąd wylewała się na Rosję cała niesprawiedliwość, zastał Zachary Mirkin jak i za dawnych czasów mnóstwo klientów. Ale teraz należeli oni do wyższych sfer społeczeństwa rosyjskiego; były to przeważnie żony wyższych urzędników, wielkich kapitalistów, wojskowych, ściganych przez nowy rząd; przychodziły głównie z prośbą o ulgi dla pozostających w areszcie mężów i synów.

Panie, ciągle jeszcze ubrane w wytworną czerń wyższych sfer rosyjskich, zachowywały się zupełnie tak samo, jak dawniej niewychowane kobiety z niższych warstw, które przychodziły tutaj z prośbami. Ból widniał w ich poczerwieniałych oczach, silne wzruszenie na rozpalonych twarzach. Podobnie jak dawne, proste żony i matki prześladowanych, nie wstydziły się pokazywać wszystkim wilgotnych od łez, zbolałych twarzy. Tu i ówdzie rozlegał się bolesny jęk, który — tak samo

jak dawniej wśród prostych ludzi — działał zaraźliwie i wywoływał w całej poczekalni stłumiony płacz i zdławione łkanie.

Komisarz sprawiedliwości, człowiek młody jeszcze, mimo komunistycznego usposobienia nie rezygnował z ideałów, jakie wyniósł z zamożnego domu rodzicielskiego. Stworzył więc pewien związek między religją a komunizmem — sztuka, jakiej mózg jego, wyszkolony na talmudzie, dokonał z łatwością. Wysokie stanowisko, jakie piastował, przypadło mu w udziale dlatego tylko, że partja jego była jedyną, która przyłączyła się do bolszewików, został więc jako jej przedstawiciel wydelegowany do rządu. Oczywiście nikomu nie przychodziło na myśl pytać go o zdanie w jakiejkolwiek sprawie, i poza jego plecami działy się najstraszliwsze zbrodnie sądowe. Cierpiał on z tego powodu na idealistyczne wyrzuty sumienia i był stale bardzo zdenerwowany.

Kiedy się dowiedział o aresztowaniu Halperina, zerwał się z krzesła:

— Kto się ośmielił to uczynić? Ja takiego polecenia nie wydałem! Na pewno tkwi poza tem ulica Gorochowaja, komisarjat miejski!

Gestem dyktatora sięgnął po słuchawkę i kazał się połączyć z komisarjatem miejskim.

— Kto jest właściwie komisarzem sprawiedliwości, ja czy wy? Nie ścierpię, aby podobne rzeczy działy się za mojemi plecami!

W komisarjacie miejskim autorytet komisarza sprawiedliwości nie budził jednak widocznie wielkiego respektu, gdyż odpowiedź, jaką otrzymał, była tego rodzaju, że młodzieniec zupełnie stracił panowanie nad sobią. Bezradnie zwrócił się do Mirkina:

— Powiedzcie sami — co mam robić? Jestem coprawda komisarzem sprawiedliwości, ale rewolucja jest silniejsza ode mnie! Jestem bezsilny! Ale tak nadal być

nie może! Zamelduję o tem swojej partji, musimy opuścić tę koalicję, podaję się do dymisji! — wołał z coraz gwałtowniejszemi groźbami.

Mirkin nie słuchał już. Znajdował się już w drodze na Gorochową.

W gmachu petersburskiego komisarjatu miejskiego zastał jeszcze więcej czekających, niż w innych urzędach. Dom ten zdawał się wprost stworzony dla petentów. Jak niegdyś za czasów dawnych gubernatorów, schody, korytarze i poczekalnie przepełnione były nieszczęśliwymi. Były tu reprezentowane najrozmaitsze warstwy, zarówno bogaty, elegancki stan średni, jak i klasy najuboższe. Podobnie jak w komisarjacie sprawiedliwości, przeważały kobiety. Niektóre ubrane były czarno, inne po małomieszczańsku, inne wreszcie w chustki, jak lud. I tutaj zwrócił Mirkin uwagę na okropny lęk czekających.

Nie rozumiał, co się tu działo:

„Skąd ten przeraźliwy lęk przed organami rewolucji? Przecież to ich własna władza, przecież to jest to, czego pragnęli! Kto napawa obywateli rewolucyjnych tą niepojętą trwogą? Czy może i przed mojemi drzwiami w Moskwie stoją z tak przerażonemi oczyma i szepczącemi wargami? Widocznie władza budzi w człowieku taki lęk. Jeżeli tak jest — poco władza? Wszelka władza musi być wytrzebiona!“ — wołało w nim coś.

Komisarz stolicy był także człowiekiem młodym, Żydem. Jak wielu innych, przeszedł on do bolszewików dopiero po przewrocie październikowym. Będąc poniekąd nowicjuszem partyjnym, chciał się jak najlepiej zaprezentować swoim towarzyszom; i jak według starego przysłowia na złodzieju czapka gore, tak i on wiecznie troszczył się o to tylko, żeby być bolszewikiem „pełnej krwi“. Przed swoją epoką bolszewicką posiadał słabość dla czystego idealizmu. Aby przekonać teraz siebie i in-

nych, że zerwał zupełnie z przeszłością, ciałem i duszą — jak pijak alkoholowi — oddał się swojej partji, spełniał najtrudniejsze i najbrudniejsze posługi, spełniał je z zimną krwią i okrucieństwem, jakby właśnie przez to dowodził siły swego charakteru.

Przed większymi pełzał na czworakach, wobec słabszych, jak każdy tchórz, lubił być wyniosły.

— A, towarzysz Mirkin! Cieszę się bardzo, że was poznaję! Siadajcie! — rzekł młodzieniec za szerokiem, ciężkiem biurkiem mahoniowem, wskazując stojący przed biurkiem fotel. — Czem mogę wam służyć, towarzyszu Mirkin? — zapytał z taką naturalną pewnością siebie w głosie i zachowaniu, jakby przez cale życie siedział zawsze za ciężkiem biurkiem maboniowem w olbrzymim gabinecie gubernatora, napawającym cały Petersburg lękiem. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy, jakby ta twarz zastygła niby gipsowa maska. Wargi były starannie ściągnięte, cała postawa wyrażała uwagę.

— Od kiedyż to aresztuje się u was za wyrażanie poglądów? Czy słowa starego, histerycznego człowieka, którego rewolucja strąciła z tronu, mogą być rzeczywiście tak niebezpieczne, że trzeba stosować przeciwko niemu takie środki? Jestem raczej zdania, że fakt aresztowania rozgoryczonego starca za jakieś głupie słowa kompromituje nas tylko, gdyż może być tłumaczony jako dowód słabości i obawy.

Młodzieniec wysłuchał Mirkina uprzejmie. Na jego zaciśniętych mocno wargach zaigrał chłodny uśmiech, który zdawał się mówić: Wszystko to słyszeliśmy już i wiemy. Wysłuchujemy tego tylko z grzeczności.

— Słowa wasze odnoszą się zapewne do sprawy adwokata Halperina? Jeżeli się nie mylę, jesteście z nim spokrewnieni czy spowinowaceni? — wtrącił mimochodem, jakby nie chciał przez to nic powiedzieć.

— Czy jestem z nim spokrewniony czy nie, to rzecz bez znaczenia! Wiem, że adwokat Halperin zawsze bronił rewolucjonistów. Byłem sam jego pomocnikiem i znam jego działalność za carskich czasów!

— Oczywiście, oczywiście, wszyscy to wiemy. Właśnie dlatego stanowi on dla rewolucji znacznie większe niebezpieczeństwo, niż ktokolwiek inny. Jeżeli ktoś, kto nie posiada rewolucyjnej reputacji, wygłasza publicznie niewłaściwe zdania o rządzie rad, to nie ma to znaczenia — możemy sobie pozwolić na ignorowanie takich poglądów. Ale jeżeli taki człowiek, jak adwokat Halperin, który — jak powiadacie sami, towarzyszu — znany jest jako obrońca idej rewolucyjnych za czasów carskich — jeżeli więc człowiek o pewnej reputacji, jeśli wolno mi się tak wyrazić, publicznie, uporczywie lży rewolucję i jej organy, to jest on dla nas niebezpieczny. Taki człowiek wywiera na masy wrażenie, jest wpływowy, zdanie jego znajduje posłuch. Na to nie możemy pozwolić. Musimy nauczyć ludność respektu i szacunku dla rządu rad i jego organów. Czy nie jesteście tego zdania, towarzyszu? — zwrócił się z niedbale-poprawną pozą i uprzejmym uśmiechem do Mirkina.

„Skąd się do niego bierze takie zachowanie?“ — pomyślał Zachary zdumiony i rzekł głośno:

— O ile mi wiadomo, Halperin nie lżył publicznie rządu rad, ale jedynie w podnieceniu wypowiedział kilka ostrych słów wobec niejakiego Osipa Markowicza, który przyszedł do niego, aby zarekwirować jego mieszkanie i którego adwokat znał z dawnych czasów w innej zupełnie roli. Trzeba przecież brać pod uwagę okoliczności!

— Ależ towarzyszu! — Komisarz zapomniał zupełnie o swojej taktyce umiarkowanego spokoju i przerwał Mirkinowi. — Ten niejaki Osip Markowicz jest wypróbowanym współpracownikiem! Wyświadczył on już re-

wolucji niejedną przysługę — a czem był przedtem, to nas nie obchodzi. Wiemy, wiemy wszystko — ale nie pytamy i innych ludzi, co robili przed październikiem. Potrzeba nam ludzi, a kto chce być użytecznym rewolucji, tego witamy chętnie.

— Więc w sprawie adwokata Halperina nie możecie mi dopomóc, towarzyszu? Zauważyłem, że sporo ludzi czeka na was, nie chcę więc zabierać wam cennego czasu.

— Niestety — nic nie mogę zrobić! Sprawa nie znajduje się już w naszych rękach, lecz w „Komitecie Obrony Rewolucji". Zajmuje się nią towarzysz Marek.

Na dźwięk tego imienia Mirkin zbladł. Zagryzł wargi i rzekł groźnie:

— W tych warunkach nie pozostaje mi nic innego, jak zwrócić się do „Smolnego". W „Smolnym" niejeden zawdzięcza głowę adwokatowi Halperinowi, który swoim talentem prawniczym i krasomówczym uratował go od stryczka carskiego. Towarzysz T... także należy do nich. Takich rzeczy się nie zapomina.

Przy słowach „Smolny" i „towarzysz T..." komisarz spoważniał bardzo, a twarz jego przybrała barwę marmuru. Silniej jeszcze zacisnął wargi i zmarszczył czoło.

— Poco odrazu fatygować „Smolny"? — zaczął. — A przytem, gdy idzie tylko o jednostkę! Wiecie przecież, towarzyszu — „Smolny" jest teraz dość zajęty rokowaniami pokojowemi w Brześciu Litewskim. Więc poco absorbować towarzyszów sprawą jednego człowieka? Zastanówmy się jeszcze, towarzyszu!

Komisarz zmarszczył czoło jeszcze bardziej, jakby myślał intensywnie. Mirkin, widząc cień nadziei, nie odpowiedział mu na ostatnie słowa.

— Wracam zaraz. Zaczekajcie chwileczkę, towarzyszu!

Komisarz wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie za-

bawił około pięciu minut. Pozostawszy sam, Mirkin rozejrzał się po pokoju i dostrzegł nagle parę połyskujących oczu, które śledziły z kąta jego ruchy. Uświadomił więc sobie, że nie był z komisarzem sam; ktoś trzeci podsłuchiwał ich rozmowę. Jak ten człowiek wyglądał, nie mógł Mirkin stwierdzić, gdyż siedział on ukryty zupełnie w ciemnym kącie pokoju.

Po chwili towarzysz komisarz powrócił, promieniejąc radością, i rzekł z uśmiechem:

— Macie szczęście. Przed chwilą rozmawiałem z towarzyszami. I dla nas to rzecz bardzo niemiła, rozumiecie przecież — człowiek o takiej reputacji, który bronił rewolucjonistów — to naprawdę bardzo, bardzo przykre. Jeżeli wy, towarzyszu, poręczycie za adwokata, chętnie zwolnimy go z aresztu.

— Najlepiej byłoby wystawić mu paszport i wysłać go zagranicę, — odpowiedział Mirkin.

— Zobaczymy. Najlepiej byłoby, towarzyszu, nakłonić go, aby się do nas przyłączył...

— I to zobaczymy! — przerwał mu Mirkin zadowolony. — W każdym razie spróbuję.

— Zróbcie to, towarzyszu.

Komisarz był teraz także zadowolony.

— Gdzie on jest? — zapytał Mirkin po chwili.

— Możecie go zaraz zabrać. Zarządziłem już, aby go zwolniono.

Teror jeszcze się wówczas nie zaczął...

Niełatwem było dziełem, wydobyć adwokata Halperina z więzienia miejskiego, w którem siedział, odkąd towarzysz Osip Markowicz aresztował go w imieniu komisarza Petersburga. Halperin za żadną cenę nie chciał opuścić celi i musiał być przez żołnierzy sądowych przemocą wywleczony. Nie przestawał przytem złorzeczyć władzy sowieckiej i miotać na nią najokropniejszych przekleństw.

— Zastrzelcie mię! Strzelajcie! Postawcie mię pod ścianą! — wołał przytem nieustannie, wskazując na swoją pierś.

Mirkin zaniepokoił się poważnie stanem Halperina, zdradzającym wyraźne objawy pomieszania zmysłów; bardziej jeszcze zaniepokoiły go obelgi, które musiały oburzyć otaczających adwokata żołnierzy. Usiłował więc zbagatelizować podniecenie Halperina i ośmieszyć go, dając żołnierzom na migi do zrozumienia, że adwokat jest niespełna rozumu.

Gdy Halperin ujrzał Mirkina, wzbraniał się podać mu rękę i przy wszystkich nazwał go „łotrem" i „szubrawcem". Zachary uśmiechnął się na to spokojnie i silnem ramieniem wsadził adwokata do przygotowanych sanek, w których zawiózł go do domu.

Był już wieczór, kiedy przybyli do mieszkania Halperina. Zastali tam starego Mirkina, siedzącego samotnie i w zadumie we wspólnej bawialni. Oczywiście uwolnienie adwokata było dla niego radosną niespodzianką; w wesołym nastroju, jaki go ogarnął, odezwał się nawet do syna:

— Teraz byłoby najmądrzej, gdybyś mu się wystarał o paszport zagraniczny.

— A co się z tobą stanie? Jakie ty masz plany, ojcze? — zapytał Zachary.

W starcu zbudziła się znowu duma. Zmierzył syna od stóp do głowy chłodnem spojrzeniem i rzekł:

— Nie jestem przyzwyczajony, aby malcy troszczyli się o mnie, nadomiar tacy malcy, którzy dotychczas niezmiernie mało się mną interesowali. Idź do swoich ludzi, idź do tych, do których przystałeś! Ja sobie sam poradzę, nawet przeciwko twoim przyjaciołom.

— Nie pozostawię cię własnym siłom, — zawołał Zachary i krnąbrnie spojrzał ojcu w twarz.

— Ty jesteś rewolucjonistą, ja — burżujem. Czyż

wolno ci się o mnie troszczyć? — odpowiedział ojciec, uśmiechając się drwiąco.

— To sprawa zupełnie odrębna. Ale jestem twoim synem!

— Czyż u was są więzy rodzinne? Sądziłem, że takie rzeczy u was nie istnieją!

— To zależy, — odpowiedział Zachary i swobodnie uśmiechnął się do ojca.

Stary Mirkin zastanowił się.

— No, zobaczymy jeszcze. Ale teraz idź do swoich ludzi! Cokolwiek się robi, trzeba robić do końca!

I po raz pierwszy od długiego czasu uczuł Zachary dłoń ojca w swojej dłoni. Dłoń ta stała się wiotka i zimna...

Gdy Zachary wyszedł z pokoju na korytarz, natknął się w drzwiach na Osipa Markowicza, który jak zwykle podglądał przez dziurkę od klucza i podsłuchiwał rozmowę ojca z synem. Mirkin przelotnie tylko pamiętał młodzieńca z dawnych czasów, ale nie poznałby go, gdyż Markowicz zmienił się bardzo.

— Czego tu szukacie? — zagadnął go Mirkin zdenerwowany.

— Wszystkiego, co mnie interesuje! — odpowiedział młodzieniec chłodno i spojrzał Mirkinowi zuchwale w twarz.

— Jesteście zbyt gorliwy, towarzyszu!

— Nigdy nie jest się dość gorliwym w sprawie rewolucji, — odpowiedział Markowicz czelnie.

— Czem byliście przed październikiem?

— Co to kogo obchodzi, czem byłem? Teraz jestem tem! — i wyciągnął z kieszeni czerwoną legitymację partyjną. — A wy, towarzyszu? — zwrócił się pytająco do Zacharego.

Mirkin nie mógł mu odpowiedzieć, gdyż nie posia-

dał czerwonej legitymacji partyjnej. Bez słowa odwrócił się i odszedł...

Następnego ranka powrócił do Moskwy. W sercu czuł wielką pustkę, w głowie chaos.

WIELKIE ZŁUDZENIE

W „Smolnym", w wielkim pokoju, strzeżonym przez czerwonogwardzistów, siedział przy swojem biurku człowiek o potężnej, łysej czaszce. Wsparł ciężką, zmęczoną głowę na ręku, drugą ręką, nie zdając sobie z tego sprawy, ułamywał od czasu do czasu w zamyśleniu kawałek chleba z małego bochenka, który mu ktoś położył na biurku, i żuł go, snując dalej swoje myśli.

W pokoju drżały jeszcze owe prądy elektryczne, jakiemi wypełniły go pieniąca się energja i rozżarzony temperament towarzysza T..., który odszedł przed chwilą. Z niesłychaną siłą przekonywania, jaką rozporządzał, bronił on stanowiska, że należy tak długo odkładać przyjęcie narzuconych warunków pokoju, aż Niemcy rozpoczną atak przeciwko armji rosyjskiej. W ten sposób będzie można dowieść całemu światu, że Rosja została siłą miecza zmuszona do przyjęcia ciężkich warunków pokojowych, podyktowanych przez nieprzyjaciela.

Ale Niemcy zawczasu wypowiedzieli zawieszenie broni i oświadczyli, że znowu znajdują się z Rosją na stopie wojennej, rzucili wojska do Finlandji, mordując i przepełniając więzienia robotnikami finlandzkimi. Apetyty ich rosną z minuty na minutę, warunki pokojowe stają się coraz uciążliwsze. Ma się niemal wrażenię, jakby wogóle nie pragnęli pokoju. Czyżby się ostatecznie porozumieli z aljantami i zamierzali teraz zawrzeć pokój powszechny kosztem rosyjskiego proleta-

rjatu — poświęcić rewolucję rosyjską na ołtarzu wszechświatowego imperjalizmu? W towarzyszach z Komitetu Centralnego zbudziła się nagle wojowniczość — nawet bez broni chcą nadal prowadzić walkę, choćby za cenę przyjęcia pomocy od imperjalistycznej Entente'y. Ale z frontu przybywają codziennie deputacje żołnierzy, grożąc, że jeżeli pokój nie zostanie natychmiast zawarty, to armja pomaszeruje na Petersburg i bagnetami zmusi rząd do przyjęcia warunków niemieckich...

Nagle nić myśli człowieka o kałmuckich oczach urywa się; przemocą strząsa z siebie posępne wizje, które ciążą mu jak worki z piaskiem. Ma się wrażenie, jakby jego doskonale wytrenowany mózg, przyzwyczajony poruszać się wyłącznie po torach logicznej rzeczywistości, szukał spokoju i chłodnego cienia abstrakcji. Może sprawił to śnieżny wieczór zimowy, którego niepojęta żałoba i piękno wdziera się przez okna, poskramiając skłębioną grę myśli swoją szlachetną melancholją.

Bieg myśli wdal zaczął się od tego, że człowiek o mongolskiej twarzy zadał sobie pytanie: Dlaczego towarzysze z Komitetu Centralnego nie widzą położenia tak jasno jak ja? Dlaczego nie rozumieją sytuacji, nie pojmują, że to, co się stało u nas, dzisiaj lub jutro musi się stać po przeciwnej stronie? Jakież to ma znaczenie dla przebiegu rewolucji, czy odstąpimy Niemcom większy czy mniejszy kawałek Ukrainy, Finlandji lub Estonji? Na jak długo go odstępujemy? To, co się u nas stało, nie jest przejściowem, przypadkowem wydarzeniem, lecz początkiem wielkiej rewolucji wszechświatowej. Oczywiście, wojna sprowadziła rewolucję. Ale bieg wypadków, okoliczności, kapitalistyczny ustrój społeczny — wszystko to musiało doprowadzić do katastrofy światowej. Uwikłany w swój zgóry przesądzony los, stoczył się ustrój kapitalistyczny w przepaść, którą sam

wykopał: zginie w niej, ustępując miejsca przyszłemu ustrojowi socjalnemu.

To, co się stało, nie jest kaprysem przypadku, lecz zgóry przeznaczonym krokiem w wiecznym pochodzie rozwoju świata. Więc poco dalszy rozlew krwi? Poco kierować ten przebieg dziejów świata na boczne ścieżki, na drogi nacjonalizmu? Dla jakiegoś kawałka Ukrainy czy Estonji, który i tak oddaje się na krótki czas? Któż potem zapyta, czy działaliśmy patrjotycznie, czy nie? To są wczorajsze pojęcia! Jakie znaczenie ma to wszystko wobec rewolucji światowej? Proletarjat jutrzejszy porozumie się z sobą łatwo! Nie będzie on dzielił świata na terytorja. Jeden dzień pracującego socjalizmu bardziej podkopie fundamenty świata kapitalistycznego, niż lata całe zwycięskich wojen. Jest to rzecz tak naturalna, jak dwa razy dwa cztery. Dlaczego oni tego nie pojmują?

Pytania te, wraz z panującym w pokoju nastrojem wieczora zimowego, poprowadziły go w nową sferę myśli: Czem jest właściwie logika? Że dwa razy dwa jest właśnie cztery — to rezultat założenia logicznego. Doskonale — ale dlaczego dwa razy dwa jest właśnie cztery? Kto wtłoczył wynik właśnie w te ramy?

Duch jego, nazwykły mleć jak młyn wszelkie napływające myśli na mąkę dla rewolucji, szybko wsunął i tę abstrakcyjną myśl — niby przypadkowo zabłąkane ziarenko — między żarna mózgu, aby ją przerobić na zwykły gatunek mąki.

Skąd pochodzi odmienność duchowa ludzi? — pytał siebie. — Czy ma ona te same powody, co odmienność fizyczna? Czy zacofanie duchowe, podobnie jak degeneracja cielesna, wywołane jest złem odżywianiem wielu pokoleń, czy jest ono dziedzictwem zaniedbanego wychowania? Czy też istnieje głębsza przyczyna, niezależna od takich warunków zewnętrznych, przyczyna,

obdarzająca niejako według własnego kaprysu poszczególne jednostki większemi lub mniejszemi zdolnościami duchowemi? Takie przypuszczenie byłoby niebezpieczne!

Jak pobożny Żyd ucieka na widok pięknej kobiety, w obawie, że mogłaby go — broń Boże! — uwieść do grzechu, tak człowiek o potężnej czaszce wymykał się tej myśli:

Stan duchowy człowieka, podobnież jak cielesny, jest rezultatem warunków. Ubodzy tak samo nie mieli dostępu do wykształcenia i wiedzy, jak do stołów bogatych. Trzymano ich w mroku niewiedzy, aby łatwiej panować nad nimi. Oto powód różnic duchowych między ludźmi. Trzeba je będzie zniwelować; jedno pokolenie uniwersyteckie młodzieży robotniczej i chłopskiej, jedno pokolenie mroku dla zniewieściałych latorośli burżuazyjnych — a stosunek będzie wyrównany!

Było to niewątpliwie winą nastrojowego zmierzchu w pokoju, że „wieszcz" uniósł się myślami tak daleko — ale po raz pierwszy rachunek nie zgadzał się.

Jak oszałamiający czar kobiecy kusi z za zasłon mistycznych, tak w przestrzeni jego materjalistycznego świata myśli unosiło się obce mu uczucie, że nie uda się sztancować ludzi maszynowo jak guziki; gdzieś bowiem w tajemniczych głębiach ducha ludzkiego działa jakaś niezbadana siła, której niepodobna opanować. I po raz pierwszy zbudziła się w nim wątpliwość, czy możliwem będzie utrzymać ludzkość pod jednym strychulcem i przez uregulowanie warunków zewnętrznych i wychowania sprowadzić wszystkie jednostki do wspólnej miary:

Czyż nie będą istnieli zawsze silniejsi i słabsi, mądrzy i głupi, zdolni i tępi? Ale jeżeli tak jest, któż zagwarantuje, że jednostki nie będą usiłowały wykorzystać zasobów swoich bogactw naturalnych dla własnej

korzyści? Oczywiście — ustrój społeczny będzie wagą, utrzymującą równowagę i zmuszającą jednostki do użytkowania ich zdolności nie na niekorzyść innych, ale dla dobra powszechnego. Naturalnie będziemy mieli możność, o ile się to da, opanować siły fizyczne. Podzielimy robotę odpowiednio do stosunku sił. Podobnież siły duchowe, o ile się one objawiają, będziemy trzymali na wodzy i zmuszali do pracowania tam, gdzie służą społeczności. Ale co będzie ową siłą popędową, owym przymusem wewnętrznym, który wykrzesa z talentu największą możliwą wydajność pracy, jak to czyniła korzyść osobista i egoizm w świecie kapitalistycznym? W jaki sposób zdołamy wpłynąć tak dalece na zdolności duchowe jednostki, aby nie koncentrowały się one na zaspokojeniu ambicji osobistej? Jaką zapłatę i jaką nagrodę możemy zaofiarować, jak to czyniła religja, wymyśliwszy życie pozagrobowe?... Najwyższą rozkosz radości powszechnej, zawartą w komunizmie. Ale to jest pojęcie tak wzniosłe, że wybrańcy tylko zdolni są odczuć je. Czy może się ono stać siłą popędową dla mas?

Oczywiście, idea nasza dzięki uczciwemu dążeniu do zaspokojenia realnych trosk ludzkości położyła kres chwiejnemu mistycyzmowi i wątpliwemu idealizmowi poszczególnych wybrańców i pozostawiła jedynie prawdziwą wiarę w siły moralne człowieka, wiodące go do wyzwolenia ze wszelkich zmieniających się w przebiegu stuleci form niewolnictwa i do zbratania się w komunizmie. Ale jakie są te siły moralne? Skąd one pochodzą? Czy są to wrodzone instynkty zasadnicze każdej jednostki, które fałszywi prorocy zwabiali ku innym celom, każąc im służyć takim bożkom jak car, ojczyzna, zabobon? A jeśli cel jest już widoczny i jasny — czy te siły moralne zapłoną i staną się dynamiczną siłą zbawczą świata? Czy też idzie tu jedynie o zwykłe przyzwyczaje-

nie, będące wynikiem wychowania, czy może siły moralne wogóle nie istnieją?!...

Posuwamy się poomacku w ciemnościach, z pustem sercem, jesteśmy martwemi maszynami, wyposażonemi w trochę sił fizycznych, funkcjonujących póty, póki zaopatrzone są w materjał opałowy — to jest w pożywienie. Jedynym prawdziwym instynktem jest egoizm i on jest siłą popędową naszego świata! Wszystko inne to złudzenie! Nieskończone są formy przebiegłości ludzkiej i zdolności wynalazczych, gdy idzie o zdobycie pożywienia. Jedną z tych form zamaskował człowiek przebiegle jako „siłę moralną", aby w ten sposób zdobyć pożywienia dla swego popędu władzy. W istocie zaś słowo to nie oznacza nic, jest tylko powierzchowną błyskotką. Z chwilą, gdy bicz kary i męki piekielnej, jaki duchowieństwo przez wieki całe wznosiło nad ludźmi, albo nawet nasz własny knut, rewolucja, słabnie tylko odrobinę — człowiek bezwarunkowo popada znowu w swoje instynkty zwierzęce, i wszystko pozostaje po staremu!

„W istocie nie jesteśmy niczem innem niż dawni popi!" — uświadomił sobie przewódca bezradnie. — „Tak długo karmili oni materję człowieka niedolą i karą zaświata, aż zostali wraz z temi pojęciami strąceni. My próbujemy tego siłą moralną komunizmu, którą dajemy światu jako paszę — aż powstanie jakaś inna idea, która wyrwie masy z naszych rąk, aby je opanować innemi, zmyślonemi i chwilowemi wartościami... Więc poco to wszystko? Dlaczego nie zepchnąć materji w przepaść, jeżeli i tak nie istnieje trwała siła wewnętrzna, której wartość byłaby zawarta w niej samej? Niechże się w swoim popędzie egoistycznym poszarpią jak dzikie zwierzęta, niech wszystko zginie raz na zawsze!"

Jego szeroka, koścista twarz przybrała barwę popiołu. Oczy zasnuły się mgłą, jakby padła na nie wilgotna rosa. Ogarnęło go zmęczenie i senność.

Nagle uczuł za sobą świeży wiew powietrza. Drzwi otworzyły się cicho. Bezszelestnie jak kot wsunął się do pokoju marynarz. Młody, jasnowłosy chłopak postawił przed przewódcą szklankę herbaty.

— Siedzicie pociemku, towarzyszu? Czy zapalić światło? — zapytał zatroskanym tonem, w którym przebijała wierność dla wodza.

— Nie potrzeba. Wypoczywam trochę.

— Za drzwiami czekają już z aktami.

— Powiedz towarzyszom, że chciałbym, aby mi aż do posiedzenia Komitetu Centralnego nie przeszkadzano.

— Słucham... — odpowiedział młody marynarz i chciał wyjść tyłem, na palcach.

— Zostań jeszcze chwilę, towarzyszu! — zawołał nagle prowodyr.

Marynarz wyprostował się jak struna, jakby stał przed admirałem.

Człowiek o potężnej, łysej głowie wstał, podszedł do marynarza i położył mu obie dłonie na ramionach. Potem zmrużył powieki i długo spoglądał w niebieskie oczy chłopaka.

Marynarz, który od pierwszego dnia, kiedy spotkał przewódcę, zaprzedał mu się zupełnie, nie odstępował go ani na chwilę i czuwał nad nim pieczołowicie, stał nieruchomo jak kolumna i szczerze spoglądał na niego niebieskawo-szaremi oczyma. Oczy te promieniały szczęściem na prostej, otwartej twarzy z ludu. Badawczy wzrok wodza długo zatopiony był w morzu tych oczu, jakby chciał dotrzeć na ich dno.

— No, towarzyszu — czy wierzycie, że rzeczywiście przetrwamy to wszystko? — pyta nagle przewódca.

— Wierzę, jak w Boga! — woła marynarz.

Szybko spostrzega, jak straszne słowo wymknęło mu

się w zapale. Ale niepodobna już cofnąć tego wypowiedzianego wyrazu. Chłopak czerwieni się.

Przewódca nie dostrzega tego.

— Imperjalistyczni generałowie niemieccy porządnie ściskają nas za gardło, mamy wielkie trudności!

— Niech ich djabli wezmą, ale — to nic! Trzeba tylko przetrwać wszystko, a dotrzemy do celu, towarzyszu!

— Kiedy to nastąpi?! — pyta wódz w zadumie.

— Tego ja nie wiem, to ty wiesz. Ale uczynimy wszystko, żeby przełamać mur. Niech ich djabli porwą!

— Dziękuję wam, towarzyszu, — mówi człowiek o kałmuckich oczach, ściskając marynarzowi rękę.

— Czy zapalić światło?

— Tak. I powiedzcie towarzyszce sekretarce, żeby mi przyniosła akta do podpisu.

Jedyna chwila słabości, jaka ogarnęła przewódcę przed ciężką próbą pokoju brzeskiego, została przezwyciężona. Z oczu marynarza zaczerpnął nowej siły i nowej wiary.

Jego szeroka, koścista twarz rozjaśniła się nagle; zalał ją nieziemski niemal blask wewnętrznego szczęścia i wiary; stała się uduchowiona i piękna, niby oblicze muzyka w ekstazie. Oczy wystąpiły z błębokich oczodołów i uśmiechały się z tajemniczym ogniem. Bezgraniczne czoło błyszczało, a połyskująca czaszka świeciła radośnie w blasku lampy. Jak natchniony siedział teraz przewódca przy biurku, zatopiony w leżących przed nim papierach. A oczy jego widziały poza czarnemi literami — światy...

Droga leżała przed nim jasna i szeroko rozwarta, od początku aż do promiennego końca. Wszystko, co się stało dotychczas, nie było oszołamiającym zygzakiem — były to dokładnie wymierzone, żelazną ręką wyznaczone kamienie milowe, jeden po drugim. Dumny, silny, kro-

czy człowiek od jednego kamienia milowego do drugiego, pobudzany świętą, wieczystą prawdą, jaka się w nim żarzy. Teraz widział przed sobą człowieka: dziki, podobny do zwierzęcia, wyszedł z ciemnych, zamglonych lasów i puszcz. Żelaznemi pazurami i kłami wywalcza sobie drogę przez świat; kroczy, w łachmanach wprawdzie, zdziczały — ale kroczy z ciemnego mroku, z mglistego zmierzchu w świeży jak rosa poranek; ciągnie go, kusi, wbrew woli pcha go naprzód siła moralna, świecąca w nim samym. Stara się wprawdzie bronić przed nią, ale ciągle musi powracać na swoją ścieżkę. Żadne trudności, żadne koszmary ludzkie ani boskie nie są w stanie pohamować kroku tego olbrzyma. Droga wyznaczona jest zgóry. Daleka to droga. Zaczęła się w ciemnościach, posuwała się naprzód krzyżującemi się manowcami, w krwawych walkach szarpała ciało człowieka, który oderwał się od łona Matki-Czasu — aż wreszcie dotarł do wrót poranku. I jemu, człowiekowi rosyjskiemu o niebieskich oczach dziecka i niewzruszonej wierze — właśnie jemu sądzonem było zapukać pierwszemu do wrót, otworzyć je, przekroczyć ich próg. Właśnie jemu, który jest nagi, który ma mało do stracenia, jemu sądzonem było pierwszemu zerwać pęta:

„Zerwij je, bracie! Niech jęczą i wyją ci, co czują bóle nowych narodzin! Tobie bóle porodu mało zadadzą cierpienia. Ty nie jesteś przyrośnięty, jesteś nagi. Szarpnij wrota! Przekrocz próg i pociągnij za sobą świat!“

Oczywiście — ścieżki, leżące po drugiej stronie furty, są nieznane! — snuł dalej myśli prowodyr. — Kto zna te zygzakowate drogi, po których będziemy musieli kroczyć? Ale m y chcemy je przynajmniej określać! Jeżeli trzeba będzie iść okrężnemi drogami, m y sami chcemy to uczynić! Z twarzą zwróconą ku nowej jutrzni uczynimy jeden krok wstecz — i jedną milę naprzód. Nie bacząc na bóle porodu, nie troszcząc się o cierpienia

tych, co padają, torować będziemy sobie i innym drogę. A jeżeli trzeba będzie pomagać sobie biczem, uczynimy to. Rózgami wpoimy im powszechną radość komunizmu, naszą „zapłatę i odwet“. A wówczas sami ją już poczują!

I siedząc przy swojem biurku słyszał przewódca śpiew zbawionego świata, płynący ku niemu ze zmierzchu zanurzonego w śniegu wieczora. Jego szeroka twarz mongolska uśmiechała się błogo, kiedy podpisywał nowe edykty.

Na posiedzeniu Komitetu Centralnego, który zadecydować miał w sprawie przyjęcia lub odrzucenia ciężkich warunków pokoju brzeskiego, przewódca na wszelkie zarzuty i skrupuły towarzyszów, jak „odpowiedzialność wobec historji“, „wzgląd na honor narodu“ i tak dalej, odpowiadał gorzkim niemal tonem:

— Towarzysze, poco te rozważania? Spójrzcież na całokształt sprawy! Jest to pierwszy krok, jaki czynimy. Inni muszą iść za nami! Wkraczają oni już przecież na utorowaną przez nas drogę! Będą musieli pójść za nami i pójdą, gdyż zmusi ich do tego spiżowe prawo podobnych przyczyn! A wy mówicie o Finlandji i Ukrainie, o honorze narodowym i odpowiedzialności wobec historji?! To są pojęcia umierającego świata! Jakież znaczenie mają one w świetle nowego świata, który powstaje teraz? Generałowie niemieccy ograbiają nas — ale na jak długo? Z proletarjatem niemieckim porozumiemy się łatwo, a wtedy wspólnemi siłami strącimy rabusiów!

Pokój w Brześciu Litewskim został podpisany.

UCIECZKA

Wszyscy gotowali się do opuszczenia Rosji, aby wykorzystać wąską szczelinę, jaką pozostawiał ucieczce pokój w Brześciu Litewskim.

Ukraina stała się siedzibą nadziei, których nie spełniała Rosja: gdyż tam był teraz rząd demokratyczny, prawa mniejszości i inne zdobycze wolnościowe. Chwilowo można było jeszcze bez trudności ze strony rządu sowieckiego otrzymać pod jakimkolwiek pretekstem paszport do „zagranicznej" teraz Ukrainy. Komu nie udało się dostać paszportu, próbował innemi środkami ujść przez granicę, aby tam, w bogatej Ukrainie, czekać na koniec obłędu, który ogarnął Rosję i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie mógł trwać długo.

Wśród wielu osób, gotujących się do opuszczenia Rosji, znajdowali się także potentat naftowy Goldstein i hurtownik herbaty Rozamin.

Regularne spotkania przyjaciół były teraz — z rozmaitych względów — prawie niemożliwe. Mieszkanie Halperina stało się „trefne". Towarzysz Markowicz panował tam niepodzielnie, podsłuchując już teraz jawnie i bezwstydnie wszystkie rozmowy w małym buduarze, zamieszkiwanym jeszcze przez słynnego adwokata i jego zięcia, starego Mirkina.

W przedsiębiorstwie Mirkina rządzili teraz Misza „Mołodiec" i obcy komisarz. Stary Mirkin brał nadal udział w naradach. Zdania jego wysłuchiwano uważnie i stosowano się do niego. Pozostał więc i teraz poniekąd „szefem".

Żądano też, aby się przeprowadził do Moskwy, dokąd przeniesiono jego znacjonalizowane przedsiębiorstwo jako odgałęzienie administracji kolejowej, która wraz z rządem mieściła się teraz w Moskwie. Ale Mirkin nie miał gdzie ulokować teścia Halperina, który ciągle jeszcze podlegał swojej dziecięcej melancholji; wziął więc na pewien czas urlop i pozostał chwilowo w opustoszałej, chorej stolicy carów.

W kilka dni po opuszczeniu Petersburga przez rząd stary Mirkin spotkał na ulicy swego przyjaciela Gold-

steina. Potentat naftowy, jeden z najbogatszych ludzi w Rosji, nigdy nie odznaczał się szczególną elegancją w ubiorze. Trenował niejako ciało oddawna, przygotowując je do epoki, gdy będzie musiał pędzić żywot w ubóstwie. Prowadził więc tryb życia mniej niż skromny, prawie zawsze używał tramwaju, bardzo rzadko dorożki lub sanek, i chodził wiecznie w wyświeconem ubraniu.

Tym razem jednak król naftowy Goldstein ubrany był jak zwykły robotnik. Wygląd ten nadawał mu krótki kożuszek o dziwnym kroju i czarna chustka na szyi. Na niskie trzewiki tatarskie wdział podarte kalosze.

Stary Mirkin, który przy nowym ustroju nie uczynił pod względem wyglądu zewnętrznego żadnych ustępstw, ubrany był jak zwykle w szerokie kamczackie futro bobrowe; z rozdzieloną na dwoje siwą brodą wyglądał jak ziemianin ze starych czasów.

Na widok elegancko ubranego Mirkina przemysłowiec naftowy chciał uniknąć spotkania, aby się nie zdradzić z taką znajomością. Stary Mirkin wyczytał w oczach przyjaciela, że futro bobrowe budzi w nim lęk, i chciał go wyminąć. Ale Goldstein odmyślił się tymczasem i podszedł do Mirkina. Specjalnie przybrał przytem uniżoną minę sługi.

— Na Boga; w takich czasach w bobrowem futrze?! — szepnął przerażony.

— Cokolwiek robiłem w życiu, robiłem zawsze jawnie. Nie mam więc ochoty maskować się na stare lata.

Niezbyt delikatna aluzja zbiła trochę nafciarza z tropu:

— Nie mówię przecież o maskowaniu! Ale to się rzuca w oczy!

— Jak się panu wiedzie? — zapytał stary Mirkin, aby zmienić przykry temat rozmowy.

— Staram się o paszport do „zagranicznej“ Ukra-

iny i mam widoki, że go otrzymam. A jakie pan ma plany?

— Te same, co przedtem. Będę się musiał przeprowadzić do Moskwy. Firma już tam została przeniesiona. Ale nie wiem, co począć z Salomonem Osipowiczem...

— Pracuje pan pod rządami Miszy „Mołodca“?

— Nawet pod rządami djabła!

— Muszę z panem omówić coś ważnego, — zaczął Goldstein po krótkiej pauzie, — ale nie tutaj. Na Boga, pańskie futro! Wszyscy na nas patrzą! Niech pan do mnie przyjdzie wieczorem. Pańskie mieszkanie jest „trefne“. U mnie nam nikt nie przeszkodzi.

Wieczorem odszukał stary Mirkin mały hotelik, w którym potentat naftowy mieszkał od niepamiętnych czasów (z tego też powodu nie wyrzucono go z mieszkania). Po krótkiem powitaniu Goldstein zaczął:

— Niech pan posłucha, Gabrjelu Chaimowiczu! Wie pan, że zdawna przyzwyczajony byłem do tego, aby umieć żyć we wszelkich warunkach. Co więcej — obecny tryb życia odpowiada memu charakterowi bardziej, niż dawny. Nigdy nie mogłem patrzeć, jak ludzie dla rozrywek i miłego życia wyrzucają pieniądze za okno. Świat uważa mój tryb życia za skąpstwo. Ale pan wie, że tak nie jest. Wartość pieniądza polega na tem, że daje on możność spełniania potrzeb ludzkich. Jeżeli więc trwonię pieniądze, to marnuję przez to nie swoje mienie, lecz powierzone mi oszczędności innych ludzi. Nigdy nie pozwalałem sobie żyć lepiej, niż moi robotnicy, i nigdy też nie czułem potrzeby prowadzenia innego życia. A teraz — nie mówię o tem, czy postąpiłem słusznie, czy nie — teraz stanąłem po stronie nowego ustroju i gotów byłem poświęcić mu wszystko, swoje zdolności i majątek, jaki zarobiłem, gotów byłem oddać swoją osobę na usługi społeczeństwa. Może miał pan rację, mówiąc niedawno: „Zgrzeszyliśmy, najle-

pszym dowodem jest, że zaszło tak daleko". Nigdy nie byłem ambitny i nie należę do ludzi, którzy przywiązują wagę do śmiesznych szczegółów zewnętrznych. W milczeniu znosiłem szyderstwa i obelgi niedojrzałych młokosów. Ale — nie mogę dłużej, Gabrjelu Chaimowiczu, nie mogę dłużej! Nie dlatego, abym się czuł dotknięty na honorze — ale nie mogę patrzeć na ich gospodarkę. Któż bardziej od nich ma obowiązek strzec i zachowywać mienie narodu? Dobrze, zabrano je nam. Ale mienie to ma przecież swoją wartość?! A oni niszczą je nieustannie. Nietylko przez brak doświadczenia i zdolności — to możnaby jeszcze powoli zmienić! Niszczycielstwo to nie ma jednak powodów zewnętrznych, lecz wewnętrzne. Nie widzę w nich wiary w istotę rzeczy. Jest to nikczemne marnotrawstwo. Nikt nie myśli o jutrze, każdy stara się tylko podsunąć ciężary innemu, aby sprawa jako tako wyglądała nazewnątrz w porządku. Obawiam się, że u nich panuje pustka i zdziczenie. Może u innych, u głów, jest inaczej — ale ci, co mają pracować, są bandą kreatur w rodzaju Miszy „Mołodca". Nie, z nimi nic zrobić nie można!

Stary Mirkin przysłuchiwał się uważnie ze zmarszczonym czołem, a końce jego brody niejednokrotnie potakiwały. Dopiero gdy Goldstein skończył, odezwał się:

— Właśnie dlatego musimy pozostać na stanowisku! My, starzy, którzy zbudowaliśmy to wszystko, musimy śpieszyć z pomocą, gdy się coś zaczyna chwiać. Broń Boże, nie dla nas, ale dla samej sprawy — dla Rosji. Nie wolno nam przecież pozostawiać własnemu losowi życia, które stworzyliśmy! Musimy go strzec i pilnować, aż nadejdą inne czasy!

— Co pan nazywa „innemi czasami"? Te „inne czasy" umarły, umarły na wieki.

— Czasy umarły, ale nie życie. Życie będzie potrze-

bowało przedsiębiorstw, które stworzyliśmy. Jeśli nowi panowie zniszczą teraz to wszystko, stanie się to dlatego tylko, że nie oni to budowali. Kiedy zaczną budować, nauczą się też radości tworzenia, nietylko niszczenia. A wtedy ocenią też może należycie nasze zasługi. Do tego zaś czasu musimy wytrwać na stanowisku i ratować, co się da uratować!

— Jeśli tak dalej pójdzie, wszystko zmarnieje, a nikt za to głową nie zapłaci prócz — nas.

— Co pan rozumie przez to „zapłacenie głową"? — zapytał stary Mirkin nieco lękliwie. — Dawno zrezygnowałem z korzyści osobistych.

— Nie mówię o korzyściach osobistych, ale rozumiem to w najprostszem znaczeniu tego wyrazu: eksperyment ten nietylko podkopie egzystencję Rosji, ale będzie nas też kosztował głowy. Jak pan sądzi, dlaczego oni nas zatrzymują, proszą nas o radę, zabierają nas do Moskwy? Wie pan, dlaczego? Zatrzymują nas jako ofiary dla gniewu ludu. Kiedy zabraknie nafty albo podkładów kolejowych, nikt nie powie: „System jest zły", — tylko wszyscy powiedzą: „Burżuazja jest winna". Wtedy oświadczy się, że uprawialiśmy sabotaż — aby móc ciała nasze rzucić ludowi. Trzymają nas tylko jako kozły ofiarne.

Stary Mirkin zatonął w zadumie.

— Czuję coś podobnego w powietrzu, ale na pewno nie wiem.

— A ja wiem i dowiedziałem się tego z pewnych źródeł. Lada chwila może nastąpić niebezpieczeństwo. Niech pan idzie za moim przykładem — wielkiego bagażu nie będzie pan potrzebował zabierać! Sprawa jest pilna. Teraz można jeszcze otrzymać paszport!

Potentat naftowy zniżył głos do szeptu i rozejrzał się lękliwie, czy nikt ich nie podsłuchuje:

— Granice także nie są pilnie strzeżone, gdyż

wszystko jest jeszcze w stanie płynnym — zawsze uda się znaleźć jakąś dziurę, aby móc uciec na Ukrainę. Ale i to nie jest potrzebne, gdyż za kilka rubli dostaje się prawdziwy i formalny paszport.

— Za kilka rubli? — powtórzył stary Mirkin pytająco.

Oczy jego zgasły, a policzki zwisały bezwładnie jak dwa puste worki.

— Tak — ale pana, w futrze bobrowem, będzie to oczywiście więcej kosztowało.

Goldstein uśmiechnął się gorzko.

— Wie pan, Goldstein, że czułem zawsze wstręt przed przekupywaniem niższych urzędników? Jeżeli już trzeba było „smarować", trzymałem się stale grubych ryb.

— Sądzę, że teraz nie jest odpowiednia chwila do żartów! Obawiam się, że niebawem będzie za późno.

Stary Mirkin zamyślił się znowu.

— A co zamierza pan robić zagranicą jako emigrant? Czy chce pan przejść w stan spoczynku? Na to jest jeszcze za wcześnie. Nie uwierzę, że będzie pan niby stara matrona leżał na plaży w Nizzy i opalał się na słońcu...

— Dlaczego nie zacząć na nowo? — przerwał potentat naftowy.

— Na nowo? W naszym wieku? — rzekł stary Mirkin, potrząsając głową ze zdumieniem.

— Jeśli się tylko ma jakiś cel w pracy, wiek nie stanowi. Co do mnie — zdecydowałem się zacząć coś zupełnie nowego. Dotychczas pracowałem dla obcych, teraz chcę spróbować uczynić coś dla swojego narodu.

— Jak to pan rozumie?

— No, zna pan przecież moją słabość dla Palestyny. Dotąd była to platoniczna miłość. Teraz chcę spróbować spełniać prawdziwą pracę.

— W Palestynie? — zapytał stary Mirkin zdumiony.

— Słyszał pan chyba o deklaracji Balfoura. Od kilku tygodni jest ona tematem rozmowy we wszystkich sferach żydowskich. Tutejszy poseł angielski wyjaśnił nawet syjonistom, że deklaracja Balfoura przyrzeka ni mniej ni więcej, tylko państwo żydowskie z własną administracją. Słowem — prastare marzenie Żydów ma się ziścić, kiedy „przyjdzie Mesjasz", to znaczy kiedy Koalicja zwycięsko zakończy wojnę. Czy to będzie kraj żydowski, czy nie — w każdym razie Palestyna jest krajem, i to krajem bardzo pięknym. A Żydzi będą tam mieszkali. Więc dlaczego nie mam wytężyć sił i przedsięwziąć czegoś w związku ze sprawą, którą zajęte są wszystkie ręce i wszystkie głowy żydowskie? Jakkolwiek jest — trochę jesteśmy z tym krajem związani. Wspominamy go w modlitwach. Tyle pokoleń odeszło z tą nadzieją na ustach w wieczność! I ostatecznie ma się coś, dla czego się żyje, ma się — że tak powiem — żonę i dzieci! Bóg nie dał mi tego szczęścia, jestem starym kawalerem — więc niech mi Palestyna zastąpi żonę i dzieci!...

Stary Mirkin obserwował nafciarza i spostrzegł nagle, że oczy Goldsteina połyskiwały. Ten suchy człowiek, dla którego nie istniały uczucia, który — jak twierdzili jego przyjaciele — nie ożenił się dlatego tylko, że nikomu, nawet tym, co mu byli najbliżsi, nie chciał użyczyć korzyści ze swego bogactwa — ten człowiek mówił o przeniesieniu się do obcego, pustynnego kraju i poświęceniu mu swoich sił, a przytem oczy jego błyszczały, jakby mówił o ukochanej kobiecie!

Potentat naftowy zrozumiał spojrzenie Mirkina i ciągnął zawstydzony:

— Zresztą nie ciągnie mnie tam żaden ideał ani sentyment — myślę głównie o własnej wygodzie. Mam wrażenie, że nadaję się bardzo do życia wschodniego.

Z usposobienia jestem właściwie Arabem. Wystarczy mi biała chusta wokół ciała, mogę się żywić kilkoma daktylami lub kawałkiem trzciny cukrowej i przez całą noc patrzeć w gwiazdy.

Stary Mirkin milczał, rozmyślając nad czemś poważnie. Jak to było w jego zwyczaju, myśląc przesuwał wolno palcami po długich końcach brody; potem rzekł, nawpół do siebie:

— Bardzo to dobrze mieć ideał. Podtrzymuje on nas i dodaje nam nowych sił. Nie ma się pan czego wstydzić. Zazdroszczę panu.

— To niepotrzebne! Może się pan urządzić tak samo jak ja. I panu się to przecież należy — i pan jest przecież Żydem. No, Gabrjelu Chaimowiczu, co pan sądzi o propozycji, abyśmy naprawdę pojechali tam razem i zaczęli w Palestynie budować dla swojego narodu, jak tutaj niegdyś w młodości zaczęliśmy budować to, co teraz djabli biorą bez słowa podzięki?! Hę, Gabrjelu Chaimowiczu, co pan o tem sądzi?

— Drogi przyjacielu, to już nie dla mnie. Nigdy nie umiałem wykonywać skoków. Osiadłem tutaj od pokoleń. Miałem tu dobre czasy — czyż w złych mam uciekać? Toby było niesłuszne. Nie, Goldstein — niech pan jedzie z pomocą bożą, ale ja pozostanę tutaj: jestem zbyt ociężały.

— Gabrjelu Chaimowiczu — to, co powiedziałem przedtem, nie jest żartem! Sprawa jest bardzo, bardzo poważna!

— Ach, ma pan na myśli moją głowę? — zaśmiał się stary Mirkin. — Miły Boże — ta głowa i dawniej tak często już była zastawiona, a nikt jej nie chciał wziąć. Któż ją weźmie teraz, kiedy jest stara?

— Gabrjelu Chaimowiczu, zwracam panu jeszcze raz uwagę: ryzykuje pan życie! Ma pan obowiązki, ma pan żonę i dziecko!

Nagły rumieniec zalał policzki Mirkina; przechylił głowę, a ostre końce brody sterczały poziomo w stronę Goldsteina. Spojrzał na przemysłowca nafcianego gniewnie, jak podrażniony kogut:

— To moja sprawa! Żołnierz ma także żonę i dzieci, a jednak wyrusza na wojnę!

— Łatwo to mówić!

— Jedni to mówią, inni robią!

— Niech pan robi, co pan uważa za stosowne!

— Tak, jedź pan z Bogiem! Życzę panu z całego serca, aby pan dokonał swoich zamiarów. Ja z panem jechać nie mogę. Tutaj jest moje przedsiębiorstwo, które żywi przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi. Kapitan nie opuszcza statku. Ale rozumiem pana i życzę panu...

— Dziękuję!

Nafciarz ujął rękę, którą Mirkin wyciągnął do niego.

— A co do żony i dziecka, o których mi pan przypomniał — prawdopodobnie będzie pan miał wcześniej ode mnie sposobność widzenia ich. Zamierzają przecież wyjechać z Kaukazu zagranicę. Jeśli je pan zobaczy, niech im pan odda pozdrowienia ode mnie i niech im pan powie, aby się nie martwiły — jestem przyzwyczajony ustępować djabłu z drogi. I niebawem poślę im ojca. Czekam tylko na Miszę, który ma w najbliższych dniach powrócić z frontu. Racja — jeszcze jedną rzecz musi pan dla mnie załatwić — naszą ostatnią transakcję! — Stary Mirkin roześmiał się. — Niech pan przerachuje z niemi nasz wspólny udział w towarzystwie „Nowa Rosja“ i zamieni go im na swoje akcje naftowe, które łatwiej sprzedać. Chciałbym, aby rodzina moja przynajmniej w pierwszych czasach nie zaznała głodu.

— To się załatwi, pisemnej umowy nie potrzeba. Poco zbyteczny balast?

— Dobrze. Dziękuję. Niech pan jedzie z Bogiem!

Czas już na mnie. Na ulicach jest znowu niespokojnie.

Dwaj mężczyźni ucałowali się wedle rosyjskiego zwyczaju...

Gdy stary Mirkin powrócił do domu, zastał adwokata przy jego ulubionem zajęciu, jakiemu oddawał się od straty figurek porcelanowych — przy sporządzaniu spisu wszystkich przedmiotów, znajdujących się w mieszkaniu. Halperin pracował nad tem z pedantyczną skrupulatnością, uwzględniając wszelkie formalności prawnicze, jakby przeprowadzał niezmiernie ważny inwentarz.

— Nowina! Nafciarz Goldstein zamierza jechać do Palestyny! Opowiada, że Anglicy przyrzekli oddać kraj Żydom i założyć im państwo żydowskie. Ciekawy pomysł! Czy nie byłoby to coś dla pana, Salomonie Osipowiczu? — zwrócił się stary Mirkin do teścia.

Słynny adwokat przerwał notowanie na arkuszu inwentarzowym i nadstawił uszu,, jakby usłyszał dawno zapomnianą, ale znajomą melodję:

— Palestyna... Palestyna... Palestyna... — mruknął. — Szkoda, że się o tem wcześniej nie pomyślało...

Teść i zięć siedzieli długo w milczeniu naprzeciw siebie. Potem stary Mirkin wstał, podszedł do drzwi, otworzył je, aby się przekonać, czy nikt ich nie podsłuchuje, i szepnął do adwokata:

— Ale przedewszystkiem trzeba pojechać na Kaukaz! Słyszałem, że przez Charków można się tam dostać. W każdym razie za pieniądze na pewno można się przedostać! Misza musi przyjechać w najbliższych dniach.

— A ty? — zapytał adwokat.

— Ja, tak... ja... cóż robić? Ktoś przecież musi tutaj pozostać, inaczej być nie może!

W kilka dni później Misza, syn Halperina, powrócił z frontu, gdzie był w oddziale lotniczym. O wydarzeniach w domu był już poinformowany listownie, i umówiono się, że Misza — aby nie wzbudzać uwagi swego byłego kolegi szkolnego Osipa Markowicza — nie pokaże się wcale w mieszkaniu ojca. W umówionem zawczasu miejscu spotkał się Misza ze starym Mirkinem.

Misza zmienił się w ostatnich latach na korzyść. Dzięki wojnie, ostatnim wydarzeniom i smutnym przeżyciom ojca stał się młodzieniec poważniejszy. Wygląd jego był teraz także bardziej męski. W płaszczu żołnierskim ze zniszczonemi naramiennikami i z młodą bródką podobny był do setek tysięcy powracających do domu żołnierzy, którzy w krótkiej przerwie między demobilizacją armji frontowej a utworzeniem czerwonych kadr zalali całą Rosję.

Poza towarzyszeniem ojcu miał Misza i inny jeszcze powód udania się na południe Rosji. Chciał się mianowicie dostać nad Don, gdzie w owym czasie generał Krasnow zbierał kozaków i inne elementy białogwardyjskie, zamierzając się przyłączyć do „białych" generałów, którzy gotowali się do walki z bolszewikami.

Pobyt w Petersburgu był dla Miszy jako kontrrewolucjonisty i dla jego ojca niebezpieczny. To też Mirkin nalegał, aby jak najszybciej opuścili miasto. Podróż przez Moskwę i Charków była coprawda bardzo niepewna, ale w każdym razie bezpieczniejsza, niż pobyt w Petersburgu.

Nakłonienie teścia do wyjazdu nie było dla starego Mirkina łatwem zadaniem. Słynny adwokat chciał bezwarunkowo zabrać wszystkie talerzyki porcelanowe, które jeszcze ocalały, i najrozmaitsze drobiazgi, należące do żony i córki. W podróży trzeba było jednak mieć jak najmniej pakunków, a szwy ubrań i podeszwy butów miały służyć za kryjówki przedmiotów cenniej-

szych, niż porcelana i koronki. Wreszcie adwokat dał się odwieść od swego zamiaru; natomiast trzeba mu było wszyć do kołnierza marynarki ukończony już spis wszystkich przedmiotów w mieszkaniu.

Stary Mirkin powszywał Halperinowi i Miszy do ubrań i do innych odpowiednich pakunków wszystkie papiery wartościowe i klejnoty, jakie jeszcze posiadał. W ten sposób wyruszyli w drogę.

— Zobaczymy się niebawem! — rzekł stary Mirkin do teścia na pożegnanie. — A gdyby to miało nie nastąpić, pamiętajcie, aby syn mój nie wychowywał się w nienawiści lub goryczy wobec Rosji!

I dodał nawpół do siebie:

— Mieliśmy dotąd dość goryczy w Rosji, a z goryczy wynikają takie rzeczy.

Gdy teść i Misza opuścili Petersburg, stary Mirkin spakował najcenniejsze rzeczy z mienia swojego i żony oraz wszystko, co miało dla nich osobistą wartość (i on, podobnie jak adwokat, nie mógł pozostawić obcym ludziom niczego, co pozostawało w związku z osobą jego żony). Poczem przeniósł się do Moskwy, gdzie od dłuższego już czasu znajdowało się jego przedsiębiorstwo, w którem pracował teraz jako „spec“.

W ten sposób dom Halperinów i dom Mirkinów, jak wiele innych domów w byłem mieście carów, znikły na zawsze z Petersburga.

ŚCIGANA ZWIERZYNA

Wasyli Andrejewicz, właściciel Zapianki, którego opuściliśmy w hotelu „Metropol“ w Moskwie, udał się, gdy przeminęły dni październikowe, do swojej nieprawej żony Natalji Stiepanowny, zwanej Nataszą.

Jak wszyscy w Moskwie, tak i Wasyli Andrejewicz

był zdania, że „awantura bolszewicka“ skończy się rychło. Kozacy przyjdą z frontu i wypędzą bolszewików. Postanowił zaczekać na to u Nataszy. Do żony swojej, Marji Arkadjewny w Zapiance, napisał kilka razy, aby mu przysłała trochę prowjantu. Ale nie otrzymał odpowiedzi.

Z początkiem zimy przyjechał ze wsi wózkiem znajomy chłop, Akim, i przywiózł Wasylemu kilka worków kartofli, trochę mąki pszennej, kilka funtów masła i pięć mendli jaj. Opowiedział, że Marja Arkadjewna stała się wśród chłopów „grubą rybą“; sama zwołała zebranie młodzieży i założyła komitet, który zarządza wsią według nowej metody. Dotychczas panuje wśród chłopów okolicznych spokój i żyją z panami w zgodzie. Ale na niego, Wasylego Andrejewicza, są bardzo źli i niedobrze o nim mówią. Marja Arkadjewna poleciła Akimowi potajemnie powiedzieć mu, żeby chwilowo pozostał w mieście i nie powracał, póki ona mu nie da znać.

Od tego czasu nie przybył już z Zapianki żaden wóz z żywnością i Wasyli Andrejewicz nie otrzymał więcej wiadomości ze wsi.

Tymczasem gospodarstwo jego nielegalnej żony Natalji Stiepanowny stawało się coraz skąpsze. Niewielkie zapasy żywności wyczerpały się. Sprzedać nie było czego, gdyż w małem mieszkaniu nie było nigdy zbytecznych przedmiotów. Natasza poczęła zrzędzić i okazywała krnąbrność, nie miała najmniejszego szacunku dla swego dawnego pana a obecnego męża i zarzucała mu ciągle, że jest pechowcem, który się już na nic nie zda. A gdy i to nie pomagało i Wasyli siedział nadal z rękoma na łonie, Natasza sama jęła się dzieła. Była ona zawsze kobietą energiczną — teraz stała się wprost demonem. Wzięła połowę pozostałych jeszcze kartofli i pół worka mąki, załadowała to na sanie i kazała Wasylemu

pojechać z tem na Sucharewski rynek. Po południu Wasyli powrócił z jedwabnemi chustkami, kilkoma sztukami płótna, bielizną pościelową i pełną kieszenią dwudziestorublówek Kierenskiego.

— Jutro rano weźmiesz worek i pojedziesz pociągiem do najbliższej wsi po trochę prowjantu! Sprzedam go potem na Sucharewskim rynku albo wymienię na wartościowe przedmioty, jak robią wszyscy przyzwoici ludzie.

Wasyli dawno już zamienił szerokie futro z szarym karakułowym kołnierzem, które wyglądało zanadto po pańsku, na zwykły kożuch chłopski, opasany sznurem, eleganckie lakierki na parę niskich trzewików, a czapkę karakułową na futrzaną czapkę chłopską z daszkiem i dwoma nausznikami.

Co wieczór Natasza napycha mu worek bielizną, szalikami jedwabnemi, modnemi bucikami, kołnierzami futrzanemi, koronkami i daje mu w rękę sakiewkę „kierenek“. Wczesnym rankiem musi Wasyli wstawać z puchów i jechać pociągiem linji Niżegorodzkiej, Brzeskiej lub Kurskiej na wieś, początkowo tylko do pobliskich miejscowości, potem coraz dalej, aż do najdalszych. Ma dwoje silnych rąk, szerokie barki i twarz opryszka. Budzi to lęk. Z workami i tobołkami wpycha się bez krępacji do natłoczonych wagonów, rękoma i brzuchem wywalcza sobie miejsce — jeżeli trzeba, także stalowemi ramionami; gdzie wystarcza wyzwisko lub przekleństwo, sięga do skarbnicy swoich soczystych słów; czepia się cudzych ramion i rzuca swoje worki i toboły na cudze nogi i brzuchy. W ten sposób, wśród złorzeczeń i bójek, z obitemi bokami i podeptanemi palcami u nóg, powraca nawpół zgnieciony i zlany potem do Moskwy.

Na dworcu na „workowych ludzi“ czekają już „koniki sowieckie“ (tak się nazywają ubrani w gałgany, bezdomni ulicznicy z ręcznemi saneczkami, którzy na

dworcach wyrywają sobie wzajemnie „workowych ludzi“). Przywożą oni zdobyty prowjant do mieszkania.

Co rano ciągnie Natasza z pomocą dwojga dzieci naładowane kartoflami, czarną mąką, masłem i cebulą sanie na Sucharewski rynek, gdzie wymienia prowjant na najlepsze przedmioty, jakie arystokraci znoszą ze swoich mieszkań. Kiedy nadchodzi milicja, zarzuca się worki na plecy i ucieka. Cóż może zresztą milicja zrobić? Rynku Sucharewskiego nie zamknie, gdyż cała Moskwa zaopatruje się tam w żywność. A przytem łapówki ciągle jeszcze skutkują, jak za dawnych, dobrych czasów; gdyż kawałek masła albo kilka cebul mają wartość majątku.

Handel kwitnie więc na rynku Sucharewskim, i Natasza posiada niebawem jedwabną bieliznę, kosztowne futra, dywany perskie i srebrne nakrycia. Ale najbardziej pożądane są carskie tysiącrublówki, nowe banknoty, które tak mile szeleszczą. Wszyscy Ormianie i Tatarzy są przekonani, że car powróci, i w całej Moskwie — z wyjątkiem Kremlu — chętnie przyjmuje się carskie pieniądze. Banknoty uszkodzone posiadają mniejszą wartość. Najbardziej poszukiwane są nowe, szeleszczące tysiączki, które wyglądają, jakby dopiero co opuściły prasę. Aby ich nie uszkodzić, nie składa się ich, lecz owija jedne na drugie, jak czynią z papierowemi pieniędzmi kupcy ormiańscy i tatarscy. Dlatego też Natasza płaci za towar, który kupuje, „kierenkami“, zaś ruble carskie chowa w woreczku, który za dnia nosi na piersi, a w nocy przechowuje pod materacem. Jak wszyscy, spodziewa się ona i pragnie, aby car powrócił jak najrychlej i wypędził bolszewików, by świat stał się znowu światem, życie życiem, a pieniądz — pieniądzem.

W nocy Wasyli leży w łóżku obok swojej towarzyszki życia. Okna są szczelnie przesłonięte, drzwi zamknięte mocno. Przy bladym płomyku świecy opróżnia się woreczek. Liczy się banknoty: sto tysięcy — dwie-

ście tysięcy — trzysta — czterysta tysięcy — pół miljona — prawie miljon rubli! Miljonerzy!

— Ileby za to można kupić za dobrych czasów! Całe wsie, lasy, domy, ludzi — czegobyś tylko zapragnął, wszystkobyś za to miał!

Wasyli obserwuje swoją Nataszę. Nie poznaje jej. Jej sucha, chuda twarz chłopska stała się kawałem mięsa. Szare oczy osadzone są głęboko w gąbczastych pokładach tłuszczu i migoczą stamtąd złemi ognikami. Posiwiałe włosy sterczą wokół głowy sztywno, jak druty. Wasyli spostrzega nagle, że Natasza podobna jest do czarownicy. Grube jej palce przesuwają się po szeleszczących tysiączkach, które trzyma blisko tłustego ciała, jakby je chciała obronić przed obcem dotknięciem. Badawczo szeleści każdym banknotem zoddzielna, mlaskając wargami:

— Tysiączki, tysiączki — prawdziwe tysiączki!

Wasyli rzuca okiem na migoczące, połyskujące banknoty. Tak — nie zmieniły się! Ta sama czerwonawo żółta barwa, papier z jedwabnemi nitkami, ziarnisty w dotknięciu. Na nim orzeł carski i portret Mikołaja II w znaku wodnym. Prawdziwe! Budzą takie samo zaufanie, jak niegdyś, na ich widok serce bije szybciej. Człowiek czuje się pewny, bez trosk, w dobrym humorze. Ale cały świat dookoła zmienił się. I już przez to, że jest ich tak wiele i że leżą tu w łóżku obok tłustego ciała Nataszy, straciły w oczach Wasylego znaczenie, wydają mu się nagle upadłemi potęgami.

— Niby te same, jakie otrzymywało się przy okienkach w banku, a jednak jakby nie te same, — powiada, nawpół do siebie.

Natasza rzuca mu złośliwe spojrzenie. Wasyli ma wrażenie, jakby jej gałki oczne wywróciły się i patrzały na niego tylną stroną.

— Nie te same! — przedrzeźnia go Natasza. —

Niech tylko car wróci, a ludzie będą przed temi banknotami tak samo pełzali na kolanach, jak za dawnych czasów. To prawdziwe pieniądze! — woła i szybko chowa banknoty pod kołdrę, jakby chcąc je ustrzec przed złemi spojrzeniami.

— Tak, to prawdziwe pieniądze, a jednak nie prawdziwe pieniądze, — wzdycha Wasyli.

— Co, może się już przekabaciłeś i przystałeś do czerwonych? — oburza się Natasza.

— Nie przystałem do czerwonych — ale wszystko to wydaje mi się jak zabawa dzieci.

Z ukośnem spojrzeniem na męża Natasza odwraca się na drugi bok...

Wasylemu dawno obrzydł jego nowy tryb życia. Zimą znosił jeszcze jako tako te wędrówki od wsi do wsi, targowanie się i oszukiwanie. Ale gdy wiosna poczęła się zbliżać, gdy lody stopniały na rzece Moskwie, gdy z pośród tającego śniegu wynurzyły się okrągłe kawałki ziemi, niby poczciwe, brunatne twarze — ogarnęła go bolesna tęsknota za rolą i przejęło go jedno tylko pragnienie — powrócić do wsi, do swoich pól.

Próżniactwo, jak nazywał swoje targi i interesy z mieszkańcami wiosek, wyłaziło mu już gardłem, czuł palące pragnienie czynu, prawdziwej pracy.

Dla Wasylego słowa te oznaczały: pracę na roli. Pora była też już późna. Dawniej miał już w tym czasie sporo zajęcia, przynajmniej dziesięć razy obchodził już wraz z ekonomem topniejące powierzchnie śniegowe, naradzając się z nim, gdzie zasiać pszenicę, gdzie żyto, a które pola użyć na łąki dla owiec.

— W tym roku wiele będzie trzeba zielonej paszy!

Przy słowach „zielona pasza“ czuł zapach świeżego mleka krowiego i tęsknota jego stawała się jeszcze boleśniejsza.

„Za dawnych lat“, wspominał, „w kuźni wiejskiej dawno już sypały się iskry. O tym czasie chłopi muszą pomagać kowalowi, tyle jest pracy. Codziennie jadą do miasta furmanki, zwożąc konieczne narzędzia, żelazo, haki, łopaty, sierpy i postronki. Z lasu zwozi się drzewo, które składa się u stolarza. Wszędzie pukanie, walenie młotkiem, heblowanie, szczęk i hałas. Z kominów unosi się gęsty dym: to chłopki palą odpadki drzewa. Wesoło szczekają psy, dzieci bawią się w kałużach. Ziemia niecierpliwi się i odsłania codziennie z pod śniegu nowy kawał swego ciała. Konie niespokojnie walą kopytami w ściany stajni. Krowy ryczą, owce beczą. Ziemia i bydło pragną wolności“.

Podobnie jak ziemia i bydło, pragnął Wasyli wolności. W mieście było mu za ciasno. Jak zwierzę czuje na wiosnę, że dostaje nową skórę, tak Wasyli odczuwał wszystkiemi żywotnemi zmysłami, że wymyka się ze skóry miejskiej, z targowania się i oszukiwania, że dostaje nową skórę, skórę pól i lasów. Nogi jego pragnęły stąpać po kałużach, zanurzać się po kolana w świeżej, lepkiej ziemi. Płuca chciały wdychać wiew wiosny, płynący z każdego czarnego od wilgoci płotu wiejskiego, z każdej mokrej strzechy słomianej.

Kiedy indziej wyobrażał sobie, że brodzi w wysokich butach po bagnistych łąkach. Pies „Szpic“ codziennie rano spoglądał na niego pytająco z wyprostowanym ogonem i otwartym pyskiem:

— Czy w tym roku nie ustrzeli się ani jednej dzikiej kaczki? Czy to w tym roku niema wiosny?

A Wasyli sam uzupełnia pytanie zwierzęcia:

— Czy też w Zapiance obrobi się w tym roku ziemię bez pana?

Wiedział, że wieś jego stała się dla niego niebezpieczna, że nie może się tam pokazać. Ale nie — to absurd! Wszystkiemi siłami duszy czuł, że tam jest jego miejsce

i że z chwilą, gdy postawi stopę na swojej ziemi, wszystko musi natychmiast powrócić do dawnego porządku.

I jak dziecko, które wierzy, że psoty jego dawno są wybaczone i zapomniane, gdyż ono samo przebaczyło je sobie, tak dorosły, silny Wasyli zapomniał dawno, czem był niegdyś. We własnych oczach nie był już dziedzicem, właścicielem Zapianki. Zapomniał, że traktował chłopów źle, że niejednemu zerwał czapkę z głowy, a gdy nikt nie widział, rzucił go na ziemię i nieraz porządnie poczęstował pięścią. Zapomniał, że był Wasylim Andrejewiczem, panem Zapianki, a oni jego chłopami, potomkami pańszczyźnianych poddanych, że mieszkali w jego chatach, na jego ziemi, i obrabiali jego rolę za zapłatą w naturze. We własnych oczach był już Wasyli dawno jednym z nich, zwyczajnym mieszkańcem Zapianki — jedyna różnica, że jako ekonom, jako zarządzający gospodarstwa mieszkać będzie w jednym lub dwóch pokojach we dworze i odpowiednio do wartości swojej pracy otrzyma lepsze jedzenie. Ale wszystko poza tem będzie wspólne, jak wymagają obecne czasy. A że pragnienie było ojcem jego myśli, wydało mu się rzeczą naturalną, że chłopi dawno się na to godzili.

Kiedy nadeszły pierwsze dni przedwiośnia, nie wytrzymał dłużej w Moskwie; pojechał do swojej wsi.

Wśród nocy zapukał do okiennicy zaprzyjaźnionego z nim chłopa, który na początku zimy przywiózł mu furmankę żywności do miasta. Chata Akima znajdowała się na końcu wsi, oddalona od innych, tuż przy skraju lasu.

— Akimie, w imię Chrystusa, wpuść mię do izby! To ja, Wasyli Andrejewicz!

W głębi chaty początkowo nikt się nie poruszył, potem Wasyli usłyszał cichą spierkę, wreszcie drzwi uchyliły się lękliwie i przez wąską ich szparkę padł Wasy-

lemu do nóg woreczek z chlebem. Przez drzwi rozległ się stłumiony głos starego wieśniaka:

— Na Boga, panie, uciekaj! Kiedy zobaczą, że jesteś u mnie, podpalą chatę. Pomyśl o sobie i mojej rodzinie!

— W imię Chrystusa, Akimie — chcę się tylko trochę ogrzać! Przed świtem odejdę — ciebie przecież zawsze dobrze traktowałem!

— Co prawda, to prawda! Ale teraz nastały inne czasy. Przeciwko „komunie" nie wolno działać!

— Wpuść mię tylko, żebym odpoczął chwilkę! Jesteś przecież chrześcijaninem, Akimie?!

Chłop zamknął drzwi. W chacie naradzał się z kimś. Potem otworzył szerszą szparę i wpuścił Wasylego pod swój dach.

— Niech ci to Chrystus wynagrodzi!

— Połóż się tam, gdzie stoisz! Nie trzeba palić światła. Nikt we wsi nie powinien nic zauważyć!

— Gdzie Marja Arkadjewna, Akimie? Jak widzę, spalili dwór. Gdzie ona teraz jest?

— Tego ci nie mogę powiedzieć, panie. Początkowo zatrzymali ją tutaj. Żaden z nas nie jest przecież komunistą — ona nam wytłumaczyła, co to znaczy. I sama nawet kierowała komuną. Potem przyszli parobcy ze Starego Gniazda, sąsiedniej wsi. „Co?" powiadają, „u was rządzi dziedziczka?" Wtedy też podpalili dwór. I jeżeli sobie dobrze przypominam, posadzili ją na saniach i zabrali. Źle jest z wami, panami! Złe czasy na was przyszły. Uciekaj, zanim zblednie ostatnia gwiazda!

Wasyli leżał na czemś mokrem, jakieś opary zapierały mu dech. Słono-wilgotny pysk owcy obwąchał go i polizał. Przysunął pysk zwierzęcia do ust, pocałował go i rzekł:

— Pomów ty z nimi, Akimie! Bóg mi świadkiem — chcę być tylko jednym z nich, jednym z komuny! Nie

pragnę niczego więcej, jak miejsca w chacie i kawałka chleba. Będę pracował za dwóch — znacie mnie przecież, nigdy się nie cofałem przed żadną robotą. Potrzebujecie przecież ekonoma — lepiej więc wziąć człowieka z Zapianki. Pomów z nimi, na rany Chrystusa — ja dłużej w mieście nie wytrzymam!

— Uciekaj lepiej, zanim cię chłopi znajdą! Słyszałem nieraz, jak o tobie mówili. Jest tam jeden, który wrócił z wojska — Iwan, mąż Wawieruchy, — wściekły jest na ciebie, bo kazałeś jego żonie biegać w stodole przez rózgi. A Iwan jest teraz naczelnikiem komuny.

— Źle jest żyć bez Zapianki, Akimie!

Zanim jeszcze ostatnia gwiazda znikła na niebie, Akim ściągnął pana z kupy gnoju, którą Wasyli dzielił z nowonarodzonemi owieczkami. Gospodyni podała mu kubek mleka, chłop woreczek chleba. Wasyli pokłonił się głęboko przed ikonami w „kącie bożym", przeżegnał się trzy razy i począł znowu prosić natarczywie:

— Będę pracował za dwóch. Będę się komunie kłaniał w pas, aby otrzymać jej przebaczenie i oddychać powietrzem Zapianki. Dokądże mam pójść? Wszędzie jestem obcym! Pomów z nimi, na Chrystusa! Zatrzymam się przez dzień w lesie, a w nocy przyjdę po odpowiedź.

Wasyli dotknął progu czołem i opuścił chatę Akima.

Chłopi dowiedzieli się, że w lesie przebywa ciekawa zwierzyna — dziedzic Zapianki. Natychmiast opowiedzieli o tem Iwanowi, który wraz z ospowatym nauczycielem kierował komuną. Dwaj naczelnicy szybko zebrali młodzież wiejską, nie mówiąc nic starszym wieśniakom, gdyż obawiali się, że starzy mogliby uprzedzić dziedzica. Około trzech tuzinów mężczyzn i kobiet, z fuzjami, siekierami i widłami, częściowo konno, częściowo pieszo, otoczyło las z trzech stron. Zabrali też psy dziedzica, które podzielili między siebie — i jak nie-

gdyś dziedzic polował na zwierzynę, tak teraz oni zapolowali na dziedzica.

Czwartego boku lasu, graniczącego z rzeką Sadzawką nie obstawili. O tej porze roku było jeszcze rzeczą niemożliwą przejść rzekę wbród albo przepłynąć; ktoby się ośmielił zbliżyć do rzeki, musiałby utonąć w głębokich bagnach; były one teraz tem niebezpieczniejsze, że pokrywała je woda z topniejących śniegów, sięgająca aż do granicznych, nisko położonych łąk.

Dotarłszy do lasu, chłopi poumieszczali najlepszych strzelców na skraju, inni zaś rozpoczęli z psami nagonkę, waląc siekierami i łopatami w ziemię, jak czynią naganiacze, aby spłoszyć zwierzynę. Potem wypuścili psy, aby móc wytropić dziedzica i zapędzić go na skraj lasu.

Wasyli znał w swoim lesie każdą dziuplę i każdą kryjówkę, gdyż co wiosnę i co jesień chodził tu na polowanie. Dzień postanowił spędzić w szałasie z gałęzi, zbudowanym między czterema drzewami, gdzie zwykle suszyła się kora dębowa, przeznaczona na sprzedaż dla garbarzy. Przez szpary, jakie pozostawiały nieobrosłe jeszcze liśćmi gałęzie i konary, mógł Wasyli widzieć dokładnie wszystko, co się działo w lesie i na jego skraju. Miał złe przeczucia i był przygotowany na to, że chłopi, jeżeli nie będą go chcieli przyjąć jako równego do komuny, zorganizują na niego nagonkę. To też przez cały dzień rozglądał się uważnie na wszystkie strony.

Kiedy dostrzegł ze swego ukrycia szare cienie ludzkie między porosłemi mchem jak aksamitem dębami, wiedział natychmiast, że odnosiło się to do niego. Był zdecydowany nie poddać się bez obrony, lecz pierwszemu chłopu, jaki się zbliży, wydrzeć fuzję lub siekierę, zabić go i potem walczyć z innymi na śmierć i życie. W tym celu zabarykadował szybko szałas leżącemi dokoła polanami, które chłopi poobcinali ze zrąbanych drzew. Kiedy usłyszał potem szczęk siekier i łopat,

przyłożył ucho do ziemi, aby się zorjentować, z której strony nadchodzą chłopi, i przygotował się do walki.

Pierwszym, kto wytropił Wasylego w kryjówce, był jego pies myśliwski „Szpic", którego dostał od jednego z sąsiednich dziedziców wzamian za konia. Szybszy od wszystkich innych psów, przeskakiwał Szpic nory w ziemi, wilgotne kupy zwiędłego listowia i płaty śniegu, biegnąc prosto do Wasylego.

Gdy zwierzę poznało dawnego pana, poczęło go oskakiwać radośnie, lizać mu ręce, potem z lękliwem naprężeniem spojrzało mu w twarz, oczekując rozkazów. Wasyli szybko przytrzymał psu pysk, żeby mu nie pozwolić szczekać; potem spojrzał mu poważnie w oczy i rzekł:

— Szpic, musisz mię uratować, jestem w niebezpieczeństwie!

Pies spoglądał na Wasylego z owem niemem oddaniem, jakie błyszczało zawsze w jego smutnych, połyskujących oczach. Zdawało się, że chce coś panu powiedzieć, ale nie umie tego wyrazić. Wasyli przytulił głowę do psiego łba. Oko w oko spoglądali na siebie człowiek i zwierzę i rozumieli się.

— Musisz mię ratować! — rzekł Wasyli jeszcze raz.

Szpic stał nieruchomo i z największem napięciem spoglądał panu w oczy, dysząc niecierpliwie i wymachując ogonem, jakby go pytał spojrzeniem, co ma robić. Wasyli wskazał ręką w przeciwległym kierunku, ku skrajowi lasu, gdzie stała chata Akima, i rozkazał:

— Biegnij! Szczekaj!

Pies rzucił okiem na pana i westchnął głęboko, jakby mu odebrano kość; potem pobiegł, jak mógł najszybciej, we wskazanym kierunku, szczekając co siły.

Wasyli przyłożył ucho do ziemi i usłyszał, jak chłopi pobiegli za psem. Teraz ośmielił się wyjść z kryjówki i na czworakach, przytulony do ziemi, popełznął między

drzewami w stronę skraju lasu, wychodzącego na Sadzawkę. Wiedział, że tam miał jedyną drogę do ucieczki. Teraz albo nigdy!

Słyszał oddalające się coraz bardziej szczekanie Szpica. Inne psy przyłączyły się do koncertu. A chłopi biegli za sforą, zachęcając ją głośnemi okrzykami.

Wasyli musiał się przedzierać przez ciernistą gęstwinę. Pod ciężarem jego tęgiego ciała suche gałęzie łamały się. Twarz i ręce były pokrwawione. Ciągle zahaczał o ciernie, ubranie wisiało na nim w strzępach.

Nareszcie dotarł do Sadzawki.

Nie napróżno polował Wasyli tyle lat w swoim lesie — znał go jak własną kieszeń. Wiedział, że przez bagno i wodę po stopionych śniegach niepodobna się przedostać. Nieraz już sam zapadł się po pierś w bagno i musiał wołać na pomoc chłopów, którzy go dopiero wyciągali. Ale raz na polowaniu zapędził w tę stronę lasu sarnę, gdyż podobnie jak chłopi pewien był, że zwierzę nie zdoła uciec przez Sadzawkę. Okazało się jednak, że sarna znała bezpieczną ścieżkę. Prawdopodobnie przed niepamiętnemi czasy ktoś położył kilka pni dębowych przez bagno, a może dostały się tam one przypadkowo. Zanurzonych w wodzie, zgniłych i zzieleniałych pni niepodobna już było dostrzec, to też przejście to było nieznane, i dopiero ścigana sarna wskazała je Wasylemu. Lekkiemi stopami przeskakiwała z pnia na pień i uciekła. Wasyli przyglądał się wtedy z wielkiem zaciekawieniem, jak się zwierzę ratowało. Jeden fałszywy skok mógł je kosztować życie. Zachwycony tym widokiem, Wasyli zrezygnował ze strzału, chociaż miał zwierzynę doskonale na celu.

— Jeżeli z takiem narażeniem życia znalazłaś przejście — to szczęśliwej drogi! — zawołał za uciekającą sarną.

Tajemnicy ukrytej ścieżki z pni dębowych nie zdradził jednak nikomu.

I oto teraz, gdy polowano na niego samego, skierował się Wasyli na ścieżkę, którą mu niegdyś wskazała sarna. Ponieważ Szpic szczekaniem swojem zwabił chłopów w przeciwległy koniec lasu, Wasyli miał dość czasu, aby odszukać ścieżkę. I jak niegdyś ścigane zwierzę, tak teraz on w trwodze o życie przeskakiwał ponad niebezpiecznem bagnem z pnia na pień. Ale jemu było trudniej, gdyż natura nie dała mu lekkości i zręczności sarny. Bezpieczeństwo życia, trwające od tysięcy lat, stępiło w nim instynkt, jaki posiada każde zwierzę w lesie: od czasu do czasu ześlizgiwał się z pnia, wpadał w wodę i bliski był zatonięcia w bagnie. Ale czyhające za nim śmiertelne niebezpieczeństwo sprawiło cud — Wasyli przezwyciężył wszystkie trudności i mimo ciężaru jego ciała udało mu się nawet przepłynąć Sadzawkę.

Przez trzy dni błąkał się po polach i lasach w mokrym kożuchu, z poranioną twarzą i rękoma. Wsi i miast unikał, chociaż teraz niktby w nim na pewno nie poznał dawnego dziedzica Zapianki. Podobny był raczej do dzikiego człowieka leśnego. I był nim teraz — sypiał na kupach mokrych liści i żywił się kradzionem mlekiem; wysysał je wprost z wymion krów, które spotykał na łąkach.

W lasach okolicznych natknął się na grupę ludzi, którzy wyglądali podobnie jak on, ale posiadali fuzje. Poznał wśród nich kilku dawnych sąsiadów, których los mniej lub bardziej podobny był do jego losu. Była to banda zbójecka, składająca się z właścicieli ziemskich, którzy stopniowo zeszli się razem w lasach. Wasyli przyłączył się do nich i otrzymał fuzję. A że liczba ich rosła stale, postanowiono opuścić lasy i ruszyć na miasta.

Po przewrocie październikowym towarzyszka Zofja kazała przydzielić sobie i Zacharemu Mirkinowi mieszkanie w domu prywatnym na Czystoprudnym Bulwarze. Był to staroświecki budynek o wielkich, biało malowanych pokojach ze sklepionemi stropami. Urządzenie składało się z biedermeierowskich mebli, jasnych, pękatych szaf, komód i stołów z jesionowego drzewa; krzesła pokryte były haftowanemi pokrowcami, na ścianach wisiały ręcznej roboty gobeliny z romantycznemi scenami.

Nie bacząc na swoje rewolucyjne poglądy, towarzyszka Zofja uważała się za arystokratkę ducha; właśnie dlatego wybrała to mieszkanie. Zgadzało się to zresztą z jej charakterem; od najwcześniejszej bowiem młodości pragnęła zawsze mieszkać elegancko, a w wypracowaniu szkolnem, w którem miała opisać dom rodzinny, wyobraźnia jej zmieniła skromne mieszkanie Racheli Lei w pałac...

Stary, wytworny dom na Czystoprudnym Bulwarze odpowiadał w zupełności jej smakowi. Wszelkiemi środkami dążyła do tego, aby tam zamieszkać, i dopięła też tego, chociaż pokoje te początkowo przeznaczone były dla kilku „grubych ryb“. Gdy rząd przeniósł się do Moskwy, towarzysz Ryszkow także zamieszkał w tym domu. Doradziła mu to towarzyszka Zofja, aby w ten sposób uniknąć zbyt wielu współmieszkańców.

Poza rewolucją, która pochłaniała zupełnie towarzyszkę Zofję, posiadała ona jeszcze życie prywatne.

Przedewszystkiem energja, jaką odziedziczyła po matce, Racheli Lei, musiała się na kimś wyładować. Jej żądna władzy natura potrzebowała stale jakiejś ofiary: znalazła ją w osobie Zacharego Mirkina, z którym mieszkała razem. Torturowała go poprostu. Czy chciał, czy

nie chciał, narzucała mu swoją macierzyńską opiekę i postawiła sobie za zadanie wychować siostrze „męża". W tym celu traktowała go niemal jak dziecko w szkole. Jako przyszła szwagierka przypisywała sobie prawo rządzenia nim. Musiał jej słuchać we wszystkiem, opowiadać się z każdego kroku, tłumaczyć się, gdy powracał późno, jeść to, co ona mu jeść kazała. Zawyrokowała, że wobec braku tłuszczów jedynie białko może zastąpić konieczną do życia ilość tłuszczu, i zmuszała Zacharego, aby przy wyborze pożywienia zwracał uwagę na zawartość białka. Myła go nawet codziennie. Dom, urządzony po staroświecku, posiadał jedną tylko łazienkę, położoną obok kuchni. Zofja zanosiła tam codzień gorącą wodę z kuchni i — zupełnie na sposób swojej matki — zmuszała Zacharego, aby się mył stale od stóp do głowy. Sporządzała mu bieliznę z prześcieradeł i powleczenia pościelowego, jakie znajdowała w mieszkaniu. Do późna w noc siedzała przy stole i szyła z bielizny pościelowej koszule i kalesony dla Mirkina. Łajała go przytem porządnie, jak żona męża, ponieważ nie zwracał uwagi na swój wygląd zewnętrzny i nie szanował garderoby.

Łatwo było spostrzec, że w przyjętej roli matki czuła się doskonale, chociarz rola ta mało odpowiadała duchowi rewolucji. Ale charakter Zosi wymagał tego. Najwspółcześniejsza nawet kobieta, która zupełnie przezwyciężyła swoją kobiecość, nie rezygnuje nigdy z praw matki, a jeśli nie ma dzieci ani męża, nad którymi mogłaby panować, wybiera sobie za przedmiot swojej macierzyńskości kogokolwiek, kto jej się nawinie pod rękę. A Zosia od dzieciństwa już lubiła panować. Zawsze musiała mieć kogoś pod swoją władzą. Dawniej rządziła siostrą, teraz, w nieobecności Heleny — jej narzeczonym. Poza tem słaby Zachary był dla Zosi doskonałym objektem. Mogła mu dawać odczuć całą pełnię swojej potęgi. Mir-

kinowi rola ta najwidoczniej również nie była niemiła. Był z niej nietylko zadowolony, ale — jak za chłopięcych czasów — doznawał radości wewnętrznej, znajdując się pod kierownictwem silnej ręki kobiecej, która prowadziła go, jakby był małem dzieckiem...

Bywają mężczyźni, którym kobiety ze szczególnem upodobaniem okazują swoje macierzyńskie uczucia. Zachary należał do natur, które są dla kobiet niejako źródłem, przy którem gaszą pragnienie, nie pragnienie męża — ale pragnienie dzieci.

Dla Mirkina zaś ucieleśniały się w Zosi wszystkie postacie kobiece, do których pociągały go tłumione, płomienne żądze. Przedewszystkiem miała w usposobieniu wiele z Racheli Lei, zwłaszcza jej energję i stanowczość. Z wyglądu zewnętrznego także bardzo przypominała matkę. Silnie rozwinięte, mlecznobiałe ciało, którego błyszcząca, gładka skóra niemal oślepiała wzrok, wypływało jak pieniący się trunek z głębokiego dekoltu i krótkich rękawów, zawsze skąpo przykrojonych bluzek. Miało się wrażenie, jakby z ciała tego tryskał zbudzony na nowo strumień prastarych, stłumionych dawno pragnień kobiecych.

W samotnym, wielkim domu na Czystoprudnym Bulwarze panowała przez cały dzień cisza. Dawne właścicielki, dwie panie, starsza i młodsza, przebywały stale w pozostawionych im pokojach narożnych. Usługiwała im stara pokojówka, jedyna widocznie osoba ze służby, która im dochowała wierności; dwie panie nie śmiały pokazać się się na korytarzach, chociaż po całych dniach nikogo nie było w domu (wszyscy mieszkańcy pracowali w biurach). Wychodziły więc wtedy tylko, gdy musiały zanieść na rynek coś ze swego mienia, aby zdobyć nieco żywności.

Gdy towarzyszka Zofja powracała wieczorem do domu, słychać ją było wszędzie. Obejmowała natychmiast

komendę w kuchni, sprzeczała się z innymi mieszkańcami domu i zawsze stawiała na swojem. Gdy kolacja była gotowa, zanosiła ją do swego pokoju, stąpając mocnemi, energicznemi krokami, od których drżała i chwiała się dębowa posadzka o przegniłych już ze starości podkładach. Mirkin lubił jej mocny chód; miał przytem wrażenie, jakby cały świat, którego symbolem był ten dom, chwiał się pod silnym krokiem nowego człowieka.

Towarzyszka Zofja brała czynny udział w wypadkach październikowych i z rewolwerem w ręku jechała autem pancernem z moskiewskiego pałacu gubernatorskiego do placówek bolszewickich. Z tryskającą energją podejmowała się tysiąca zadań — to proponowała na komisji nowego wychowania najśmielsze metody, najfantastyczniejsze eksperymenty, przeciwko którym nie śmieli zaoponować najstarsi, najdoświadczeńsi pedagogowie, — to znowu w komisji, mającej uregulować stosunki między mężczyzną a kobietą, narzucała znajdującym się tam prawnikom swoje poglądy na małżeństwo i rozwody, — zaś między dwoma posiedzeniami komisyj przemawiała na wiecu propagandowym na dziedzińcu fabrycznym lub w koszarach, agitując wśród powracających z frontu żołnierzy za wstąpieniem do Czerwonej Armji. Towarzyszka Zofja nie znała lęku nawet przed „grubemi rybami“ i w razie potrzeby umiała im palnąć soczyste kazanie. Towarzyszka Zofja było osobą, której się obawiano, ponieważ pozostawała w bliskich stosunkach z towarzyszem Markiem. I ta towarzyszka Zofja pragnęła nadewszystko głaskać i schlebiać, być czułą — a jednak pozostawać przytem zimną jak bryła lodu. Bez najmniejszego powodu potrafiła nagle wśród nocy wślizgnąć się do pokoju Mirkina i położyć się obok niego w łóżku.

Ubrana zupełnie — jakby nie pozwalała sobie samej

na swobodniejszą czułość — leży obok Zacharego, obejmuje nagiem ramieniem jego brodatą głowę, tuli ją do swojej pełnej piersi i mówi o wielkich planach, o zbliżającem się nowem państwie światła:

— W armji niemieckiej rozkład daje się już wyczuć, sympatje dla rewolucji rosną. Imperjalizm niemiecki czyni ostatnie wysiłki, aby się utrzymać przy życiu, ale nie zda się to na nic...

Gdy jednak Mirkin, oszołomiony jej gorącym oddechem, zatapia twarz na jej szyi i chce objąć jej silne ciało, Zosia odpycha go energicznym ruchem; sama zaś mocniej jeszcze obejmuje go ramionami i mocniej jeszcze przyciska do siebie jego głowę. Czego jemu nie wolno — wolno jej.

— Cyt! Cicho! W armji francuskiej także jest nielepiej. Cały pułk zbuntował się niedawno i nie chciał strzelać — czytałeś o tem? Rewolucja światowa puka do wrót!...

Miękkie, czułe ręce Mirkina rozgrzały ją. Krew jej krąży szybciej i tętni poprzez lśniąco białą skórę. Szyja staje się giętka, gibka, niby szyja łabędzia, prosi niejako, aby ją głaskać, pieścić, obejmować. Rozpuszczone włosy powiewają jak na wietrze. Oczy świecą, twarz płonie. Całe ciało dyszy świeżą młodością. W takich wzburzających chwilach towarzyszka Zofja staje się sentymentalna. Choć brzmi to nieprawdopodobnie — potrafi być w takich chwilach sentymentalna aż do łez, zupełnie jak na widok nędzy robotniczej.

— Czy rozumiesz, Zachary, w jakich czasach żyjemy? — woła z zapałem, nie zapominając jednak coraz mocniej, coraz goręcej tulić twarz Mirkina, oczy, usta do swego falującego ciała. — Niezliczone pokolenia zeszły z tego świata w mękach i bólu. Żaden promyk słoneczny nie oświecał ich życia, żadna nadzieja ich śmierci. O, gdybyż je można było teraz zbudzić do życia! Dla-

czego nie wierzymy, jak pobożni, w zmartwychwstanie umarłych? O, gdybyśmy ich mogli wydobyć dzisiaj z grobów i zawołać: Wstawajcie, dzieci, weźcie teraz zapłatę za swoje nędzne życie!... Czy rozumiesz, Zachary, jak wspaniałe osiągnęliśmy rzeczy? Otworzyliśmy przecież wrota, dotarliśmy do celu! Wszystko jest w naszem ręku, wszystko — możemy wszystko zdziałać! Zachary! Słuchajże, Zachary! — budzi go z namiętnego omdlenia. — Zdziałamy wszystko, stworzymy ustrój społeczny, w którym nie będzie silnych i słabych, ciemiężycieli i ciemiężonych! Czy rozumiesz to marzenie, tę tęsknotę pokoleń? Mesjańskie czasy! Oczywiście zmusimy do usług także i naukę, zaprzęgniemy ją również do naszego wozu. Nie będzie już mogła zwiększać nędzy i cierpień, jak w ustroju kapitalistycznym, gdzie racjonalizacja wyrzuca codzień dziesiątki tysięcy robotników na bruk, burzy ogniska domowe, spycha rodziny w nieszczęście, wydaje dzieci na łup głodu —a cały zysk płynie do kieszeni przedsiębiorców! Dzięki nam racjonalizacja z przekleństwa stanie się błogosławieństwem! Człowiek, jako istota wyższa, będzie tylko stał przy maszynie i czuwał, aby pracowała według jego woli. Zamiast człowieka ujarzmimy maszynę. Pięciogodzinny dzień pracy, pięciodniowy tydzień pracy! Pracowitość ludzka usunie nędzę i człowiek będzie mógł cały czas poświęcić wewnętrznemu wyzwoleniu! Czy wyobrażasz sobie, jak świat będzie wtedy wyglądał? Ja to sobie wyobrażam tak, że świat będzie śpiewał. Kiedy człowiek jest wesół, śpiewa jak ptak. Spójrz na naszych chłopców! Byłam wczoraj w pewnej odlewni — stoją tam zlani potem przy rozżarzonych piecach i śpiewają! Rozumiesz? Śpiewają! Czy niedobrze jest być małem ogniwem w łańcuchu, do którego przyczepieni jesteśmy czarodziejską siłą? Jak mogliśmy być dobrzy dla siebie wzajem, gdy wszystko dokoła nas było złe? Taki był przecież cały ten system —

każdy, czy chciał czy nie chciał, musiał być młotem dla innego. Każdy był niewolnikiem kogoś wyższego, ciemiężcą kogoś niższego. Ale gdy system będzie inny, gdy zapanuje inna metoda życia, wtedy już sam ten fakt zewnętrzny wpłynie na charakter jednostki, która nie będzie mogła postępować inaczej! Sądzę, że nie trzeba będzie wcale wyruszać w świat, aby propagandą zjednywać go dla naszej idei. Życie nasze stanie się najlepszym przykładem. Nie będziemy potrzebowali ogniem i mieczem nawracać świata na komunizm, gdyż świat przyjdzie do nas, i jak czyniły ludy barbarzyńskie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, prosić nas będzie, abyśmy wysyłali apostołów dla ugruntowania nowej wiary... Słyszysz, Zachary?

— Tak, słyszę, Zosiu... dla ugruntowania nowej wiary. A ty, Zosiu, czy wierzysz niezłomnie, że to wszystko naprawdę nadejdzie?

— A ty nie? — pyta Zosia przerażona, siadając na krawędzi łóżka.

— Muszę wyznać, że niekiedy opada mnie jakaś mgła i tracę wiarę. Gdy widzę męki i cierpienia, które — chcący czy niechcący — rozsiewamy dokoła, wówczas zadaję sobie pytanie: Czy mamy prawo składać tyle ofiar, przelewać tyle krwi gwoli tego raju? I nie zapominaj, że cierpienia zaczynają się dopiero. Uczyniliśmy wszystko, aby położyć kres wojnie, a teraz sami wzywamy robotników do Czerwonej Armji. Inni czynili to samo w imię „ojczyzny“ albo „rewolucji“ — my czynimy to w imię „października“. Niedługo potrwa, a będziemy także pędzili ludzi bagnetami i rewolwerami na front.

— A cóż mamy robić, gdy wojna domowa puka do wrót? Korniłow zbiera kozaków na froncie. Czy mamy się dać pozarzynać?

— Tak, tak — oczywiście i to ma powód! Jakżeby

inaczej? Zawsze istnieją powody, usprawiedliwiające wszelkie gwałty. Zdaje się, że każda idea rodzi się z kolcami dialektyki, aby sobie w ten sposób wywalczać drogę w życie. Ale Bóg świadkiem — póki idee znajdują się jeszcze w stanie embrjonalnym, niejako jeszcze w łonie matki, wyglądają jak łagodne, niewinne cielątka, które zrodzić się mają poto tylko, aby dawać mleko; zaledwie jednak przychodzą na świat, natychmiast dostają ostre rogi i zaczynają bóść, zanim jeszcze dadzą pierwszą kroplę mleka.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — pyta Zosia.

— Zastanów się tylko nad naszym stosunkiem do burżuazji! Przy całym swoim trybie życia była ona, jak wszyscy my, wytworem — powiedziałbym niemal — ofiarą epoki i okoliczności. A my nie znamy niczego prócz — zemsty. Burżuazja jest przecież także cząstką ludzkości, dla której wyzwoliliśmy świat!

— W moich oczach nie! W moich oczach burżuje są niby szczury, które powinno się powyłapywać, zamknąć razem i zarazić bakcylami tyfusowemi!

— Zosiu! — Mirkin był przerażony ogniem, jaki bił z jej oczu. Na jego łóżku siedziała lwica o lśniącem ciele dziewczęcem. — Muszę przyznać, że kiedy tak mówisz, drżę przed tobą. Mam wrażenie, że byłabyś zdolna uczynić coś podobnego własnemi rękoma!

— Co?

Zosia śmieje mu się zimno w twarz.

— Zabijać ludzi!

— Gdyby to było konieczne dla rewolucji — dlaczego nie? Pewien gatunek ludzi nawet z przyjemnością!

— Z przyjemnością?!

Dreszcz przebiega po ciele Mirkina.

— A oni mogli nas tępić? Póki byliśmy dla nich użyteczni, póki potrzebowali naszego psiego życia, pozwalali nam żyć. Ale jak! Żyliśmy spętani w ich piwni-

cach i kuchniach, w ich fabrykach, kopalniach, kotłowniach okrętowych. Gdybyśmy się stali dla nich zbyteczni — rzuciliby na nas dżumę! Przypomnij sobie tylko, jak traktowali ludzi, którzy troszczyli się o ich cielesne dobro, którzy im dawali żreć, uprzątali z pod nich nieczystości. Spełniali dla nich najohydniejsze i najbardziej oburzające rzeczy, rzeczy, których własna matka wstydziłaby się przed dzieckiem. Czy uważali swoją służbę za ludzi równych sobie? Psom, kotom więcej okazywali względów, niż ludziom! I trwało to wieki. A teraz — czem my byliśmy dla nich, tem oni będą dla nas! Beczę jak stara kobieta, kiedy widzę na ulicy konia, padającego pod brzemieniem — dlatego też nazywano mię w domu „beksą". Każdego zbłąkanego psa, każdego bezpańskiego kota sprowadzałam do domu. Ale dla nich nie potrafię czuć litości. Wszystko, co się mówi o narodach i rasach, jest kłamstwem. Burżuazja jest międzynarodowa. Ale istnieją rasy klas. Kiedy widzę robotnika albo proletarjusza, wyczuwam natychmiast, że należę do tej samej rasy, co on, chociaż nigdy w życiu nie spełniałam pracy fizycznej. Ale to nic: głód, nędza, środowisko proletarjackie, w jakiem się człowiek wychował, stwarza wspólne poczucie rasy. Do ludzi innej klasy nie mam wogóle stosunku. Dla mnie nie istnieją oni jako istoty, podobne do nas, istoty, w których żyłach także płynie krew, które podobnie odczuwają ból, kiedy się ukłują igłą. Dla mnie jest to inny zupełnie gatunek. Nie mam czasu ani ochoty okazywać im ludzkiego zainteresowania. Uważam ich istnienie za zbyteczne. Kiedy ich trzeba usunąć, wymiata się ich jak zeschłe liście.

Zosia wstała z łóżka. Lekka, głęboko wycięta suknia, którą stale nosiła po domu, zsunęła się i odsłoniła krągłe, silne ramię dziewczęce, połyskujące świeżo w różowym blasku lampy. Wijące się kosmyki krótko obcię-

tych włosów powiewały jak chmara ptaków, które chcą się rozlecieć na wszystkie strony. Twarz, dziwnie opanowana i spokojna, była w tej chwili naprawdę piękna. Było w niej coś marzycielskiego. A z oczu jej tryskał zimny, okrutny ogień, podniecający tem bardziej, że oczy te uśmiechały się przy jej słowach.

Mirkin przyglądał się jej z zachwytem i pożądaniem, nie mogąc się jednak obronić przed jakiemś przykrem, niepokojącem uczuciem. Słowa jej przeraziły go, gdyż były prawdziwe. On sam począł ostatniemi czasy odczuwać potęgę tego, co Zosia nazywała „rasą" — od owego dnia, gdy spotkał ojca w Petersburgu, a silniej jeszcze, odkąd ojciec mieszkał w Moskwie, a on odwiedzał go od czasu do czasu potajemnie. Zachary czuł wzruszający sentyment dla ojca i całej jego klasy, która cierpiała teraz tak bardzo. A sentyment ten — obawiał się — nie pochodził jedynie z przywiązania rodzinnego, lecz z daleko silniejszego uczucia, może z tego, o którem mówiła Zosia.

— O czem myślisz? — zapytała Zosia.

— Myślę... że jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to ja z pochodzenia należę przecież raczej do tamtej klasy, którą ty chcesz z zimną krwią wytrzebić.

— Zdradziłeś ją, — rzekła Zosia i roześmiała mu się w twarz, — i przeszedłeś na naszą stronę.

— To właśnie pytanie — czy ją zdradzić mogę. Czy można się uwolnić od poczucia rasowego? Czy nie panuje ono nad nami, nawet wbrew naszej woli i naszym przekonaniom? Najsilniejsze przeżycia człowieka przypadają przecież na jego lata dziecięce. Okres młodości jest jego prawdziwą ojczyzną; przez całe późniejsze życie jest z nim człowiek związany. Nigdy nie widziałem cierpień klasy, którą mi przed chwilą opisałaś. Nigdy też nie znosiłem głodu, nie byłem bezdomny. I muszę wyznać szczerze, Zosiu — nigdy nie potrafię na

tamtą klasę patrzeć takiemi oczyma, jak ty i inni towarzysze. Przeciwnie — wszystkiemi fibrami serca odczuwam krzywdę, jaką jej teraz wyrządzacie. Sympatja moja skłania się zawsze do tej strony, która cierpi, a że teraz cierpi tamta klasa, do niej więc należy moja sympatja. Czyżby to było owo uczucie rasowe, o którem mówisz?

— No, mój drogi Zachary, tobie już nic nie pomoże! Wpadłeś porządnie! Czy chcesz, czy nie chcesz — za głęboko już ugrzęzłeś między nami! Choćby cię sumienie rasowe nie wiem jak bolało i dręczyło — będziesz musiał wytrwać na naszym froncie!

— Nie wiem, — odpowiedział Mirkin nawpół żartem, nawpół serjo. — Nie uczynię nigdy niczego, co będzie przeciwne memu sumieniu — mówię to z głębokiego przekonania.

— Nawet gdyby to było konieczne dla naszej sprawy, dla proletarjatu?

Mirkin zastanowił się przez chwilę:

— „Konieczną“ nie nazywam rzeczy, która jest ważna dla tej czy innej „rasy“ lub „klasy“, ale dla ogółu.

— Dla ogółu! Którego? Naszego czy ich? Bywa wiele ogółów!

— Zosiu, chciałbym ci coś powiedzieć — słowa, które słyszę teraz często od ciebie i towarzyszów, naprowadzają mię na bardzo smutne myśli. Jestem zdania, że przemawiająca z was nienawiść nie jest nienawiścią do „zła“ samego w sobie. Zapomnieliście o niem i nie myślicie o tem, aby położyć kres „złu“, ale aby zemścić się na ludziach. Taka nienawiść nie jest płodna, lecz niszczycielska. Wy sami stajecie się przecież reprezentantami „zła“, jak niegdyś przeciwna strona.

— Mały Zachary! Mimo swojej brody ciągle jeszcze jesteś dzieckiem! Któż tu mówi o moralności? Stara mo-

ralność umarła razem ze starym światem. Teraz istnieje tylko nowa moralność — moralność rewolucji.

— Wszyscy to zawsze mówili, Zosiu. Każdy dogmat, każdy kościół tworzył własną moralność, i to jest największe niebezpieczeństwo! Ja zaś sądzę, że istnieje jedna tylko moralność, dla wszystkich ludzi i wszystkich światów — moralność prawdy i miłości do ludzi. Inna moralność nie istnieje.

— Dobrze, dobrze, mój poczciwy Zachary! — Przyciągnęła jego brodatą twarz do falującej piersi i przycisnęła ją mocno do siebie. — Czyż nie możesz leżeć przez chwilę spokojnie? Bądź teraz cicho! Opowiem ci coś — o Helenie. Czy wiesz, o czem rozmawiałyśmy, kiedyśmy jeszcze jako dzieci leżały razem w łóżku? Posłuchaj uważnie...! Posłuchajże...!

I towarzyszka Zofja stała się sentymentalna.

ZEMSTA ZA POKOLENIA

Z dwóch pań, mieszkających w domu na Czystoprudnym Bulwarze, młodsza — jak się zdołano wywiedzieć — była hrabianką S., bogatą dziedziczką znanego w całej Rosji rodu bojarów, starsza — jej francuską guwernantką. Rewolucja zaskoczyła je w Moskwie, a nie mogąc opuścić miasta, musiały tutaj pozostać. Usługiwała im oddana pokojówka, która sprzedawała też na rynku wszelkie zbyteczne przedmioty gospodarskie i zakupywała za to żywność. Same panie nie pokazywały się prawie nigdy, kryjąc się lękliwie w swoich pokojach. Tylko od czasu do czasu czarująca sylwetka młodej dziewczyny przesuwała się szybko przez korytarz, a gdy kogoś spotykała, znikała natychmiast jak przerażona łania za tajemniczemi drzwiami. Nikt w całym domu nie zwracał na dwie panie uwagi, jakby to były cienie z dawno umarłego świata, straszące jeszcze po nocach w sta-

rym zamku. Jedynie towarzysz Ryszkow interesował się niemi.

Zamieszkał on w wielkim salonie w stylu Dyrektorjatu, połączonym (zamkniętemi oczywiście) drzwiami z pokojami dawnych właścicielek. Wysokie, wykładane drzewem okna z lekkiemi firankami batystowemi wychodziły na dziedziniec, urządzony jako cieplarnia. Na długim, prostokątnym dziedzińcu, pokrytym śniegiem, stały jeszcze od lata magnolje i rododendrony w wielkich drewnianych donicach, drżąc z zimna, jak zmarznięte dzieci, gdyż nikt nie nakrył ich ochronnym dachem. Zarządca domu, wyznaczony przez nowych mieszkańców i zajmujący małą portjernię przy wjeździe, nie interesował się oczywiście takiemi burżuazyjnemi zabawkami; przypadkowo tylko delikatne drzewka nie zostały porąbane na opał, jak się stało z innemi drzewami cieplarni.

Staroświecki salon, w którym mieszkał Ryszkow, był wysoki i wielki i podobnie jak inne pokoje utrzymany w kolorze białym, z freskami, przedstawiającemi romantyczne sceny. Szafy z jasnego drzewa jesionowego ze szklanemi fasadami i zielonem tłem pełne były porcelany rosyjskiej. Kanapki i krzesła obite były ręcznemi gobelinami w lichym stylu Louis Philippe z czasów prababki. Ponadto z jakiegoś innego pokoju przyniesiono ciężkie, wykładane bronzem łóżko w stylu Empire, w którem sypiał towarzysz Ryszkow.

Domem zarządzał specjalny „komitet domowy". Wyznaczył on dozorcę, który musiał dbać o ogrzewanie domu oraz o porządek.

Towarzysz Ryszkow, jeden z organizatorów Czerwonej Armji, należy do najbardziej zajętych ludzi w państwie. A jednak znajduje czas, aby spędzać wieczory w domu. Prawie nigdy nie wychodzi ani nie przyjmuje gości. Siedzi sam przy wielkim, rzeźbionym stole, na-

krytym, jak wszystkie meble w pokoju, ręcznie haftowanym pokrowcem. Ryszkow rzucił na stół teczkę z aktami i rewolwer, który wyciągnął z kieszeni. Jego krótko ostrzyżona, połyskująca czaszka świeci w mlecznym blasku weneckiego żyrandola, przerobionego już na elektryczność. Oświetlony odblaskiem dobrze opalonego, szerokiego, białego pieca kaflanego, wpatruje się Ryszkow nieruchomym wzrokiem w białe, lakierowane drzwi, prowadzące do pokojów pań, i z nastroszonemi uszami nasłuchuje jakiegoś dźwięku, jakiegoś słowa, jakiegoś szmeru z tamtej strony. Ale daremnie — w pokojach za zamkniętemi drzwiami jest tak cicho, jakby ich mieszkańcy wymarli...

Towarzysz Ryszkow miał powody po temu, że wbrew swoim zwyczajom przesiadywał stale w domu.

Od czasu do czasu płoszył wieczorem albo wczesnym rankiem na korytarzu ową młodą postać kobiecą, której rysów w panującym półmroku nie mógł coprawda rozpoznać. Ryszkow słyszał tylko — nie bez przyjemności — lekki okrzyk przestrachu, jaki wydobywał się z ust zjawy. Potem spoglądał za delikatną sylwetką, która znikała szybko, jak piękna wizja. Szelest jedwabnej bielizny, podobny do dźwięku, jaki wydaje rozdzierany cienki papier, i szmer powiewającego lekkiego szlafroczka łagodnie i mile dźwięczały w uchu Ryszkowa. Przypominały mu cichy plusk ukrytego źródła w krzakach leśnych. Przy takich niespodzianych spotkaniach Ryszkow pomrukiwał zwykle pod nosem:

— Przepraszam, że panią przestraszyłem!

Ale słowa te ginęły niedosłyszane w zastawionym gratami, słabo oświetlonym małą lampką korytarzu, gdyż zjawa znikała natychmiast za drzwiami...

Chociaż Ryszkow nie widział nigdy twarzy tej kobiety, to jednak silne wrażenie wywierał na nim urok sunącej lekko postaci, szelest jedwabiu i delikatna woń sub-

telnych perfum kwiatowych, docierająca do niego niby powiew wiosny wraz z połyskującym odblaskiem rozpuszczonych włosów. Towarzysz Ryszkow nigdy jeszcze nie stykał się z kobietami, które posuwają się tak lekko, wydają takie ciche okrzyki przerażenia, wzdrygają się tak nerwowo i pozostawiają za sobą tak subtelną, lekką woń perfum, niby zapach wiosennego kwiecia. Kobiety, z któremi obcował dotychczas, były spracowane, ociężałe; oddanie się mężczyźnie oznaczało dla nich tyleż, co naprzykład jedzenie. Jedwabnego batystu nigdy na ich ciele nie widział. Nosiły niezliczone halki, jedną na drugiej, nogi ich, spowite w grube pończochy i obute w ciężkie trzewiki, przypominały mu zawsze mróz ulic i chłód zawiei śnieżnych. Zapach tych kobiet bynajmniej nie był miły — była to mieszanina woni jedzenia, wyziewów kuchennych i ostrego mydła albo wyzywających, niemile podniecających nozdrza perfum. Twarze, upudrowane tak silnie, że niepodobna było dostrzec pod niemi skóry, miały cyniczne, brutalne rysy. Po każdej nocy z taką kobietą czuł Ryszkow potrzebę udania się do łaźni i zmycia z siebie czegoś brudnego.

Ostatniemi czasy rozmawiał o tem często z przyjaciółmi-towarzyszami:

— Niech ich djabli porwą! Oni mieli czas pielęgnować swoje kobiety! — Miał przytem na myśli klasę dotychczas uprzywilejowaną. — Cackali się z niemi, owijali je w watę, żeby ciała ich były gładkie — nie jak nasze kobiety, które ze spracowanemi rękoma i brudnemi nogami idą z mężczyzną do łóżka.

Uwagi takie wygłaszał niekiedy, oczywiście nie w tak soczystych wyrażeniach, także wobec towarzyszki Zofji i Mirkina, do których od czasu do czasu przychodził na szklankę herbaty:

— Spłoszyłem dzisiaj naszą arystokratkę. Ale też

zapiszczała! I umknęła jak ptaszek. Trzeba jednak przyznać, że zapach, jaki od niej bije, jest niczego sobie!

Towarzyszce Zofji nie podobał się ton, jak Ryszkow mówił o swoich sąsiadkach.

— Miały zawsze ludzi, którzy za nie pracowali. Pachną dlatego tylko, że inni śmierdzą za nie. Ale dla mnie smród naszych ludzi milszy jest, niż ich zapach!

Nie należy jednak zapominać, że towarzyszka Zofja bardzo chętnie perfumowała się „ich zapachem".

— Tak, to prawda, — przyznawał Ryszkow z uśmiechem i powracał do swego pokoju, dokąd pociągała go woń arystokratki.

Towarzyszce Zofji nie podobał się wogóle stosunek Ryszkowa do dawnych właścicielek domu. Było bowiem rzeczą jasną, że interesował się niemi.

Ilekroć wynosiły coś ze sprzętów na sprzedaż, zarządca domu sprawdzał, czy nie zabierają z domu jakichś przedmiotów, które były zarekwirowane na rzecz proletarjatu. Kiedy towarzysz Ryszkow widział to, dawał zarządcy ukradkiem znak, aby je przepuszczał.

Pewnego dnia towarzyszka Zofja postawiła w „komitecie domowym" wniosek, aby przeprowadzić w pokojach pań rewizję w celu upewnienia się, czy nie biorą one udziału w jakiemś sprzysiężeniu przeciwko rządowi sowieckiemu.

Gdy Ryszkow usłyszał o tem, wydał surowy rozkaz, aby nie niepokojono pań:

— Poco? Stare kobiety! Poco stwarzać jeszcze większe rozgoryczenie?

Ostatniemi czasy przynosi nawet Ryszkow do domu prowjanty — ale nie na własny użytek.

Starannie układa w swoim pokoju na krześle biały chleb (największa rzadkość, przeznaczona tylko dla dzieci w szpitalach), puszkę prasowanego kawioru, kawałek masła i inne produkty spożywcze, ostrożnie wy-

stawia krzesło na korytarz przed drzwi sąsiadek i nakazuje zarządcy uważać pilnie, żeby nikt nie zabrał prowjantu, prócz osób, dla których jest on przeznaczony. Na paczkach kładzie małą karteczkę:

„Dla obywatelki S. od rządu sowieckiego“.

Wieczorem towarzysz Ryszkow powraca do domu i zastaje nietknięte paczki na krześle. Zarządca domu opowiada mu:

— Wyszła, spojrzała przelotnie na te rzeczy, przeczytała kartkę, zrobiła niechętny gest i zostawiła wszystko.

Towarzysz Ryszkow uśmiecha się.

Towarzyszka Zofja dowiaduje się o tem. Wzrusza nerwowo ramionami, czerwieni się i otwarcie powiada towarzyszowi Ryszkowowi, co o tem sądzi:

— Jeżeli czujecie potrzebę dawać biały chleb, przeznaczony dla dzieci w szpitalach, burżujce i nieprzyjaciółce proletarjatu, to jest to wasza sprawa, towarzyszu. Ale z jakiej racji piszecie: „Od rządu sowieckiego“? Co ma rząd sowiecki wspólnego z waszem życiem osobistem?

Towarzysz Ryszkow poważnieje. Tylko oczy jego uśmiechają się, zapalają się w nich zimne ogniki. Z energicznym gestem odpowiada:

— To moja sprawa, towarzyszko Zofjo!

— To nie wasza sprawa, towarzyszu Ryszkow!

— To był żart, — odpowiada Ryszkow pod nosem. — Zresztą jest to moja sprawa prywatna i proszę was, abyście się do tego nie wtrącały. Ja się także nie wtrącam w wasze sprawy prywatne.

Towarzyszka Zofja czerwieni się znowu po uszy i odpowiada:

— Ja nie mam spraw prywatnych...

Ale towarzysz Ryszkow nie daje się nastraszyć. Znowu stawia krzesło z prowjantami pod drzwiami. Tym ra

zem dołącza herbatę i cukier. Ale na załączonej kartce nie jest już napisane „Od rządu sowieckiego“, lecz „Od towarzysza R...“

Towarzyszka Zofja nie wtrąca się już. Jest to sprawa prywatna, która nikogo nie obchodzi.

Wieczorem towarzysz Ryszkow zastaje znowu nietknięte paczki na krześle. Z uśmiechem powiada:

— Twardy orzech!

Mija znowu kilka dni. Za zamkniętemi drzwiami nie słychać żadnego dźwięku. Zarządca domu opowiada:

— Już od kilku dni nie wychodziły nic sprzedać — widocznie nie mają już nic do sprzedania.

Wówczas towarzysz Ryszkow dochodzi do wniosku, że chwila właściwa nadeszła.

Znowu przynosi do domu prowjanty i stawia krzesło pod drzwiami. Tym razem w paczkach znajdują się krupy i ryż, kawior, masło, chleb, a ponadto spora ilość najcenniejszej rzeczy, jaka jest w Rosji — soli. Leży na samym wierzchu, aby ją można było natychmiast zauważyć. Kartki niema.

Gdy Ryszkow powraca wieczorem do domu, zastaje wszystko na krześle, tylko soli brak.

Cała jego połyskująca twarz śmieje się:

— Hurra! Sól zwyciężyła!

I pozostawia prowjanty na krześle.

Następnego ranka krzesło jest próżne.

Przy najbliższem spotkaniu na korytarzu delikatna postać nie ucieka już i nie wydaje okrzyku. Para wielkich, szarych oczu rosyjskich między gładkiemi, delikatnemi powiekami, nad któremi wznoszą się delikatnym łukiem wąskie, nieco podkreślone brwi, przygląda mu się ze zdumieniem, poważnie, a jednak z jakimś pożądliwym lękiem. Bezrzęsne oczy Ryszkowa spoglądają teraz także ze zdumieniem, poważnie, z pożądliwym lękiem. Dwie pary typowo rosyjskich oczu zatapiają się

w sobie nawzajem, na sekundę, która zdaje się trwać godzinę, a każda z tych dwu par oczu chce pokonać drugą. Potem dziewczyna spuszcza głowę. Ryszkow widzi przed sobą gładką fryzurę dziewczęcą; głowa ta schylona jest pokornie, jak u zbłąkanego źrebięcia.

— Dlaczego pan to robi? — pyta dziewczyna.

I zanim Ryszkow ma czas odpowiedzieć, odchodzi lekkim krokiem i znika za drzwiami.

Ryszkow przygląda się sobie w wielkiem lustrze w swoim pokoju i spostrzega, że twarz jego jest blada. Zna powód. Serce jego wali szybko, jakby przed chwilą zabił człowieka. Nie może opanować podniecenia.

Spłuwa, zabiera teczkę z aktami i szybko wychodzi do biura. Przez cały dzień pracuje gorączkowo w rozmaitych komisjach, załatwia dziesięć spraw naraz, rozmawia jednocześnie przez telefon i z ludźmi, stojącymi przed jego biurkiem, mknie jak szalony autem z urzędu do urzędu. Robota pali mu się w rękach i pozwala mu zapomnieć o wszystkiem.

Ale gdy się dowiaduje, że towarzyszka Zofja kazała wyłamać drzwi wmurowanej bieliźniarki i rozdzieliła znalezione tam prześcieradła między mieszkańców domu, aby sobie z nich uszyli koszule, popada w gniew. Każe zarządcy odebrać natychmiast rozdaną bieliznę i odsyła ją paniom.

— Komitet domowy postanowił skonfiskować prześcieradła! — woła towarzyszka Zofja, blada z wściekłości, z pianą w kącikach ust. — Nikt z nas nie ma porządnej koszuli, nikt prześcieradła, a tam butwieją po szafach całe stosy bielizny. Nikt z tego nie ma korzyści, co najwyżej myszy — a wodzowie proletarjatu nie mają koszuli na ciele!

Teraz i towarzysz Ryszkow wpada we wściekłość. Z twarzy jego znika nawet spokojny, chłodny uśmiech:

— Poto właśnie m y jesteśmy proletarjuszami! O n i

niech się nawet uduszą swoją bielizną. Gdy będzie trzeba, postawimy ich pod ścianą. Ale działać na własną rękę — tak robią anarchiści, nie bolszewicy! Oddam was pod sąd partyjny!

— Jest to postanowienie komitetu domowego...

— Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! Nie jesteśmy bandytami — zrozumiano?!

Wie, że nie ma racji, i zły jest na siebie, że dał się unieść sentymentalnemu odruchowi, spluwa z wściekłością i postanawia nie troszczyć się więcej o sąsiadki.

Wieczorem szepce administratorowi prowjantowemu w komisarjacie spraw wojskowych, aby wystawił mu odrębny kwit porcyjny, gdyż on, Ryszkow, ma w domu wizytę natury prywatnej. Administrator rozumie aluzję...

Ale i za zamkniętemi drzwiami stracono widocznie równowagę. Podobnie jak stara krew bojarska, płynąca w nerwowej, chłopięcej postaci arystokratki rosyjskiej, budziła w Ryszkowie niepokój i podniecenie, tak i za tajemniczemi drzwiami ostatnia latorośl prastarego rodu czuła się wzburzona pod wpływem spotkania z nowym człowiekiem, dzieckiem rewolucji rosyjskiej: Kim jest ten okropny człowiek, który wyszedł z ciemnej głębi piwnicznej, strącił cara z tronu, zajął stolicę i bezlitośnie rządzi teraz życiem i śmiercią z Kremlu, siedziby cara-batiuszki? Kim jest ten Ryszkow, przed którego imieniem drżą wszyscy wielcy i potężni, jakich widywała na balach dworskich? Byli przecież tak silni i wszechmocni, zdawało się, że żadna potęga na świecie nie zdoła nimi zachwiać? Kim jest to dziwne, dzikie zwierzę, burzące kłami i pazurami wspaniałość Rosji, miażdżące jej świetność? Ten straszliwy Ryszkow mieszka z nią drzwi w drzwi, siedzi w pokoju ojca, sypia w salonie w ślubnem łóżku mamy. I rzecz dziwna — ten Ryszkow nie jest wcale straszny! Ma szczerą twarz ro-

syjską z niebieskiemi rosyjskiemi oczyma i wielką, kanciastą czaszkę: „Dlaczego on właściwie goli głowę? Radabym zobaczyć jego włosy! Nie — tak jest bardziej zajmujący! Z tą wygoloną, kanciastą czaszką wygląda dziwnie obco i silnie, jak powinien właśnie wyglądać straszliwy Ryszkow, który zdobył Moskwę! I ten Ryszkow jest dla mnie uprzejmy...“

Początkowo gardziła nim, gdyż śmiał stawiać jej jedzenie przed drzwiami. Ale teraz rozumie jego postępowanie:

„Ryszkow broni mię przed temi okropnemi Żydówkami, które rządzą w domu. Gdyby nie on, zamordowałyby mię dawno. Uratował mi bieliznę rodzinną. O nie — nie żąda ode mnie niczego, jego troska o mnie nie jest podyktowana złemi zamiarami! Przemawia z niego tylko dusza rosyjska — jedna dusza rosyjska ujmuje się za drugą. I kto wie — może właśnie lud, który tak bardzo zaniedbywaliśmy, przyniesie Rosji zbawienie?! Chłop rosyjski uratował już raz mateczkę Rosję przed najeźdźcami polskimi i posadził na tronie pierwszego Romanowa, cara Michała Fedorowicza. Dlaczego nie ma się to stać znowu? Człowiek z ludu nie odegrał jeszcze zupełnie swojej roli w życiu rosyjskiem. Teraz dopiero zaczyna się jego rola, może więc on przyniesie zbawienie“.

I czuje palące pragnienie poznania tego człowieka rosyjskiego, rozmawiania z nim — nawet gdyby się miała narazić, że wpadnie w jego moc, a może właśnie poto...

Kiedy następnym razem spotyka towarzysza Ryszkowa w ciemnym korytarzu, nie schyla już głowy, lecz otwarcie patrzy mu w oczy:

— Dziękuję panu, — wyciąga do niego miękką, chłodną dłoń dziewczęcą.

— Zaco?

— Gdyby nie pan, ci Żydzi dawnoby mię zabili.

Towarzysz Ryszkow marszczy czoło. Zły jest na nią za te słowa — ale bardziej jeszcz zły jest na siebie, że dla jakiegoś głupiego sentymentu wysłuchuje takie „kacerskie" słowa. Chce jej dać do zrozumienia, że jego zainteresowanie jej osobą zmierza do czegoś zupełnie innego. I aby niedwuznacznie wskazać swoje motywy, chwyta ją brutalnie za rękę, bezczelnie spogląda jej w oczy i mówi tonem, nie pozostawiającym wątpliwości:

— Jeżeli chce mi pani podziękować, to tutaj nie jest odpowiednie miejsce. Niech pani przyjdzie wieczorem do mojego pokoju, jestem sam.

Fala krwi zalewa jej twarz. Towarzysz Ryszkow widzi, jak czerwieni się nawet skóra jej głowy i karku, który dostrzega teraz ponad wstydliwie pochyloną twarzą. A jednak arystokratka nie krzyczy i nie ucieka swoim lekkim, powiewnym krokiem. Pochyla tylko głowę jeszcze niżej, jak zwierzę, prowadzone do rzeźni, i milczy.

— No — przyjdzie pani? Czy mam na panią czekać? — szepcze teraz Ryszkow tuż przy jej twarzy i mocniej jeszcze ściska jej rękę.

Ona pochyla niemo głowę: — ofiara.

— Ale nie na dyskutowanie! — dodaje Ryszkow z brutalnym śmiechem.

Nagle dziewczyna poczyna drżeć na całem ciele jak w gorączce. Wzruszająco delikatna bladość powleka jej twarz. Zaciśnięte wargi rozchylają się, a płaczliwy grymas odsłania połyskujący, perłowy sznur zębów; hrabianka daremnie sili się wypowiedzieć słowo. Serce jej bije głośno, z oczu strzela błyskawica, wpijająca się głęboko w oczy Ryszkowa; wreszcie powiada cicho, przez zęby:

— Jeżeli mnie pan chce — przyjdę, — i szybko znika za drzwiami.

Ryszkow czeka jedną noc, drugą — ale ona nie przychodzi...

Chce mu się podobać, stać się taką jak on, zstąpić w lud. I za zamkniętemi drzwiami zmaga się ze swoją przeszłością. Wreszcie przezwycięża wszystko. Postanawia oddać mu się, nawet gdyby ją miał potraktować brutalnie.

Każe wiernej pokojówce wyszukać kostjum wieśniaczy, który wraz z innemi strojami maskaradowemi wisi jeszcze w szafie. Dobrze jej jest w chłopskiej sukni. Stała się dziewczyną z ludu: włosy splotła w dwa długie warkocze, na głowę włożyła złoty czepek z welonem z gazy. Stanik haftowany jest błyszczącemi paciorkami, długa spodnica z perkalu w kwiaty opada szerokiemi fałdami. Hrabianka chce być jedną z nich, chce być traktowana jak wiejska dziewczyna, która przychodzi do pana do stajni...

Towarzysz Ryszkow siedzi bez marynarki przy wspaniale rzeźbionym stole; przed nim leży rewolwer, a on, zlany potem, pije herbatę i przegląda leżące na stole akta. Wtem rozlega się pukanie i głos dziewczęcy pyta:

— Czy można?

Ryszkow spogląda zdumiony, z pogardliwym śmiechem w jasno oświetloną twarz hrabianki w sukniach wieśniaczki. Potem powiada, śmiejąc się swobodnie:

— Tego gatunku mam dość. Przyjdź w hrabiowskim stroju, jaki nosiłaś dawniej na balach dworskich!

Krzyk, przepojony łzami. Postać znika za drzwiami.

Towarzysz Ryszkow pochyla się znowu nad stołem.

Długi szereg pokoleń bojarskich wcielił się w słabą dziewczynę. Niby demony walczą one we krwi tego delikatnego ciała o jej cześć i dumę. Ale ostatnia kropla

krwi bojarskiej chce zatonąć w morzu ludu. Delikatna jak tchnienie skóra dziewczęca pragnie namiętnie dotknięcia brutalnych, silnych rąk. Wątłe ciało czuje pragnienie poddania się potężnej, gwałtownej woli, bodaj cielesnego sponiewierania przez mężczyznę, chce zemrzeć jak powiew wiatru i zupełnie, zupełnie poddać się silnemu, niepowstrzymanemu rozkazowi. Jedną noc, drugą, tydzień zmaga się dziewczyna w męczących walkach z cieniami dziadów i pradziadów — wreszcie decyzja jej zrywa przemocą więzy, łączące ją ze zmarłymi. Poddaje się silniejszej potędze.

Czyni, czego on żądał.

W sukni dworskiej z koronek i bursztynowego atłasu z głębokim dekoltem na szyi i plecach, owiana wonią ostatniej kropli perfum, w czarnym szalu koronkowym na obnażonych ramionach, z wachlarzem w ręku przychodzi do pokoju Ryszkowa i staje przed nim, czekając na jego rozkazy.

Ryszkow ujmuje ją za rękę i zmusza, aby usiadła obok niego.

— Piękne masz koronki! — ujmuje w rękę jej szal. — Pewnie odziedziczone?

— Koronki rodzinne.

— Naturalnie! Poddani robili je po całych nocach, tak samo jak dywany w tym pokoju. Rąk było dość, nie kosztowały nic, — śmieje się Ryszkow.

Ona wolałaby rozmawiać z nim o czemś innem, ale on upiera się przy tym temacie:

— Dużo chłopów mieliście w swojej wsi?

— W której?

— W tej wielkiej, gdzie mieszkaliście.

— Wszystkie nasze wsie były wielkie. Ale w żadnej z nich nie mieszkaliśmy. Zimę spędzaliśmy w Moskwie, lato zagranicą, — odpowiada dziewczyna, starając się zjednać go sobie uśmiechem.

— A jak się nazywa wasza miejscowość rodzinna?

— Ma pan na myśli dobra hrabiowskie, gdzie stoi nasz zamek? Zamieczko, w Kurskiej gubernji.

— W Kurskiej gubernji? — pyta Ryszkow zdumiony. — Znam ją doskonale. Ja sam stamtąd pochodzę. Jesteśmy więc niejako rodakami. — Pokazuje w śmiechu lśniące zęby, od których hrabianka nie może oderwać oczu.

— A czy byli u was chłopi z rudoblond brodami, bardzo krótkiemi, ostremi, koziemi bródkami, o przebiegłych oczach i szczerych, uczciwych twarzach, którzy śmiali się ciągle i dziękowali za wszystko? — pyta żartem.

— Byli i tacy — odpowiada dziewczyna, uśmiechając się także wesoło.

— Czy wiesz, że ja miałem takiego ojca? Był synem pańszczyźnianego chłopa, zdaje mi się nawet, że jako mały chłopiec był we dworze. Opowiadał mi o tem często. Pochodził z gubernji Kurskiej — kto wie, może nawet z waszej wsi. Może nawet jesteśmy spokrewnieni!

Ryszkow ujmuje jej małą, delikatną dłoń w swoje grube palce i ściska ją mocno. Jej ożywiona nagle twarz zdradza, że uścisk ten sprawia jej dręczącą radość.

— Kto wie, może jesteśmy nawet spokrewnieni. chłopi nasi byli osiadli od wielu pokoleń, traktowaliśmy ich jak członków rodziny, — odpowiada hrabianka, śmiejąc się wesoło.

— No, jeżeli jesteśmy z jednej okolicy, to chodź, zobaczymy, czy się do siebie nadajemy!...

Ryszkow bierze ją na ręce i zanosi jak kotkę na wielkie łoże ślubne jej matki. Rozlega się tylko słaby pisk, jakby na piersi Ryszkowa dusiło się kurczątko.

— Pozwól mi zdjąć suknię, podrzesz ją!

— Suknia jest mocna, zrobiono ją w pańskim dworze!

I jednocześnie Ryszkow myśli:

„Szkoda, że mój stary ojciec nie żyje! Chętnie podzieliłbym się z nim tą radością dla pokrzepienia serca“.

WĄTPLIWOŚCI

Serce Zacharego toczył robak — wątpliwości.

O ile tylko mógł, starał się wierzyć nadal: stawiał sobie za wzór entuzjazm, jaki płonął w Zosi i wszystkich jego znajomych, zarzucał sobie chwiejność i słabość charakteru, które były rzekomo jedyną przyczyną jego powątpiewania. Tłumił więc znowu wątpliwości i spełniał swoją pracę skrupulatnie jak zawsze, brał udział w posiedzeniach wszystkich komitetów, do których należał, pełnił służbę w komitecie gospodarczym, w komisji oświaty ludowej i w rozmaitych innych urzędach, do których dostał się przez przypadek.

— Cierpienia są rzeczą nieuniknioną, — powiadał sobie coraz to na nowo. — Są to bóle porodowe nowego świata. Rewolucja toruje sobie drogę w życie i miażdży wszystkich, co się jej opierają. Trzeba tylko znaleźć sposób jak najszybszego dostosowania się do nowego, wielkiego szczęścia...

Ale były to słowa tylko — a robak toczył go dalej.

Pierwszą ranę odniósł Zachary w Petersburgu, podczas rozpędzania konstytuanty. Sam sobie właściwie nie uświadamiał, jak głębokie było wrażenie, jakie wywarł na nim ten wypadek. Z Petersburga powrócił w stanie zwierzyny, na którą przed chwilą polowano: uciekła wprawdzie i uniosła życie, ale kula, która utkwiła w ciele, przenika coraz głębiej.

— Jakiem prawem mogę brać na siebie odpowiedzialność? — zwierzał się ze swych myśli Zosi, siostrze swojej narzeczonej. — Mimo wszelkich argumentów, ja-

kie możnaby przytoczyć na wytłumaczenie — widok ten był niezmiernie przykry. Aby uczynić coś podobnego, trzeba mieć sporą dozę odwagi... Odwagi i wiary, — dodał. — Nie rozumiem, skąd przewódcy czerpią jedno i drugie! Z obecnego położenia, jakie stworzyła rewolucja?

— Z ponurej przeszłości i jasnej przyszłości! — brzmiała odpowiedź Zosi.

Mirkin zastanowił się:

— Ale czy nadejdzie kiedyś ta jasna przyszłość, gwoli której opłaci się tyle cierpień?

Jak każdy inteligent rosyjski, łączył Mirkin w wyobraźni wyzwolenie człowieka ze wszelkich więzów z rewolucją. Jak pobożni Żydzi, nie znający zwątpienia, będą mogli po przybyciu Mesjasza kroczyć bezpiecznie po mostach z papieru, tak i inteligenci rosyjscy wierzyli niezachwianie, że poranek rewolucji wyzwoli świat od wszelkich trosk, gdyż — chleb będzie poprostu rósł na drzewach!

Natychmiast po przewrocie październikowym przystąpił Mirkin do rozwinięcia długo krępowanych skrzydeł. Nosił się z wielkiemi planami i sądził, że zdoła je natychmiast urzeczywistnić. Przedewszystkiem interesował go problem, który mu był najbliższy i którym — coprawda bez rezultatów praktycznych — zajmował się już w Warszawie: oderwanie mas żydowskich od jałowych interesów, przy których trzymała je nienawiść świata i własna obojętność, i skierowanie ich do produktywnej, twórczej pracy. Zachary sądził, że można to osiągnąć zapomocą dekretu: — zamknąć wszystkie sklepiki żydowskie i umieścić wszystkich Żydów w fabrykach albo na roli, słowem — jednem pociągnięciem pióra zmienić w ciągu nocy strukturę całego narodu żydowskiego.

„Kto nam to może zabronić?“ — powiadał sobie.

Istotnie kramy żydowskie zostały pozamykane. Ale umieścić Żydów w fabrykach albo poosadzać na roli — okazało się niemożliwością. Gdyż życie rzeczywiście nie zatrzymało się nazajutrz po rewolucji, lecz kroczyło dalej swoim nieubłaganym, jednostajnym, powolnym krokiem. Niewzruszone było jak mur i nie ustępowało.

Wielkie plany odrodzenia mas żydowskich trzeba było, jak wszystkie inne wielkie plany, odsunąć w nieokreśloną przyszłość, aż się czasy uspokoją. Tymczasem czyniono to, co najłatwiej było uczynić, co nie kosztowało wysiłku i dawało się przeprowadzić siłą ustawy: zapomocą edyktu pozbawiono miljony ludzi uczciwego zajęcia, do którego nawykli. Stary mechanizm podziału pracy i dóbr runął, nowy nie został stworzony. Ale życie domagało się swoich praw i niby rwący potok zburzyło tamy prawa. W ciągu jednej nocy naród lojalnych, pracowitych obywateli, który wskutek uciemiężenia pod starym ustrojem pokładał wszystkie nadzieje w rewolucji, napiętnowany został jako tłum kontrrewolucjonistów i zbrodniarzy. Coraz gęściej wypełniały się więzienia. A jak z własnym ludem Mirkina, tak postępowano z całą Rosją.

Gdziekolwiek padał wzrok Zacharego, wszędzie widział zniszczenie i ruinę, cierpienie i łzy, stworzone przez „październik“. Trudności, które gromadziły się już wskutek niepomyślnych wypadków zewnętrznych i których niepodobna było opanować, komplikowały się jeszcze tysiąckrotnie przez codzień nowe „dekrety“, podyktowane nie przez życie, nie przez potrzebę chwili, nawet nie przez interes własny rządzących, ale przez martwy dogmat.

Mirkin spostrzegł jednak nietylko, że dogmat stawiany był wyżej, niż żywy interes ludzi, ale także, że cała ludność Rosji, podobnie jak za najcięższych, najposępniejszych czasów, zamieniona została w masę niewol-

ników bałwana, któremu było teraz na imię „paździer-nik".

Najbardziej jednak bolała go niesprawiedliwość, jakiej się na każdym kroku dopuszczano wobec żywych ludzi, których jedynym grzechem było, że należeli do innej klasy. Jako Żyd znał okrucieństwo nienawiści rasowej, której doświadczył przecież na własnem ciele i która teraz nieubłaganie zwróciła się przeciwko „obcej klasie".

— Gdzie kres? Przed czem się wreszcie zatrzymasz? — zapytał kiedyś Zosię.

— Aby osiągnąć cel rewolucji — przed niczem!

— Kroczyłabyś nawet po ciałach swoich najbliższych?

— Nawet po ciałach moich najbliższych!

Mirkin zamyślił się:

— To przecież okropne! Rewolucja zabija w tobie uczucia ludzkie i czyni cię zwierzęciem!

— Nie — rewolucja budzi tylko w tobie „poczucie rasowe"! — odpowiedziała Zosia z chłodnym uśmiechem.

Zachary zadawał sobie pytanie:

„Czem jest rasa? Wspólna krew, płynąca w żyłach plemienia — podobnie jak soki życia płyną z jednego korzenia po całym pniu drzewa, przez wszystkie konary i gałęzie aż do najdalszych listków. Rasa — to ta sama ziemia, ta sama wilgoć, ta sama chmura, te same warunki atmosferyczne, to samo promieniowanie słońca, ten sam kawałek nieba. Korzeń drzewa wsysa całą siłę życiową ze swego kawałka gleby, zużywa ją dla siebie i niweczy przez to korzenie innych roślin, które wdzierają się do jego obszaru. Dzieje się to ku naszej korzyści, ku pożytkowi naszego wspólnego życia na drzewie. Początkowo rasa obejmowała członków jednego plemienia, jednego narodu, bez względu na to, czy byli bogaci,

czy ubodzy. Teraz inna jest zasada podziału: krew rasowa płynie tylko w jednej k l a s i e. Klasa jest wszystkiem: narodem, wiarą, niebem i mieniem ziemskiem".

Mimo wszelkich wysiłków, aby wykrzesać w sobie ten nowy instynkt rasowy, Mirkin nie mógł tego sprawić. Ku swojej hańbie i przerażeniu musiał sobie wyznać, że cała jego miłość i cały sentyment, podobnie jak początkowo były po stronie tych, którym działa się największa krzywda, więc udręczonych, uciśnionych, ubogich — tak teraz niby ostrze wagi przechyliły się na stronę nowych ubogich, bogaczów.

„Pewną jest rzeczą", powiadał sobie, „że trzeba zmienić zły ustrój świata, trzeba usunąć garb, jaki wyrósł na naszych plecach wskutek wielowiekowej nierówności społecznej. Ale jaką winę ponoszą tutaj ludzie? Są oni jak konie zaprzągnięci do dyszla epoki, cugle okoliczności prowadzą ich w przepisanym kierunku, bezlitosny bicz środowiska, otoczenia, nawyknień, trybu życia gna ich naprzód. Pewną jest rzeczą, że trzeba zmienić kierunek. Ale to, co się teraz dzieje, jest niczem innem, jak bezcelowem i bezsensownem smaganiem koni batem, z samej tylko żądzy zemsty. Ogarnęła nas nowa nienawiść rasowa".

Między innemi nie mógł Mirkin zrozumieć stosunku swojej klasy do dawnych właścicieli domu, w którym mieszkał. W sercu jego budziło się silne, gorące uczucie litości nad nimi. Ilekroć przechodził przez korytarz, lękał się wprost spotkania z nimi, i jak złodziej skradał się do swego pokoju. Wzdragał się też tknąć jakiegokolwiek przedmiotu w mieszkaniu, i nie mógł pojąć, że Zosia z taką naturalnością i nieskrępowaniem wykorzystywała radę domową obcego mieszkania, jakby wszystko tutaj zawsze należało do niej. Nieraz dochodziło z tego powodu do tarć, a nawet przykrych scen.

— To przecież najzwyczajniejszy rozbój! — zawołał Mirkin podczas jednej z takich sprzeczek.

— Rozbojem było to, co się działo dotychczas. Teraz mienie to przeszło we właściwe ręce, — odpowiedziała Zosia.

Z zachowaniem Zosi wobec dawnych właścicieli mógł się jednak jeszcze jako tako pogodzić. Ale to, co czynił towarzysz Ryszkow (jak wszyscy mieszkańcy domu, wiedział Mirkin o stosunku Ryszkowa do hrabianki), uważał Zachary za zbrodnię, która oburzała go do głębi.

Zosia odpowiadała na wszelkie jego zarzuty drwiącą uwagą:

— Przemawia przez ciebie „rasa"!

I istotnie — Zachary czuł, że „rasa" budziła się w nim — owa rasa, do której należał, owa strona przeciwna. Coraz silniej i dobitniej działało w nim poczucie rasowe na korzyść najbliższych, na korzyść ojca...

Stosunek jego do ojca zmienił się zasadniczo. Wobec warunków, w jakich ojciec znajdował się teraz, znikła wszelka gorycz, jaką Zachary żywił kiedyś wobec niego: pozostał tylko szacunek i zmieszany niemal z zazdrością podziw dla godnego zachowania ojca. Dzięki temu stary Mirkin stał teraz dla Zacharego na niedosiężonej wyżynie. Syn był dumny z tej wspaniałej godności. Coraz głośniej — teraz już zupełnie jawnie — przemawiać w nim poczęły owe wrodzone uczucia, jakie dziecko żywi dla ojca. Ukryte źródła miłości i poważania trysnęły z duszy Zacharego. Bez lęku i nie kryjąc się przed nikim, odwiedzał teraz ojca w wolnych chwilach wieczornych w gołym pokoju Hotelu Narodowego, gdzie Gabrjel Chaimowicz zamieszkał po przeniesieniu się do Moskwy.

Stary Mirkin żył jak pustelnik. Niepojętą było rzeczą, skąd ten człowiek, stojący już niemal nad grobem, czerpał swoją młodzieńczą beztroskę. Jakby całe życie

leżało jeszcze przed nim i jakby przyszłość kryła jeszcze dla niego niejedną niespodziankę, kroczył obojętnie przez mroki i niebezpieczeństwa chwili obecnej. Wieczorem przyrządzał sobie na naftowej maszynce jedzenie z otrzymywanych racyj. Z mieszkania petersburskiego zabrał dostateczny zapas bielizny, obuwia i garderoby, był więc stale czysto i starannie ubrany (na co zwracał zawsze najbaczniejszą uwagę). Przy swojej niezwykłej czystości przypominał jakby lalkę gumową, płynącą po topieli: fale miotają nią, chwilami znika pod wodą, ale natychmiast wynurza się znowu...

Kiedy Zachary przychodził z wizytą, ojciec traktował go jak dziecko — coprawda jak złe, nieudane dziecko, ale jednak jak dziecko. Niekiedy wskazywał mu drzwi:

— Poco to? Czyż nie wiesz, w jakich czasach żyjemy? Towarzysze będą na ciebie krzywo patrzeli, a mnie tem żadnej przysługi nie wyświadczysz. Mówię zupełnie poważnie — zaprzestań swoich wizyt, tem bardziej, że nie przynoszą one nam obu najmniejszej korzyści!

Gdy Zosia dowiedziała się o wizytach Zacharego u ojca, rzekła z wyrzutem:

— Natura ciągnie wilka do lasu...

Odnalezienie ojca zbudziło w Zacharym wizję innej postaci, o której sądził, że należy do dawno minionego życia, które już nigdy nie może powrócić. Wrzawa dnia, burzliwy pęd walki życiowej zatarły w nim zupełnie tę postać; lecz jak promień słońca przebija się przez grube chmury, tak zjawa ta przemykała obok niego, ale tylko, kiedy był sam. W wirze pracy nie ukazywała się nigdy. W tych jednak dniach, gdy był zupełnie samotny i słyszał bicie własnego serca, wynurzała się przed nim często. Widział ją, jak stoi przy wielkiej misce i myje główki dziecięce. Samej nie widywał jej nigdy — za-

wsze otaczały ją wieńcem oczy dziecięce i dziecięce ramiona. I co dziwna — miał wrażenie, jakby pośrodku gromady małych chłopców i dziewcząt, odzianych w zbyt wielkie ubrania rodziców, stała i jego własna dusza, czekając swojej kolei... I nagle zrozumiał: podczas gdy ciało jego porwał tutaj oszołamiający wir i wrzawa, dusza jego pozostała przy niej, a on szedł po świecie nagi, bez duszy...

I właśnie przez to, że dusza jego pozostała przy niej, pod jej pieczą, czuł się Zachary bezpieczny. Miał wrażenie, jakby koniec liny ratowniczej, która go mogła zbawić, znajdował się w jej rękach.

Kiedy Zachary przyszedł pewnego dnia do ojca do hotelu, zastał go w najwyższem podnieceniu. Stary Mirkin nigdy nie wspominał wobec syna o przykrościach, jakie go spotykały w biurze, a imię Miszy „Mołodca" nigdy nie padło z jego ust. Ale teraz pienił się niepohamowaną wściekłością. Zachary nigdy jeszcze nie widział ojca w takim stanie. Oczy starca były zaczerwienione, jakby nie spał kilka nocy.

— Co się stało, ojcze? — zapytał Zachary przerażony.

— Do djabła! — stary Mirkin nie mógł się już opanować. — Wsadzili mi do przedsiębiorstwa oszusta, przestępcę, tego Miszę „Mołodca" — a teraz chcą mię za to uczynić odpowiedzialnym.

— Misza „Mołodiec"? Któż to taki?

— Jeden z twoich towarzyszów! — zawołał starzec. — Przed rewolucją żaden przyzwoity człowiek nie chciał się z nim zadawać. Mnie proponował nieustannie rozmaite nieczyste interesy, nawet i teraz jeszcze... — stary Mirkin urwał.

— Uspokój się, ojcze! Zobaczę, co się da zrobić. Jak on się nazywa — Misza „Mołodiec"?

— Tak, Misza „Mołodiec“ — znany w całej Rosji jako spekulant i przestępca. Dzisiaj jest zarządzającym mirkinowskich zakładów dostawy podkładów kolejowych, a ja, Gabrjel Mirkin, jestem jego urzędnikiem!

— Uspokój się ojcze, uspokój się! Zobaczymy co można zrobić...

Komisarz spraw gospodarczych, z którym Mirkin znał się doskonale i do którego zwrócił się przedewszystkiem w sprawie ojca, odpowiedział mu:

— Jesteśmy poinformowani i wiemy, kim jest ten człowiek. Specjalnie umieściliśmy go na tem stanowisku, aby pilnował kogoś, kto jest jeszcze większym i jeszcze niebezpieczniejszym szubrawcem, niż on sam — mianowicie waszego ojca.

Mirkin zbladł z oburzenia.

— Proszę was, towarzyszu, abyście w mojej obecności nie obrażali mego ojca!

— Nie wiedziałem, że słowa moje dotkną was. Sądziliśmy wszyscy, że jako rewolucjonista, który brał udział w „październiku“, zerwaliście dawno wszelkie stosunki z ojcem, który znany jest jako jeden z głównych filarów dawnego regime'u. Co was obchodzi honor ojca? To dziwne!

— Przykro mi bardzo, ale zdaje się, że jestem ulepiony z innej gliny. Honor mego ojca obchodzi mię bardzo. A chociaż jestem rewolucjonistą i brałem udział w „październiku“, nie waham się oświadczyć, że mam dla mego ojca szacunek, nietylko dlatego, że jest moim ojcem, ale że jest też — na swój sposób oczywiście — niezmiernie uczciwym, prawdziwie twórczym człowiekiem, co więcej — idealistą!

— Towarzyszu, proszę was bardzo — nie tym tonem!

— Nigdy nie pozwolę obrażać swego ojca. Rewolu-

cja nie może mi zabronić czcić i kochać ojca, który mi jest bliski. To są moje osobiste uczucia.

— Rewolucjonista nie posiada uczuć osobistych! Nawiasem mówiąc, towarzyszu, czy wy właściwie należycie do partji?

— Nie.

— W takim razie sprawa jest zrozumiała!

— Nie wiem, czy w tym wypadku zmieniłby się mój stosunek do ojca!

— Nie, obywatelu, — Mirkin otrzymał nagle ten tytuł, który zaskoczył go dziwnie, — z temi przestarzałemi poglądami o rodzinie, z tem przywiązaniem do ojca, który jest kontrrewolucjonistą, nie możecie wcale należeć do partji! Wybaczcie, praca czeka na mnie.

Mirkin postanowił odwiedzić wieczorem towarzysza Ryszkowa w jego pokoju (wiedział, że Ryszkow spędzał wieczory w domu) i opowiedzieć mu o wszystkiem. Coprawda sprawa nie należała do kompetencji Ryszkowa, ale Mirkin liczył na wielkie stosunki sąsiada. Był przekonany, że Ryszkow oburzy się w najwyższym stopniu, kiedy się dowie, jakie elementy czepiają się poł rewolucji, i natychmiast przedsięweźmie konieczne kroki. Ryszkow był teraz jego ostatnią nadzieją...

Wieczorem zapukał do jego pokoju. Dość długo trwało, aż mu otworzono. Ryszkow wyszedł mu naprzeciw bez marynarki, najwidoczniej zagniewany, i powitał go słowami:

— Wieczór należy do moich spraw prywatnych i nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano!

Mirkin przeprosił go i odwrócił się.

— Jeżeli idzie o sprawy wojskowe, przyjdźcie, proszę, do mego biura — muszę z wami zresztą naprawdę o czemś pomówić, — zawołał za nim Ryszkow.

— Nie, nie idzie o sprawy wojskowe, ale o kwestję,

która dotyczy komitetu gospodarczego. Wybaczcie, że wam przeszkodziłem, zwrócę się do was kiedy indziej.

— Ponieważ już jesteście, towarzyszu, opowiedzcie, o co idzie!

Ryszkow zmienił nagle ton i spojrzał na Mirkina życzliwie, po koleżeńsku. — Rozumiecie, towarzyszu — cały dzień praca, aż człowiekowi głowa pęka. Gdyby się nie miało wieczorem trochę rozrywki, możnaby zwarjować. I wam to doradzam, towarzyszu, taka drobna zabawka ma swoje zalety. Siadajcie więc i opowiedzcie, co wam dolega! Ale streszczajcie się! Rozumiecie przecież — damie nie można kazać długo czekać, — rzekł Ryszkow, mrugając okiem; poprowadził gościa do stołu, na którym stała nawpół opróżniona filiżanka herbaty, i posadził go na fotelu, na którym wyczuwało się jeszcze ciepło ciała, które siedziało na nim przed chwilą.

— Gdzie indziej nie zrozumiano mnie, ale jestem przekonany, że wy uznacie natychmiast doniosłość sprawy, — zaczął Zachary, poczem scharakteryzował osobę Miszy „Mołodca" i opowiedział o jego działalności w przedsiębiorstwie starego Mirkina.

— To wszystko?! I z tego powodu zepsuliście mi tak miłe rendez-vous? Ach, wy... — Ryszkow użył wyrazu, przy którym Mirkin poczerwieniał jak burak.

— Co powiadacie — dawniej był oszustem, a teraz służy nam? Niech go djabli porwą! Kiedy go już nie będziemy potrzebowali i kiedy się stanie szkodliwy, porachujemy się z nim już: poprostu postawimy go pod ścianą! Ale póki nam służy i jest potrzebny — oszczędza się go.

— Ale ja znam sporą ilość takich ludzi, którzy otrzymują legitymacje partyjne. Znam naprzykład takiego samego osobnika w Petersburgu. I z czerwonemi legitymacjami stają się te szumowiny władcami innych,

przyzwoitych i uczciwych ludzi. Nie wolno wam zapominać, że właśnie uczciwi nie mogą tak szybko dostosować się do nowego kierunku, gdyż uczciwość stwarza w nich skrupuły. Kto nie ma skrupułów ani wątpliwości, ten jest oszustem. A jest przecież rzeczą niezmiernej wagi, abyśmy mieli do swojej pracy ludzi moralnych, uczciwych. Jedyną rzeczą, którą możemy przeciwstawić dawnemu ustrojowi, są przecież ludzie...

— Ależ, towarzyszu... czemże jest człowiek? Skórką od kiełbasy, którą napełnić można wszystkiem. Ważne jest tylko, komu człowiek służy, jakiej idei służy. Człowiek sam jest niczem — wczoraj był taki, dzisiaj jest inny. Idzie tylko o to, komu służy.

— Nie, człowiek nie jest tylko skórką od kiełbasy! Człowiek sam przez się posiada absolutną wartość. Jest świętością samą w sobie, celem samym w sobie! — zawołał Mirkin.

— Co? Jesteście anarchistą?

— Nie jestem anarchistą. Wierzę w porządek. Ale jestem zdania, że wszystko, co czynimy i tworzymy, dzieje się gwoli człowieka. Człowiek jest rzeczą najważniejszą. Aby jemu służyć, aby jemu nieść pożytek — poto stworzona została doktryna, a nie naodwrót!

— Wszystko to są teorje, a na teorje nie mamy czasu, towarzyszu. Niema tu zresztą o czem dyskutować. Istnieją dwie grupy — m y i o n i, to jest ci, co są za „październikiem", i ci, co są przeciwko niemu. A m y dzielimy ludzi na dwie grupy: na tych, co służą rewolucji, i na tych, co pracują przeciw niej. Jeżeli człowiek, o którym mówicie, nawrócił się na stronę „października", to należy do nas, choćby był djabłem we własnej osobie. „Październik" już go obmyje, gdyż doktryna podnosi człowieka. Jeśli sprzeciwi się doktrynie, postąpimy odpowiednio do tego. A tymczasem, towarzyszu, nie przeszkadzajcie mi w moich prywatnych

sprawach — rozumiecie przecież?! Przyjdźcie do mnie jutro do biura! Dawno już o was myślałem. Musimy się jąć pracy! Te przeklęte psy nie dają nam spokoju!

Towarzysz Ryszkow wyciągnął do Mirkina rękę.

— Wybaczcie, że wam przeszkodziłem, towarzyszu!

— Nic nie szkodzi. Zawsze jestem gotów służyć naszym „październikowcom". — Ryszkow poklepał go życzliwie po ramieniu i dodał, odprowadzając go do drzwi: — Ale koniecznie jutro, towarzyszu! Słyszycie?

Mirkin opowiedział towarzyszce Zofji o rozmowie z Ryszkowem i wyraził zdumienie, że zdaniem Ryszkowa istnieją tylko dwie grupy ludzi, tych, co są za albo przeciw „październikowi", i że „październik" obmywa ze wszystkich grzechów.

Zosia odpowiedziała:

— No tak — nie wiem naprawdę, dlaczego się dziwisz!

— Czyż nie widzicie, że stwarzacie nowego bożka — „październik"? Od niepamiętnych czasów składali kapłani na ołtarzach swoich bożków ofiary z ludzi. W dziecięcych czasach ludzkości ofiarowywano ludzi Molochowi, i to samo dzieje się nieustannie przez ciąg stuleci i tysiącoleci. Ciągle składa się ludzi w ofierze, nie jakimś wyższym celom w ofierze, ale skamieniałemu dogmatowi, Molochowi, religji, carowi, ojczyźnie — a teraz „październikowi". Kroczycie wydeptanemi ścieżkami bałwochwalstwa! Czy sądzisz, że Moloch był pierwotnie czemś innem, niż jakimś „październikiem"? Początkowo każda idea przybywa z posłannictwem zbawienia ludzkości, służenia jej, dopomagania jej w bezradnej sytuacji. Ale gdy idea skamienieje i stanie się dogmatem, zamienia się na ołtarz ofiarny, na którym zarzyna się na jej cześć ludzi. I Moloch był pierwotnie rewolucjonistą. Powstał przeciwko bożkowi, który panował przed nim. Kapłani wmawiali ludziom, że tylko

ten Moloch może ich obronić przed złemi duchami i niszczycielskiemi burzami, że on jest prawdziwym zbawicielem ludzi. Ale gdy stał się potem panującym bogiem, poczęto mu składać ludzi w ofierze. Taka była droga wszystkich bożków. I obawiam się, że zupełnie w ten sam sposób przyszła teraz kolej na „październik".

Zosia zbladła.

— I to mówisz ty, rewolucjonista, człowiek, który brał udział w „październiku"?

— Właśnie dlatego mam prawo i obowiązek mówić to.

— Zachary, co tobie?

— Nie wiem, Zosiu, nie wiem! Ale czuję — że to nic dobrego!...

Późno w nocy powrócił ukradkiem do ojca do Hotelu Narodowego.

— Ojcze — uciekaj! Pomyśl o swojem życiu, uciekaj! Nie wolno ci tu pozostać! Wpraw w ruch wszelkie sprężyny i uciekaj!

Stary Mirkin zbladł śmiertelnie. Ale natychmiast opanował się znowu. Także poprzednia jego rozpacz w głosie znikła zupełnie:

— Zdaje mi się, Zachary — że uciekać powinieneś ty. Najwyższy już czas, — rzekł, marszcząc czoło z zatroskaniem.

POZA SZEREGIEM

Skończyła się jedna wojna — zaczęła się druga.

Jej pożądliwe wilcze oczy świeciły na wszystkich czterech krańcach olbrzymiego państwa, a trupią jej woń czuło się już w stolicy.

Orły niemieckie dotarły aż do Pskowa i zawisły ciężko nad krajem. Ukraina stała się obcem państwem. Niemcy gotowali się do zawładnięcia stolicą, zanim ich

ktoś uprzedzi. Na północy Francuzi i Anglicy zajęli Murmańsk i Archangielsk. W Jarosławiu znajdowali się białogwardziści, wspierani przez socjal-rewolucjonistów. Nad Wołgą koncentrowały się oddziały czeskosłowackich jeńców wojennych. Nad Donem i na Kaukazie zjawił się znowu zbiegły generał Krasnow, zbierając swoich kozaków. Wszyscy, wszyscy zbliżali się coraz bardziej, wyciągając do siebie wzajemnie ręce, aby się połączyć.

Wąż wojny uporczywiej niż dotąd rozłożył się na obiecanym pierniku rewolucji październikowej. Zaledwie rozpuszczono pierwsze oddziały na froncie (była to cena za Wołyń i Białoruś), natychmiast tworzyć się poczęły po koszarach, fabrykach i pustych budynkach szkolnych nowe kadry. Znowu zjawili się ludzie w brudnych koszulach, z ochrypłemi od mówienia głosami, nawołujący żołnierzy, aby „bronili własnemi piersiami". Tym razem bożek, za którego mają walczyć, nie nazywa się już „car" ani „ojczyzna", nawet nie „rewolucja"; wielki Moloch nazywa się teraz: „październik"...

Gdy Mirkin powrócił do domu, Zosia zajęta była pakowaniem swojej walizy i wielkiej, czerwonej teczki. Wydobyła znowu bronzową kurtkę skórzaną, której ostatnio wcale nie wkładała, nie brakło też czerwonego sznura rewolweru na szyi.

— Co się stało? — zapytał Mirkin.

— Korniłow zjawił się wśród kozaków w Rostowie. Oddziały z frontu tureckiego pod wodzą Sorokina zajęły już Nowo-Czerkask. Zgnieciemy ich na miazgę! A jeżeli będzie trzeba, zamienimy Rosję w jedno morze krwi! O, zamkniemy im drzwi przed nosem, jak należy! Nie uda się im! Poparzą sobie palce! — Zosia wyrzucała te słowa z gorączkowem podnieceniem. — Jadę jako agitatorka na prowincję, aby werbować żołnierzy do Czerwonej Armji. A co się z tobą dzieje? Towarzysz

Ryszkow przysyłał już po ciebie dwa razy. Idź do niego natychmiast! Chcą cię zrobić komisarzem i dać ci dowództwo oddziału. Może będziemy się mogli dostać na ten sam front.

Mirkin pobladł i milczał.

— Dlaczego milczysz? Boisz się może? — roześmiała się Zosia.

— A gdybym się bał — czy byłoby w tem coś dziwnego? Nie rozumiem, dlaczego nie miałbym się bać. W tchórzostwie jest coś dobrego! Może to ono właśnie uczyniło nas ludźmi i zabiło w nas zwierzęcość! Tak, bać się, to rzecz najwłaściwsza! — zawołał Mirkin.

— Lękliwi rewolucjoniści! — zaśmiała się Zosia drwiąco. — Gdybyśmy się bali, nie zaczęlibyśmy rewolucji!

— Gdybym posiadał niezłomną wiarę, że wszystko, co czynimy, kierowane jest wyższą mocą, wiarę, jaką posiadali naprzykład rycerze krzyżowi albo wyznawcy Mahometa — zrzuciłbym odpowiedzialność za przelaną krew na jakiś mit czy jakieś fatum, które nakazuje mi, abym się w jego służbie stał mordercą. Ale my nie posiadamy takiej wyższej mocy ani takiego fatum. Musimy zatem sami odpowiadać wobec siebie za wszystko, według własnego rozumu i sumienia. Wyznaję więc otwarcie: niech to kto jak chce rozumie — brak mi do tego sił.

Zosia rzuciła na niego pogardliwe spojrzenie i rzekła, wzruszając współczująco głową:

— Co ty tam bredzisz o micie i o fatum? Tu idzie o rewolucję, o „październik“, o proletarjat! Wszystko jest w niebezpieczeństwie!

— Nie wierzę w wojnę, — odpowiedział Mirkin krótko.

— W każdym razie radzę ci jak najszybciej udać się do towarzysza Ryszkowa! — zakończyła Zosia, odwraca-

jąc się od niego, i zajęła się gorliwie pakowaniem walizy...

W biurze towarzysza Ryszkowa panował zamęt i ożywienie. Wielki budynek od dołu do góry pełen był ludzi. Nieustanna bieganina. Na wszystkich twarzach podniecenie i wyczekiwanie. Z trudnością przedostał się Mirkin do towarzysza Ryszkowa. Człowiek o wygolonej czaszce siedział w otoczeniu kilkudziesięciu osób przed stosem akt, telefonował co chwila, jednocześnie wydawał obecnym rozkazy, przeglądając zarazem dokumenty, jakie mu podawano. Towarzysz Ryszkow potrafił spełniać dziesięć czynności naraz.

— Towarzysz Mirkin, jeżeli mnie wzrok nie myli, — rzekł szybko, zajmując się jednocześnie najrozmaitszemi sprawami. Podpisywał papiery, wydawał polecenia wchodzącym i wychodzącym osobom, robił notatki, i wśród całej tej pracy zwrócił się do stojącego przed nim Mirkina:

— Towarzyszu Mirkin, — zaczął, skreślając z listy energicznym ruchem jakieś nazwisko, — podczas dni październikowych oddaliście nam wielkie usługi. Gdzieście się teraz zakopali? Siedzicie w komitecie gospodarczym i zajmujecie się cukrem i solą? Do tego mamy dość innych ludzi! Jesteście nam potrzebni, jesteście nam bardzo potrzebni! — Ryszkow zajął się znowu czemś innem, nie zaszczycając gościa nawet spojrzeniem. — Potrzeba nam takich ludzi, jak wy, ludzi, na których można polegać. Rewolucja ma wielu nieprzyjaciół. Siły kontrrewolucyjne skupiają się. Ale już my im pokażemy! Po lasach tworzą się bandy rozbójnicze — wytępimy je! Organizujemy Czerwoną Armję. Potrzebujemy was. Chciałbym, żebyście zwinęli swój kramik i przeszli do nas. Potrzebujemy ludzi dojrzałych politycznie, nadających się do armji. Podczas dni paździer-

nikowych wyświadczyliście nam wielką przysługę. No, cóż powiadacie na moją propozycję, towarzyszu Mirkin?

— Obawiam się, towarzyszu Ryszkow, że zadanie to jest nie dla mnie. Armja? Nigdy nie byłem żołnierzem.

— Ach, o to się martwicie? Niema obawy, nauczycie się tego szybko! Podczas rewolucji uczy się człowiek wszystkiego — nawet być mamką, — Ryszkow uśmiechnął się do siebie, ciągle jeszcze nie mając czasu podnieść głowy. — I myśmy nie chodzili do akademji wojskowej. Ale gdy rewolucja wymaga — prawda, towarzyszu Mirkin?

— Ależ, towarzyszu Ryszkow, nie jestem pewien, czy to, co robimy teraz, jest słuszne, — zaczął Mirkin niepewnie.

— Co? — Energicznym ruchem podniósł Ryszkow kanciastą, świecącą głowę, pochyloną dotąd nad papierami, i spojrzał na Mirkina. — Co mówicie, towarzyszu? — zapytał, jakby nie dosłyszał słów Mirkina. Uspokoił się natychmiast. — Jak rozumiecie słowa: „to, co robimy teraz"?

— Mam na myśli wojnę domową, którą rozpoczynamy.

Ryszkow spojrzał na niego z pogardliwym uśmiechem, potem rzekł:

— A cóż wy myślicie? Waszem zdaniem powinniśmy pewnie przyglądać się spokojnie, jak kontrrewolucjoniści wyrywać nam będą wszystkie zdobycze, aż zdepczą rewolucję?

— Nie wiem, co powinniśmy robić, — odpowiedział Mirkin, — ale wiem, że to, co robimy teraz, nie jest dobre. Zło, które czynimy, musi mieć granice, abyśmy mogli czynić dobro! Zło nie powinno przeważać nad dobrem. Jestem zdania, że w ogarniającym nas zapale ratowania świata i zbawiania ludzkości zatoniemy sami

w potokach krwi, którą przelewamy dokoła, że pogrążyliśmy się sami w bagnie grzechu, jakie stwarzamy dokoła. Widziałem wojnę na własne oczy — wiem, czem jest wojna: człowiek staje się zwierzęciem. Najsprawiedliwsza nawet wojna czyni człowieka zwierzęciem.

Ryszkow wstał, spoglądając na bladego Mirkina:

— Powiedzcie mi, młodzieńcze, co was właściwie sprowadziło za dni październikowych do nas? Czy zabłąkaliście się tylko?

— Nie, nie zabłąkałem się — przyszedłem z całą pełnią świadomości, owszem — z całą pełnią świadomości. Okoliczności i wypadki jak żelaznemi rózgami zapędziły mię do „października": przeklęta wojna, pogromy Mikołaja Mikołajewicza. Przyszedłem, gdyż sądziłem, że „październik" zbawi świat, że go zmieni.

— Który świat? — krzyknął Ryszkow. — Który? Wasz, zbutwiały, burżuazyjny świat, czy nasz, proletarjacki?! Dla nas, młodzieńcze, „październik" nie był „zbawieniem świata", poto jedynie, żeby wypędzić Kierenskiego, zakończyć wojnę i pozostawić wszystko po staremu, jak sądziliście! Dla nas „październik" był rzezią, tak — rzezią starego świata burżuazyjnego i stworzeniem nowego proletarjackiego świata! Nasza proletarjacka krew ma panować, a nie jakaś mieszanina, jakiś zlepek, powstały sztucznie w łączności z innymi! I dla tej krwi proletarjackiej gotowi jesteśmy wystawić na szwank wszystko inne, z całego świata ściągnąć skórę i wziąć go na tortury!... Ha, ha, ha!... Chodźcie tu, towarzysze, posłuchajcie! Z miłości bliźniego mamy nie organizować Czerwonej Armji i czekać, aż nam białogwardziści poobcinają głowy! Z humanitarności mamy zlikwidować „październik"! Chodźcie tu, posłuchajcie sobie!

W jednej chwili otoczył Mirkina tłum młodzieńców w skórzanych kurtkach wojskowego kroju i wysokich

butach; w gromadzie tej było też kilka siwych głów o inteligentnych twarzach, które dość dziwnie wyglądały w wojskowych strojach.

Ożywiona rozmowa Ryszkowa z nieznajomym młodzieńcem dawno już zaciekawiła wszystkich obecnych. Nie rozumieli, dlaczego Ryszkow, który zazwyczaj nie tracił czasu na dwa zbyteczne słowa do kogoś z towarzyszów, teraz wdawał się nagle wśród gorączkowej pracy w tak długą dyskusję. Ale zagadka szybko została rozwiązana.

— I ten człowiek brał udział w „październiku", wdrapywał się na dach teatru! — wołał Ryszkow.

Większość obecnych przyglądała się Mirkinowi jak dziwacznemu zwierzęciu. Ci, którym się szczególnie śpieszyło, ograniczyli się tylko do rzucenia mu pogardliwego spojrzenia i mruknięcia czegoś przez zęby. Jakaś dziewczyna w wojskowym płaszczu, z krótko obciętemi włosami i niezmiernie spłaszczonym nosem, który wyglądał, jakby właścicielka jego dostała w chwili urodzenia pięścią w twarz, odezwała się:

— Nie rozumiem, poco się z tym osobnikiem tak długo bawić? Takich drabów posyła się do piwnic towarzysza Marka!

Potem podeszła do Zacharego i rzekła, pociągając nosem:

— To przecież Mirkin, syn przemysłowca drzewnego! Ojciec jego był najserdeczniejszym przyjacielem wszystkich carskich urzędników, a nawet grubą rybą. Teraz służy jako „spec" w komitecie gospodarczym kolei żelaznych. Nie rozumiem naprawdę, jak można takiemu człowiekowi powierzyć tak odpowiedzialne stanowisko!

Towarzysz Ryszkow, który był już zajęty czemś innem, usłyszał śmiech i zobaczył, jak Mirkin stał blady w kole towarzyszów, którzy mierzyli go pogardliwemi

spojrzeniami zukosa. Wówczas w Ryszkowie, jak we wszystkich silnych ludziach, zbudziło się bez jego wiedzy woli gorące współczucie dla bezradnego młodzieńca, z którego wszyscy się śmiali:

— Towarzyszu, rewolucja nie zmusza nikogo. Być rewolucjonistą — to naszem zdaniem przywilej, posłannictwo — a nie przymus. Bywajcie zdrowi i wracajcie do swojego zajęcia! Tchórze są nam niepotrzebni!

W pierwszej chwili słowo to paliło Mirkina jak rozżarzone żelazo. Potem zastanowił się: Czy to, co uczyniłem, jest rzeczywiście tchórzostwem? I naraz rozjaśniło mu się przed oczyma: Kto wie, czy właśnie to „tchórzostwo“ nie jest rzeczą, której ludziom najbardziej potrzeba, aby byli ludźmi? W nadmiarze odwagi zapomina się o sprawach najświętszych. I może to „tchórzostwo“ jest jedyną rzeczą, która może uratować ludzkość w tych szalonych czasach!

Kiedy powrócił do mieszkania, nie zastał już Zosi. Na stole leżała karteczka; Mirkin przeczytał:

„Słyszałam, co zaszło u towarzysza Ryszkowa — wstydzę się za Ciebie. Z tchórzem nie chcę mieć nic wspólnego, a spodziewam się, że moja siostra także nie. Między nami wszystko skończone“.

Mirkin roześmiał się głośno i zgniótł papier w dłoni.

— Przeciwko wszystkim carom i władcom robili rewolucję, tylko nie przeciwko przemocy. I tutaj jest ona powszechnie uznanem bóstwem. Jestem jedynym, który ośmielił się robić rewolucję przeciwko bogu wojny, i ja jestem tchórzem!

Ogarnęła go potężna duma.

Nie mógł dłużej usiedzieć w domu. Na ulicy byłby najchętniej wołał do wszystkich napotykanych przechodniów:

— Ludzie, jestem tchórzem! Naśladujcie mię! Tchórzostwo jest jedyną rzeczą, zdolną uratować świat!

Wahającym się, powolnym krokiem, jak dziecko, które dopiero uczy się chodzić, zjawia się w Moskwie wiosna. Tygodniami unosi się w powietrzu, zanim można ją dostrzec na ziemi. Codziennie opada z ziemi jedna z jej szat zimowych, aż leży wreszcie naga, w swej rzeczywistej postaci.

Tym razem nie widać było jeszcze ani śladu wiosny na ziemi. Grunt był brudny i pełen kałuż. Ale jak wszyscy, tak i Mirkin wyczuwał już zbliżanie się wiosny po tem, że ciążyło mu ubranie zimowe, zwłaszcza krótki kożuszek barani, który nosił na „inteligenckiem" ubraniu. Nie mógł go jednak zdjąć, aby nie odsłonić przetartych spodni, które nie nadawały się już na pokaz.

Czuł pragnienie wykąpania się, przesycenia ciała parą i wdziania świeżej bielizny. Potrzeby takiej dawno już nie odczuwał. A przynajmniej chciałby mieć parę suchych onuczek płóciennych, aby móc niemi owinąć stopy, które poprzez dziurawe buty nieustannie ocierały się o wilgotny bruk. Najchętniej byłby, tak jak stał, skoczył do świeżej, chłodnej rzeki Moskwy, po której brzegu wałęsał się teraz bez celu i planu.

Zatrzymał się na olbrzymim, majestatycznym placu, nad którym panuje potężna Świątynia Zbawiciela. Wzrok jego padł na półnagie ciałka dzieci, bawiących się bez opieki na wybrzeżu, zszedł więc po szerokim, masywnym trotuarze na lepki, gliniasty brzeg rzeki.

Ujrzał tam wielką gromadę bezdomnych dzieci, przeważnie chłopców dziesięcio- lub dwunastoletnich odzianych w łachmany, powiązane sznurkami; na ich brudnych, ulicznikowskich twarzach wyryte były ślady wszystkich występków. Były tam i dziewczęta, choć trudno było poznać, że to dziewczęta, gdyż zuchwałemi ruchami, bezwstydnem zachowaniem i chłopięcem ubra-

niem nie różniły się zupełnie od swoich męskich towarzyszów zabawy. Tylko miękkie, długie włosy, wymykające się z pod podartych czapek, pozwalały domyślić się ich płci; czasami zdradzała ją też delikatniej wykrojona twarzyczka albo smuklejsze ciało, którego kobiece linje rysowały się pod łachmanami męskiego ubrania.

Jedna grupa takich dzieci siedziała na kupie potłuczonych naczyń i zgniłej słomy, grając w karty. Inne dzieci snać uświadamiały sobie jeszcze swój wiek i puszczały papierowe okręty. Niektóre stały w rzece, zrzuciwszy oblepione błotem resztki obuwia, przywiązanego sznurkami do nóg, i z dziecięcą swawolą pluskały się w wodzie. Mirkin miał ochotę naśladować je, zdjąć nawpół przegniłe, przepocone buty i ochłodzić nogi w rzece — była przecież wiosna!

Ale niedługo danem było Zacharemu rozkoszować się tchnieniem wiosny. Dzieciarnia zauważyła go, porzuciła natychmiast karty i zabawę i przybrała odrazu miny chłodnie wyrachowanych dorosłych. Zepsute, zuchwałe twarze stały się odrazu melancholijne, starając się budzić litość; jak pszczoły otaczają kwiat, zawierający dużo miodu, tak dzieci otoczyły natychmiast nieznajomego, wyciągając do niego brudne ręce. Skryte oczy połyskiwały czelnie pod zlepionemi włosami na czołach. Tylko wargi układały się w żebracze zmarszczki i chorobliwe grymasy:

— Towarzyszu, daj nam coś na obwarzanki!

Z gromady wyszła dziewczynka o niewinnej twarzyczce dziecka. Straszliwie przemądrzały, doświadczony wzrok zdradzał, że dla tych oczu dziecięcych nie było już tajemnicy, a małe, starte ząbki zakosztowały już snać wszystkich gorzkich owoców życia. Brudne ciałko dziecięce, którego najtajniejsze miejsca z budzącym litość bezwstydem wyzierały z brudnych łachmanym, przycisnęło się do Mirkina. Mała otarła się dziecię-

cem biodrem o jego nogę i rzuciła mu bezwstydne zachęcające spojrzenie:

— Towarzyszu, chodź ze mną pod most!

W żadnem oku nie świeci występek z tak rozpustnem okrucieństwem, jak w oku zepsutego dziecka. Męscy towarzysze zachęcali małą prostytutkę niememi spojrzeniami i wymownemi gestami. Ale i to nie było potrzebne — działała z własnego popędu. Niezdarnie wyrafinowanemi ruchami ocierała się ciągle o nieznajomego i kiwała na niego...

Zgroza i wstręt ogarnęły Mirkina. Ale zarazem zbudził się w nim niewysłowiony gniew.

— Październiku, czyż nie powstrzymasz się przed niczem? — zawołał straszliwym głosem.

Rzucił dzieciom kawałek chleba, który — jak wszyscy wówczas — nosił przy sobie niby najcenniejsze dobro, i uciekł.

Aby się uwolnić od atmosfery prostytucji dziecięcej, którą wyczuwał teraz wszędzie, zatonął wzrokiem w czystej, głębokiej czerni, w jaką przyodziane były grupy drzew na drugim brzegu Moskwy. Widok świeżych, nagich gałęzi, oczyszczonych przez pierwszy powiew wiosny, widok mieniącego się zwierciadła rzeki i jej miękkiej gleby nadbrzeżnej orzeźwił go.

Tu i ówdzie przez topniejący śnieg przebija się zieleń. Drzewa po drugiej stronie spowite są w czerwonofioletowe opary. Świat jest taki, jak niegdyś: szeroki, wielki i piękny. Niebo — niby płynne morze srebra, na którem jak skrzydła rozpościerają się szare smugi — wyciąga potężne ramiona i obejmuje cały wszechświat. Odblask jego pada na spętane życie tu nadole, rozjaśnia wszystkie okna domów, oświeca złote kopuły i zielone dachy. Ten sam świat, co dawniej! Niebo i ziemia śpiewają hymny, podczas gdy człowiek między niebem a zie-

mią cierpi męki, a z jego otwartych ran płynie krew i ropa...

Śpiew, śpiew, z jasnego nieba! Śpiew, śpiew wyzwolonej na nowo ziemi! Na kamiennym moście rozbrzmiewa także radosny, triumfalny śpiew w tempie marsza! Ale ten śpiew spowity jest w całun śmiertelny. Brzmi on, jakby przy pogrzebie grano wesołego marsza weselnego.

Mirkin spogląda w tę stronę: maszerują tam rekruci. Niezliczone szeregi robotników. Przeważnie ubrani jeszcze po cywilnemu, ale widać już wśród nich kilka płaszczy wojskowych. Ci nieliczni w strojach śmiertelnych wyglądają zupełnie inaczej niż pozostali, należą już do innego świata. Młodzi maszerują sztywno, twarze są ożywione zapałem, jaśnieje na nich odwaga i siła woli; starsi, o brodatych twarzach idą nieco znużonym krokiem wojskowym, i oni są pełni entuzjazmu — tylko z oczu wygląda trwoga. I wszyscy śpiewają „międzynarodówkę“, niby radosne wyznanie zarazem wiary i grzechów; pieśń ta ciągle na nowo budzi zapał.

Mirkin spogląda na nich z zazdrosnym wyrzutem: „Dlaczego ja nie jestem w ich szeregach? Dlaczego mój krok nie dźwięczy wraz z ich krokiem na kamiennym bruku? Jakiem prawem usuwam się teraz od nich i idę własną drogą? Kto mówi a, musi też powiedzieć b! Jakiem prawem wałęsam się wolny i sam?“

Nie znajduje dla siebie usprawiedliwienia i uświadamia sobie swoją winę — ale inaczej postąpić nie może. Czuje to — przed chwilą jeszcze maszerował wraz ze wszystkimi w szeregu, trzymał z nimi krok, a nagle zmęczył się, przeraził się czegoś, padł i leży. Czuje, jak towarzysze depczą po nim. Setki, tysiące stóp depczą po jego głowie, po jego plecach, idą dalej, pozostawiają go na ziemi, skopanego, zmiażdżonego, jak te bezdomne

dzieci nad rzeką, jak ta mała prostytutka, jak cała Rosja...

„Oczywiście — tak musi być. Rewolucja ma wielu wrogów i musi się bronić. Jakżeby mogło być inaczej? Czyż ma dopuścić, aby ją nieprzyjaciele zgnietli? Czy ma się przyglądać obojętnie, jak będą burzyć wszystkie z trudem osiągnięte zdobycze? Czy ma sobie sama kopać grób? Gdy nieprzyjaciel zwycięży, zniszczy przecież wszystko. Lepiej więc z mieczem w ręku bronić rewolucji i własnego życia. Oczywiście — to racja. Taki jest właśnie los jednostki, która staje w szeregach jakiejś idei. Idea ciągnie ją za sobą jak na łańcuchu. Kto mówi a, musi też powiedzieć b. A ja się zatrzymałem, ponieważ jestem tchórzem — tak, tchórzem w prawdziwym sensie tego wyrazu, gdyż boję się. Jedynie dlatego, że chcę się usprawiedliwić, pokrywam swoje zachowanie jakiemiś teorjami — tylko dlatego, że chcę się wykręcić, wymyśliłem sobie, iż dobrze jest być tchórzem, iż tchórzostwo może zbawić świat. W istocie zaś zachowanie moje wynika z lęku, ze zwykłego tchórzostwa, jak słusznie zarzuciła mi Zosia.

Dobrze, niech tak będzie — jestem tchórzem, drżę o własne życie. Ale czy lęk jest tylko niskiem uczuciem? Lęk zawiera przecież w sobie niezdecydowanie, wątpliwości, przechylanie się na stronę przeciwną. Może ja wcale nie mam racji — może rację ma strona przeciwna!

Jeżeli tak, to czy lęk nie jest jednak uczuciem prawdziwie ludzkiem i twórczem?

Krew ludzka, chociaż w ciągu tysięcy lat rozwoju osiągnęła najwyższe możliwości twórcze i oczyściła się przez filtry postępu ludzkiego, jest jednak związana ze swojem pra-źródłem, tajemnemi nićmi złączona jest z nieznaną mocą, z której płynie. Zawiera więc w sobie niepojęte właściwości swego boskiego pochodzenia. Je-

dną z tych właściwości jest lęk i tchórzostwo. Zostały one tylko z biegiem czasu przytłumione, zgasiła je ambicja człowieka, aby przewyższyć siebie samego i stać się niejako drugim Bogiem. Człowiek pierwotny czuł lęk — inaczej nie byłby stworzył bogów. W nieustannej, ciężkiej walce ze światem zwierzęcym i przyrodą uważał siebie za istotę słabą i bezradną. Gdyby tak nie było, uważałby przecież siebie samego za praźródło wszelkiego bytu, za Boga i nie czułby potrzeby okazywania boskiej czci silniejszym potęgom, jak gromy, czy słabszym, jak krowy i koty.

Póki we krwi naszej panował element „lęku", człowiek był istotą naprawdę ludzką, religijną, zdolną do wykrzesania z siebie dobra, obdarzoną pokorą i miłością. Dopiero gdy z biegiem czasu boski żywioł został w nim pokonany przez djabelskie bałwany, przez mity, wyrosłe z ducha niewolniczego, dopiero wówczas nastąpiły wojny, podboje, nagromadzenie dóbr materjalnych — a co za tem ucisk słabych i uciemiężonych. Aby więc przywrócić równowagę świata, aby sprowadzić znowu panowanie miłości i dobra, trzeba przedewszystkiem zbudzić w duszy ludzkiej boską iskrę — uczucie tchórzostwa i lęku!

Ale czy nie jest to gra w chowanego? Co robiłem dotychczas? Pobudzany niesprawiedliwością i okolicznościami, wspomagałem swemi skąpemi siłami system, o którym sądziłem, że gdy osiągnie władzę, zdolny będzie zaprowadzić wśród ludzi sprawiedliwość. Uczucie tchórzostwa i lęku zostało we mnie stłumione przez wyższe uczucie — wiary. Uczucie tchórzostwa i lęku powróciło, gdy począłem wątpić w swój ideał. Winę ponoszę więc nie ja, lecz system.

Ale w cóż począłem wątpić? W ideał? Nie — nie idee są dobre lub złe, ale człowiek. Począłem wątpić w metody.

Nie ideały kształtują życie, ale czyn powszedni. Ideały, podobnie jak dusze ulatują zpowrotem do nieba, w życiu zaś pozostaje realizm czynu i działania. Błąd mój polegał jedynie na tem, że zamiast w ludzi, począłem wierzyć w system. System robi zawsze rachunek bez tego, kto go stosuje, bez człowieka. Przerasta on potem człowieka i staje się narzędziem tortury, martwym dogmatem, który niesie uciemiężenie zamiast wyzwolenia, a zamiast otuchy i zbawienia — zgryzotę i ból.

Człowiek jest najwyższem dobrem, jedyną istotą, w której tętni twórcze życie. Tylko on zdolny jest wznieść się i uczuć w sobie boskość. Gdyż człowiek jest pochodzenia boskiego. Złączony jest krwią z nieznanem twórczem źródłem wszechmocy, z którego pochodzi — jest więc tak samo nietykalny, tak samo nienaruszalny, tak samo święty jak Boskość. A wszelki ideał, który nie nosi w sobie niepojętej jeszcze, ale istniejącej nieskończoności, musi mu ciążyć jak kajdany...“

Kiedy Zachary pogrążony był w tych myślach, nagle zapłonął przed nim Kreml. Grupa złotych wieżyc z zielonemi dachami i migocząc emi szybami, otoczona grubym murem z dziesięcioma szczytami, wyglądała jak procesja kobiet. W oddali wznosiły się małe wieżyczki narożne, o wąskich, prymitywnie ozdobionych łukach okien, podobne do dziecinnych, papierowych lampjonów.

Mirkin doznał wrażenia, jakby cała bezlitosna azjatyckość duszy rosyjskiej, cała bolesna wielkość jej prastarej przeszłości zawarta była w tych niezdarnych niemal łukach okiennych małych wieżyczek Kremlu, jakby tłumy dusz rosyjskich od niezliczonych stuleci gnieździły się niby ptaki pod gzymsami, blankami murów i okienkami dachowemi i wylęgały tam, między murami, spowitemi pajęczyną długiej przeszłości rosyjskiej,

mistyczny niepokój wiecznie szukającego rosyjskiego ducha.

Teraz zapłonęło okno „Wielkiego Pałacu“ i ognistem okiem spojrzało ponad ramionami murów kremlowych.

Zatopiony w myślach, wszedł Zachary do parku Aleksandra. Śnieg, zdeptany wprawdzie, leżał jednak biały jeszcze między drzewami, jakby mówił: „Nie ustąpię do ostatku sił“.

Ale tam, skąd musiał już ustąpić, nie wyzierała naga ziemia, lecz wilgotna trawa. Na tle białego śniegu miła zieleń odcinała się jeszcze wyraźniej. Źdźbła wśród śniegu błagały rozpaczliwie o obronę i zmiłowanie. Młody, lekki wiaterek wiosenny kołysał niemi jak puchem na ciele kurczęcia. Drżąc odsłaniały tajemnicę swego wzrostu aż do czarno-brunatnych korzonków, tkwiących w matce-ziemi.

Tajemnicy traw przyglądała się liczna publiczność: na ławkach, które pieścił świeży powiew wiosny, leżały, nawpół zgniłe jak zwiędłe listowie, dzieci obojga płci, trzymając w zarosłych brudem rękach lepkie karty...

Natomiast na ulicy Wozniesienskiej spotkał Mirkin wielki oddział żołnierzy. Nie byli to jeszcze prawdziwi żołnierze, ale niejako żołnierze jutrzejsi. Mieszanina najrozmaitszych części garderoby, kożuszków, brudnych baranic, kurtek skórzanych, chaos najróżnorodniejszych czapek, w otoczeniu prawidłowo umundurowanych szarż.

Wśród maszerujących widać było wiele postaci kobiecych, które prężąc sztywno piersi i przybierając ordynarne miny, starały się wyglądać bardziej po męsku, niż mężczyźni. Ale nie udawało im się: im mocniejsze i dłuższe były ich kroki, tem bardziej kobiece, tem bardziej kuszące sprawiały wrażenie. Wszyscy bez wyjątku, mężczyźni i kobiety, mieli karabiny na ramieniu. Na-

dawało im to jakiś jednolity wygląd, wyróżniało ich pośród reszty tłumu ulicznego i czyniło ich odrębnym gatunkiem: żołnierzami.

Niby kondukt pogrzebowy zdążały za nimi „koniki sowieckie“, owe półnagie, bezdomne dzieci z małemi, ręcznemi sankami, które pomagały „workowym ludziom“ zwozić z dworców zdobyte prowjanty. Ciekawość dziecięca oderwała je na chwilę od pracy zarobkowej. Nie bacząc na gniewne okrzyki swoich chlebodawców, którzy nakazywali im iść przepisaną drogą, pędziły z naiwną radością dziecięcą za żołnierzami. Niby wesołe źrebięta, skakały przed swemi sankami. Potem wpadały w tempo marszu i śpiewały wraz z wojskiem „międzynarodówkę“.

Mirkin zatrzymał się i długo spoglądał za niemi. „Październik“ wydał mu się nagle okrutnem zwierzęciem, które nieustannie pożera istoty ludzkie — jak każde zwierzę drapieżne...

GŁÓD PŁÓTNA

Nagle ujrzał Mirkin coś, co kazało mu zapomnieć o wszystkiem i myśleć o jednej tylko rzeczy: że chodził prawie boso, że nagie jego stopy ocierały się o podarte, nawpół zgniłe łachmany na nogach i przez dziurawe buty wyczuwały wilgotny asfalt trotuaru. Na ciele czuł rozpadającą się koszulę. Doznał wstrętu wobec siebie samego. Nagle ogarnął go nieprzezwyciężony głód świeżego, szeleszczącego płótna.

To potężne pragnienie płótna wywołane zostało widokiem koszul. Były to damskie koszule.

Na chodniku, u wylotu Czerwonego Placu, naprzeciw świętej Jewierskiej, której niezliczone płomyki gromnic pochłaniało jasne światło dnia, stały dwie gęsto zawoalowane panie, starsza i młodsza, w eleganc-

kiej czerni. Wystawiały one na sprzedaż damskie koszule jedwabne, które trzymały na ręku ostrożnie, jak małe dzieci. Obie miały skupione miny, jakby przez całe życie stały tylko wśród woni kadzideł przed cerkwiami, jakby wargi ich umiały tylko szeptać pobożne modlitwy. A jednak faliste, miękkie jak jedwab włosy, opadające na wąskie czoła, delikatne łuki mocno zarysowanych brwi i lękliwie drżące spojrzenia z pod powiek, ocienionych czarnemi rzęsami, świadczyły o wystawnem i dostatniem życiu. Zarówno od obu kobiet, jak i od świeżo wypranych, różowych koszul jedwabnych, obszytych koronkami, płynęła jakaś uwodzicielska, lubieżna woń, zmieszana z silnym zapachem naftaliny, wydobywającym się z ubrania starszej. Sam widok delikatnego batystu jedwabnego wprawił Mirkina w oszołomienie. Silniej jeszcze niż przedtem odczuł potrzebę kąpieli, silniej jeszcze zapragnął uczuć na ciele szelest świeżo wyprasowanej bielizny. Wydawał się sobie teraz bardziej jeszcze nieczysty, niż przedtem, i obawiał się, że samem spojrzeniem mógłby zbrukać delikatny, starannie wyprasowany, kobiecy batyst, który budził w nim teraz obrazy parnych nocy miłości. Na ustach czuł Zachary jakiś słodki posmak, jakby przed chwilą ugryzł soczystą śliwkę. Zatrzymał się zdaleka i upajał się widokiem czystej bielizny, działającym na niego jak świeże kwiecie; zdawało mu się niemal, że słyszy szelest sztywnego nieco jedwabiu. Ogarnęło go dziecięce pragnienie, by podejść i przynajmniej dotknąć koszule ręką...

Dziwna to rzecz, jak różne skojarzenia myślowe nasuwać mogą jedwabne koszule damskie! W Mirkinie zbudziły one niebawem najczystsze i najsubtelniejsze uczucia, jakby sam ich widok już go oczyścił!

Spostrzegł, jak wieśniaczka w mocnych butach i ciepłej chustce wyszła od świętej Jewierskiej i zbliżyła się

do dwóch pań, dotykając grubemi, spracowanemi palcami jedwabnego batystu i mówiąc coś — widocznie targowała się. Mirkin doznał wrażenia jakiejś obelgi, wyrządzonej jego najświętszym uczuciom...

Wałęsając się potem po ulicach, nie mógł się pozbyć myśli o tych jedwabnych koszulach. Nie rozumiał, jak ludzie mogli się zdobyć na to, aby sprzedawać swoje koszule. Koszula to przecież rzecz najosobistsza, jaką człowiek posiada, jakby druga skóra! Jest ona najbliższa jego ciała, dzieli z niem najintymniejsze tajemnice, asystuje przy jego narodzinach i śmierci, jest najbliższym świadkiem jego przeżyć! Jakże można dopuścić, aby ktoś obcy dotykał jej palcami?

Widok koszul zbudził w Mirkinie niepohamowany głód płótna. Dotychczas nie wiedział, że można czuć tak samo silny głód koszul, jak głód chleba. A jak łaknący nie może myśleć o niczem innem, tylko o napoju, tak i Zachary nie potrafił teraz skupić myśli na niczem innem, tylko na świeżym, szeleszczącym batyście i czystych szmatkach płóciennych wokół stóp.

Błędne wizje przesuwały się po jego rozpalonym mózgu. Widział siebie, jak nagi nurza się w potoku płynnego płótna...

Widok jakiegoś przedmiotu może wywołać niezliczone asocjacje, to też najzwyklejszy, najpowszedniejszy przedmiot może nas niekiedy uczynić równie pijanymi, jak ogniste wino. Mirkin popadł w taki stan na widok czystego batystu kobiecego i mknął po ulicach Moskwy jak na skrzydłach. Zbudziły się w nim tęsknoty i pragnienia, które — zdawało się — zgasły dawno w szalonym wirze wypadków, zapadły się wraz z minioną nagle przeszłością. Jak się to stało, że naraz wynurzyło się z nocy niepamięci wspomnienie Heleny?

Ujrzał ją przed sobą cieleśnie, a zarazem w jakiejś nierzeczywistej wizji. Zupełnie inny wydawał mu się te-

raz w wyobraźni jej głęboko naciśnięty, męski kapelusz, zupełnie inny rudawy kołnierz lisi przy płaszczu nieokreślonej barwy. Promieniała z niej jakaś nigdy niewidzialna, nieziemska czystość. Lekkie podniecenie, jakie odczuwał niegdyś, gdy ręka jego dotykała gładkiej, chłodnej krągłości jej wąskiego, łagodnie spadzistego ramienia, odżyło teraz nagle na środku ulicy. Czuł je niemal na wargach i naraz zrobiło mu się jasno przed oczyma:

Wspomnienie Heleny wyzwala go z brudnego ubrania, oczyszcza go, kąpie w kryształowych potokach górskich. Święty dreszcz przenika go do głębi. Każda komórka jego ciała, każdy nerw, każda myśl jest oczyszczona... Jak dziecko, zanim przyjdzie na świat, przechodzi przez niezliczone łona macierzyńskie i w każdem umiera, aby się na nowo narodzić — tak wyzwala się teraz Zachary z niezliczonych tajemnych zasłon świata i stoi nagi, należąc tylko do siebie. Żadna przesłona, żadna koszulka nie pokrywa go z zewnątrz, żadna myśl nie przenika go wewnątrz...

Trwało to sekundę zaledwie; potem wizja znikła, i pozostała brudna wilgoć ulicy, zgniła koszula na ciele, mokre nogi w podartych butach, nurzających się w kałużach, i uczucie, jakby się było od stóp do głowy oblepionym mchem i bagnistą zielenią. Zamęt świata ściągnął Zacharego w otchłanie, niby ołowiane ciężary...

Ale jak biały welon ślubny budzi pragnienie oblubienicy, tak wizja ta pozostawiła tęsknotę za jej przedmiotem. I dwa te uczucia wyniosły Zacharego ponad wszelkie troski, oczyściły go i obdarzyły skrzydłami, na których mógł wzlecieć, aby ujrzeć utraconą.

Nagle uczuł, że żyła w nim biała czystość.

Czarodziejska dłoń przędła nici, na których wyciągała go z mchu i bagnistej zieleni, jakiemi oblepiło go życie, wyciągała go zpowrotem w lata dziecinne: Za-

chary czuje, jak niosą go gorące, silne ramiona, jak ciepłe strumienie wody rozkosznie spływają mu po piersi i plecach; ktoś go owija w płótno i przenosi w ten sposób w inny świat...

Tęsknoty i pragnienia budzą się. Wszystkie kobiety-matki jego dzieciństwa uosobione są w delikatnem ciele Heleny.

Wyzwolenie cielesne budzi podniecające obrazy pięknych, chłodnych ramion dziewczęcych, które nie znikają z wyobraźni, jak smak miodu — powstają i inne pragnienia, inne marzenia: mieszanina perfum i naftaliny, która płynęła zawsze z szala mamy. Grzeszne, kuszące spojrzenia umarłej twarzy, która drzemie w podświadomości Zacharego niby awanturniczy obraz z krainy baśni. Fragmenty wspomnień zamachów samobójczych. Zdławione dawno i przezwyciężone, a jednak ocalałe we krwi lubieżne pożądanie silnych piersi kobiecych, które wydają się napełnione mlekiem, pożądanie dojrzałych, pełnych ciał kobiecych, odcinających się pod wytwornemi, czarnemi sukniami jedwabnemi... Posmak tych bolesnych pragnień daje się teraz jeszcze wyczuć na krawędzi świadomości... I wszystkie niespełnione, tłumione w zarodku zachcianki stają się teraz oczyszczone i wyzwolone, uwolnione od grzesznego podniecenia, pozbawione dławiącego jak wąż ciężaru, wygrzebane z ciemnych zasłon i opromienione niedosiężoną, śnieżną bielą, jaka jest teraz w Zacharym. W silnem swem zespoleniu stają się grzechy dobremi uczynkami. Wykąpały się wraz z Zacharym w rozkosznej, ciepłej wodzie dzieciństwa i spowite są teraz w białe prześcieradła...

„Co się ze mną dzisiaj dzieje? Mam chyba gorączkę! Czy to wina wiosny, czy może jestem przeziębiony?“

Ale na nic wyrzuty, na nic wstydliwe skrupuły, na nic zwalczanie tych myśli.

Zachary nie czuje już, jak go palą bose stopy, nie czuje, jak zdeptane buty suną po twardym bruku. Teraz ból ten jest dla niego niemal rozkoszą. Ciepły kożuszek barani nie ciąży mu już. Nie doznaje już przykrego uczucia, gdy goła szyja ociera się o szczeciniaste, wytarte futro. Dotknięcie wystrzępionych spodni w najwrażliwszych miejscach ciała nie napawa go już obrzydzeniem. Strumienie ciepłej wody spływają mile po jego kręgosłupie, macierzyńskie dłonie dotykają jego nagiego ciała...

Pot lęku występuje na rozgrzane czoło i spływa chłodnemi nitkami.

„Jestem chory! Przeziębiłem się widocznie! Powinienem pójść do domu! Ale dokąd?"

Zachary ocknął się z marzeń i spadł znowu na ziemię.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że nie miał dachu nad głową. Do domu na Czystoprudnym Bulwarze nie chciał już wracać. Po rozmowie z towarzyszem Ryszkowem czuł, że nie ma już prawa do tego mieszkania. Nowego jeszcze nie posiadał.

Przez kilka nocy sypiał w jakiejś oberży, przeznaczonej dla przejezdnych urzędników sowieckich, ostatnią noc spędził wraz z bezdomnymi na ulicy...

„Może iść do ojca? Nie, nie w tym stanie! Przedewszystkiem muszę się postarać znaleźć gdzieś schronienie! Cokolwiek się stanie, muszę powrócić do swojej pracy! Muszę nieść pożytek! Mimo wszystko komitet gospodarczy jest ważną instytucją. Trzeba w miarę sił nieść pożytek! Tak — powrócę do swojej pracy. Towarzyszom powiem, że musiałem odstąpić mieszkanie, i każę sobie wyznaczyć inne".

Jeszcze raz powtarza słowa, które ostatniemi dniami, po zerwaniu z Zosią, ciągle sobie powtarza:

„Trzeba w miarę sił nieść pożytek!"

Ale są to słowa tylko, mają one być jedynie napomnieniem dla niego. Całe jego ciało popada w rodzaj odrętwienia. Jak spragniony snu wlecze się z trudnością po Czerwonym Placu i pustym wzrokiem spogląda na kopuły cerkwi św. Wasylego. Nie zdaje sobie sprawy, jakie mija ulice. Z jakiegoś dziedzińca wyjeżdża wóz, naładowany ciężko towarem. Zachary omal nie dostaje się pod koła. Na trotuarze potrącają go śpieszący się przechodnie. Wszyscy mają wygolone głowy, świeżo zapuszczone brody i teczki pod pachami. Zachary zatacza się z jednej strony ulicy na drugą. Zapach starego tłuszczu i ryb uderza mu w twarz. Składy gnijącego kawioru. Zaduch ryb, ostre, gryzące wyziewy solonych skór cielęcych. Wrzawa i tłok. Ktoś szturcha Mirkina. Jakiś Rosjanin o czerwonej twarzy i olbrzymiej, patrjarchalnej brodzie przebiega obok niego z ciężką skrzynią, potyka się i omal nie pada na ziemię.

— Przeklęty psie! Czego się kręcisz ludziom pod nogami? Nie widzisz, że się niesie skrzynię? Ślepy jesteś?

Zachary znajduje się na placu Barbary. Niezliczone budki i kramy. Najrozmaitsze towary i materjały na brudnym bruku. Całe urządzenia pokojów i mieszkań stoją na ulicy, jak po pożarze. Pluszowe obrusy i stare buty leżą obok talerzy i nakrycia stołowego. Ma się wrażenie, jakby ludzie postanowili nie używać już nakrycia i powyrzucali je na ulicę. I znowu widok płótna przykuwa uwagę Zacharego. Tym razem jest to prawdziwa bielizna męska. Jakiś starzec w mundurze generalskim bez naramienników stoi sztywno, jak przy przeglądzie wojsk. Wiatr igra siwemi pasmami jego wypielęgnowanej brody i maluje rumieńce na jego wielkiej, pełnej twarzy. Starzec trzyma na rękach świeżo wyprane kalesony, trzyma je z taką powagą i godnością, jakby to była poduszeczka z orderami, którą niesie za

trumną poległego przyjaciela. Wpobliżu stoi w tak samo skamieniałych pozach kilka starszych pań z arystokracji, owiniętych w szynszylowe peleryny, w małych, zalotnych kapelusikach na głowie, i trzymają na rękach starannie wyprasowane obrusy, serwetki, bieliznę pościelową i koszule. Inne przyniosły na sprzedaż karakułowe futra albo stare srebro, cudowne koronki weneckie i brukselskie(przeważnie zaś rosyjskie ręcznej roboty, wykonane przez poddanych w ich włościach. Niektóre przyniosły na rynek swoje stroje balowe. Biały atłas obramionych bobrami kostjumów bojarskich błyszczy w słońcu, ciepłe barwy starofrancuskich brokatów połyskują złociście.

Żaden ze sprzedających nie mówi słowa. Ani spojrzeniem nie zaszczycają ludzi, którzy oglądają wystawione na sprzedaż przedmioty, obmacują je, pytają o cenę. Oczy kobiet, zręcznie przesłonięte woalkami, spoglądają ponad ludźmi. Jak drewniane kukły z marmurowemi minami trzymają przedmioty w odzianych w czarne rękawiczki dłoniach.

Jakaś dama w eleganckim czarnym kostjumie wiosennym, w srebrnym lisie na szyi, jakby zamierzała właśnie złożyć wizytę przyjaciółce, sprzedaje wspaniały serwis sewrski, który niesie za nią wierna pokojówka. Wytworną dłonią w czarnej rękawiczce wskazuje niedbale na błękitno-złoty talerz, który trzyma ubrana jeszcze po mieszczańsku pokojówka, i mówi ze spokojnym, nieco kokieteryjnym uśmiechem, jakby rozmawiała z sobą samą, z silnym akcentem francuskim:

— Sewrska porcelana!

Blady, elegancki młodzieniec przyniósł na rynek swój frak. Jakiś parobek w przeraźliwie brudnych butach wszystkiemi siłami stara się wciągnąć frak na watowaną kamizelkę. Widzowie śmieją się i dają mu rady, jak się z tem obchodzić. Cylinder, należący do fraka,

ma już na głowie obdarty tragarz, z którego śmieje się tłum widzów...

Ostrzeżenie:

— Milicja!

W ciągu sekundy rynek opróżnia się. Arystokratki zapominają o swoim wytwornie-posępnym spokoju. Wszyscy ukrywają się, jak mogą najszybciej. Brzęk tłuczonych talerzy. Przez uciekający tłum przepycha się, dysząc astmatycznie, śmiertelnie blady generał; kalesony ukrył pod mundurem bez naramienników.

Znowu budzi się w Mirkinie głód płótna. Ale wizje znikły — odczuwa tylko zdartą koszulę na ciele i ma przytem wrażenie, jakby nieustannie dotykała go żaba, która wrosła w jego ciało. Przetarte stopy palą go znowu jak ogień. Oddałby wszystko za kalesony, które ochroniłyby go przed ocieraniem się o wystrzępione szwy zniszczonych spodni...

Przystaje nagle jak wryty i przeciera ze zdumieniem oczy. Jak spragniony patrzy na wielkie wiadro wody, tak on spogląda na góry ubrania, które nagle piętrzą się wokół niego. Nogi jego potykają się o nową i cerowaną bieliznę męską, damskie koszule, pończochy, skarpetki, jedwabne chusteczki, pluszowe obrusy, spodnie, gorsety, buty, kalosze i ciągle nakrycia stołowe.

Za ladą jednego z kramów siedziała tęga starucha o czerwonej twarzy, owinięta w szerokie, pańskie futro bobrowe, którego cudownie połyskujący kołnierz z wydry kamczackiej leżał na jej tłustym karku. Na potężnej głowie miała potężniejszy jeszcze kapelusz z niezwykle długich, kolorowych strusich piór. Na jednej mięsistej konsze usznej kołysał się kolczyk z perłą. Drugie ucho czekało jeszcze bez ozdoby na okazyjny nabytek.

Sama podobna do olbrzymiego samowaru, siedziała pośród mnóstwa najróżnorodniejszych samowarów z mo-

siądzu i innych metali. Nie ruszając się z miejsca, wydawała rozkazy gromadzie swoich pomocników, młodzieńców w wysokich butach, którzy najwidoczniej drżeli jak przed djabłem przed jej tęgą twarzą i czerwonym, kartoflanym nosem. Załatwiali oni licznych klientów, znosili towary, kupowali je lub wymieniali na artykuły spożywcze. Gruba starucha wydawała rozkazy tylko spojrzeniami.

Coraz wyżej piętrzyły się stosy sprzętów domowych i innych przedmiotów użytku. Miało się wrażenie, jakby wypróżniano domy moskiewskie, jakby ze wszystkich szaf i komód wynoszono całą zawartość, bieliznę i ubrania, naczynia i nakrycia, jakby ściągano ze wszystkich ścian i podłóg dywany i kobierce, znosząc wszystko potwornemi masami do grubej staruchy.

Pożądliwym wzrokiem spoglądał Mirkin na stos przedmiotów, starając się wyszukać odpowiednie części garderoby do okrycia swojej nagości. Nagle ujrzał, że na ziemi leżała porzucona para ręcznej roboty wełnianych skarpetek. Wydały mu się tak znajome, tak bliskie, jakby jakaś ukochana ręka utkała je dla niego. I chociaż nie posiadał pieniędzy, aby je kupić, nie mógł się jednak powstrzymać od tego, aby je przynajmniej obejrzeć i zapytać o cenę.

— Zostaw to! Zostaw to! To nie dla ciebie! — zawołała stara ze swego miejsca.

— Dlaczego? — zapytał Mirkin.

— Po nosie ci poznać, że należysz do tamtych! — odpowiedziała kobieta, wskazując głową na arystokratów, którzy obok kramu podawali pomocnikom swój towar. — Jesteś burżujem, nie jednym z nas.

— A czem ty jesteś?

Gruba starucha odwróciła głowę, jakby nie warto było tracić dla Mirkina słów.

— Ona? Ona jest prawdziwą ciotką j e g o! — za-

wołał jakiś podobny do Mirkina włóczęga, który stał obok.

— Jeszcze jedno słowo, a natychmiast zawołam milicję! — krzyknęła stara. — Wynoś się lepiej!

— Radzę ci, nie wdawaj się z nią! Ona jest pod potężną opieką! W komisarjacie czuje się jak dziecko w domu! Wszystkim konfiskują towary, tylko jej nie, — wtrącił inny handlarz, wskazując znacząco na staruchę.

— Co to znaczy? W samem sercu Moskwy toleruje się coś podobnego? Gdzie milicja? — krzyknął nagle Mirkin głośno. — Milicja! Tutaj!

— Wszystkie moje dzieci są komunistami. Zbieram to dla moich chłopców. Mój najstarszy syn brał udział w „październiku"! A czem ty jesteś? Łachmaniarzem, przeklętym burżujem, kontrrewolucjonistą! Wynoś się lepiej, bo każę synowi, żeby się zaprowadził do komisarjatu! — żachnęła się stara na Mirkina.

— To racja — ona należy do nowych panów. Nie radzę nikomu zadzierać z nią, — odezwał się jakiś obdarty gap, starając się ułagodzić Mirkina.

— Jej syn jest komisarzem, brał udział w „październiku"? Co to znaczy? Precz z tym zabronionym handlem! Precz! — zawołał Mirkin; w dzikim szale rzucił się na stosy ubrań i bielizny i począł je rozrzucać na wszystkie strony. — Jesteście wrzodami rewolucji! Jesteście październikową burżuazją!

Kiedy tak walił dokoła siebie naoślep, paczka skarpetek rozwiązała się i potoczyła do jego nóg.

Jak spragniony, który widzi wiadro wody, zapomniał nagle Mirkin o wszystkiem, sięgnął po paczkę skarpetek i zawołał jak obłąkany:

— I ja brałem udział w „październiku"! Na dachu Teatru Wielkiego! Chcę mieć za to przynajmniej parę skarpetek!

I uciekł.

Pomocnicy staruchy chcieli biec za nim, ale pani ich, pragnąc uniknąć zbiegowiska, powstrzymała ich ruchem ręki:

— Na pewno jeden z tych, którym zarekwirowano kasę. Pozwólcie biedakowi uciec!

Mirkin, który pędził jak opętany przez tłum, zatrzymał się wreszcie zmęczony, zlany potem i wydobył cenny skarb, który złowił w zamęcie. Ale zamiast dobrych skarpetek trzymał w ręku podartą pończochę damską. Zawstydzony i ogarnięty skruchą rzucił ją precz.

„Zdaje się, że jestem rzeczywiście chory", pomyślał i skierował się tam, dokąd wiódł go instynkt: do jedynego człowieka, jakiego posiadał teraz — do swego ojca, mieszkającego w małym pokoiku hotelowym.

ŁASKA MIŁOŚCI OJCOWSKIEJ

Na widok syna stary Mirkin przeraził się śmiertelnie. Zachary drżał na całem ciele. Okropna, ziemista bladość powlekła jego twarz; rysy, o skamieniałym uśmiechu, były stężałe jak u maski. Na śmiertelnie bladem czole widniały ciężkie krople potu.

— Co tobie? Jesteś chory? — zapytał ojciec zalękniony.

— Nic mi nie jest! — krzyknął Zachary.

— Jak ty wyglądasz?! Jesteś chory! Idź do domu i połóż się do łóżka!

— Nie jestem chory! Nie jestem chory! Czuję się tak dobrze, jak nigdy jeszcze!

Ale zanim Zachary skończył ostatnie słowa, padł na kolana, jakby ktoś nagle wyciągnął z pod niego krzesło; z dziwnie zwierzęcą bezradnością przechylił głowę na ramię, jak czyni każde chore stworzenie boże.

— Co tobie? — krzyknął ojciec; jednym młodzień-

czym skokiem stanął za Zacharym, podniósł go, objął ramieniem, poprowadził do łóżka i posadził na niem.

Zdjął synowi przemokły kożuszek i z wysiłkiem ściągnął mu nawpół przegniłe buty, przylepione niemal do nóg. Gdy ujrzał zdartą bieliznę na ciele Zacharego, przeraził się:

— Na Boga, jak ty wyglądasz?! Jak ty jesteś ubrany!

Przyniósł z szafy ostatnią flaszeczkę wody kolońskiej, którą chował na wszelki wypadek, zwilżył ręcznik i począł nacierać silnie chłopięce ciało Zacharego.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś, że nie masz koszuli na zmianę? Mam przecież jeszcze trochę bielizny!

Zachary nie odpowiedział. Był okropnie senny, zamknął oczy.

Ojciec wyszukał czystą koszulę, włożył ją synowi i ułożył go w łóżku.

— Nie zasypiaj, nie zasypiaj — zagotuję ci herbaty! Przeziębiłeś się. Trochę gorączki, nic więcej.

Zachary z wysiłkiem uniósł powieki. Powtórzył:

— Trochę gorączki, nic więcej, — i natychmiast oczy przymknęły mu się znowu.

Stary Mirkin zapalił małą maszynkę naftową, postawił na niej imbryk i szybko podbiegł znowu do Zacharego, który tymczasem zupełnie zamknął oczy.

— Nie śpij! To ci teraz tylko szkodzi. Przedewszystkiem musisz wypić coś gorącego, żeby się wypocić — a jutro będziesz zdrów.

— Tak, tak, — wypocić się, a jutro będę zdrów, — powtórzył Zachary, i powieki opadły mu znowu.

— Na Boga, co robić? Muszę sprowadzić lekarza! — zawołał starzec w bezradnej rozpaczy.

— Nie, nie — ja nie śpię — to zaraz przejdzie, — wybełkotał Zachary z wysiłkiem, starając się za wszelką cenę opanować senność.

Ojciec pobiegł znowu do maszynki.

Kiedy powrócił do łóżka ze szklanką gorącej herbaty, która spływała po jego drżących rękach, syn leżał z zamkniętemi oczyma jak stężały. Zachary nie spał. Widać to było po jego ciężkim oddechu. Sprawiał wrażenie, jakby go dręczyły koszmarne sny.

Ojciec postawił szybko filiżankę na stole, podniósł kołdrę, uniósł koszulę Zacharego i uważnie przyjrzał się jego ciału.

— Tylko nie to! Miły Boże, tylko nie to! — mruczał pod nosem.

Na ciele syna nie ujrzał czerwonych plam.

— Dzięki Bogu, to nie tyfus! — szepnął z radością. — Prawdopodobnie przeziębił się tylko. W każdym razie muszę czuwać przy nim w nocy!

Teraz dopiero zauważył stary Mirkin, jak wychudzone było chłopięce, szczupłe ciało Zacharego; zdawało się, że składa się tylko ze skóry i kości. Żebra wystawały jak napięte struny, brzuch był pustym workiem, nogi jak patyki, ręce opadały bezsilnie. Całe ciało leżało teraz na łóżku, jak po chłoście i torturach, zwierzęco bezradne, błagające o litość.

— Boże, co oni mu zrobili? Czy go torturowali? Nie ma przecież funta ciała! Zachary, mój biedny chłopcze, co się z tobą działo?

Siwa, wilgotna broda ojca pochyliła się nad nagiem ciałem syna.

Z ojcowską czułością natarł jeszcze raz pierś Zacharego zmoczonym ręcznikiem, owinął go starannie w kołdrę i własne futro, usiadł na krawędzi łóżka i obudził go lekkiem dotknięciem.

— Zachary, słyszysz?

Zachary słyszał wszystko, co ojciec mówił, i chciał mu odpowiedzieć, ale nie mógł. Poruszał wprawdzie wargami, ale nie mógł wydobyć słowa; starał się otwo-

rzyć oczy — ale miał wrażenie, jakby na powiekach jego leżały ołowiane ciężarki. Wszystko, co się dzieje w pokoju, jest spowite w mgłę — z poza tej gęstej mgły, jak z poza ciężkiej kotary, dociera do jego ucha głos ojca. Wszystko oddala się od niego coraz bardziej, aż staje się tak małe, że Zachary z ledwością to dostrzega.

Ojciec trzyma białą rękę chorego syna w swoich rękach i z miłością spogląda mu w twarz; wówczas spostrzega, że Zachary wymyka się — broni się, ale nie ma siły pozostać; siedmiomilowemi krokami oddala się od ojca w inny, nieznajomy świat, który widzi teraz we śnie.

Całą mocą chce starzec zatrzymać syna:

— Zachary, mój najdroższy Zachary, słyszysz mnie? Powiedz, że mnie słyszysz! Nie śpij, nie śpijże! Powiedz, że mnie słyszysz!

„Tak, ojcze, słyszę cię", — chce odpowiedzieć Zachary, ale mgła, która się dokoła niego rozpościera, połyka słowa.

Wszystkie źródła miłości do dziecka rozwierają się w sercu starego Mirkina i wzbierają w niem falą. Nie wiedział dotąd, że twarz syna może zbudzić tyle litości. Zachary staje się teraz jedyną treścią jego życia. Nagle widzi ojciec przed sobą cały sens i cel swoich dążeń. Niezwykle blada, nieruchoma twarz jego chłopca wzrusza go do łez. Ruchy szczupłej piersi, pracującej ciężko pod kołdrą, budzą w starcu głębokie współczucie. Ciało Zacharego staje mu się coraz bardziej znajome i bliskie, coraz bardziej staje się ciałem jego dziecka. Kształty członków są znowu delikatne i zaokrąglone w dziecięcym wdzięku, przeniknięte czułością i miłością. Stary Mirkin przeżywa znowu czasy jekaterynburskie:

— Nie miałem przecież innego życia, wszystko, co się od tego czasu działo, było błędem! I opuściłem własnego syna, nie troszczyłem się o niego, szedłem samo-

tny przez świat, wiązałem się z innymi ludźmi! Poco? Dlaczego?

Miał wrażenie, że jest zupełnie sam: Zachary odszedł gdzieś, ojciec nie widzi go już ani nie słyszy. I jakby w pokoju był zmarły, starzec przemawia teraz do siebie:

— To moja, tylko moja wina! Czemże on jest? Chłopcem! A ja uważałem go za dorosłego, odtrąciłem go, pozostawiłem go własnemu losowi! Tak, to moja wina! Na stare lata założyłem nową rodzinę! Zabrałem mu narzeczoną — o, ja stary grzesznik! W nawpół przegniłych butach chodził po ulicach, bez koszuli, jak najnędzniejszy włóczęga! A ja udawałem jeszcze obrażonego — o, ja stary egoista!

Gabrjel Chaimowicz uczuł, że oczy jego napełniły się łzami. Nie starał się pohamować tych łez, biadał głośno, jak najnieszczęśliwszy żebrak, nie zważając na to, że ciężkie krople staczały się po jego starych policzkach i brodzie. Padł na kolana obok łóżka, szukając rękoma rąk syna, dotykając ich brodą i policzkami:

— Najukochańszy Zachary, mój jedyny chłopcze, nie umieraj mi, nie umieraj mi! Ja cię przecież tak kocham! Nigdy nie miałem innego życia! Zawsze, zawsze kochałem tylko ciebie. Mój kochany, chory chłopcze — przebacz mi, przebacz mi! — Łzy jego zwilżyły ręce Zacharego. — Słyszysz, Zachary? Powiedzże mi, wykonaj choćby jakiś ruch, skiń głową na znak, że mnie słyszysz! Zachary, mój najdroższy Zachary!

Syn słyszał wszystko, ale słowa docierały do niego jak z za zasłony. Zachary czuł się teraz tak dobrze, jak nigdy w życiu. Stał się znowu dzieckiem i miał wrażenie, jakby cała miłosna tkliwość wszystkich dłoni macierzyńskich płynęła z tego ciała i tej krwi, co teraz z tak pieczołowitym lękiem dotyka jego ciała. Dłoń, która go teraz głaskała, była mu tem droższa, że była

to niedosiężona dłoń jego ojca. Czuł, jak dłoń ta zmywała wszystkie grzechy, jakie życie zwaliło na jego barki — jak go oczyszcza i wyzwala ze wszelkiej nieprawości, czuł, że wszystko nabiera znowu sensu, staje się znowu usprawiedliwione; dłoń ta odpędza i wytrzebia zło, ciążące na duszy. Ta dłoń poniesie cię bezpiecznie, poprowadzi cię do jasnych potoków, obmyje cię we wszystkich falach — wiatry owioną cię, przenikną przez ciebie jak promienie słoneczne, spowiją cię w falujące płótno, w chłodzące prześcieradło — wszystkie łachmany zła, okrywające dorosłego człowieka, opadły z ciebie i znowu jesteś spowity w swoje dzieciństwo, oczyszczony, zbawiony łaską.

„Ojcze, tak mi jest dobrze", mówił nieustannie — ale wargi jego nie poruszały się.

W nocy twarz Zacharego i cale jego ciało płonęły w gorączce. Oczy ciągle jeszcze były przymknięte. Pot ściekał strumieniami z pod wilgotnych włosów po czole i po policzkach. Płaska, twarda jak deska pierś podnosiła się i opadała coraz szybciej.

Ojciec podniósł kołdrę. Przez koszulę widać było, jak ciężko pracowały żebra w szczupłem ciele.

Zachary wołał przez sen niezrozumiałe słowa. W majaczeniach gorączkowych znajdował się na cmentarzu:

Z wysiłkiem wspina się po stromem zboczu. Na każdym kroku zieją przed nim otwarte mogiły. Leżą w nich trupy w postaci skórek od kiełbasy. Wyciągają ku niemu podobne do kiełbas ramiona i chcą go ściągnąć do grobów. Ręka w rękę z Heleną kroczy Zachary po cmentarzu i szuka drogi między otwartemi mogiłami. Pragną oboje jak najszybciej dotrzeć do wierzchołka zbocza — tam na górze jest sanktuarjum, tam tylko mogą być uratowani. Ale coraz więcej mogił rozwiera się i za-

stępuje im drogę. Cały świat spowity jest w półmroczny blask. Niebieskie i żółte tulipany wznoszą się za każdym krokiem, jak świece w Sądny Dzień. Nareszcie widać wierzchołek — a oto i ścieżka, prowadząca do niego! Ale nogi poczynają im ciążyć, jakby przy nich wisiały ołowiane kule. Brodzą po kałużach i nie posuwają się naprzód. Zachary staje nad otwartą mogiłą. „Dotąd i ani kroku dalej!“ — uświadamia sobie ze straszliwą jasnością. Ale Helena wysunęła dłoń z jego dłoni, idzie dalej, pozostawia go na miejscu, wrosłego w ziemię. Z grobu wysuwa się ku niemu podobne do kiełbasy ramię.

— Stój! Czekaj na mnie! Idę! Idę! — krzyknął Zachary głośno, starając się wyskoczyć z łóżka.

— Co mówisz, Zachary! Jestem przy tobie!

Stary Mirkin z trwogą objął ramionami zlane potem ciało syna, który wszystkiemi siłami chciał się podnieść.

Ani na chwilę nie odchodził starzec tej nocy od łóżka syna, nieustannie nacierał go wodą kolońską i przykładał mu wilgotne ręczniki do rozpalonego czoła. Zachary wołał w gorączce najrozmaitsze imiona, potem kłócił się z kimś, a w chwilę później błagał o przebaczenie i czynił sobie wyrzuty.

— Ach, bądź tylko znowu zdrów, mój Zachary, bądź tylko znowu zdrów! Nigdy cię już nie opuszczę, nigdy już! Słyszysz mnie, najdroższy mój Zachary? Powiedzże, czy mnie słyszysz! — wołał ojciec z przerażeniem.

— Ja nie jestem winien! Ja nie jestem winien! Powiedz, że mi wierzysz — ja nie jestem winien! — błagał kogoś Zachary.

Ojciec sądził, że Zachary odzyskał przytomność i mówi do niego. Ze łzami w oczach głaskał syna:

— Najdroższy Zachary, mój mały chłopcze! Miałeś przecież dobre zamiary!

— Ale teraz już im pokażemy! Na Czerwonym Placu wzniesiemy Świątynię Człowieka!

Następnego ranka poszedł stary Mirkin do przychylnego dla niego portjera hotelu, wymienił u niego białą koszulę płócienną na rosyjską koszulę chłopską i włożył kożuszek Zacharego. Broda jego, zwykle starannie uczesana, była teraz zwichrzona, niewyspane oczy otoczone czerwonemi kręgami — wyglądał jak złamany, biedny człowiek. Tak chodził od jednego szpitala do drugego, błagając:

— Towarzysze, łóżko dla chorego bojownika sowietów, który brał udział w „październiku"!...

Zachary miał zapalenie płuc.

Stary Mirkin zupełnie zaniedbał pracę. Byt przedsiębiorstwa podkładów kolejowych był mu teraz obojętny. Miał tylko jedno zadanie w życiu: czuwać nad swojem chorem dzieckiem.

W STEPIE

Po deszczu unosił się ze stepu silny zapach trawy. Niebo było jeszcze szarawe jak popiół i pokryte ciemnemi chmurami. Ale nie miały już one mocy. Spuściwszy na ziemię swoje błogosławieństwo, porozpadały się jak dziurawe worki i poszarpały na strzępy. Przez szczeliny między chmurami przeglądała już prawdziwa, srebrno-błękitna tafla nieba. Na horyzoncie rozwarł się ognisty, rozżarzony otwór, który niebawem pochłonął wszystko.

Grunt stepów był po deszczu rozmokły i popękany. Zdawało się, że tysiące ust otwierają się, aby pochłonąć tłustą wodę deszczową. Krowy, popędzane batami pastucha, wracały właśnie z wilgotnych pastwisk. Ociekały wodą, podobnie jak chłopak, odziany w worek. A je

dnak żując porykiwały z zadowoleniem. Mocnemi nogami stąpały wytrwale po błocie drogi wiejskiej, a z ich mokrych, czerwonych skór unosiła się ciężka woń mleka i gnoju krowiego. Z za sczerniałych płotów wychodziły bosonogie chłopki i zganiały swoje bydlątka na dziedzińce.

Przed jedną z chat zajechał wóz chłopski, wyścielony świeżą słomą i zaprzężony w dwa koniki kozackie. Z niskich drzwi wyszła wieśniaczka, niosąc koszyki i walizę, za nią szło dwóch miejskich panów, owiniętych w kaukaskie peleryny z czarnym włosem. Usiedli na wozie, a chłop skierował zaprząg w step.

Dwaj podróżni byli to adwokat Halperin i jego syn Misza.

Podróż trwała już od wielu tygodni. Z Petersburga pojechali najpierw koleją do Moskwy, stamtąd do Kurska, potem do Charkowa. Z pomocą fałszywych dokumentów sowieckich, które zdobyli za grube pieniądze, przewędrowali step, aż przybyli nareszcie do wsi Michajłowki, położonej niedaleko węzła kolejowego Iwanowki. Podczas całej podróży przez step groziło im ciągle niebezpieczeństwo popadnięcia w ręce bolszewików. Poczynając od Charkowa step był naprzemian to „czerwony“, to „biały“. Linja kolejowa była przerwana, a po całej okolicy włóczyli się maruderzy i bandy. Barwy zmieniały się raz poraz; w jednej miejscowości panowali „czerwoni“, w następnej „biali“ i podróżni nie wiedzieli nigdy, jakich mają używać dokumentów, czy legitymować się jako „delegaci bolszewiccy“, czy pod własnemi nazwiskami. Ale Michajłowka była niewątpliwie „biała“, zaś z pobliskiej Iwanowki odchodziły dwa pociągi, jeden do Carycyna nad Wołgą, drugi na południe do Rostowa. Iwanowka była więc celem wszystkich zbiegłych oficerów, junkrów i innych żywiołów, wypędzonych przez bolszewików i pozbawionych mienia,

ograbionych z posiadłości właścicieli ziemskich, zwolnionych urzędników, którzy gromadzili się wszyscy do walk z bolszewikami. Największy był napływ żołnierzy, którzy po rozpuszczeniu oddziałów na froncie nie mogli już wyrzec się poprzedniego zajęcia i szukali nowych sposobności do mordów i plondrowania.

W Michajłowce czuł się już adwokat bezpieczny przed pościgiem bolszewickim, zatrzymał się więc tutaj na trzydniowy wypoczynek; w żyznej wsi stepowej było jedzenia wbród, i Halperin, po wszystkich przeżyciach ostatnich miesięcy, po śmiertelnym lęku, jaki trzymał go w swoich szponach od przewrotu bolszewickiego, mógł nareszcie odetchnąć swobodnie. Czuł się jak nowonarodzony. Pobyt we wsi rozproszył jego przygnębiony nastrój, dawna jego wiara odżyła znowu i dodała mu siły i odwagi, aby się zdobyć na nową nadzieję.

Halperin i Misza mieli odjechać już wczesnym rankiem. Ale wskutek deszczu musieli odłożyć chwilę odjazdu na popołudnie. Spodziewali się jednak, że wieczorem dojadą jeszcze do stacji kolejowej Iwanowki; z tą radosną nadzieją, że niebawem będą znowu siedzieli w przedziale kolejowym, wyruszyli teraz w drogę.

Gdy wyjechali ze wsi w step, słońce rozpoczęło już dzieło osuszania wilgotnej, miękkiej ziemi swemi gorącemi promieniami. Niby błogosławione łono kobiety rozciągał się teraz grunt stepu, i zupełnie wyraźnie czuć było po deszczu zapach chleba, płynący z wąskich, zielonych kłosów zboża. Źdźbła pszenicy, owsa i trawy, przygniecione przez deszcz, wyprostowały się znowu pod ciepłemi promieniami słońca i delikatne jak dzieci drżały od wilgoci. Bladozielona powierzchnia pól falowała na lekkim wietrze jak morze...

Teraz dopiero mógł adwokat wszystkiemi wyzwolonemi zmysłami rozkoszować się wonią i widokiem stepu. Z zapałem zawołał do siedzącego obok niego Miszy:

— Piękna jest nasza Rosja! Warto dla niej znieść wszystko!

Misza dojrzał podczas ostatnich lat. Na wojnie pozbył się swojej delikatnej kobiecości. Ciągle jeszcze był tak samo piękny, jak dawniej — ciężkie, gładkie powieki pod delikatnie zarysowanemi brwiami i uduchowione spojrzenie oczu o wykroju migdałów były dziedzictwem po matce — ale twarz jego i charakter stały się bardziej męskie.

— Ta część stepu jest uprawiona i nie widać też tylu zburzonych dworów, co gdzie indziej, — zwrócił się do ojca. — Widocznie nie cała Rosja oszalała. Ma się niemal wrażenie, jakby rewolucja nie dotarła wcale w te okolice.

— Nie, nie cała Rosja oszalała. Poczynam teraz wierzyć w prostego człowieka, nie w inteligenta. Inteligencja była może nieszczęściem Rosji. Importowaliśmy swoje poglądy z zagranicy, nie rozumieliśmy duszy rosyjskiej i chcieliśmy jej narzucić to, co może dobre jest dla Niemców, ale nie dla nas. Inteligencja oszukała Rosję, zdradziła ją, podkopała. Zbawienie przyjdzie jednak od chłopa rosyjskiego, od prostego człowieka z ludu. Chłop rosyjski nieraz już uratował Rosję — przed najazdem polskim za czasów cara Michała, przed nawałą napoleońską w roku 1812 — uratuje on też Rosję przed bolszewikami. Człowiek z ludu nie pozwoli się ujarzmić. Patrz — płyną ze wszystkich stron! Iwanowka jest ich punktem zbornym, schodzą się tutaj ze wszystkich frontów. Czechosłowacy są już wpobliżu Kazania i maszerują na Niżnij Nowgorod. Generał Krasnow zbiera kozaków dońskich. Armja z frontu tureckiego zbliża się także. Nie — jeszcze nie wszystko stracone! Niekiedy zdaje mi się, że niema wogóle sensu jechać na Kaukaz! Panie mogą zaczekać! Powinienem właściwie współpra-

cować także — jeżeli nie na froncie, to przynajmniej w inny sposób!

— Ależ, ojcze — to niepotrzebne, ty już swój obowiązek spełniłeś! Przedewszystkiem musisz myśleć o bezpieczeństwie mamy i Niny!

— Żadna ofiara nie jest za wielka dla tej cudownej ziemi! — rzekł adwokat, wskazując na kwitnący step. — Najgorszą rzeczą, jaką popełniliśmy my, Żydzi, było, że pozwalaliśmy się zawsze tak łatwo wypędzać ze swoich siedzib. Kiedy nas bito w jednym kraju, braliśmy tobołki na plecy i wędrowaliśmy do drugiego, gdzie nas tolerowano. Rosja jest naszą ojczyzną — znosiliśmy tutaj pogromy i prześladowania, pomagaliśmy krajowi zrzucić jarzmo carskie i chcemy mu pomóc uwolnić się od niewoli bolszewickiej. Nie wolno nam uciekać, musimy stanąć w jednym szeregu z najlepszymi synami Rosji i po raz drugi zapłacić własną krwią za wolność! Wtedy nikt nie będzie nam mógł później zarzucić, że przyszliśmy dopiero, gdy wszystko było skończone. My, Żydzi, musimy swoją wolność okupywać drożej, o wiele drożej, niż inni. Nie, nie — nigdy stąd nie odejdziemy! Będziemy tu dzielili los wszystkich synów kraju, czy to będzie los dobry, czy zły! Jestem z ciebie dumny, synu, bardzo dumny jestem, że wstąpiłeś do wojska...

Adwokat zamilkł i spojrzał wdal. Jeden z „najlepszych synów“ Rosji jechał właśnie wprost na spotkanie wozu.

Jeździec ubrany był w wysoką czapkę kozacką i podarty kożuch barani, a w ręku trzymał karabin, którego lufa skierowana była wprost na siedzących na wozie.

— Stój! Kim jesteście? — zapytał kozak, obserwując swoje ofiary pożądliwym wzrokiem.

Adwokat oburzył się:

— Jak śmiesz nas zatrzymywać? Tutaj jadą oficerowie, którzy zamierzają się przyłączyć do armji generała

Krasnowa, aby walczyć z bolszewikami. To mój syn — jest lotnikiem.

— Zaraz się przekonamy! Pokażno swoje dokumenty! — zawołał kozak, schylając się, aby zrewidować adwokata.

— Oto nasze dokumenty! — Misza z błyskawiczną szybkością przyłożył kozakowi rewolwer do piersi. — Chcesz je poznać dokładniej, psi synu?

Kozak odsłonił dwa rzędy błyszczących zębów na bladej twarzy, wydął nozdrza i roześmiał się:

— Wybaczcie, myślałem, że jesteście Żydami, którzy uciekli od bolszewików. Pełno takich podejrzanych typów wałęsa się teraz po stepie. Wybaczcie! — rzekł, i ubódłszy konia ostrogą, odjechał szybko.

Po tym wypadku patrjotyczna rozmowa między ojcem a synem już się jakoś nie kleiła. Obaj byli zatopieni we własnych myślach. Chłop spał na koźle, ale małe koniki instynktownie kierowały się na wielkim, rozległym stepie w stronę Iwanowki.

Węzeł kolejowy Iwanowka było to maleńkie miasteczko wśród stepu, z kilkoma nowemi, krytemi gontem dachami i wielkim, niezupełnie wykończonym budynkiem stacyjnym. Budynek ten pełen był oficerów, żołnierzy i innych osób, o wyglądzie zupełnie, nawpół lub częściowo wojskowym, po których poznać było, że naprędce wdziały części umundurowania, aby uzyskać przywilej rabowania zamiast podlegania rabunkom.

Halperin miał w Iwanowce dość sposobności poznania żywiołów, które gotowały się do uwolnienia Rosji od jarzma bolszewickiego. „Najlepsi synowie ludu rosyjskiego“, jak ich nazwał adwokat, byli zbieraniną niezmiernie podejrzanych elementów. Sam ich wygląd, zachowanie i mowa zdradzały dostatecznie prawdziwe motywy, jakie ich tutaj sprowadziły. Była to wieża Babel

narodów, ras i plemion: oficerowie i żołnierze najrozmaitszego kalibru, częściowo w mundurach wojskowych, częściowo po cywilnemu, w kozackich czapkach, kaukaskich płaszczach futrzanych i pelerynach, w chłopskich baranicach, w lichych butach, niektórzy w sandałach, inni w wielkomiejskich lakierkach. Wszyscy mieli wokół ciał kaukaskie pasy z ładownicami albo szarfy oficerskie. Uzbrojenie ich było tak samo różnorodne, jak i ubiór: tureckie karabiny bardzo wątpliwej jakości, rewolwery, krzywe szable, lance albo poprostu noże. W tych strojach i z tą bronią sprawiali raczej wrażenie bandy rozbójniczej, niż armji. Wszyscy czekali z gorączkową niecierpliwością na pociągi, które nie nadchodziły.

Na podłodze ciasnej i brudnej sali dworcowej leżały tłumy ludzi, cuchnące zdaleka. Gatunek ludzki rozpadł się na bezładną mieszaninę rozmaitych części ciała: głowy leżały na ramionach, nogi i ręce na brzuchach. Miało się wrażenie, jakby ktoś rzucił niezliczoną ilość części ciała ludzkiego na jedną kupę. Prócz żołnierzy i innych podejrzanych osób wojskowych było też sporo uciekinierów. Siedzieli jak kury na swoich kuferkach i tłumokach, obawiając się mimo to, że ktoś mógłby im wyciągnąć z pod siedzenia ubogie mienie, które uratowali z pożogi bolszewickiej. Kobiety i dzieci wciśnięte były między mężczyzn, osoby cywilne między żołnierzy. Jeden leżał na drugim, każdy starał się skraść sąsiadowi ostatni guzik. Od czasu do czasu wybuchały wśród poszczególnych grup w różnych kątach kłótnie i bójki. Wyrywano sobie jedzenie z ust, zaczepiano obce kobiety, maltretowano dzieci. Jedni bronili się złorzeczeniami, inni razami, ale większość leżała bez ruchu, jak bele bawełny albo śledzie w beczce, i obojętnie spali dalej.

Kiedy zajeżdżał pociąg, ugnieciona masa rozpadała się naraz i zrywała się, jak stado ptaków na dźwięk

strzału. Wszyscy rzucali się do pociągu, nie pytając, dokąd idzie — byle tylko uciec z tego piekła. Wrzucali do wagonów kuferki, tłumoki, dzieci, czepiali się drzwi i schodków, nie zważając na niebezpieczeństwo, i tłoczyli się do przepełnionych przedziałów. Żołnierze, którzy stali wewnątrz wagonów, wypychali intruzów, zagradzali im drogę i nie pozwalali wsiadać. Aby móc jechać, poświęcano całe mienie. Kobiety dawały żołnierzom znakami i gestami do zrozumienia, że gotowe są zapłacić za miejsce własnem ciałem...

Od chwili, gdy Halperin i jego syn przybyli na stację, zajechało już i odjechało znowu kilka pociągów, a im nie udało się wsiąść. Ciągle pozostawali na stacji i musieli już spędzić dwa dni i dwie noce w piekle Iwanowki.

Przez ten czas miał adwokat aż zadość sposobności poznania elementów, które zamierzały uratować Rosję. Bez skrupułów i lęku opowiadali, czego się spodziewają dla siebie, i jak bandyci dzielili się łupami, zanim je jeszcze zdobyli. Jeden drugiemu obiecywali najwspanialsze owoce wojny. Głównym zaś tematem ich rozmów byli Żydzi. Jakby to była cena, którą płacono wszystkim bez wyjątku za przystąpienie do „białej" armji, dzielili żołnierze jawnie między siebie mienie, żony i córki Żydów:

— Już my sobie weźmiemy, co do nas należy!

— Co do mnie, postanowiłem: pierwsze dziesięć Żydówek zgwałcę, resztę zabiję. Inaczej miałbym tego dobrego za dużo...

Adwokat, słysząc takie zdania, chciał się nieraz wtrącić z oburzeniem. Misza hamował go z największym wysiłkiem:

— Siedź spokojnie! Musimy myśleć o tem tylko, aby jak najszybciej uciec od tych band! — szeptał ojcu do ucha.

Misza wydobył z ukrycia płaszcza oznakę oficerską oddziału lotniczego, w którym służył podczas wojny, i umocował ją przy czapce (w czasie podróży schował ją przed bolszewikami).

Dystynkcja ta odnosiła skutek; ona oraz rewolwer Miszy chroniły dwóch mężczyzn od nieprzyjemności, a może i gorszych rzeczy.

Adwokat, który dopiero co wydostał się z jarzma bolszewickiego, czuł się pośród elementów, jakie tutaj ujrzał, jak pod daleko gorszem, daleko boleśniejszem jarzmem. Znowu zieleniał i żółknął z wściekłości, a oczy jego miotały iskry. Z oburzeniem szeptał synowi do ucha:

— I oni mają uratować Rosję! Jaką siłą? Siłą bandytyzmu?!

Ojciec i syn żywili tę samą myśl:

„Po tamtej stronie jest przynajmniej siła moralna“.

Oczywiście żaden z nich nie wypowiadał tej myśli.

Wreszcie udało im się z pomocą dystynkcji oficerskiej Miszy dostać do pociągu, który szedł do Nowo-Czerkaska.

Wagon był pełen żołnierzy. Na końcu korytarza rozpalone, potargane głowy męskie i pożądliwe ręce wyciągały się do jakiejś kobiety, która gotowa była oddać się za miejsce. Zabrzmiały zdławione krzyki, śmiechy, rozpustne dźwięki. Adwokat zerwał się ze swego miejsca, śmiertelnie blady; z największym wysiłkiem powstrzymał go Misza:

— Na Boga, ojcze, siedź spokojnie! To dzikie zwierzęta!

— Misza, obawiam się, że Rosja jest zgubiona! Nie, nie — od nich nie przyjdzie ratunek!

— Wiem o tem, ojcze, wiem o tem.

Nad ich głowami zwisały z górnych ławek do spania bose, brudne nogi. Grupa, siedząca nadole, prowadziła z właścicielem zwisających nóg rozmowę, której adwokat chcąc niechcąc musiał się przysłuchiwać. Jakiś drab z czerwonym płatem ciała na miejscu prawego oka opowiadał sąsiadom:

— Wypuścili mię ze szpitala. Było to w Charkowie. Przez sześć miesięcy nie tknąłem kobiety... Rzucam się na pierwszą lepszą. Najpierw chciała. Ale kiedy zobaczyła wyłupione oko, uciekła — brzydzi się! Nie obchodzi jej wcale, że straciłem oko w obronie ojczyzny! No tak, kula nieprzyjacielska połechtała mię trochę — ale jej to wcale nie obchodzi! Niech ją djabli porwą razem z jej matką!

— Dostaniesz, czego ci trzeba, braciszku! Przy Żydówkach powetujesz sobie te sześć miesięcy postu!

— O tak, powetuję sobie! Piersi im będę obcinał, jak jabłka będę je kroił! — zawołał jednooki; widać było, że ślinka napływa mu do ust.

— Racja! Wszystkie Żydówki należą do nas, wolno nam robić, co chcemy. Krasnow je nam dał!

Adwokat zrywa się oburzony:

— Co...

Misza powstrzymuje go:

— Spokojnie, ojcze, na miłość boską!

— Misza, uciekaj, Misza — tamci mają przynajmniej jakiś ideał!...

Misza milczy...

Pociąg zatrzymuje się na stacji. Dwaj kozacy, z knutami w rękach, wchodzą i pytają:

— Czy są wśród was Żydzi?

— Żydzi? — powtarzają żołnierze i mierzą wzrokiem cywilnych pasażerów. Spojrzenia ich zatrzymują się na bladym adwokacie:

— Żydzi? Do djabła z nimi!

Nagle adwokat wszystkiemi siłami wyrywa się z rąk Miszy, prostuje się na całą wysokość i woła:

— Ja jestem Żydem! Psy! Ja jestem Żydem! — Bije się przytem pięścią w piersi. — Macie mnie, jestem Żydem!

Zanim Misza zdążył wyciągnąć rewolwer z kieszeni, kilka rąk żołnierskich chwyciło jego ojca i rzuciło kozakom.

Misza skoczył, aby ratować ojca, ale ręce żołnierzy trzymały go jak imadła.

— Dawajcie i tego!

— Nie, ten nie wygląda jak Żyd! To nie Żyd!

— Ojcze! Ojcze! — wołał Misza.

Żołnierze trzymali go mocno:

— Ten się nam przyda przy pierwszym ataku. To lotnik.

Wreszcie Misza wyrwał się i skoczył do okna. Na peronie ujrzał ojca, bez kapelusza i butów, ze zwichrzonemi oczyma.

— Ojcze!

Przez stłuczoną szybę wyciągał syn ręce do ojca.

Pociąg ruszył. Żołnierze ze śmiechem trzymali szalejącego Miszę w żelaznym uścisku, tak że nie mógł się ruszyć.

A Misza widział ciągle ojca, jak stał na peronie, boso, ze zwichrzonemi siwemi włosami, otoczony przez kozaków. A jednak nie czuł bólu w całej sile, gdyż to, co widział, nie wydawało mu się rzeczywiste: postać ojca była wówczas niesamowicie podobna do owego człowieka, którego Misza widział tak często na rycinach: przypominała mu Chrystusa, którego żołnierze rzymscy prowadzą na śmierć. Tak widział Misza ojca odtąd przez całe życie...

Na następnej stacji udało mu się wyskoczyć z wa-

gonu. Bez tchu przebiegł w nocy szesnaście wiorst zpowrotem, szukając ojca. Nie znalazł go.

Kilka dni włóczył się Misza po okolicy, ale wszelkie poszukiwania były daremne. Dowiedział się tylko, że kozacy uprowadzili ojca do lasu.

Misza puścił się w step i błąkał się przez wiele dni i wiele nocy, aż natknął się na oddział Czerwonej Armji, który wyruszył przeciwko generałowi Krasnowowi.

Przyłączył się do niego...

DWIE JASKÓŁKI

Choroba jest podróżą do dalekiego kraju; zmywa ona wszelkie dotychczasowe przeżycia i usuwa je w taką dal, że wydają się stamtąd niby wizje...

Podczas tych tygodni, gdy Zachary walczył ze śmiercią i pokonał ją — duch jego umarł naprawdę. I nowonarodzony leży teraz młody Mirkin w lesie pod Moskwą, na werandzie byłego dworu, który zamieniono na lecznicę dla urzędników sowieckich.

Ale nietylko Zachary umarł w czasie swojej choroby i narodził się na nowo: to samo działo się z jego ojcem. Podczas tych sześciu tygodni, gdy stary Mirkin, z czerwonemi, nabrzmiałemi oczyma, podobnie jak inni ojcowie, matki i dzieci, oczekujący dopuszczenia do chorych krewnych, stał codziennie przed bramą szpitala, doznawał on nieustannie wrażenia, że dotychczas chodził po świecie bożym w masce, i teraz dopiero uświadomił sobie, że nie posiadał w życiu nic prócz tego chorego syna, który skąpany w pocie walczył w tej chwili z niewidzialną potęgą, jak niegdyś Jakób zmagał się z aniołem. A w walce tej ojciec nie mógł mu pomóc. Ale właśnie dlatego, że musiał się temu zmaganiu przyglądać zdaleka, miłość i współczucie dla dziecka płonęły w nim tem goręcej. Tajemne źródła, które przez

szereg lat ukryte były w komórkach jego krwi, potężnie buchnęły teraz z serca uczuciami. Czem jest jeszcze dla niego organizacja jego przedsiębiorstwa, czem przyszłość Rosji, czem żona i dziecko? Niczem. Wszystkiem było dla niego teraz to chore ciało młodzieńca, skąpane w pocie gorączki, jakby to ciało, z którego uciekła wszystka krew, było — niby zeschnięty kwiat — jedyną rzeczą, pozostałą staremu Mirkinowi z życia, jakby ten chory trzymał w rękach duszę ojca niby dogasającą świecę.

Starzec powierzył teraz przedsiębiorstwo w zupełności Miszy „Mołodcowi“ — niech z niem robi, co chce! Żonę i dziecko pozostawił ich własnemu losowi. Gdyż tutaj, pod kołdrą, wznoszącą się i opadającą szybko wraz z ciężkim oddechem chorego ciała, tutaj leżało teraz wszystko, co miało dla niego jakąś wartość. I dzięki zbudzonej tak nagle miłości do syna, znalazł stary Mirkin drogę do siebie. Czuł się przez tę miłość wzniesiony, oczyszczony, obdarzony łaską, jakby spowiła go nieopisana szczęśliwość.

Obok łóżka Zacharego leżał chory chłopiec. Ilekroć wpuszczano starego Mirkina do syna, przychodził też do swego dziecka ubogi, blady robotnik. Wytworzyło to niebawem serdeczny, przyjacielski węzeł między Gabrjelem Mirkinem a ojcem chłopca. Dwaj mężczyźni, którzy spotykali się codziennie przed bramą szpitala, tak dalece zbliżyli się do siebie wskutek choroby ich dzieci, jakby się znali od lat i należeli do tej samej klasy. Pocieszali się wzajemnie i wzajemnie dodawali sobie otuchy. Związany z obcym człowiekiem wspólnym losem, stary Mirkin powziął dla niego i dla jego chłopca życzliwość niemal jak dla krewnych. Siedział na łóżku Zacharego, obok chorego syna, trzymał w rękach bladą, wilgotną dłoń swego dziecka, przyglądał się bezsilnie, jak Zachary zmagał się pod zasłoną gorączkowego snu

z nieznanemi mocami, ocierał mu chusteczką pot z czoła i milczał. To samo czynił ojciec chłopca. Wychodząc dwaj ojcowie czekali na siebie, wypytywali się nawzajem o stan swoich dzieci, podawali sobie ręce i rozstawali się ze słowem otuchy. Za każdym razem stary Mirkin spoglądał długo za biednym robotnikiem, który szedł schylony pod brzemieniem bólu, i myślał:

„Istnieje niewyczerpane bogactwo — miłość ojcowska —, które dane jest każdemu człowiekowi, najuboższemu nawet, i którego nikt nam odebrać nie może. A ja tak późno się o tem dowiedziałem!“

Miał wrażenie, jakby przez całe życie szedł boczną ścieżką i teraz dopiero, u kresu podróży, spostrzegł właściwą drogę, która wiodła do jego szczęścia. W sercu jego dojrzewała modlitwa:

„Dziękuję Ci, Boże, że nie pozwoliłeś mi umrzeć, zanim zaznałem łaski miłości ojcowskiej, która dana jest każdemu człowiekowi, nawet najuboższemu...“

I nie bacząc na poważny stan Zacharego, powracał stary Mirkin z każdej wizyty w szpitalu pocieszony i wzbogacony. Warto było żyć poto tylko, aby odczuwać tę miłość...

Wątła łódź Zacharego przetrwała burzę i dobiła do brzegu. Chory leży jeszcze wyczerpany i bezwładny na piaszczystem wybrzeżu, ale widzi już niebo nad głową i może znowu oglądać świat boży.

Dom znajdował się na skraju gęstego, żywicznego lasu sosnowego, nawprost rozległej łąki, na której kwitły wrzosy. Z werandy widać było zarówno las, jak łąkę. Zachary spoglądał ze swego leżaka na te dwie części świata — jedną stronę nazywał „Ameryką“, drugą „Europą“. Kiedy jechał do „Ameryki“ (to znaczy, kiedy z pomocą pielęgniarki odwracał się w stronę lasu), widział wysokie sosny, spoglądające z naiwnym lękiem na świat, jakby się tutaj zabłąkały i nie znały dalszej drogi.

Od czasu do czasu przez splecione korony iglaste przemyka chłodny wiatr, wstrząsając młodzieńczo prostemi pniami. I wraz z szelestem wiatru rozlega się niezrozumiałe, skargliwe zawodzenie, jakby w głębi lasu torturowano żywe istoty... Jadąc zaś do „Europy“, widział Zachary wysokie niebo ze srebrnemi chmurami ponad gorącem wrzosowiskiem, po którem rozsypane były tysiące a tysiące biało-różowych kwiatuszków. Tu i ówdzie świeci pośród nich krwistoczerwony mak. Czerwone kwiecie maku to najweselsze dzieci w rodzinie kwiatów polnych. Zdaje się, że skaczą ciągle na wszystkie strony — zapalają się i gasną znowu. Najwyżej zaś ponad wszystkie stworzenia boże wznosi swą dumną, bladoniebieską koronę samotna lilja polna. Oddzielne kłosy żyta, zasadzone przez wiatr, wyciągają wgórę szczotkowate główki i jako szafarze chleba wydają się sobie istotami bez porównania ważniejszemi, niż bezużyteczne kwiaty polne. Roje dzikich pszczół krążą wokół kwiatów, a między niemi szybują na ostrych jak noże skrzydłach ćwierkające głośno jaskółki, chwytając w locie owady...

Później zrobił Zachary nowe odkrycie — przybył do „krainy Nigdzie“, gdzie człowiek unosi się jakby w powietrzu i nie jedzie do nikogo, tylko do samego siebie. W „krainie Nigdzie“ jest się wtedy, gdy się leży na grzbiecie i patrzy w niebo. Można wtedy odkrywać tyle światów, ile się tylko pragnie. Jest się wszędzie i nigdzie, gdyż ciągle jest się u samego siebie...

Ostatniemi jednak czasy, w miarę odzyskiwania sił, kraje i światy zbliżają się coraz bardziej i niemal mieszają się z sobą. Teraz Zachary nieustannie obserwuje ze swego leżaka pięć brudnoszarych, brzydkich jaskółeczek, które jak ziarnka z łupiny otwartego orzecha wysuwają łebki z gniazda pod gzymsem werandy i bez przerwy piszczą przeraźliwie.

Ze swojego miejsca mógł Zachary widzieć wyraźnie gniazdko, które para jaskółek uwiła sobie wpobliżu niego na belkach werandy. Z podziwem obserwował, jak matka-jaskółka przez cały dzień lata niezmordowanie na pole i zpowrotem, przynosząc w dziobku owady, liszki i okruchy, któremi karmi swoje maleństwa. Za każdem zjawieniem się matki rozlega się radosne ćwierkanie i pięć dziobków wysuwa się z gniazdka, jak pięć macek ślimaka. Każde pisklę stara się szybciej od braciszka dosięgnąć dziobu matki i zdobyć okruszynę pożywienia.

Zachary ciekaw był, czy matka-jaskółka postępuje przy karmieniu małych metodycznie, czy też w gnieździe jaskółczem panuje także prawo lasów i świata, że silniejszy zwycięża w walce o byt, że więc silniejszy zdobywa od matki więcej owadów. W książkach o jaskółkach, jakie Zachary czytał, nie było o tem mowy.

Niebawem jednak mógł się przekonać, że matka-jaskółka nie stosowała żadnego systemu przy karmieniu swoich piskląt. I tutaj więc, jak wszędzie w przyrodzie, panowało nieubłagane prawo selekcji. Zachary zauważył, że najsłabsza i najmniejsza jaskółeczka, zepchnięta na koniec gniazda, miała znacznie mniej sposobności dosiężenia dziobka matki, niż inne, które zajęły w gnieździe „uprzywilejowane" miejsca środkowe i już przez to samo mogły łatwiej zdobywać pożywienie. Dlatego też nazwał najsłabszą jaskółeczkę własnem imieniem — „mały Zachary".

Skutki prawa selekcji mógł dostrzec i później, gdy młode jaskółki uczyły się latać.

Matka była bardzo zapobiegliwą gospodynią. Przedewszystkiem musiała po całych dniach znosić z poła owady i liszki. Gdy potem maleństwa podrosły, uczyła je porządku; jedno po drugiem chwytała dzieci dziobem za ogony i odwracała je tak, że tylne części zwró-

cone były nazewnątrz i nie zanieczyszczały już gniazda. Potem nastąpił dla małych jaskółek okres szkolny — nauka latania.

Z pomocą swego leniwego małżonka zbudowała matka-jaskółka na murze naprzeciwko gniazda stację wypoczynkową, korzystając do tego celu z drutów przewodu elektrycznego. Znosiła źdźbła słomy, ułożyła je w stos i pozlepiała śliną. W kilka dni później wygodna „stacja lotnicza“ była gotowa. Teraz matka poczęła latać tam i zpowrotem między gniazdem a „stacją lotniczą“, nawołując przytem nieustannie swoje małe piskliwem ćwierkaniem w jaskółczej mowie. Ta lekcja latania trwała pół dnia. Pierwszemi, które odważyły się wyfrunąć z gniazdka i wykonać sztukę, którą pokazywała matka, były istotnie trzy jaskółeczki, które ulokowały się w samym jego środku i dlatego zawsze miały sposobność najeść się dosyta. Za niemi poleciała i czwarta. Tylko „mały Zachary“ siedział nieruchomo w gnieździe i ćwierkał słabo, ale bał się ruszyć z miejsca.

Trwało to przez dwa dni. Kiedy trzeciego dnia wyprowadzono Zacharego na zalaną słońcem werandę, spostrzegł ze zdumieniem, że gniazdo jaskółek było puste. Tylko „mały Zachary“ pozostał w niem jeszcze, wyciągał biało-szary, niezdarny dziobek i bez przerwy ćwierkał rozpaczliwie.

Człowiek Zachary usiadł na leżaku, aby lepiej przyjrzeć się jaskółce Zacharemu. Miał wrażenie, że mały ptaszek jest nietylko jego „bratem w przeznaczeniu“, ale poniekąd cząstką jeko samego. Własne jego „ja“ przeszło w istotę innego gatunku.

„Mały Zachary“ nieustannie dawał znać o swojej obecności. Ćwierkanie jego było skargą, błaganiem o litość nad jego losem. Ale nikt nie mógł mu pomóc.

Wreszcie ujrzał Zachary matkę-jaskółkę, powracającą z pola. Kilka razy okrążyła gniazdo, zrzuciła kilka

owadów do dziobka „małego Zacharego“ i zawołała coś w języku jaskółek. Miało to zapewne oznaczać:

— Nie mam czasu, ale przylecę znowu.

I odfrunęła.

W ciągu dnia powtórzyło się to kilka razy. „Mały Zachary“ musiał czekać godzinami w dręczącym niepokoju, aż matka-jaskółka powracała wreszcie. Zmordowana ciężką pracą (uczyła inne dzieci w polu, jak łapać owady), karmiła swoje opuszczone pisklę, rzucała mu szybko kilka serdecznych słów w niezrozumiałym dla nas jaskółczym języku, może i kilka pieszczot macierzyńskich — i odlatywała znowu.

Po kilku dniach „mały Zachary“ nabrał sił. Teraz matka udzieliła mu kilku lekcyj latania, ale z większą czułością i cierpliwością, niż przedtem wobec czworga silniejszych. Przy pierwszej próbie „mały Zachary“ z osłabienia przechylił główkę wbok, a nagie jego skrzydełka drżały tak lękliwie, iż zdawało się, że lada chwila ptaszyna spadnie na ziemię i zabije się. Ostatecznie jednak nauczył się sztuki fruwania i niebawem pomknął za swymi braćmi w pole, gdzie niepodobna go już było odróżnić.

„Istnieje więc w naturze coś, co stoi ponad prawem selekcji“, powiedział sobie Zachary, „i siła ta nietylko koryguje samo to prawo, nietylko naprawia krzywdę, ale niejako w roli boskiego zrządzenia, niby opancerzony rycerz strzeże sprawiedliwości przed śmiercionośnem, niemem prawem. Ta siła — to boskie macierzyństwo, którego popędem jest miłość. Jeśli więc bronią mię skrzydła prawa macierzyństwa, czy nie wpadnę pod koła prawa selekcji? Tak, pod skrzydłami macierzyństwa przedostanę się przez królestwo słabych!“

W duchu chorych i dzieci wszelka rzeczywistość wiotczeje, sztywne formy słabną i wszystko przechodzi

w płynną bezkształtność, w której dzięki sile wyobraźni istnieć mogą nawet rzeczy niemożliwe.

Dla chorego choroba jest niby matka, do której się tuli; choroba zawiera dla niego jakąś rozkosz. Choroba ma w sobie coś kobiecego, chory — coś dziecięcego. Dlatego tak samo trudno mu się z nią rozstać, jak dziecku z łonem matki. Podczas choroby łatwo jest marzyć, unosi ona chorego na lekkich skrzydłach.

Rodzina Hurwiczów w Warszawie, kuchnia Racheli Lei, porzucona narzeczona Zacharego Helena — wszyscy ci ludzie byli mu teraz tak bliscy, iż miał wrażenie, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby ich dosięgnąć, gdyż nic się od chwili rozstania z nimi nie stało. Swój powrót do nich wyobrażał sobie w sposób tak prosty i naturalny, jak dziecko powraca po jednodniowej nieobecności do domu.

Ale im bardziej wymykał się Zachary z miękkich ramion choroby i powracał do życia, tem szybciej znikały te złudzenia marzeń, a rzeczywistość przybierała znowu sztywne, niezachwiane kontury.

„Dotąd i ani kroku dalej!" wołała do niego. Zrozumiał, jak wielkie były trudności „powrotu".

Decyzję, która niedawno wydawała mu się tak łatwa do wykonania, utrudniały skrupuły moralne:

„Czy mam do tego prawo? Przez tyle lat nie pamiętałem o nich. Nie dawałem znaku życia. Przyciskałem do siebie obce ciała, kazirodcze pożądanie zapędziło mię do innej kobiety. A teraz, kiedy jestem nagi, kiedy serce moje jest puste i bez wiary — teraz chcę ułożyć swoje słabe ciało na obcem łonie? Jak żebrak stać będę przed ich drzwiami, jak na żebraka będą na mnie patrzeć — jak na człowieka, stojącego poza szeregiem, jak na człowieka, który uciekł i wlecze teraz do cudzego domu uratowane życie!"

Podobnie jak niegdyś za chłopięcych lat nie chciał

opuścić miękkiego łona matki, tak nie mógł się teraz rozstać z chorobą; ukazywała mu ona przecież czułe ramiona, wyciągające się do niego po tamtej stronie granicy — a to było tak miłe! Ozdrowienie wyrywało go z tych mglistych marzeń i rzucało go na zimne, gołe pole, gdzie na każdym kroku uderzał o twarde mury rzeczywistości.

W bezradności swej szukał jakiejś zbawczej myśli. I jaskółka Zachary zesłała człowiekowi Zacharemu ratunek:

„Uczynię to, co uczynił „mały Zachary“, uczynię to pod opieką tej samej potęgi, co on. Ponieważ nie jestem dość silny, aby wytrwać wobec prawa selekcji, zażądam dla siebie prawa słabych...“

Słabość jego wydała mu się teraz najwyższą siłą...

Kiedy następnej niedzieli ojciec odwiedził Zacharego w domku leśnym, spostrzegł w stanie syna nieoczekiwaną poprawę. Zachary był w dobrym humorze, jego wielkie, jasne oczy połyskiwały wilgotnym blaskiem na bladej, zapadłej twarzy. Zaraz po pierwszych słowach powitania z dziecinną radością powiedział ojcu o wielkiej nowinie w gnieździe jaskółek:

— Wyobraź sobie, ojcze, „mały Zachary“ także już odfrunął!

I wskazał na puste gniazdo.

Ojciec, który z niezrozumiałego powodu spoważniał bardzo, odpowiedział:

— Spodziewajmy się więc, że i drugi „mały Zachary“ odfrunie niebawem!

— O tak, czuję już skrzydła! — zawołał Zachary z uśmiechem.

— Najwyższy czas! — Ojciec nie mógł stłumić westchnienia.

— Co tobie, ojcze? Czy przytrafiło ci się coś przykrego? — zapytał Zachary z trwogą.

— O nie, nic niezwykłego — ale czas już, abyś wyzdrowiał, mój chłopcze!

— Co się stało? — nalegał syn.

— Nic, — odpowiedział stary Mirkin z uśmiechem. — Ale jeżeli się nie mylę, pozostawiłeś na obczyźnie narzeczoną — najwyższy już czas sprawić wesele, synu!

— I ja o tem myślałem, — Zachary uśmiechnął się do ojca i poczerwieniał jak chłopczyk.

Potem zamilkli obaj...

Pod koniec lata stan Zacharego o tyle się poprawił, że mógł opuścić szpital. Powrócił z ojcem do miasta.

PAŃSTWO TOWARZYSZA MARKA

Siedem ran ziało na ciele Rosji, a z wszystkich siedmiu ran płynęła krew. Wściekłość i oburzenie gromadziły się, a że nie mogły wybuchnąć jawnie, kryły się, jak dawniej, za carskich czasów, pod ziemią. Jako pierwsza ich ofiara padł komisarz miasta Petersburga, towarzysz Uricki. Aby wywołać powikłania z Niemcami, zamordowano posła niemieckiego. I nawet na „Niego“ jakaś dziewczyna żydowska podniosła rękę.

Na ulicy Wielkiej Łubiance stał nowy dom, zbudowany przez jakieś towarzystwo ubezpieczeń. Gmach ten posiadał wielkie piwnice, wyłożone płytami stalowemi dla zabezpieczenia przed włamaniem i pożarem; piwnice te przeznaczone były do przechowywania dokumentów towarzystwa. To, co się działo w tych lochach podziemnych, musiało z pewnością pozostać ukryte przed światem, jak zatopione w otchłani wodnej: grube ściany sta-

lowe nie przepuszczały dźwięku. Dzięki piwnicom dom ten nadawał się znakomicie do celu, jakiemu miał teraz służyć. Tam właśnie obrał sobie siedzibę towarzysz Marek. Niebawem słowa „Wielka Łubianka" stały się równoznaczne z pojęciem tortur. Na dźwięk tych dwóch słów serca „oswobodzonych" obywateli Rosji drżały w trwodze śmiertelnej...

Towarzysz Marek zbudził się rano z ciężkiego snu na polowem łóżku, stojącem w jednym z pokojów na najwyższem piętrze. Aby się uchronić przed „złem spojrzeniem", sypiał co noc w innym pokoju. Towarzysz Marek był wiecznym więźniem gmachu na Łubiance, gdyż nie śmiał go nigdy opuszczać. W tym samym pokoju spał na drugiem łóżku polowem towarzysz Burszanow, który był teraz prawą ręką Marka. Dla bezpieczeństwa (nie wierzyli bowiem własnym towarzyszom, nie wiedząc, czy któryś z nich nie jest zdrajcą), sypiali we dwóch, z rewolwerami pod poduszką.

Kiedy towarzysz Marek otworzył oczy, Łotysz siedział już na krawędzi łóżka w znanym nam długim płaszczu żołnierskim, którego widocznie nigdy nie zdejmował, i pił wrzącą wodę, „kipiatok", z małego imbryczka, który gdzieś zdobył; dojadał do tego kawałek razowego chleba.

Jak codziennie, tak i dzisiaj towarzysz Marek obudził się z okropnym bólem głowy, na który cierpiał bardzo ostatniemi czasy. Szczeciniaste włosy, przeplatane już siwemi nitkami, otaczały jego gruszkowatą głowę niby sztywne druty. Wysokie czoło błyszczało, a wąski, kościsty nos odcinał się ostro na chudej, podłużnej twarzy. Na zapadłych wargach płonęły stale czerwone plamy; zdradzały one nieuleczalną chorobę, jaką Marek przywiózł z Syberji. Wąska kozia bródka była potargana i sterczała niemal poziomo, tak że wyglądała jak przylepiona.

— Późno? — zapytał szybko łotewskiego towarzysza.

— Czas, — odpowiedział żołnierz krótko, nie przerywając jedzenia.

Towarzysz Marek wysunął z pod wojskowego koca chude jak patyki, mocno owłosione nogi i szybko, z owym pośpiechem, jaki cechował go zawsze, naciągnął spodnie. Jednocześnie — ilekroć zwalniała mu się ręka — rozczesywał palcami brodę; mózg jego pracował przytem szybko, a słowa szybciej jeszcze płynęły z ust:

— Późno zasnąłem, straszne bóle głowy. Trzeba dzisiaj opróżnić cele. Bez wielkich ceregieli! Gmach jest przepełniony, a jeszcze się niczego nie dowiedzieliśmy. Wszędzie kontrrewolucjoniści, w każdej dziurze się chowają.

Żołnierz łotewski zgodnie ze swojem nawyknieniem skinął tylko niemo głową i jadł dalej.

Towarzysz Marek zapomniał szybko o okropnej migrenie, która jak rozżarzona obręcz ściskała jego głowę. Do każdej pracy, jakiej się podejmował, zabierał się z zapałem, wszystkiemi nerwami, a kiedy coś rozpoczął, nie mógł myśleć o niczem innem, tylko o swojem dziele. Temperament jego zapalał się jak hubka i nie gasł już. Mózg pracował nawet podczas jedzenia i najkonieczniejszych czynności, ba, nawet we śnie. Jak zwierzę w sieci, tak on znajdował się w sidłach własnej gorliwości i nie mógł się z nich uwolnić ani na chwilę.

Ubrał się szybko, jakby się dom palił, i mówił przytem nieustannie:

— Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż ta przeklęta praca — musimy budować ustrój socjalistyczny. Ale jak go budować, jeżeli o n i nam przeszkadzają? Niby szczury podkopują wszystko i obgryzają. Jak budować, gdy o n i sabotują, gdy walczą przeciwko nam niewidzialnym frontem, który zieje ogniem, gdy starają

się nas otoczyć? Jak tu dokonać czegoś, kiedy się nie wie, kogo się ma przed sobą, jakie są myśli człowieka, który przed tobą stoi?! Najwyższy już czas, żeby z tem zrobić porządek! Za późno się do tego zabraliśmy! Dopiero wczoraj powiedziałem do towarzysza Ilicza: „Nie zamierzamy się mścić, rewolucja czyni tylko to, co jest konieczne“.

Wylał sobie na głowę dzbanek zimnej wody i umył się nad blaszaną miską w kącie pokoju, gdzie czuć było zapach koszar, potem wytarł twarz i ręce ręcznikiem i wygładził palcami kozią bródkę.

— Przypuśćmy nawet, że się raz czy dwa pomylimy. Co z tego? Żeby zdobyć pewność, żeby podeprzeć i zabezpieczyć grunt, po którym stąpamy, można się zgodzić nawet na dwadzieścia pięć, nawet na pięćdziesiąt procent omyłek. Najmniejsza wojna burżuazyjna kosztuje proletarjat setki tysięcy, miljony ofiar. Dziesiątki tysięcy robotników poświęcają codziennie życie dla imperjalistycznych zdobywców. Jak stado owiec idą w ogień, a nikt nie mówi słowa — gdyż ofiarami są przecież biedni, udręczeni proletarjusze. Ale że tutaj ofiary należą do klasy uprzywilejowanej, staramy się być ostrożni i boimy się popełnić omyłkę. Rewolucja znajduje się w wirze krwawej walki. Kapitalizm wszechświatowy w sojuszu ze swoimi niewolnikami i dobrowolnymi sprzymierzeńcami, mieńszewikami i socjal-rewolucjonistami wszelkiego gatunku, wypowiedział proletarjatowi wojnę do ostatniej kropli krwi. Ale nie prowadzi tej wojny jawnie, lecz w ukryciu, z zasadzki. Czyhają na nas na każdym kroku. Tak, o n i wypowiedzieli proletarjatowi tę najkrwawszą wojnę, a m y staliśmy się subtelnymi, moralizującymi słabeuszami! Musimy zwalczać drobnomieszczańską mentalność, która ciągle jeszcze włada w naszem państwie! Wojna to wojna. Utopimy nieprzyjaciela w jego własnej krwi, aż się nasyci!

Ponury żołnierz łotewski bez słowa nalał towarzyszowi filiżankę herbaty i podsunął mu kawałek czarnego chleba:

— Jedzcie, towarzyszu!

Towarzysz Marek, zatopiony w myślach, z roztargnieniem ułamał kawałek chleba, wsadził go do ust i łyknął herbaty. Chciał przytem coś powiedzieć, ale że usta miał pełne, z gardła jego wydobyły się tylko niezrozumiałe dźwięki. Przełknąwszy pierwszy kęs, odstawił filiżankę:

— No, towarzyszu, schodzimy! Czas zaczynać!

— Nie jecie? Do obiadu jeszcze daleko, a będzie dziś dużo roboty, — napomniał go Łotysz.

— Nie mam apetytu — czuję się trochę niedobrze. Chodźcie, towarzyszu!

Włożył czapkę komisarską, wziął do ręki odbezpieczony rewolwer i wysunąwszy przed sobą poziomą niemal bródkę jak drogowskaz, wyszedł z pokoju. Za nim szedł żołnierz łotewski, ciągle jeszcze żując chleb; twarz jego była bardziej niż zwykle melancholijna i posępna; długi płaszcz wlókł się po ziemi, głusząc kroki.

Na schodach i korytarzach spotykali aresztantów, eskortowanych przez żołnierzy do rozmaitych pokojów na przesłuchanie. Wszyscy bledli i usuwali się wbok, ustępując z drogi towarzysza Marka i żołnierza łotewskiego. Trzymając w ręku na wszelki wypadek gotowe do strzału rewolwery, posuwali się dwaj towarzysze po gmachu, aż wreszcie Marek znikł w swoim pokoju, gdzie wprowadzano do niego ważniejszych przestępców.

Pierwszym był wysoki arystokrata o długiej, wąskiej twarzy. Szeroka, wygolona warga górna pod mięsistym nosem pokryła się podczas uwięzienia rudawym zarostem, długi, zwisający podbródek kiwał się drżąc na

wszystkie strony. Naiwne, niebieskie oczy spoglądały z przerażeniem na zdenerwowanego towarzysza Marka o zwichrzonych włosach, który niezdolny był usiedzieć spokojnie, lecz zrywał się ciągle, kilka razy okrążył krzesło i potem dopiero usiadł. Stropiony aresztant skierował wzrok na śmiertelnie poważnego, ponurego żołnierza łotewskiego, który przyłożył do papieru gruby czerwony ołówek i czekał na coś.

— Werbowało się wśród arystokracji oficerów do Białej Armji — hę? Broń się ukrywało — hę? Tęskno panu za carem — hę? Nie podoba się panu władza sowiecka — hę?

Towarzysz Marek szybko wyrzucał słowa z gardła, gładząc przytem nieustannie oporną bródkę; jego chude, wysokie ciało, zawsze pochylone do przodu, kołysało się za biurkiem.

Arystokrata, który czuł się, jak wypielęgnowany piesek salonowy, gdy po raz pierwszy w życiu dostanie się w gromadę wilków, z zakłopotania nie mógł wymówić słowa. Grube krople potu spływały mu z wysokiego czoła po nosie i policzkach. Oczy jego spoglądały nieruchomo, wzrokiem zwierzęcia, które wie, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiecznie rozchylone wargi rozwarły się jeszcze bardziej, odsłaniając dwa rzędy starannie utrzymanych, długich, końskich zębów. Chciał mówić, ale nie mógł wydobyć dźwięku. I nagle z oczu jego trysnęły dwa strumyki łez.

— Może pan należy do rodziny carskiej — hę? Dlaczego nie wymienia pan swoich współwinnych, dlaczego ich pan ukrywa? Dlaczego nie chce nam pan powiedzieć ich nazwisk — hę? Nie chcemy wcale być okrutni. Pan nas zmusza do stosowania przemocy! Niech pan wymieni swoich wspólników!

Arystokrata począł bełkotać. Z przerażenia widział przed oczyma tylko białą masę. Podobnież było z mó-

wieniem. Mówił długo, ale niepodobna było odróżnić słowa.

— Powiada pan, że ich pan już wymienił — hę? Już pan wymienił... — Towarzysz Marek zajrzał do swoich papierów. — A poza tem nie można się było dowiedzieć żadnych nazwisk, towarzyszu Iwanow?

Towarzysz Iwanow, przysadzisty mężczyzna o oczach policjanta, który prowadził śledztwo przeciwko arystokracie, zerwał się z krzesła za swojem biurkiem, podszedł szybko do Marka i szepnął mu coś do ucha.

— Powiada, że pan wymienił wszystkich. Wszystkich — dobrze, bardzo dobrze. Jest pan wolny, obywatelu! Ten pan może odejść, towarzyszu!

Arystokrata stał na miejscu jak skamieniały. Oczy jego stały się jeszcze większe, usta były szeroko otwarte. Wysoki jak drzewo mężczyzna nie mógł ruszyć nogą.

— Jest pan wolny, obywatelu, może pan odejść! — zawołał towarzysz Marek jeszcze raz.

Ale zdrętwiały arystokrata ciągle jeszcze stał, jakby wrósł w ziemię, nie mogąc się poruszyć.

— Jest pan wolny!

Towarzysz Iwanow odwrócił go i wskazał drzwi.

Aresztant ciągle jeszcze nie ruszał się z miejsca. Tylko oczy jego zabłysły, a twarz drgnęła. Rzucił na Marka nieprzytomne spojrzenie, jakby się chciał upewnić, że się nie przesłyszał, i sztywnym krokiem, jakby szedł na szczudłach, skierował się do drzwi.

Ale zanim ich dosięgnął, usłyszał jakiś szmer. Krótki trzask — i kula z automatycznego rewolweru utkwiła w plecach arystokraty. Zdążył jeszcze obejrzeć się zdumiony, jakby go ktoś zawołał; potem siadł nagle na ziemi jak dziecko i opadł wolno. Dwaj żołnierze wyciągnęli go za nogi z pokoju...

Teraz wprowadzono młodą Żydówkę, brunetkę, o krótko obciętych włosach i bladym, długim, haczy-

kowatym nosie. Czerwone i sine smugi na twarzy i zgarbiona postawa wskazywały wyraźnie, że aresztantka była niedawno katowana. Zaledwie trzymała się na nogach. Ale gdy zobaczyła towarzysza Marka, w oczach jej zabłysnął przekorny ogień; przemogła ból fizyczny i stanęła przed znienawidzonym człowiekiem dumnie i wyzywająco, z chłodnym, pogardliwym uśmiechem na zaciśniętych wargach.

Kilka minut milczenia. Towarzysz Marek i dziewczyna mierzyli się nawzajem wzrokiem, jak dwa walczące koguty. Marek był teraz równie blady, jak jego ofiara. W kącikach ust miał pianę, i długo trwało, zanim mógł przemówić.

— Więc teror — nic lepszego nie miała pani do roboty! — zawołał piskliwym głosem, zerwał się z krzesła i począł pędzić tam i napowrót po pokoju. — Myśli pani pewnie, że to carskie czasy, kiedy można się było zajmować romantycznemi zabawkami! Niech pani wymieni wspólników! Zmusimy panią do mówienia, mamy dostateczne środki!

— Wiem o tem, — odpowiedziała dziewczyna, spoglądając Markowi w oczy niewzruszonym wzrokiem.

Zdawało się, że ta krótka odpowiedź wyczerpała siły towarzysza Marka — ale wrażenie to wywarły nietyle same słowa, ile raczej ton i sposób, w jaki zostały wypowiedziane.

— Więc dlaczego nas pani do tego zmusza? Czy pani sądzi, że miło nam jest brukać się takiemi sprawami? Przyłączyliście się do nieprzyjaciół rewolucji, staliście się lokajami kapitalistów, sprzedajecie i zdradzacie proletarjat! Dlaczego? Pytam, dlaczego?

Dziewczyna nie odpowiedziała ani słowa. Teraz nietylko oczy jej płonęły przed towarzyszem Markiem, ale także nabiegłe krwią smugi na jej twarzy.

— Nie chce pani wymienić swoich współwinnych?

Dziewczyna milczała krnąbrnie.

— Powtarzam — mamy środki, aby panią zmusić do mówienia!

— Wiem o tem, — odpowiedziała znowu dziewczyna.

Towarzysz Marek porozumiał się spojrzeniem z Iwanowem, który odwrócił się ze swojego miejsca pod oknem i pytająco spojrzał na przełożonego.

Broda towarzysza Marka skinęła potakująco.

Iwanow dał znak. Żołnierze wyprowadzili dziewczynę.

Posępny towarzysz Burszanow spojrzał badawczo w twarz Marka, który usiadł znowu.

— Tak, tak — nie mamy czasu na wielkie ceregiele!

Czerwony ołówek towarzysza Burszanowa energicznym ruchem przesunął się po papierze.

Powietrze w pokoju było tak gęste, że możnaby je kroić nożem. Migrena dręczyła towarzysza Marka okropnemi bólami. Czerwone plamy na jego żółtej twarzy uwydatniły się jeszcze bardziej niż zwykle. Nerwowo poskubał bródkę, wołając piskliwym głosem:

— Otwórzcie wentylator, tu się przecież można udusić!

Ktoś spełnił rozkaz. Niby niewinne dziecko przebiegł po pokoju świeży powiew powietrza...

Jako trzeci wszedł na przesłuchanie Mirkin.

— Dlaczego uprawia pan przeciwko nam sabotaż? Dlaczego chce pan wygłodzić proletarjat? Dlaczego sprzymierza się pan z naszymi wrogami? Dlaczego? Dlaczego? — biadał towarzysz Marek płaczliwym głosem, gdyż migrena dopiekała mu w tej chwili ze szczególną siłą.

Stary Mirkin stał przed nim wyprostowany, blady, ale stanowczy. Siwe końce brody zdawały się wyrzeźbione w kamieniu. Oczy jego były teraz zielone i nie-

mal występowały z orbit, jakby lada chwila miały wypaść na ziemię. Spokojnie pozwolił towarzyszowi Markowi dokończyć, potem odpowiedział pewnym głosem, wzmacniając słowa ruchem głowy:

— To nieprawda — nie uprawiam sabotażu. Spełniłem swój obowiązek wobec rządu sowieckiego.

Towarzysz Marek zdziwił się, słysząc tę odpowiedź. Pewny ton i spokojne zachowanie starca wprawiało go w zdumienie, a zarazem przekonywało; uniósł dziecięce oczy i pytająco spojrzał na starego Mirkina:

— Jeżeli to prawda, to ktoś inny w pańskiem przedsiębiorstwie musiał uprawiać sabotaż! Kolejnictwo jest zrujnowane, wszędzie brak podkładów kolejowych, brak drzewa opałowego dla lokomotyw — i to właśnie w tej poważnej chwili. Jeżeli pan nie jest temu winien, to ktoś inny musi być winien!

— Tego nie wiem. Wiele winy ponosi tu ogólna sytuacja. Komunikacja ze źródłami drzewa jest przerwana, składy są puste. Propozycja moja, aby natychmiast zużytkować lasy w okolicach Moskwy i gdzie indziej, nie została przyjęta. Oznajmiono mi, że brak sił roboczych. Zabrano mi najlepszych współpracowników i wyznaczono na ich miejsca osoby niedoświadczone i nieodpowiedzialne. Do mnie odnoszono się zawsze z nieufnością. Jakże mogłem coś wskórać?...

Spokojny ton starego Mirkina denerwował towarzysza Marka; mimowoli odczuwał obrazę osobistą, że człowiek ten „dyskutował" z nim. Zarazem jednak pewność zachowania starca wywierała na nim wrażenie. Przerwał mu niechętnie:

— Jeżeli pan jest niewinny, ktoś inny musi być winien — powtarzam to panu jeszcze raz! Tak nadal być nie może! — zerwał się i począł biegać po pokoju. — Musimy się przekonać, że pan jest rzeczywiście

niewinny, musimy przedsięwziąć coś, aby znaleźć prawdziwych winowajców!

Słowa te powtórzył kilka razy, nawpół do siebie, potem powrócił do biurka, wziął od Burszanowa akta śledcze i począł je przerzucać:

— Założył pan swoje przedsiębiorstwo za czasów dawnego ustroju. Jak pan mógł jako Żyd zdobyć sobie tak wielkie zaufanie wśród sfer dworskich? — zapytał, patrząc aresztantowi prosto w oczy.

Teraz dopiero spostrzegł stary Mirkin, że człowiek, który siedział naprzeciwko niego, nie miał brwi, i że oczy jego były nagie i nieocienione. W tej chwili przeraziło go to bardziej, niż to, co go czekało.

— Starałem się o to, aby sobie zdobyć zaufanie, — odpowiedział swobodnie.

— To znaczy, że pozostawał pan w dobrych stosunkach z urzędnikami, oczywiście zapomocą łapówek?! Naturalnie pił pan z nimi i hulał — hę?

— W inny sposób nie można było w Rosji pracować. W rękach tych ludzi była władza, a kto chciał za czasów dawnego regime'u coś osiągnąć, musiał być na dobrej stopie ze sferami rządzącemi.

Towarzysz Marek milczał. Spoglądał wbok, unikając wzroku starca. Z zamyśleniem skubał bródkę:

— Niech mi pan powie — jak się to stało, że pan nas nie opuścił, że nie pojechał pan zagranicę, jak pańscy przyjaciele — nafciarz Goldstein, pańska rodzina, adwokat Halperin? Co pana skłoniło, aby pozostać w Rosji i pracować nadal?

— Chciałem pomagać z dziele odbudowy Rosji.

— Jakiej Rosji? — wybuchnął towarzysz Marek. — Naszej Rosji, Rosji sowietów, Rosji „października“, Rosji proletarjatu — czy też Rosji kamaryli carskiej, z którą był pan na tak dobrej stopie?

— Jakiej Rosji — to mi obojętne. Znam tylko jedną

Rosję — naszą ojczyznę, a kto ją odbudowuje, temu chcę służyć.

— Ale nam to nie obojętne! Teraz ja panu powiem, obywatelu Mirkin, dlaczego pan pozostał! Ponieważ czekał pan na nasz upadek! Nie chciał pan porzucać swego przedsiębiorstwa, chciał pan zatrzymać cugle w ręku, ponieważ czekał pan na chwilę, kiedy my padniemy. Niech mi pan powie, obywatelu Mirkin — czy to nieprawda?

Towarzysz Marek wpił wzrok w oczy Mirkina.

— To nieprawda! — odpowiedział starzec swobodnie i zaczerwienił się.

— O tem musimy się dopiero przekonać! Więc oświadcza pan, że pan jest niewinny?

— Nie poczuwam się do żadnej winy wobec rządu sowieckiego, — odpowiedział Mirkin z godnością.

— Odprowadźcie obywatela Mirkina, towarzysze! Przesłuchanie jest skończone!

Gdy stary Mirkin opuścił pokój, żołnierz łotewski spojrzał na towarzysza Marka pytająco swoim posępnym wzrokiem.

— Djabeł dojdzie, czy ten stary jest winien czy nie! W każdym razie trzeba go usunąć, abyśmy się mogli przekonać, kto jest prawdziwym winowajcą!

Towarzysz Burszanow przekreślił akta Mirkina czerwonym ołówkiem.

Po owej nocy, kiedy ojca zabrano z hotelu, Zachary już wczesnym rankiem usiłował dostać się do Kremlu, do człowieka o mongolskich oczach. Ale wszelkie jego wysiłki były daremne. Zaprzyjaźnieni z nim towarzysze, do których zwracał się, aby za ich pośrednictwem otrzymać przepustkę, odmawiali mu pomocy, słysząc, że idzie o aresztowanie jego ojca. Nie rozumieli, jak mógł się

ktoś odważyć fatygować Kreml osobistemi losami jednostki, i to jeszcze w czasach, gdy na wszystkich frontach wybuchła wojna domowa, a nieprzyjaciel wewnętrzny groził rewolucji.

Aby nie tracić czasu — zwłaszcza, że Zachary wiedział doskonale, jak wielką rolę gra pośpiech —, postanowił zwrócić się wprost do towarzysza Marka. Niewiele wprawdzie pokładał nadziei w tym kroku, ale niebezpieczeństwo stawało się z godziny na godzinę coraz większe. Zachary sądził, że najlepiej będzie zaapelować do uczuć ludzkich Marka.

Po wielkich wysiłkach udało mu się otrzymać przepustkę do domu na Łubiance. Ze względu na starą znajomość towarzysz Marek kazał go wpuścić i przyjął go, jak każdego gościa, z rewolwerem w ręku.

— Ręczę głową, że on jest niewinny! Ratujcie niewinnego! — zawołał Zachary, wyciągając do niego błagalnie ręce.

— Winny czy niewinny — rewolucja musi mieć pewność! Musimy być pewni siebie! Jeżeli on jest niewinny, inni muszą być winni. Dlatego trzeba go najpierw usunąć, aby się przekonać, kto uprawia sabotaż.

Zachary, blady wskutek przebytej choroby i z przerażenia, chwycił błagalnie rękę Marka:

— Jakże możecie to zrobić — tylko dla osiągnięcia pewności?! Idzie przecież o życie człowieka! Igracie przecież z życiem ludzkiem!

— Czemże jest człowiek dla rewolucji? A że tysiące naszych braci pada codziennie na froncie, że wskutek sabotażu dzieci nasze umierają z głodu, że najlepsi synowie sowietów wysyłani są na pewną śmierć — to was nie obchodzi?! Ujmujecie się zaś za życie burżuja, który służył dawnemu regime'owi i poto tylko pozostał w swojem przedsiębiorstwie, aby czekać na nasz upadek!

— Ależ to jest mój ojciec, wszystko, co mam na świecie!

— Bardzo mi przykro, że to wasz ojciec. Zresztą — rewolucjonista wyrzeka się ojca, który jest zażartym burżujem i był przyjacielem satrapów carskich!

— Towarzyszu Marku — on mi uratował życie! Czy wiecie, co dla mnie uczynił? Podniósł mię z ulicy. Nie posiadam w życiu nic więcej, prócz niego. Proszę was, oddajcie mi go!

Zachary padł na kolana.

— Wstydzę się za was, widząc was w tak żałosnej roli. To ma być rewolucjonista, który brał czynny udział w „październiku", który pomagał nam jeszcze za carskich czasów? Czy tak postępuje rewolucjonista? Prawdziwy rewolucjonista sam wydałby takiego ojca albo zastrzeliłby go własnym rewolwerem, a nie prosiłby dla niego o łaskę, jak wy!

— Nie jestem rewolucjonistą, jestem chorym, słabym człowiekiem! Jestem...

Zachary zamilkł, gdyż łzy dławiły mu słowa w gardle.

— Widać to po was, towarzyszu Mirkin.

Zachary schylił się i zachwiał; nogi odmawiały mu posłuszeństwa; błagalnie starał się chwycić ręce Marka:

— Towarzyszu Marku, nieraz narażałem życie dla rewolucji. W czasach wojny — wiecie o tem doskonale — i w październiku na dachu teatru — o tem wy najlepiej wiecie, towarzyszu Burszanow! — zwrócił się do smętnego żołnierza łotewskiego. — Nigdy o tem nie wspominałem. W nagrodę za to wszystko błagam was — wypuśćcie mego ojca! Nie rozstrzelajcie go! Skażcie go na wygnanie — ja sam zawiozę go zagranicę! Jeżeli tego nie uczynicie, będę miał wrażenie, jakbym go sam temi rękoma zabił. Zawsze będę miał jego śmierć na sumieniu!

— Wszystko, co mówicie teraz, umacnia mię tylko

w przekonaniu, że postępujemy słusznie. Jeżeli ojciec wasz naprawdę nie jest winien sabotażu, to jednak jest niewątpliwie szkodnikiem rewolucji. Swoją burżuazyjną mentalnością wpłynął na was i zaraził was tak dalece, iż gotowi jesteście wyrzec się całej swojej przeszłości rewolucyjnej dla ratowania ojca, który jest burżujem! Powiedzcie mi, towarzyszu Mirkin, dlaczego nie poszliście jak wszyscy na front, właśnie teraz, gdy rewolucja najbardziej was potrzebuje?

— Ja... ja nie mogłem, — wybełkotał Mirkin.

— Powiem wam prawdziwy powód: ojciec wasz nie dopuścił do tego. Jego burżuazyjna mentalność już na was tak dalece wpłynęła. Wiadomo nam, że byliście z nim w kontakcie.

— To nieprawda! To nieprawda!

Zachary począł krzyczeć, jakby nagle ujrzał przepaść, którą sam wykopał pod stopami ojca.

— Wasza interwencja na korzyść ojca dowodzi nam najlepiej, jak zgubny był jego wpływ na was. Towarzyszu Burszanow, teraz mamy naprawdę dowód winy obywatela Mirkina!

— Obywatelu Mirkin, rozmowa skończona' Następny!

Zachary został usunięty z pokoju.

Gdy towarzysz Marek powrócił po ciężkiej pracy dziennej do swego pokoju, padł śmiertelnie znużony na łóżko polowe. Chorobliwe plamy płonęły teraz jak czerwone róże na jego policzkach, a kości policzkowe i skronie zarysowały się wydatnie. Przesłonił oczy ręką, a kozia bródka wznosiła się sama i opadała. W duchu widział wieś polską, w której się urodził: jesień. Bose dzieci zaganiają witką gęsi i kaczki do stawu.

Towarzysz Marek stał się sentymentalny i zwrócił się nagle do towarzysza Burszanowa, który siedział na-

przeciwko niego na drugiem łóżku polowem, i teraz jeszcze w płaszczu, wlepiwszy zadumane, posępne oczy w próżnię:

— Towarzyszu Burszanow, czy lubicie dzieci?

Żołnierz łotewski spojrzał na niego zdumiony.

— Ja bardzo lubię dzieci, — ciągnął Marek. — Kiedy skończymy tutaj tę niemiłą pracę, zaopiekuję się naszemi bezdomnemi dziećmi...

Z nastaniem nocy uzbrojeni żołnierze pod przewodnictwem towarzysza Burszanowa zaprowadzili wszystkich skazanych tego dnia do najniższych piwnic wielkiego gmachu. Eskorta weszła najpierw do wielkiego przedpokoju, który nie posiadał okien, musiał więc być sztucznie wentylowany. Dookoła ścian stały drewniane ławki. Delikwentów wprowadzono grupami. Grupa, w której znajdował się stary Mirkin, składała się z arystokratów, rewolucjonistów i kupców.

— Obywatele, zdejmcie ubrania! — rozkazał towarzysz Burszanow posępnym tonem.

— Dlaczego?... Poco? — wołały histeryczne głosy.

— Co wam za różnica, czy macie na sobie ubrania, czy nie? Podziurawią się tylko, a mogą jeszcze służyć innym, — rzekł Łotysz swoim melancholijnym tonem.

Skazańcy siedzieli nieruchomo.

Stary Mirkin zdjął trzewiki...

— To nie uchodzi! To niemożliwe! Poprzeziębiamy się na kamiennej posadzce! — wołał jakiś arystokrata lękliwie.

Nikt mu nie odpowiedział.

Dwaj czerwonogwardziści pozbierali zdjęte ubrania i buty i zapisali ilość do księgi. Skazańcy weszli do stalowej komnaty — jedni w koszulach, inni nago...

Gdy Zachary opuścił pokój towarzysza Marka, automatycznie skierował się na most Kremlowski. Wiedział

doskonale, że bez przepustki nie będzie mógł przejść, ale próbował. Oczywiście wartownik odegnał go bagnetem. Szedł więc niezliczoną ilość razy między Łubianką a Kremlem.

Późno wieczorem zauważył wielkie auto ciężarowe, które zajechało przed gmach na Łubiance i zatrzymało się tuż przy okienkach piwnicznych nad chodnikiem.

Nagle motor auta zawarczał, zagłuszając wszelkie dźwięki. Zachary zrozumiał, że w tej chwili ojciec jego został rozstrzelany w piwnicach.

Nie nastawił nawet uszu i dziwił się sobie samemu, że ten straszliwy fakt zupełnie już prawie nie wywierał na nim wrażenia. Tylko ręce jego objęły zimny mur, przy którym stał, i zdało mu się, że obejmuje zimne ciało ojca.

W kilka dni później znalazł Zachary w swoim płaszczu wszytą paczuszkę. Zawierała ona większą sumą w papierach wartościowych oraz list ojca:

„Spodziewam się tego codziennie i jestem na to przygotowany. I tak już niewiele czasu pozostaje mi do życia, a ostatecznie śmierć jest najlepszą ucieczką starości. Wszystko musiało się tak stać, nikt nie jest temu winien. Każdy człowiek jest ofiarą swojej epoki i okoliczności. Staraj się ujść jak najszybciej! Postaraj się zapomnieć o wszystkiem i zacząć na nowo! Te papiery wartościowe są twoim udziałem w spadku po matce. Zobowiązania wobec reszty rodziny spełniłem w inny sposób... Zacznij na nowo, całe życie jest przecież przed Tobą!... Dziękuję Bogu, iż okazał mi tę łaskę, że danem mi było pojednać się z Tobą. Kochałem Cię zawsze, wszystko inne było błędem...“

Napomnienie ojca dodało Zacharemu odwagi. Wyruszył w drogę.

Olga Michajłowna i Nina Mirkin zajmowały w wytwornem uzdrowisku kaukaskiem wspaniałą willę w stylu maurytańskim, którą co roku odnajmowały od bogatego Tatara. Stary Mirkin dawno już zakupił grunt pod własną willę, ale budowa nie została jeszcze rozpoczęta, z jednej strony wskutek niepewnego położenia, z drugiej — ponieważ Nina nie mogła się zdecydować, w jakim stylu ma być utrzymana jej letnia siedziba. Jak zwykle, dotrzymywał damom towarzystwa „Anglik" Naum Grigorowicz Rozamin. Od dwudziestu lat towarzyszył on Oldze Michajłownie co lato, bez względu na to, do jakiego kraju i do jakiej miejscowości wyjeżdżała. Odkąd Nina — jak powiadała matka — „spłatała jej tego figla", że uczyniła ją babką, Olga Michajłowna (przyzwyczajona zresztą do „figlów" Niny) „zrezygnowała" i grała rolę „starej kobiety, która nie ma się już czego spodziewać w życiu". A że jako starszej damie nie mógł jej nikt wziąć za złe niewinnego, nieco „romantycznego flirtu", który nikomu nie szkodził, bez obawy więc spędzała teraz całe dni w towarzystwie „Anglika", który nie odstępował jej na krok. Pomagał jej przy zbieraniu wschodnich roślin do ogrodu, którym się ostatniemi czasy gorliwie zajmowała. Nina nie przeszkadzała; nie okazywała matce i „Anglikowi" wielkiego zainteresowania i mało z nimi obcowała; gdyż wbrew wszelkim przewidywaniom i przepowiedniom przyjaciół domu okazała się Nina nietylko troskliwą i czułą matką, ale także wierną małżonką. Poświęciła się zupełnie nowonarodzonemu synkowi i nalegała, że będzie sama karmiła dziecko, ku wielkiej zgryzocie matki, która perswadowała jej z rozpaczą, że zrujnuje sobie przez to figurę. Nina nie odpowiadała nawet uśmiechem na zaloty młodzieńców z pośród jej znajomych petersbur-

skich, którzy bawili w eleganckiej miejscowości kąpielowej i pragnęli pocieszać młodą żonę, „opuszczoną przez starego męża“. Matka oświadczyła, iż nie może zrozumieć, że Nina tak wcześnie stała się „matroną“.

Zawierucha bolszewicka i tutaj, podobnie jak w całej Rosji, nie sprawiła początkowo wielkiego wrażenia. Uważano ją za jeden z owych niemiłych „epizodów“, które ostatniemi czasy tak często spadały na obywateli „wyzwolonej ojczyzny“, i oczekiwano likwidacji całej imprezy, aby móc jak najszybciej powrócić do Petersburga. Tymczasem prowadzono nadal życie na szeroką stopę. Banki płaciły regularnie; wogóle nie odczuwało się na Kaukazie przewrotu. Tylko służba stała się nieco krnąbrna i zachowywała się dziwnie; ale już od początku „nowego kursu“ przyzwyczajono się do tego i godzono się z tem, co najwyżej Olga Michajłowna zastanawiała się, czy warto było wogóle robić tę całą rewolucję (jakby to było tylko od niej zależne) i czy nielepiej byłoby, aby wszystko pozostało po staremu. Oczywiście nie wygłaszała takich poglądów, gdyż byłoby to wykroczeniem przeciwko dobremu tonowi, który panował wówczas powszechnie, zwłaszcza zaś w jej sferze, sferze bogatych Żydów i liberałów rosyjskich.

Ale niebawem można było odczuć ślady przewrotu bolszewickiego i w cichem, odległem uzdrowisku. Banki zawiesiły wypłaty, po mieście kręciły się podejrzane elementy, w dzielnicy ubogich doszło do zamieszek, z ust do ust krążyły niepokojące pogłoski. Uzdrowisko kaukaskie przechodziło także od starego porządku do nowego. Dla eleganckiego świata ziemia pod nogami stała się zbyt gorąca, a znikąd nie było nadziei.

Teraz okres ten minął dawno.

Okrągły rok trwała wędrówka z Kaukazu do Paryża. Życie i cześć nieraz narażone były na niebezpieczeństwo. Często cudem tylko albo przez zręczność Niny

wydobywały się dwie kobiety zapomocą tysiącznych wybiegów i podstępów z matni, aż dostały się wreszcie z Batumu na parowcu francuskim do Konstantynopola. Klejnoty, jakie posiadały przy sobie, trzeba było spieniężyć na podróż. Teraz jeszcze musiały zapierać się swoich żydowskich nazwisk i wykorzystywać znajomości z czarnosecińcami, aby ujść śmierci.

Do Paryża przybyły bezpośrednio po zawarciu pokoju wersalskiego. Wpadły w wir wielkomiejskiego życia. Na każdym kroku spotykało się znajomych emigrantów. Cały Petersburg, cała Moskwa, cała Rosja była na wygnaniu. Wszyscy żywili radosne nadzieje i spodziewali się szczęśliwego końca wojny domowej, którą tak bohatersko prowadzili „najlepsi synowie“ Rosji pod wodzą „białych“ generałów i z pomocą koalicji, aby uwolnić ojczyznę od jarzma bolszewickiego.

W Paryżu otrzymały panie wiadomość o wielkiem nieszczęściu, jakie je dotknęło: ojciec i mąż nie żyją, Misza jest w Czerwonej Armji.

Olga Michajłowna wdziała elegancką czerń. Ktoś gdzieś dał jej jakąś nieznaną „odznakę“, którą nosiła odtąd z dumą na piersi. Należała także do dość podejrzanego związku emigrantów. A chociaż słynny adwokat był właściwie ofiarą „białych“, zaś Misza walczył w szeregach bolszewickich, Olga Michajłowna nie chciała w te fakty uwierzyć; nieszczęście swoje przypisywała wyłącznie „czerwonym“, pozostawała w bliskich stosunkach z emigrantami ze sfer czarnosecińskich i rozwijała nawet ożywioną działalność w jakiemś stowarzyszeniu tego typu. Wytworny, czarny strój żałobny nosiła z miną człowieka, który poświęcił wszystko na ołtarzu „ojczyzny“.

Chwilowo żałoba po mężach nie powstrzymywała dwu pań od życia na wielką stopę. Wszyscy przecież spodziewali się rychłego upadku bolszewików. Poza tem

otrzymały w Paryżu sumę, którą stary Mirkin przekazał im przez nafciarza Goldsteina. Daremnie przezorny kupiec dyskretnie zwracał paniom uwagę, że nadzieje, pokładane w „białych“ generałach, są bardzo wątpliwe, i taktownie, ale niedwuznacznie napomykał o „posępnej przyszłości“. Rady jego, aby w porę przedsięwziąć coś dla zapewnienia sobie bytu, uznały panie za zuchwałą prowokację, którą dlatego tylko trzeba było znieść cierpliwie, że wskutek okrucieństwa losu nie miało się tutaj opiekuna ani doradcy. Wszyscy przecież spodziewali się z niewzruszoną pewnością, że „bohaterowie“ przy pomocy koalicji szybko zgniotą „bandytów“ i zaprowadzą w Rosji porządek. A wtedy obie panie otrzymałyby zpowrotem olbrzymie majątki, jakie pozostawili ich mężowie!

Mieszkały więc w najelegantszych hotelach, jak przyzwyczajone były oddawna, szczodrą ręką wspomagały innych emigrantów i obcowały z arystokracją rosyjską, która bardzo teraz potrzebowała poparcia materjalnego — a wszystko poto tylko, aby dowieść, że „w chwili niedoli wszyscy stanowią jedną rodzinę“. Trwało to póty, póki ostatni frank nie został wydany...

Wtedy dopiero poczęła się Nina rozglądać za zarobkiem.

Istnieją ludzie, którzy dopiero, gdy otrzymają silne uderzenie w głowę, dochodzą do opamiętania. Dopiero gdy depozyt w banku został zupełnie wyczerpany i ostatni klejnot sprzedany, gdy nafciarz Goldstein, który od niejakiego czasu bawił w Londynie, przestał odpowiadać na listy z prośbą o pożyczkę, Nina przeniosła się z dzieckiem do tańszego pensjonatu na lewym brzegu Sekwany. Spotkała się tam z kilkoma staremi arystokratkami rosyjskiemi, które znała jeszcze z Petersburga. Za ich radą otworzyła początkowo mały warsztat eleganckiej bielizny damskiej, którą dostarczała do wielkich

magazynów. Dobry gust i zdolności organizacyjne, które odkryła w sobie ku własnemu zdumieniu, przydały się jej bardzo. Niebawem powiększyła swoje przedsiębiorstwo przy poparciu potentata naftowego Goldsteina, który dla celów handlowych zawsze chętnie służył pomocą, i przyjęła szereg znajomych petersburskich jako siły robocze. Dzisiaj posiada już Nina dość pokaźny salon gerderoby damskiej na prawem wybrzeżu Sekwany. Dzięki swojej energji, wytwornemu smakowi i zdolnościom kupieckim szybko postawiła przedsiębiorstwo na wysokim poziomie i daje pracę i utrzymanie licznym emigrantkom z pośród arystokracji rosyjskiej. Przed kilku laty poślubiła dyrektora i wspólnika swojej firmy. byłego bankiera rosyjskiego, i prócz synka z pierwszego małżeństwa, ma jeszcze dwoje dzieci. Wychowuje je wszystkie po francusku.

Olga Michajłowna czuje się nieszczęśliwa, że córka jej „upadła tak nisko", i dotychczas nie może przebaczyć Ninie jej „plebejskiej zdolności przystosowania się".

— Jest to nowe pokolenie, — dodaje pogardliwie, — pokolenie powojenne.

Nie przeszkadza jej to jednak posyłać stale do „etablissement" córki rozpaczliwych listów z żądaniem pieniędzy.

Olga Michajłowna nie może się zżyć z nową epoką i nowemi warunkami. Jak dziecko nie rozumie ona, że wszystko zmieniło się zupełnie, i nie potrafi dostosować się do swego położenia. Pieniądze płyną jej między palcami. Powstają stąd częste tarcia między matką a córką. Ostatecznie uciekła Olga Michajłowna przed okrucieństwem „powojennych ludzi" do Nizzy. Nina posyła jej co miesiąc dostateczną sumkę. Oczywiście pieniądze te wystarczają tylko na pierwsze dni miesiąca, i Olga Michajłowna bombarduje córkę listami,

w których grozi jej, że będzie „na innych drogach szukała wyzwolenia z tego życia „mater dolorosa“, gdyż Bóg jest tak okrutny, iż odsuwa tak długo naturalny kres“. Początkowo listy rzeczywiście przerażały Ninę. Ale ponieważ powtarzają się one tak często, córka przyzwyczaiła się do nich i ogranicza się do tego, że co pierwszego posyła matce jej skromną rentę. Na listy nie odpowiada.

Dzisiaj Olga Michajłowna żyje zupełnie samotnie w Nizzy, spowita w swoją romantyczną przeszłość. Przed południem zjawia się na Promenade d'Anglais, stale w wytwornej czerni (przeważnie w zniszczonej czarnej sukni koronkowej, na znak żałoby po mężu i ojczyźnie) i ciągle jeszcze trzyma nieco kokieteryjnie w prawej ręce czarną parasolkę koronkową. W „Pavillon bleu“ zjada za ostatnie franki „apéritif“, przyglądając się przytem pogardliwie, ale nie bez zazdrości nowej młodzieży, która w „bezwstydnie“ krótkich kostjumach kąpielowych, przy dźwięku gramofonu, spędza czas na „nieprzyzwoitych“ nowoczesnych tańcach.

W drodze powrotnej wstępuje do rosyjskiego sklepu spożywczego na rue de la France, aby załatwić sprawunki na „dejeuner“, który przyrządza sobie sama na małej maszynce spirytusowej w swojem mniej niż skromnem mieszkanku...

Gdy Olga Michajłowna powracała pewnego dnia ze spaceru przez rue de la France, zauważyła świeżo otwarty rosyjski sklep spożywczy, którego jeszcze nie znała. Ponieważ kredyt jej w większości sklepów był wyczerpany, weszła tutaj, aby zawrzeć znajomość i uzyskać nowy kredyt. Za ladą ujrzała znajomą twarz. Sporo czasu trwało, aż sobie przypomniała, gdzie już widziała tę elegancką łysinę i przebiegłe, niebieskie oczka: był to Akimow, wszechmocny niegdyś prezes Senatu Akimow. Teraz zajęty był wyliczaniem jakiemuś dziecku na

rosyjskiej tabliczce sumy jego zakupów. Rachunek ten prowadził znacznie sumienniej, niż niegdyś rachunki swojej izby lasów państwowych.

Podczas pierwszych rozmów wspominano jeszcze czasy petersburskie, przy późniejszych wizytach Olgi Michajłowny w sklepiku spożywczym konwersacja dotyczyła już tylko tematu: kiszone ogórki, śledzie i — długi...

PRZEZ GRANICĘ

Ciemna, niska izba, tak ciemna i niska, że z ledwością rozpoznać można zarysy poruszających się w niej ludzi. Pod stropem, wiszącym tuż nad głowami, pomieszało się wszystko jak ciasto w dzieży — mordercy i ich ofiary. W kłębowisku ludzkiem pod drzwiami leży Zachary. Obojętny jego wzrok utkwiony jest w obłąkanym widocznie, starym Żydzie, który jęczy nieustannie i mówi do siebie. Starzec z długą brodą przypomina Zacharemu kogoś, kogo już kiedyś widział — ale nie może sobie przypomnieć, gdzie to było i kiedy...

Z grozą śmierci mieszają się okrzyki przerażenia i śmiechy, pożądliwy pisk i oszałamiająca woń samogonki, wódki domowego wyrobu, oraz ohydny odór starej kiełbasy. Przy piecu żołnierze tłoczą się dokoła półnagiej dziewczyny wiejskiej. Zachary widzi ze swojego miejsca, jak jeden z żołnierzy ofiaruje jej parę butów, które przed chwilą ściągnął którejś ofierze. Poprzez granatowe promienie nocy i śmierci, żarzące się w głowie Zacharego, wdziera się w jego nawpół odrętwiałe ciało żądza życia, zbudzona różowem ciałem dziewczyny. Grzbiet kobiecy, świecący między żołnierskiemi butami, płoszy lęk przed przyszłością, każe zapomnieć o całej gotowości, koncentrującej się na jednej wielkiej chwili, napełnia wszystkie członki pożądaniem i przy-

wołuje Zacharego zpowrotem do życia, na którego krawędzi już stoi.

Potem nadchodzi ostatnia linja graniczna między życiem a śmiercią. Zachary dziwi się, że wszystko jest takie proste i naturalne. Nie zachodzi nawet nic szczególnego. Uświadamia sobie, że stoi oparty o drewnianą ścianę. Nad głową czuje niski, przegniły dach słomiany, z którego kapią ostatnie krople deszczowe na jego twarz. Stoi pośród innych ciał ludzkich. Jest bosy, ale nie czuje tego, przeciwnie — miło jest czuć bosemi stopami dotknięcie wilgotnej ziemi. Ma się wrażenie, jakby jakieś miękkie ciało tuliło się do człowieka. O, miło jest czuć w chwili śmierci coś żywego!

Przed nim zieją w obramieniu wysypanej gliny olbrzymie paszcze mogił, które wraz z innymi wykopał dzisiaj rano. Nie uświadamia sobie wcale, że za minutę czy dwie będzie leżał w lepkiej, przemokłej na deszczu glinie. Myśli teraz tylko o cudzie, jaki się na nim dokonał — stracił oczy! Najlepszy dowód, iż je stracił — to, że nie widzi nic! Nie potrafi nawet odróżnić, czy jest dzień czy noc, ma wrażenie, jakby był dzień i noc zarazem. Nie widzi na odległość pięciu kroków. Groby znikły także. Nie poznaje już, co się dokoła niego dzieje. Zamiast oczu musi mieć teraz w głowie niewiarogodnie dobre soczewki, gdyż widzi żołnierzy z karabinami w wielkiej, wielkiej dali! Stoją pewnie bardzo daleko, w odległości wielu mil, wielu dni drogi, gdyż wydają się niezmiernie mali, jakby się skurczyli wskutek olbrzymiej przestrzeni, leżącej między Zacharym a nimi. I teraz jeszcze oddalają się coraz bardziej od niego, a jednak widzi ich zupełnie wyraźnie przez soczewki, umocowane w jego oczodołach. Nie, nie strzelają jeszcze — kłócą się o coś. Stara wieśniaczka z chaty, w której znajdowali się on i inni, łaje żołnierzy i sprzecza się z nimi. Pomaga jej dziewczyna o różowem ciele, wychy-

lającem się z podartej bluzki. Obie klną. Zachary słyszy ich głosy z tak wielkiej oddali, jakby go dochodziły przez telefon. Tak, tak, to, co się tam rozgrywa między żołnierzami a dwiema chłopkami, dzieje się w odległości wielu mil! Tylko dzięki jakiemuś cudowi, jaki przydarzyć się może właśnie tylko na granicy między życiem a śmiercią, dociera to do Zacharego, który słyszy wszystko wyraźnie.

Stara wieśniaczka proponuje żołnierzom cztery kwarty samogonki, jeżeli pozwolą więźniom uciec przez polską granicę. Żołnierze twierdzą, że to niemożliwe, że to wbrew „rozkazowi", ale za „jeszcze coś" gotowiby się zgodzić. Zachary nie wie, co ma oznaczać to „coś", i nie interesuje go to, gdyż i tak będzie niedługo trupem, a to, co teraz postrzega, jest majakiem agonji. Młoda dziewczyna wiejska zgadza się spędzić z żołnierzami całą noc, jeżeli wypuszczą więźniów. Żołnierze są niezdecydowani — brak jeszcze czegoś; co to jest — Zachary nie wie.

Teraz stara wieśniaczka zaczyna krzyczeć z wściekłością, grozi żołnierzom pięścią, podnosi nawet na nich kamień, jak na złe psy:

— I wy jesteście chrześcijanami? Tatarami jesteście, Cyganami, Turkami przeklętymi, wściekłemi bestjami! Życie ludzkie tyle dla was znaczy, co poziomki! Dlaczego chcecie brać grzech śmiertelny na swoje dusze? Tamci także mają Boga, już On was ukarze! I was kule nie miną, wilki pożrą was w polu! Puśćcie tych biedaków, a dam wam cztery kwarty samogonki, będziecie mieli dosyć wódki — i dziewczynę na dodatek! Idźcie się lepiej pobawić, zamiast zabijać stworzenia boże!

Żołnierze zgadzają się wreszcie. Chłopka i dziewczyna przecinają więźniom sznury na rękach, zapędzają wszystkich do niskiej izby. Zachary myśli: „Szkoda, tak blisko... nareszcie przeskoczyłoby się linję graniczną..."

W ciasnej izbie czuć wódką i starą kiełbasą. Znowu różowe ciało dziewczyny połyskuje między obutemi nogami żołnierskiemi. Widok rozkoszy działa oszałamiająco, każe zapomnieć o wszystkiem innem... Obłąkany Żyd bełkocze nieustannie werset żałobny:

— I rzezali dzieci małe na kamieniu, a krew proroka nie przestawała płynąć...

Jakaś Żydówka kłóci się z żołnierzem. Rozpuszczone włosy, obnażona pierś. Stara wieśniaczka chce ją uspokoić:

— Lepsze to zawszeć niż śmierć!

Żołnierz ściąga Żydówce halkę, waży ją w dłoni. Inni otaczają go, rzucają się na halkę jak na łup. W następnej chwili jest rozdarta — złote monety potoczyły się na podłogę. Żydówka dostaje spazmów. Olbrzymi drab w wojskowych spodniach, z kurtką przerzuconą przez ramię, w pijaństwie wali pięścią w stół:

— W trzech państwach służyłem i nie wiem, gdzie należę. Przychodzą Ukraińcy — robią mię Ukraińcem. Przychodzą Polacy — mówią, że jestem Polak. Łapią mię bolszewicy — każą mi być bolszewikiem!... Przeklęte od Boga czasy — djabeł wstąpił w ludzi! Każdy wciska ci karabin w garść i każdy każe ci strzelać — dosyć już mam tego wiecznego mordowania!

Wieśniaczka trzyma w ręku wielki dzban samogonki i pokolei podsuwa go każdemu do ust, żeby pili. Na ziemi tarzają się zgodnie żołnierze i Żydzi, mordercy i ofiary leżą we wspólnym uścisku. Upici tą samą wódką, zataczają się razem po brudnych kątach. Przy piecu wrzawa głosów. Namiętne piski, pomieszane z przekleństwami, tłumionemi śmiechem kobiecym. Nagie ciała kobiece połyskują między żołnierskiemi butami. Obłąkany Żyd w czapeczce z podartym daszkiem bełkoce ciągle ustępy z trenów żałobnych. Stara łaje żołnierzy macierzyńskim tonem:

— No, psie syny, nie lepiej to pohulać sobie, zamiast obarczać dusze grzechem? Macie samogonkę, macie dziewczyny — a wyście chcieli mordować!

Człowiek w baraniej czapie, której nie zdejmuje ani na chwilę, siedzi nawpół rozebrany przy stole, rozpalony od wódki, i rozpruwa nieustannie ubrania, które ściąga pokolei z ciał uciekinierów. Inni piją i zabawiają się z kobietami — on spełnia swój obowiązek. Rozrywa szwy ubrań, a co znajduje, rzuca sobie na zsunięte kolana, aby wszyscy widzieli, że nic nie kradnie. Nie przerywając swojej pracy, odpowiada starej:

— Z nami sobie poradziłaś — teraz uważaj, żebyś ich wyprawiła z domu, zanim inni przyjdą! Poślij ich do lasu!...

Potem następuje najobłędniejsza ze wszystkich nocy, gdy złe duchy i demony czają się wszędzie po kątach — noc, kiedy uciekinierzy przekradają się przez granicę. Czy wiecie, co to jest noc? Uwalnia nas ona od ciasnego „ja“, w którem zamknięci jesteśmy mocą ciążącego na nas przekleństwa, wtrąca nas w wieczną nicość, z której przybyliśmy i do której zmierzamy. Noc to bezgraniczna, bezdenna otchłań, w którą padamy nieustannie. Wszelkie życie, wszelki kształt zapada się znowu w bezkształtny chaos, z którego powstało, i staje się tem, czem było niegdyś — atmosferą sił, poruszającą się w eterze. Za dnia ograniczające kształty bytu zacierają się, a potęga nocy wznosi wszystko do wyższego bytu nieograniczoności. Ludzie i przedmioty stają się znowu tem, czem były na prapoczątku. Wilgotne drzewo przybiera kształt ludzki, człowiek staje się drzewem — czuje prapoczątek, z którego pochodzi. Bliźniacze twory „organiczne“ i „nieorganiczne“ bratają się znowu po długiej rozłące i powracają do swego jedynego macierzyńskiego praźródła — do wielkiej nocy...

Kto zna granice takiej nocy, podczas której idzie się przez czarny, wilgotny las? Zawodzące głosy niewidzialnych istot. Jakieś postacie wyrastają z ziemi i zagradzają drogę. Przybywasz do miejsca, w którem już kiedyś byłeś, które znasz, które nieświadomie nosisz w sobie. Kim są ci bracia-ludzie, co idą obok ciebie? Kim jesteś ty sam w tej nocy?... Ale gdy zimna, wilgotna od rosy szarzyzna poczyna świtać, wszystko powraca znowu do swego wyklętego „ja“.

— Czy przeszliśmy już granicę? — pyta ktoś.

— Granicę? Któż wie, jakie granice przechodzi się podczas takiej nocy!

Czar milczenia, który przez całą noc ciążył na ludziach i przedmiotach, prysł teraz. Gdy tylko pierwszy blady błękit upiornemi krokami prześlizgnął się między drzewami lasu, wszyscy czują się wyzwoleni — dotarli do brzegu. Gromada rozpada się z lepkiej masy, w jaką ugnieciona była podczas nocy, staje się znowu zbiorowiskiem odosobnionych jednostek.

Obłąkany Żyd z podartym daszkiem stąpa z wysiłkiem po głębokim piasku, pochylony nisko do przodu pod brzemieniem ciężkiego tobołka, który niesie na ramionach. Kurz — a może co innego? — tak gęsto przylega do jego ubrania i twarzy, że biała jego broda poczerniała przez noc. Nieustannie pomrukuje niezrozumiałe słowa, to wersety trenów, to fragmenty psalmów, pomieszane z innemi przypowieściami biblijnemi; ma się wrażenie, jakby się nieustannie modlił.

I rzecz dziwna — teraz Zachary jest nareszcie pewien, że widział już tego człowieka. W pierwszych czerwonych promieniach słonecznych, przedzierających się poprzez wysokie pnie sosen, twarz ta wydaje mu się dziwnie znajoma. Ale nie może sobie przypomnieć, czy widział ją w rzeczywistem życiu, czy też w jednem z wielu innych, jakie przeżywał ostatniemi czasy...

Niebawem ujrzeli pierwszych polskich żołnierzy granicznych.

Wszystko to są ułomki wspomnień, leżące w bezdennych przepaściach jego podświadomości niby strzępy chmur. Czasami tylko wznoszą się wgórę, przesuwają się przed nim jak babie lato i znikają znowu...

Przybycie Zacharego do domu nauczyciela Hurwicza odbyło się tak:

W kuchni stała przy kotlinie na miejscu Racheli Lei służąca polska. Zapytała Zacharego, czego sobie życzy. Nie odpowiadając jej, wszedł do przyległego pokoju. Wszystko było tam takie samo, jak wtedy, gdy odchodził — kanapa, krzesła, obrazki na ścianach, lampa nad stołem. A jednak nie było już takie samo, jak niegdyś: coś się zmieniło. Ale Zachary nie uświadamiał sobie jasno, co właściwie. Miał wrażenie, jakby zmiana ta zaszła w jego wzroku: ściany były uszkodzone, tu i ówdzie odpadała tapeta, jakby czas drapał mury pazurami. Zachary powrócił znowu do kuchni, wtem usłyszał przez drzwi korytarza głosy dziecięce, dochodzące ze szkoły.

„Więc szkoła istnieje jeszcze“, stwierdził w myśli. Bezsilnie, z wahaniem otworzył drzwi.

Stała tam o n a, zupełnie tak, jak widział ją często w myślach: w kole ubogo odzianych dzieci. Przysłuchiwała się im, przemawiała do nich.

Nie zmieniła się — była to ta sama postać, tylko suknia była inna, już nie w białe i czarne kwadraciki. („Szkoda!“ przemknęło Zacharemu przez myśl). Ale i twarz jej była inna. Początkowo Zachary nie mógł sobie zupełnie uświadomić, na czem polegała ta zmiana, ale potem zrozumiał — postarzała się bardzo; miał wrażenie, jakby stała przed nim jej starsza siostra.

— Proszę pani, jakiś człowiek stoi przy drzwiach, — zawołało jedno z dzieci, wskazując na Zacharego.

Helena odwróciła się zdumiona i pobladła nagle. Usta jej otworzyły się do okrzyku, ale pohamowała się.

— Posiedźcie cicho, dzieci, wracam zaraz!

I podeszła do Zacharego. Nie mówiąc ani słowa, ujęła go za rękę i wyprowadziła z klasy.

Na korytarzu pocałowała go i na sekundę oparła głowę na jego piersi, ale cofnęła ją szybko, poprawiła sobie włosy i uśmiechnęła się przez łzy:

— Kiedy przyjechałeś?

— Dzisiaj rano.

Nie wypuszczając jego ręki, zaprowadziła go do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Potem dopiero padła mu na szyję i wybuchnęła przeciągłym płaczem:

— Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę, — szlochała, zwilżając łzami jego szyję.

Zachary stał długo jak skamieniały.

— Gdzie matka? — zapytał wreszcie.

— Mama nie żyje już. Umarła jeszcze podczas okupacji niemieckiej.

Zachary przyglądał się jej twarzy. Wokół oczu i ust wyryte były głębokie zmarszczki Racheli Lei, podbródek i szyja stały się już także obwisłe. Ale nagle uczuł, jak płynęła ku niemu z postarzałej twarzy, niby czółno, sunące po cichem jeziorze. Poznał ją odrazu...

Teraz dopiero podszedł do niej i dotknął oczyma i ustami tego, co do niego należało...

Później przyszedł do domu ojciec. Nauczyciel Hurwicz mało się zmienił w ciągu tego długiego czasu. Wydawał się tylko wyższy; chudszy był jeszcze, niż dawniej, i siwy jak gołąb. Nagłe zjawienie się Zacharego nie zdziwiło go wcale, przywitał go, jakby się wczoraj widzieli. Wsunął kościstą dłoń w rękę Zacharego, zdjął okulary, długo przyglądał mu się zaczerwienionemi bezrzęsemi

oczyma i milczał. Potem usiadł z młodzieńczą rześkością na krześle, założył nogę na nogę i zaczął, kiwając głową:

— Wyobrażaliśmy to sobie zupełnie inaczej.

— Co? Rewolucję rosyjską? — zapytał Zachary.

— Nietylko rewolucję rosyjską — wszystko!

I nawpół do siebie dodał z westchnieniem:

— Wyzwoloną Polskę — rozumiesz?

— A jednak jest lepiej niż dawniej, — powiedział Zachary.

— Tak, tak — lepiej jest. Ale ja to sobie zupełnie inaczej wyobrażałem! — mruknął nauczyciel z ciężkiem westchnieniem tęsknoty za swojem pięknem marzeniem, którego rzeczywistość nie ziściła. Potem zwrócił się do Zacharego:

— A teraz powiedz mi — co zamierzasz robić? Broda twoja jest już poprzetykana siwemi nitkami.

— Zacząć na nowo, — odpowiedział Zachary z siłą.

Bez słowa wyciągnął do niego nauczyciel kościstą rękę.

Kiedy Zachary ujrzał potem Helenę przy codziennej pracy, pomyślał: Podczas gdy ja skakałem do dachach, o n a tutaj dzień za dniem rozdarowywała się po kropli...

KONIEC